

CARIN GERHARDSEN

OPOWIEDZ

THRILLER
PSYCHOLOGICZNY

MI O NIM



CARIN GERHARDSEN

**OPOWIEDZ
MI
O NIM**

TŁUMACZENIE JUSTYNA HÖGSTRÖM


**OTWARTE
KRAKÓW 2019**

*„Kłamstwo jest jak kula śnieżna:
im dłużej ją toczysz, tym staje się większa”.*

Marcin Luter

41-latek znika bez śladu

We wtorkowy wieczór policja przyjęła zgłoszenie zaginięcia pewnego mężczyzny. Około ósmej rano przyjechał samochodem do pracy w Visby. Po kilku godzinach wyszedł w porze obiadowej. Kiedy po południu nie zjawił się na zaplanowanym spotkaniu, pracodawca skontaktował się z jego żoną, która z kolei zgłosiła zaginięcie.

Policja we współpracy z rodziną mężczyzny i jego kolegami z pracy ustaliła, dokąd mógł się udać. Próby odnalezienia podjęto również w najbliższej okolicy, chociaż trudno o bardziej zorganizowane poszukiwania z powodu braku jakichkolwiek poszlak. Ostatnią aktywność telefonu mężczyzny zarejestrowano w pobliżu jego pracy.

W momencie zaginięcia 41-latek był ubrany w czarną kurtkę, jasną koszulę i ciemne spodnie. Jest normalnej budowy ciała, ma 178 cm wzrostu, ciemne krótko ostrzyżone włosy i piwne oczy.

Policja prosi o pomoc w ustaleniu okoliczności towarzyszących zaginięciu mężczyzny.

„GOTLANDS ALLEHANDA”

Styczeń 2014

ROZDZIAŁ 1 | JEANETTE

Dopiero gdy minęli ruchliwe drogi pod Visby i wyjechali na wiejską szosę, mogła się uspokoić. Zawsze ten sam stres, ten sam strach przed tym, że ktoś może ją rozpoznać: siedziała przecież w niewłaściwym samochodzie, u boku niewłaściwego mężczyzny. Kłamstwa w pracy – sprawa niecierpiąca zwłoki, wizyta u dentysty, dłuższa przerwa obiadowa z przyjaciółką.

Trzeba być kreatywnym i mieć niezłe zdolności aktorskie, aby oddawać się zakazanej miłości.

Jeanette nie uważała, że odznacza się którąkolwiek z tych cech. Mimo to była tam, serce jej łomotało, policzki płonęły, a ona porzuciła wszystko, co zapewniało jej bezpieczeństwo i spokój.

Co ona właściwie wyprawia? Czy w ogóle warto?

Dyskretnie zerkała na swojego kochanka. Z boku obserwowała, jak trzyma kierownicę silną ręką, a kciuk drugiej dłoni zahacza o dolną część kółka. Patrzyła na żyły po zewnętrznej stronie dłoni, tańczące tuż pod skórą. Uważny wzrok, rejestrujący, co się dzieje na jezdni i wokoło. Pierś unoszącą się pod rozpiętą kurtką, kiedy oddychał.

– Jak poszło? – spytał. – Ktoś coś podejrzewał?

– Powiedziałam, że muszę obejrzeć nowe płytki do łazienki.

– I nikt tego nie zakwestionował?

Potrząsnęła głową.

– Planujecie remont?

– Nie wiem – odparła. – Na to wygląda.

Po co im nowa łazienka? Mąż myślał, że mogłaby zmienić ich życie na lepsze, tymczasem ona potrzebowała czegoś innego. Najwyraźniej. Ponieważ siedząc tu, ryzykowała wszystko, co dobrze знаła i do czego była przyzwyczajona, dla chwili uniesienia z cudzym mężem.

– Mnie też się nie podoba okłamywanie kolegów z pracy – powiedział. – Wychodzenie pod zmyślnym pretekstem. Ale jest jak jest.

Związek trwał od niecałego miesiąca. Żadne z nich nie mogło już go określać jako tymczasowy. Wymykali się w ten sposób kilka razy w tygodniu, a ich relacja pochłaniała każdą jej myśl.

Właściwie nie znała go zbyt dobrze. Pracowali niedaleko siebie, ona w sklepie meblowym, on prowadził warsztat samochodowy. Nigdy ich razem nie widywano, nie dzwonili do siebie, nie wymieniali żadnych sekretnych liścików na parkingu. To, co należało powiedzieć, załatwiali tutaj, w jego aucie, zawsze w ciągu dnia, a odbijali to sobie z nawiązką przy kolejnej okazji. Nikt nie powinien niczego podejrzewać, więc tak naprawdę nie mieli powodów do obaw. Mogli się oddać wzajemnemu pożądaniu, żarowi długo wypełniającemu ich ciała i wyczekiwaniu kolejnego spotkania.

– Jest jak jest – przytaknęła. – Będziemy to dalej ciągnęli?

Uśmiechnął się.

– A ty co o tym myślisz? Wystarcza ci, co mamy, czy ośmieliłabyś się rzucić w coś nowego?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. A czy on odważyłby się na taki krok i zostawiłby wszystko za sobą? Jej odpowiedź zależała od jego. Nie chciała dać mu satysfakcji płynącej ze świadomości tego, na czym stoi, jeśli on nie da jej punktu zaczepienia.

Ich miłość przepełniała namiętność. Ona była niemal chora, nocą nie mogła spać, a za dnia nie potrafiła się skupić. Czy ten stan utrzymywałby się jednak, gdyby była szczerą wobec męża, zażądała rozwodu i zamieniła ich wspólny dom w pole bitwy? Czy nowe zauroczenie, które teraz poruszało

niebo i ziemię, mogło to przetrwać? Jak długo?

Może potrzebowała poświadczenia. Dowodu, że wciąż zasługuje na miłość, zasługuje, aby się z nią kochać. Już go otrzymała i pewnie to by wystarczyło. Ten mężczyzna dawał jej tyle energii i radości życia, że tchnął nowe siły w jej senną egzystencję. Choć nie oznaczało to, że musi porzucić własny dom i stabilność finansową, a przy tym odwrócić się od mężczyzny, któremu przysięgała miłość. Chodziło o zachwyt nowością, miała tego świadomość. Przerwanie relacji nie było niemożliwe, mogła wrócić do domu i stać się dobrą żoną, zamiast romansować.

Próbowała to sobie wmawiać. Ale w wyobraźni już czuła zapach bijący od nagiego kochanka, jego ciepły oddech i słyszała podniecające odgłosy, którymi wkrótce miał się wypełnić samochód.

Mimo to czuła się rozdarta. Prawie było jej siebie żal, kiedy tak siedziała jak dzieciak, marząc o przyszłości, która miała nigdy nie nadejść. W pewnym sensie czuła się też zbrukana. Okłamywała i zdradzała męża, a wszystko to dla paru ulotnych chwil zapomnienia. Kochanek był jej zupełnym przeciwieństwem. Życie brał lekko, zawsze z uśmiechem na ustach. Jeśli zakończyłaby ich związek, znalazłby sobie nowe rozrywki, nie przestając się śmiać.

Dojeżdżali już do miejsca schadzki, a napięcie w samochodzie rosło. Położył rękę na jej udzie, a ona ledwie mogła nad sobą zapanować. Chciała zedrzeć z siebie ubranie i rzucić się na niego, przywrzeć do jego warg i pozwolić, by ją objął, kiedy fala gorąca wzbierała w jej wnętrzu.

Niebo pociemniało i zaczął padać lekki śnieg. Prognozy przewidywały, że przymrozek ma chwycić dopiero w nocy, ale droga już teraz wyglądała na śliską. Zbliżali się do starego kamieniołomu wapienia przy Madvarze. Na moment opony niebezpiecznie straciły przyczepność, a pojazd wpadł w poślizg.

ROZDZIAŁ 2 | SANDRA

Obładowana siatkami stała na parkingu przy markecie XL-BYGG i przeklinała swoją głupotę. Wreszcie nadszedł dzień, w którym doczołgała się do sklepu budowlanego, żeby kupić ozdoby świąteczne i światełka po okazyjnych cenach. Oczywiście nie przewidziała, że jak zwykle kupi zdecydowanie za dużo rzeczy, właśnie kiedy samochód oddała do naprawy, a ojciec nie mógł jej pomóc. Nie zamierzała kupować więcej, niż mogła wnieść ze sobą do autobusu, a i tak skończyła obładowana jak koń pociągowy.

Ze względu na pluchę nie chciała odstawiać kartonów i papierowych toreb na ziemię. Na dodatek nie wzięła ze sobą rękawiczek, bo rano, kiedy wychodziła z domu, było znacznie cieplej.

Już dwukrotnie zamawiała taksówkę i za każdym razem zapewniano ją, że auto pojawi się w ciągu kilku minut. Minęło już czterdzieści, kiedy położyła zakupy na ziemię, żeby zadzwonić kolejny raz.

– To już przesada – powiedziała, starając się brzmieć, jakby była zdenerwowana, choć tak naprawdę była po prostu zmęczona. – Mieszkam na wsi i nie mogę ot tak pójść sobie do samego Vejdhem.

– Dziwne – skonstatował głos w słuchawce. – Zaznaczam pani zamówienie jako ekspresowe i bezzwłocznie wysyłam pojazd. Musiało zajść jakieś nieporozumienie.

Pewnie, można tak to nazwać, a Sandra powinna była w tej sytuacji wysyczeć jakąś ciętą ripostę. Nie czuła się w nastroju do walki – raczej do kapitulacji, więc po prostu grzecznie podziękowała i się rozłączyła. Westchnęła ciężko, bezradnie rzuciła okiem na górę zakupów, po czym

pulchnymi, zgrabiałymi palcami wyszukała śmieszny filmik na YouTube dla zabicia czasu.

Nim zdążyła podnieść wzrok, wyrósł przed nią jakiś mężczyzna. Zwróciła na niego uwagę już wcześniej, bo przed chwilą minął ją szybkim krokiem, kierując się z samochodu do marketu. Najwyraźniej musiał się rozmyślić, bo zawrócił.

– Vejdhem – powiedział. – Czy to tam pani jedzie?

Wyglądał przyjaźnie, a przez swoje gęste, ciemne włosy i siwiejące skronie przypominał jej ojca w młodszej wersji.

– Tak – odrzekła Sandra. – Czekam tu na taksówkę już od czterdziestu minut.

– Zaraz coś poradzimy – stwierdził mężczyzna. – Jadę w tę samą stronę, więc mogę panią zabrać.

Powiedziawszy to, schylił się i wziął naraz wszystkie jej zakupy, po czym ruszył w stronę auta.

– Dziękuję – odpowiedziała z ulgą i poszła za nim. – Jaki pan miły. Może powinnam w takim razie odwołać zamówienie?

– A uważa pani, że sobie na to zasłużyli? – zapytał z uśmiechem.

Sandra nie protestowała, naturalnie nie była firmie taksówkarskiej niczego winna.

Załadował jej torby z zakupami do bagażnika i otworzył drzwi od strony pasażera. Wsiadła do środka, chuchając w dłonie, aby pobudzić krążenie w zziębniętych palcach.

– Ależ się zrobiło zimno – zagadnęła, kiedy ruszyli w drogę.

– Idą „syberyjskie mrozy” – odparł sarkastycznie, pijąc do pierwszych stron gazet.

Miał poczucie humoru, a to ułatwia każdą dyskusję. W końcu mieli spędzić ze sobą jakiś czas.

– Mieszka pan w okolicy Vejdhem? – zapytała Sandra.

– Nie, ale mam sprawę do załatwienia w tamtych stronach, więc nawet nie muszę zbaczać z trasy.

Rozmowa toczyła się lekko. Sandra niewiele się odzywała, ale nie miała takiej potrzeby. Słuchała z pewnym zainteresowaniem, gdy mężczyzna opowiadał o swojej fascynacji historią Gotlandii, podsumowywał rankingi czołówki hokeja, w której znalazła się również reprezentacja wyspy, oraz kiedy zdawał sprawozdanie ze swojego wkładu w walkę o prawa człowieka, zwalczanie głodu, wojny, przeciwdziałanie dewastacji środowiska i Bóg wie co jeszcze. Dopilnował, żeby nie zapadała niezręczna cisza, i za to Sandra była mu wdzięczna.

Stwierdziła jednak, że prowadzi zgoła nieostrożnie. Że podczas wyprzedzania i na skrzyżowaniu dróg nie jest wystarczająco skupiony, a do tego często patrzy na nią zamiast na jezdnię. Po chwili uderzyła ją myśl, że zarówno jego rozmowność, jak i problemy z koncentracją mogą wynikać z faktu, że jest nie do końca trzeźwy. Mimo że dochodziła dopiero piętnasta. Gdyby tak się dłużej zastanović, chyba wyczuwała opary alkoholu w samochodzie. Całe szczęście nie było dużego ruchu na drodze, a ona już wkrótce znajdzie się w domu.

Mijali stary kamieniołom przy Madvarze. W jednej chwili szosa zamieniła się w czysty lód, a mężczyzna – zamiast zwolnić na zakręcie – docisnął pedał gazu.

ROZDZIAŁ 3 | JAN

Zasunął rozporek, zapiał guzik i zacisnął pas. Pochylił się, pocałował ją lekko w usta i policzki. Biły od niej gorąco oraz delikatny zapach kobiety. Szampon, krem, mydło czy subtelne perfumy – coś przyciągającego, co nęciło go, żeby został w otaczającym ją ciepłe. Opanował się jednak i tuż potem zasiadł za kierownicę, mimo wszystko w doskonałym humorze.

Gdy przekręcił kluczyk w stacyjce, włączyła się muzyka. Podkręcił głośność i ruszył z impetem. Nawet jeśli w dzisiejszych czasach opony już prawie nie ruszały z piskiem, to i tak uwielbiał, kiedy pojazd gwałtownie startował z miejsca – to uczucie wbicia w fotel. Bębniąc palcami w kierownicę w rytm basowych tonów, skręcił na główną drogę.

Nie minęła sekunda, gdy nagle znikąd pojawiło się drugie auto. Już wyjeżdżał z zakrętu przy wąwozie i akurat wtedy samochód znalazł się w jego polu widzenia – nadjeżdżał z naprzeciwka, pędził wprost na niego po śliskiej jak szklanka nawierzchni.

Jak tylko go zauważył, wiedział, że już po ptakach. Szlag trafi albo jednego z nich, albo ich obu. Nie miał opon z kolcami, więc manewr wymijania by mu się nie udał, nie mógłby zatrzymać pojazdu, nawet gdyby zahamował. Chciał, żeby po prostu było już po wszystkim. Szybko.

ROZDZIAŁ 4 | JEANETTE

Drżącymi dłońmi strzepnęła z siebie wierzchnią warstwę brudu. Glinę, gałązki, zgniłe liście. Na ziemi dookoła leżało rozbite szkło. Jego kawałki i zmasakrowana blacha abstrakcyjnie kontrastowały z otaczającą ich naturą. Była tak wstrząśnięta, że organizm odmawiał jej współpracy, przechodziły ją dreszcze i szczykała zębami. Mimo to zachowała przytomność umysłu na tyle, żeby sięgnąć po telefon. By uwiecznić na zdjęciu coś, co zdawało się nierealne.

Krew w całym samochodzie. Mężczyzna uwięziony za kierownicą z wbitym w gardło kawałem szkła.

Ponownie stwierdziła, że on najprawdopodobniej już nie żyje. Wielki odłam szyby, który tkwił między chrząstkami i ścięgnami niczym żyłotka, musiał uniemożliwiać mu oddychanie. Na czole miał otwartą ranę, a jego głowa leżała pod takim kątem, że najprawdopodobniej miał też skręcony kark. Jeanette kolejny raz zaczęła rozważać, co robić. Jaki sens miało telefonowanie pod 112, skoro mężczyzna nie żył? Byłaby zmuszona podać swoją tożsamość, a podczas przesłuchań przez policję również wyjaśnić, jaką sprawę miała do załatwienia w tym odciętym od cywilizacji miejscu w środku zimy. Wszystko by się wydało, dowiedziałyby się o tym jej mąż i cała reszta. Zdrada naprawdę niedobrze wypadła w świetle dziennym, ucierpiałaby na tym jej reputacja i przyszłość... Nie, każdy jest kowalem własnego losu, a ona musiała właśnie podjąć decyzję, która rozstrzygnie o jej życiu.

Tak więc zrobiła. Mozolnym krokiem przeszła na tył samochodu, bagażnik był otwarty na oścież po locie w powietrzu. Podniosła torbę i zawiesiła ją sobie na ramieniu. Rzuciła pełne żalu spojrzenie na zmasakrowane auto oraz kierowcę. Ale klamka zapadła. Rozpoczęła

wspinaczkę w górę wąwozu.

Szybko zapadł mrok i zaczął padać gęsty śnieg.

ROZDZIAŁ 5 | SANDRA

Na początku była jakby sparaliżowana, nie wiedziała, co począć. Przytłaczało ją uczucie nierealności, nieobecności we własnym życiu. Czy to tylko okrutny sen? Znała odpowiedź, ale jej do siebie nie dopuszczała.

Sandrze nie przytrafiały się takie rzeczy. Była zbyt dobra, zbyt szara i nudna. Żyła pod kloszem: jako jedynaczka wypieszczona przez rodziców, zupełnie nieprzygotowana na niepowodzenia. Nie miała więc doświadczenia potrzebnego, aby reagować zdroworozsądkowo, gdy życie rzucało kłody pod nogi.

Powinna oczywiście zawiadomić policję. Kryminaliści nie mogą pozostawać na wolności tylko dlatego, że ludziom nie wystarcza odwagi czy sił na wniesienie oskarżeń. Ona jednak siedziała przy stole w kuchni z telefonem przed sobą i nie potrafiła się przemóc, żeby zadzwonić. Na policję, do rodziców czy kogokolwiek innego.

Nie myślała trzeźwo, nie umiała poskładać słów w nic sensownego. Co więc miała zrobić? Jak będzie wyglądało jutro, jeśli dziś nie postąpi właściwie?

Całe ciało pulsowało i bolało: czy nie powinna chociaż zgłosić się do lekarza?

Nie, nie dzisiaj. Była rozdarta, fizycznie i psychicznie. Nie miała siły na badania ani opatrywanie ran. A już na pewno nie na wyjaśnienia, opowiadanie, co się wydarzyło. Wtedy z całą pewnością zamieszano by w sprawę policję, a ona musiałaby odpowiadać na pytania: dlaczego nie powiadomiła służb wcześniej? Dlaczego nie reagowała? Jak mogła na to pozwolić? Chyba włączyła jej się lampka ostrzegawcza, gdy poczuła odór

alkoholu w samochodzie?

Sandra wiedziała, że brakuje jej umiejętności podejmowania mądrych decyzji i panowania nad swoim życiem. Nie tylko dziś, ale w ogóle. Jak więc miałyby to zmienić, akurat gdy życie pokazało swoje najgorsze oblicze?

Na zewnątrz nastał już mrok. Sypał ciężki śnieg, a termometr za oknem wskazywał kilka stopni poniżej zera. Powiodła wzrokiem po blacie kuchennym i zatrzymała się na butelce whisky.

W końcu obudziła się z letargu i wstała. Chwiejnym krokiem podeszła do blatu, chwyciła flaszkę i podniosła ją do ust. Wlała w siebie pokaźną ilość tego, co w niej zostało, wytarła wargi wierzchem dłoni, po czym odstawiła butelkę do spiżarki. Następnie ruszyła do łazienki i weszła pod prysznic.

ROZDZIAŁ 6 | JEANETTE

W myślach wciąż miała to samo: „Nic by to nie zmieniło, on już nie żył”. Przeplatane z: „Albo właściwie nie żył”. Tak naprawdę nie mogła mieć stuprocentowej pewności, w jakim był stanie, kiedy podejmowała swoją decyzję. Swoją egoistyczną decyzję. Kiedy zdecydowała się go zostawić na dnie przepaści, a sama wyjść naprzeciw nowej – przypuszczalnie świetlanej – przyszłości.

Po powrocie do domu zachowywała się jak gdyby nigdy nic, co nie było takie łatwe, zważywszy na rozdarty płaszcz i zabłocone śniegowce. Mąż kupił jednak jej beznadziejną wymówkę o kapryśnej pogodzie i śliskich chodnikach, a ona paplała o remoncie łazienki, głównie dlatego że ostatnia zwyczajna rozmowa, którą prowadziła przed wypadkiem, dotyczyła tych przeklętych płytek.

Prawdopodobnie wydawała mu się dziwnie podekscytowana i niespodziewanie pozytywnie nastawiona do remontu, w który dotąd nieszczególnie się angażowała. Ale nie zadawał żadnych pytań, tylko mówił dalej, sprawiając wrażenie znacznie bardziej zrównoważonego niż ostatnimi czasy.

Jego entuzjizm chwilowo ją uspokoił, ale nie sprowadził jej myśli na inne tory, kiedy zapadła cisza. W daremnych próbach pozbycia się poczucia winy roztrząsała, co się stało. W jej głowie nieustannie toczyła się rozmowa między nią samą a swego rodzaju moralną siłą wyższą:

Dlaczego miałabym się dać wciągnąć w bagno z powodu denata?

Dlatego, że może on wcale nie był martwy.

Po takim zderzeniu, z takimi obrażeniami musiał już umrzeć, a na pewno

nie wytrzymałby do przyjazdu karetki.

A co ty możesz o tym wiedzieć? Masz wykształcenie medyczne?

Było widać, że już nie żył albo prawie nie żył. Gdyby go odratowano, to na pewno nie miałby znośnego życia.

Kim ty jesteś, żeby oceniać, jakie życie jest znośne?

Racja.

Gdyby go odratowano, mówisz? Czyli istniało minimalne prawdopodobieństwo, że można go było ocalić?

Nie. Nie istniało. Nawet jeden do miliona.

Ale mimo wszystko. Tak go tam zostawić? Dać mu się wykrwawić. Kiedy nie mógł złapać tchu. Czy to ludzkie?

Nic nie można było zrobić. Nie mogłam pozwolić, żeby martwy mężczyzna splamił mój honor.

Nie ty pierwsza wdałaś się w romans.

Nie byłabym też ostatnią, którą potraktowano by z tego powodu jak dziwkę. Ja mam całe życie przed sobą, on już nie żył albo był umierający. Jakie to ma znaczenie?

Dla kogoś ma. Dla żony, dzieci, rodzeństwa i rodziców, którzy go stracili. Którzy mają prawo poznać prawdę.

Działałam w sposób, który był dla mnie najkorzystniejszy. Większość rzeczy czynię z pożytkiem dla innych, ale teraz zrobiłam coś z myślą o sobie i swojej przyszłości. To, jak postąpiłam, było w tamtej sytuacji rozsądne.

Jeanette walczyła ze swoimi wewnętrznymi demonami, usiłując przekonać samą siebie, że kierowała się zdrowym rozsądkiem. Tym, że na dłuższą metę tak będzie lepiej. Gryzły ją jednak wyrzuty sumienia, wdzierając się w każdą jej myśl i każdy sen.

Musi coś zrobić, żeby się nie złamać pod ciężarem winy.

ROZDZIAŁ 7 | SANDRA

– Nikniesz w oczach, kochanie – powiedział ojciec, kładąc dłoń na jej ramieniu.

Sandra aż podskoczyła, co obecnie stanowiło u niej normalną reakcję na niespodziewany dotyk. Nie pierwszy raz rodzice – u których często jadała, ale którym w zaistniałej sytuacji się nie zwierzała – twierdzili, że wychudła. To, że nie miała apetytu, było jednak mile widzianym skutkiem ubocznym okropieństwa, o którym bardzo chciała, lecz nie potrafiła zapomnieć.

– Ale mnie wystraszyłeś – skwitowała z bladym śmiechem, który miał zbagatelizować jej reakcję.

Ojciec sprawiał wrażenie nieszczególnie przekonanego.

– Nie chciałem. – Zmartwił się, a między brwiami pojawiła mu się zmarszczka. – Przepraszam.

Z pewnością oboje z matką zauważyli, że coś jest nie w porządku, ale nie narzucali się jej i pozostawiali jej tyle przestrzeni, ile potrzebowała, bez okazywania przesadnej ciekawości. Nagłych odgłosów zupełnie nie tolerowała. Nieco neurotycznie raz po raz oglądała się za siebie, żeby się upewnić, że nikt jej nie obserwuje. Wiezorami miewała problemy z zasypianiem, przez co w ciągu dnia z trudem dawała radę się skupić na obowiązkach służbowych. Wprawdzie nie wymagały one szczególnego zaangażowania intelektualnego, ale musiała zwracać uwagę na oczekiwania krążących po sklepie klientów, odgadywać ich potrzeby i prowadzić do poszukiwanej półki. Kursy korespondencyjne, którymi zajmowała się zwykle wieczorami, poszły w odstawkę. Jej myśli skupione były na czymś innym.

Samochód został już naprawiony, ale nie czuła się na siłach prowadzić.

Bała się mrozu, tego, że może się zrobić ślisko, niespodziewanych manewrów innych kierowców i jazdy po zmroku. Była nadmiernie spięta i przybita – zupełnie nie jak dawniej: flegmatyczna i uśmiechnięta.

Z tyłu głowy wciąż kołatała jej myśl o zgłoszeniu sprawy na policję. Zastanawiała się, czy sprawiłoby to, że poczuje się lepiej, czy też przyniosłoby odwrotny skutek. Jasne, powinna spełnić swój obowiązek obywatelski. Dopilnować, aby tamten mężczyzna został zatrzymany i poniósł karę, żeby to samo nie spotkało nikogo innego. Ale jeżeli policja niespodziewanie zdołałaby go odnaleźć, musiałyby stanąć z nim twarzą w twarz. Perspektywa spotkania raczej ją odstraszała, niż kusiła, nawet jeśli powinno być odwrotnie. Miałyby zeznawać przeciwko niemu w sądzie rejonowym, o ile nie zamknięto by dochodzenia, co w rzeczy samej było prawdopodobnym scenariuszem. Nie wiedziała bowiem, jak on się nazywa, nie pamiętała, jakim jeździ samochodem, nie wiedziała, gdzie pracuje ani gdzie mieszka. Wątpliwe, czy w ogóle potrafiłaby go rozpoznać w trakcie okazania.

A jaki sens miało angażowanie sił policyjnych i pieniędzy podatników, skoro ewentualne dochodzenie mogłoby zostać zaniechane?

Dlatego Sandra z czasem porzuciła wszystkie rozmyślenia tego rodzaju. Dwoiła się i troiła, żeby wrócić do normalnego życia na tyle, na ile to było możliwe. A dni mijały.

ROZDZIAŁ 8 | JEANETTE

Zdjęcie i personalia zaginionego mężczyzny ukazały się w lokalnej prasie dopiero po dwóch tygodniach. Na początku Jeanette nie wierzyła własnym oczom, przeczytała artykuł kilka razy, a potem odłożyła gazetę i złapała się za głowę.

Zaginiony? Co to oznacza?

Według autora artykułu poszukiwania prowadziły donikąd, ponieważ nie było właściwie żadnych poszlak.

Z jednej strony to dobrze, ale z drugiej bardzo źle.

– Boli cię głowa? – zastanawiał się przy śniadaniu mąż siedzący po przeciwnej stronie stołu.

Ta szokująca wiadomość wprawiła ją w takie osłupienie, że nie zwróciła uwagi na jego obecność i w tym swoim osamotnieniu zupełnie zapomniała, że on też siedzi w kuchni.

Przytaknęła, przeprosiła i wymknęła się do łazienki, w której wisiała apteczka. Szybko połknęła parę tabletek przeciwbólowych, dwa razy większą dawkę, niż zalecano na opakowaniu. Potem usiadła na zamkniętym sedesie, podparła głowę rękoma i starała się uporządkować myśli.

W jednej chwili cała jej już i tak burzliwa egzystencja skomplikowała się jeszcze bardziej. Policja apelowała o pomoc, rodzina i przyjaciele nic nie wiedzieli. Nikt nic nie wiedział.

Oprócz niej. Jeanette знаła odpowiedź na pytania zadawane przez wszystkich wokoło, miała możliwość skasowania wszystkich znaków zapytania i podarowania spokoju ducha rodzinie pogrążonej w żałobie.

Lecz za jaką cenę?

Zdecydowanie za wysoką, bez dwóch zdań. Dopuściła się czynu karalnego, była tego świadoma, nawet jeśli zupełnie nie orientowała się w klasyfikacji czynów zabronionych. Jeanette nie miała ochoty porzucić własnego spokoju ducha na rzecz zgrai obcych ludzi. Nic nie była im winna, taka prawda. A nawet jeśli teraz znajdowała się w nie najlepszej kondycji psychicznej, to i tak decyzję podjęła wtedy, w wąwozie, i nie można jej już zmienić. Za późno, aby wszystko naprawić. Nie chciała trafić przez to do więzienia, tego by nie przeżyła.

Poza tym nikomu nie pomogłaby wiadomość o jej relacji z zaginionym mężczyzną. To jak sypać sól w ranę. A teraz związek się skończył, nikt nie musi o nim wiedzieć.

*

W nocy Jeanette właściwie nie spała. Pomimo że jej organizm wręcz wołał o sen, mózg odmawiał współpracy i nie mogła się uspokoić. Przed oczami stawały jej makabryczne sceny: waliło jej od nich serce, a skóra zalewała się potem, od którego żółkła pościel.

Majacząc w gorączce, widziała mężczyznę we wraku samochodu na dnie nieprzystępnej przepaści. Spuchniętą, zniekształconą obrażeniami twarz. Odłamek szyby tkwiący w jego gardle niczym oszczep oraz oczy, które niespodziewanie się otwierały i błagały o pomoc, choć ta nigdy nie nadchodziła. Piers unoszącą się, żeby zrobić miejsce na świszczący wdech, krew pulsującą w otwartej ranie na czole.

Fantazja i rzeczywistość zlewały się w jedno, a ona rzucała się na łóżku, nie mogąc stłumić wyrzutów sumienia żadnym sensownym wytłumaczeniem.

Jedynie w ciągu dnia potrafiła myśleć racjonalnie, odzywał się w niej głos rozsądku. Bezsenne noce robiły jednak swoje, doprowadzając ją do stanu przypominającego depresję.

Mijały dni.



Najukochańsza

Charlotte Wretberg

*3 VII 2003

† 16 IX 2009

—

*Śpij, Kochanie Moje Małe,
niech sen lekarstwem będzie duszy,
anioły ramieniem Cię otoczą
i ciepłem serca, gdy się wzruszysz.*

*Niebo otworzą po godzinach,
z zanadrza gwiazdkę wyczarują.*

*Małeńkie skrzydła Ci założą,
do raju z Tobą poszybują.*

—

Ceremonia żałobna odbędzie się

w kościele w Västerhejde w piątek 2 X o 11.00,

po czym nastąpi odprowadzenie zmarłej na cmentarz.

Wszystkich, którzy zechcą uczcić pamięć Charlotte,

prosimy o wolne datki na Fundację na rzecz Walki z Rakiem

u Dzieci:

Pg: 90 20 90-0

Bg: 902-0900

Pograżeni w smutku

Rodzice, Dziadkowie, Krewni i Przyjaciele

Maj 2018

ROZDZIAŁ 9 | SANDRA

Był piękny, choć chłodny wiosenny wieczór. Kosy i piecuszki prześcigały się w walce o to, które z nich mają śpiewać w ogrodzie rodziców. Od jakiegoś czasu nie padało, więc Erik z dziadkami zajęli się podlewaniem roślin. Sandrę dochodził głos ojca, który skrupulatnie tłumaczył wnukowi, jak ważne jest, by czynność tę wykonywać wieczorem. Erik słuchał wszystkiego, co miał do powiedzenia, z wielkim zainteresowaniem. Ubóstwiał dziadków, i nie ulegało wątpliwości, że uczucie to było odwzajemnione. Erika rozpieszczano nie mniej niż ją w dzieciństwie. Miłości nigdy za wiele, powtarzała sobie.

Sandra pomagała matce sprzątnąć ze stołu zastawę po kolacji. Ta właściwie się wzbraniała, ale Sandra uważała, że już i tak wystarczająco ją wspierają, więc próbowała im się odwdziżyć choć w małym stopniu. Stołowanie się u nich tak wiele wieczorów w tygodniu wydawało się niedojrzałe, ale pozostali członkowie rodziny właśnie tego oczekiwali. Nie chciała odbierać im radości, nawet jeśli w ten sposób niespecjalnie punktowała w ich oczach jako dorosła.

– Dziś też masz wolontariat? – spytała mama.

– Oczywiście. Kiedy nie mam nic lepszego do roboty, dyżuruję w telefonie zaufania.

– Czy to nie wyczerpujące? Nie ma to wpływu na twoją normalną pracę? Potrzebujesz chyba odpoczynku jak każdy.

– To nie jest specjalnie obciążające – zapewniała Sandra. – Czuję, że pomagam, a to dla mnie ważne. Prawie jak terapia.

– Kochanie, jeśli potrzebujesz terapii, to zawsze możesz przyjść do mnie.

– Wiem, mam, dajecie mi tyle wsparcia, ile trzeba. Ale dobrze jest pomagać innym. Pocieszać i podawać pomocną dłoń.

– A czy to nie jest tak, że dzwonią jakieś oblechy?

– Oblechy? – Sandra zaśmiała się, odstawiając patelnię do zlewu. – Absolutnie nie. Dzwonią przede wszystkim przygnębieni ludzie. Samotni, może też przestraszeni, tacy, którzy sądzą, że nie mają się do kogo zwrócić ze swoimi zmartwieniami i przemyśleniami.

– Nie męczy cię bycie kratką ściekową zbierającą nieszczęścia innych ludzi?

– Przeciwnie, mam. Wręcz przeciwnie. Własne problemy często zdają się niknąć, kiedy słyszy się opowieści innych.

– Problemy? – zdziwiła się matka, marszcząc czoło. – Czyli jednak trochę ci ciężko?

– Coraz rzadziej – odparła szczerze Sandra. – Prawie nigdy. Mam was i Erika. A teraz także ciekawą pracę i fajnych kolegów. Czego chcieć więcej?

– Skoro tak mówisz – skwitowała matka bez przekonania.

Wiedziała, że wkrótce padnie pytanie o to, czy Erik może spać u dziadków. Sandra wstawiła ostatnie naczynia do zmywarki i przetarła blat ścierką.

– Wiesz, że bardzo chętnie zajmiemy się dziś Erikiem? Żebyś miała trochę czasu dla siebie.

Sandra przeczuwała, że „czas dla siebie” powinien łączyć się z facetami, a w dalszym rozrachunku – z zamążpójściem. Tego rodzaju naciski były na dłuższą metę trochę męczące, ale jakoś to znosiła.

– Wiem, mam – odpowiedziała. – Ale ja też uwielbiam mieć Erika przy sobie. Kapać go, myć mu ząbki i czytać bajkę na dobranoc. Chcę słyszeć, jak śpi w swoim pokoju, kiedy zajmuję się swoimi rzeczami. Dziękuję, ale nie dzisiaj.

*

Dyżur pod telefonem zaufania rozpoczął się od rozmowy z mężczyzną, którego psa potracił samochód. Umiał wysławić się bez trudu i nie bał się wyjawiać swoich uczuć. Po prostu potrzebował kogoś, kto by go wysłuchał, więc Sandra tak właśnie zrobiła. Czasami wtrącała zwięźle coś, co podniosłoby go na duchu, i w ciągu dwudziestu minut zdążył się wygadać.

Po nim zadzwoniła młoda kobieta, Ellen, która telefonowała niemal zawsze, kiedy przypadał dyżur Sandry. Była upośledzona umysłowo i raczej nieszkodliwa, chciała tylko opowiedzieć komuś o minionym dniu. Sandra zadawała dociekliwe pytania i otrzymywała zabawne odpowiedzi. Bycie czyjąś powierniczką i dzielenie w ten sposób codzienności z osobą, z którą w przeciwnym razie raczej by się nie zetknęła, było darem od losu.

Następnie dość szybko uporała się z rozmową z nieszczęśliwą matką, której dziecko wpadło w złe towarzystwo.

Potem telefon zamilkł i Sandra zaczęła szykować się do snu. Kiedy jednak zamierzała włączyć tryb samolotowy, ktoś zadzwonił, mimo że dochodziła już północ, a jej dyżur dobiegał końca.

Rozmowa zaczęła się bardzo powściągliwie.

– Kerstin – odpowiedziała kobieta, po chwili wahania, na pytanie Sandry. – Jestem Kerstin.

Miała szorstki głos, może też ciężkie życie. Choć równie dobrze mógł to być skutek nadmiernego palenia albo pozostałości przeziębienia.

– Cieszę się, że zwróciłaś się do telefonu zaufania, Kerstin. Zanim zaczniemy, mam obowiązek poinformowania cię, że jeśli na podstawie tego, co powiesz, zaistnieje podejrzenie, że ty bądź ktoś inny popełnił poważne przestępstwo lub zamierza to zrobić, powiadomię o tym policję. W porządku?

– Jasne.

– Cała reszta zostaje między nami, możesz być tego pewna. Co o tym sądzisz?

– Brzmi dobrze.

– Świetnie. Chciałaś porozmawiać o czymś konkretnym?

– O czymś konkretnym? No nie wiem...

– Możemy pogadać o wszystkim. Jestem tu, żeby słuchać, ale to ty ustalasz warunki rozmowy.

– Ja też jestem słuchaczką – odparła Kerstin. – Zazwyczaj.

Potem zamilkła, a Sandra musiała się wysilić, aby utrzymać rozmowę w toku. Dzwoniący rzadko odzywali się bez konkretnego problemu, który chcieliby omówić.

– Stajesz z boku i obserwujesz? Czy masz na myśli to, że inni przychodzą do ciebie ze swoimi problemami?

– Jedno i drugie – skwitowała Kerstin, nie wyjaśniając nic więcej.

– Zaczyna ci to ciążyć? – dopytywała.

– To nic takiego.

– Bo czasami, kiedy wszyscy chcą ci się wypłakać w rękaw, może się to zrobić męczące.

– Tobie to najwyraźniej nie przeszkadza.

– My się nie znamy – rzekła Sandra. – To co innego. Nie mogę pomóc ci inaczej, jak tylko wysłuchując, co masz do powiedzenia, i dodając ci otuchy. Kiedy stoi się z kimś twarzą w twarz, zwiększają się wymagania co do reakcji i dalszego działania. Chcę przez to powiedzieć, że rola tej, która zbiera do kupy pokiereszowanych przez życie znajomych, musi być ciężka.

– To nic takiego – powtórzyła Kerstin.

Sandrze z trudem przychodziło podtrzymywanie rozmowy.

– Jesteś więc słuchaczką. Czy to oznacza, że sama niewiele się odzywasz?

– Właśnie.

– Dlaczego tak się dzieje? Jesteś nieśmiała?

– Nie, nie powiedziałabym. Po prostu nie mam nic do powiedzenia.

Rozmowa toczyła się dalej w tym samym zachowawczym tonie i na dobrą sprawę nic nie zostało powiedziane. Chwilami zapadała długa cisza. Kobieta miała jednak w sobie coś, co obudziło zainteresowanie Sandry bardziej niż zwykle. Smutną nutę powściągliwości w głosie. Czuło się jej niechęć do mówienia, a zarazem odwagę, której trzeba było, żeby mimo wszystko się na to zdobyła.

– Widzę, że niechętnie o sobie opowiadasz – zauważyła Sandra. – Muszę w takim razie przyznać, że fakt, że jednak to robisz, jest dużym osiągnięciem z twojej strony.

– Przecież ja się prawie nie odzywałam – skomentowała Kerstin z nutą nieśmiałego śmiechu w głosie.

– To samo przyjdzie – zachęcała. – Poznajemy się. Staramy się zbudować wzajemne zaufanie. Takie rzeczy mogą wymagać czasu. Kiedy zadzwonisz następnym razem, będzie ci już łatwiej.

– Uważasz, że powinnam się jeszcze odezwać?

– Zdecydowanie. Czasami trzeba odegrać główną rolę. Zwłaszcza we własnym życiu. Jeśli dojdiesz do wniosku, że ja nie jestem odpowiednią osobą, by ci pomóc, to możesz poprosić o rozmowę z kimś innym.

– Nie trzeba. W takim razie może jeszcze zadzwonię.

– Dobrze. Do usłyszenia.

– Dziękuję za rozmowę – powiedziała Kerstin.

Tak zakończył się dyżur. Przypominało to raczej próbę ognia, przede wszystkim ze względu na to, że Sandra nie wykazywała się przesadną pomysłowością, jeśli chodziło o wymyślanie tematów do dyskusji. Ten ciężar rzadko spoczywał na jej barkach. W zasadzie rozmawiały o niczym, a mimo to Sandra wyczekiwała jej kolejnego telefonu. Przypuszczała, że za smutkiem

w głosie Kerstin kryła się jakaś tragedia, coś, co ją trapiło, a z czasem miało dać o sobie znać. Obudziło to w Sandrze ciekawość i miała nadzieję, że będzie tego świadkiem.

ROZDZIAŁ 10 | JEANETTE

Po południu pod bramą Österport₂ panował zgiełk. Chłopaki się wydzierały, a policja już kilkakrotnie próbowała przywołać ich do porządku. Rzadko ktoś trafiał do aresztu, grupka, która zwykle przesiadywała na tych ławkach, była raczej nieszkodliwa. Tylko czasami robiło się gorąco i właśnie teraz tak się stało.

Jeanette miała jeden ze swoich gorszych dni. Lęk zagnieździł jej się w brzuchu jak nowotwór, a ona wiedziała, że w nieodpowiedzialny sposób mieszała środki uspokajające z alkoholem. Kręciło jej się teraz w głowie i miała nudności, bujała się na ławce, zasłaniając uszy rękoma. Miała tylko nadzieję, że hałas ucichnie i wszyscy będą mogli w spokoju zażywać promieni wiosennego słońca.

Zdaje się, że była w tym osamotniona. Dwójka, która skakała sobie do gardeł – z powodu niewielkiej sumy pieniędzy, jak to zwykle bywało – zaciskała pięści, gotowa do bójki. Pozostali – dwie kobiety oraz około dziesięciu mężczyzn – usiłowali ich rozdzielić i przemówić im do rozsądku. Jeanette trzymała się na uboczu, nie miała sił się w to mieszać. Uważała, że nie do końca tu pasuje.

A jednak właśnie tu wylądowała, właśnie tutaj spędzała większość swoich beznadziejnych dni. Nisko upadła, a potoczyło się to bardzo szybko. Pewnego dnia porzuciła swoje uporządkowane, stabilne finansowo życie, żeby w pełni oddać się zażywaniu różnego rodzaju substancji chemicznych. Jedną rzecz pociągnęła za sobą drugą i pewnego dnia żulerska ławka pod bramą wydała się znacznie lepszym miejscem do marnowania swojego życia niż jej samotne dwupokojowe mieszkanie w dzielnicy Gråbo.

Bójka wisiała w powietrzu, a przekleństwa sypały się wartko. Wszyscy oprócz Jeanette byli w jakimś stopniu zaangażowani w sprawę. Ciekawscy przechodnie przystawali na moment, żeby obserwować rozwój wypadków, ale policja nie zaszczyciła ich swoją obecnością, kiedy najbardziej jej potrzebowano. Hałas robił się już prawie nie do zniesienia, więc Jeanette postanowiła sobie pójść. Niedaleko, tylko w stronę kaponiery i bramy Dalmansporten, gdzie mogłaby sobie klapnąć na trawę, dopóki wszystko się nie uspokoi.

Kiedy wstawała, ktoś przyładował jej z łokcia. Gdy się ocknęła, leżała na plecach na asfaltowej ścieżce z zakrwawionym nosem. Rozróżba zdążyła już ucichnąć i Jeanette skupiła na sobie całą uwagę.

Obaj awanturnicy pożałowali swojego zachowania i wspólnie pomogli jej usadowić się w pozycji półleżącej na ławce. Jeden z nich – Lubbe – usiadł przy niej, objął ją za kark i przechylił jej głowę w przód.

– Matka poszła po lód do Hindusa za rogiem – oznajmił. – Przepraszam. Naprawdę nie chciałem.

– Wiem – odparła Jeanette. – Po cholere w ogóle było zaczynać.

– Może sobie golniesz głębszego? – spytał Lubbe, wyraźnie próbując zmienić temat.

– Chyba wszyscy się na nas gapią.

– Kogo to obchodzi? Zresztą już sobie poszli. Karetka jest w drodze.

– Żarty sobie stroisz?

– Jasne – potwierdził Lubbe, śmiejąc się w głos, jak to zwykle on. – Trzymaj.

Ostrożnie podniósł jej głowę i napił wódką prosto z gwinta. Może nie do końca tego było jej trzeba, ale nie odmówiła. Dobrze, że ktoś się nią zaopiekował, że choć raz znalazła się w centrum uwagi. Odchyliła się w tył, by zatamować krwotok.

– O, idzie nasza Barbamama – zauważył Lubbe.

Matka usiadła na drugim końcu ławki. Udało jej się załatwić woreczek z lodem, który przyłożyła Jeanette do nosa.

– Jak się czujesz? – dopytywała. – Boli cię?

– Da się wytrzymać – odpowiedziała Jeanette.

– Dzięki, że pomogłaś w zawieszeniu broni między tymi dwoma zabijakami.

– Ja?

– Przecież sama widzisz – odparła Matka, robiąc przytyk w stronę Lubbego. – Patrz, jakie z nich teraz aniołeczki.

Lubbe znów zarechotał. Jeanette też się zaśmiała, podciągając się na ławce.

– Chyba już przestałam krwawić – oceniła, po czym odłożyła torebkę z lodem na ziemię.

Rozejrzała się dookoła – wszystko wróciło do normy. Sąsiedzi na innych ławkach żarli się i popijali ukradkiem. Zasadzone między ławkami wiosenne kwiaty mieniły się w palącym słońcu. Śpiewały ptaki i nareszcie zrobiło się ciepło. Idealne warunki do życia, które obecnie prowadziła.

Ludzie mijali ich pewnym krokiem, bacznie obserwując. Zaledwie kilka lat temu była jedną z nich – codziennie rano szła do pracy, a wieczorem wracała do domu z zakupami. Chodziła na siłownię i jogę, dbała o zdrowie, wygląd i atrybuty zewnętrzne, takie jak makijaż i dodatki. O płytki w łazience.

Lęk, który opuścił ją na chwilę w wyniku uderzenia w twarz, zdążył już powrócić. Nie dało się z niego wyleczyć, ale istniały dwa sposoby, którymi można go było chwilowo załagodzić: tabletki oraz alkohol. Obie opcje na dłuższą metę wyniszczały organizm. Przewracało jej się w żołądku, kręciło w głowie. W tej chwili nie dawała już rady, musiała uśmierzyć ból jakoś

inaczej.

– Jak się czujesz, kochana? – zapytał Lubbe, kładąc rękę na jej kolanie. – Jesteś blada jak trup.

– Nic mi nie jest – skłamała.

– Może jednak powinniśmy wezwać karetkę? Możesz mieć wstrząs mózgu.

– To nie to, naprawdę. Po prostu mam cholernie zjebany dzień. To siedzi tutaj – dodała, wskazując na głowę.

Wtedy polały się łzy. Czowała się jak kretyńka, płacząc przy tych ludziach, bo oni wcale nie mieli lepiej. Ale płaczu, który w niej wzbierał, nie dało się pohamować. Nie towarzyszyły mu żadne wielkie gesty czy zawodzenie, była to jedynie strużka łez spływająca po policzku.

Lubbe jednak ją zauważył. Znowu objął Jeanette i przyciągnął ją bliżej.

– Co ci leży na sercu? – zapytał uroczyście, żeby rozładować atmosferę.

– Tęsknię za domem – odparła. – Za wszystkim, co było kiedyś, zanim zrobiłam się taka.

– „Taka”? – zdziwił się. – Nettan, porządna z ciebie dziewczyna. Niczego ci nie brakuje.

– Tęsknię za swoją córeczką i mężem, za naszym domem i wszystkimi naszymi rzeczami. Nie tak bardzo za pracą i...

– Za córeczką? – wtrąciła się Matka. – Masz córkę?

– Nigdy nic nie mówiłaś – zawtórował Lubbe.

– Miałam. – Jeanette sposepniała. – Umarła.

– Co za chujnia – powiedziała Matka, kładąc dłoń na jej dłoni.

– Przykro mi – oznajmił Lubbe. Milczał przez chwilę, zanim znów podjął temat. – Nie chcę w tym grzebać i rozdrapywać starych ran, ale jeśli tego potrzebujesz, to możesz śmiało o tym opowiedzieć. Może dobrze ci to zrobi?

Jeanette chciała, ale nie mówiła o tym już od tak dawna. Nie do końca wiedziała, od czego zacząć.

– Miała na imię Charlotte – powiedziała po prostu.

– Ładnie – oceniła Matka. – Ładne imię.

– Ile... miała lat? – dopytywał Lubbe.

– Cztery, kiedy postawiono diagnozę – odrzekła Jeanette i wytarła nos rękawem. – Ostra białaczka szpikowa.

– Białaczka – powtórzył Lubbe. – O kurwa.

– Miała bóle, cała posiniaczona, infekcje nie chciały odpuszczać, a ona była ciągle zmęczona. Przez dwa lata była poddawana leczeniu. Chemioterapii. A później przeszła przeszczep szpiku. Nic nie pomagało, nerki wysiadły, aż wreszcie nie wytrzymała. Miała sześć lat, kiedy się poddała. Niedługo minie dziewięć lat. W tym roku skończyłaby piętnaście.

Przez moment nikt się nie odzywał. Lubbe mocno ją tulił, a Matka ścisnęła jej dłoń. Poczuli się trochę lepiej, kiedy ktoś tak naprawdę się o nią martwił. Nie zmieniało to przeszłości, ale w tej chwili doświadczyła od tych ludzi ciepła, co obecnie było dla niej rzadkością.

– Niemiłosiernie się przez te lata namęczyła – oznajmiła Jeanette, kiedy zdołała się otrząsnąć. – My z mężem też cierpieliśmy. Stać z boku, nie mogąc zrobić nic więcej, niż tylko być przy Charlotte... To było straszne. A na koniec pożegnać własne dziecko, pogrzebać je... Nie do opisania.

– Jak to przyjął? – dopytywała Matka. – Twój mąż.

– Kiedy Charlotte jeszcze żyła, byliśmy bardzo silni. Niewyobrażalnie, jak się nad tym zastanowić. Któreś z nas albo oboje ciągle byliśmy przy niej. Stanowiliśmy jedność w walce ze światem: z niezaangażowanymi pracownikami służby zdrowia i urzędami, które nie okazywały krzty zrozumienia. Gdy jednak straciliśmy Charlotte, zniknęło wszystko, co nas łączyło.

– Rozwiedliście się? – Lubbe ciągnął ją za język.

– Nie od razu. Użeraliśmy się ze sobą kolejne pięć lat. On walczył, udawał, że wszystko jest jak dawniej. Ja stawałam się coraz bardziej zblazowana, męczyło mnie nasze bezcelowe życie i nasze nudne rozmowy. To, za czym teraz tęsknię. Dzieliliśmy żałobę po Charlotte, chociaż tyle. Mogliśmy o niej mówić. Ja chciałam, ale on uciekał od tego, co go trapiło, chciał żyć dalej, tak mówił. Na pewno miał rację, ja jestem zdecydowanie słabszym człowiekiem.

Łzy lały się strumieniami. Jeanette pociągała nosem i ocierała oczy rękawem kurtki. Lubbe z Matką siedzieli cicho, czekali na dalszy ciąg historii.

– W pracy poznałam mężczyznę. Był żonaty i miał dzieci, ale wdaliśmy się w romans. Popołudniami wymykaliśmy się jego autem. Na chwilę uniesienia. To złe i niemoralne, ale od czegoś trzeba było zacząć. Nie można skakać na łeb na szyję w nowy związek, póki choć trochę się go nie zasmakuje.

Lubbe otworzył puszkę z piwem i podał Jeanette. Piła, choć nie powinna. Poczęstowała też Matkę, która odmówiła, więc oddała puszkę Lubbememu i ciągnęła dalej.

– Rozmawialiśmy o wspólnej przyszłości. Byłam w nim zakochana po uszy, gotowa rzucić wszystko, co mi zostało. Wtedy nie wydawało mi się, że to wiele, jednak kiedy dziś patrzę wstecz... Ale z tym nowym facetem mi nie wyszło. Chuj wszystko strzelił. Wpadłam w depresję, miałam napady lęku. Dostałam zwolnienie lekarskie z pracy i zaczęłam zażywać leki na uspokojenie. Pić tanie wino. Przestałam ćwiczyć, spotykać się z ludźmi, rozmawiać z mężem. On nie wiedział o zdradzie, ale jakoś po pół roku zaczął mieć dosyć mnie i tego, w jak opłakanym stanie się znajdowałam. To jak najbardziej zrozumiałe, ale było mi wszystko jedno. Na początku. Zanim dopadła mnie rzeczywistość i spojrzałam w oczy zmarnowanej, wychudłej pijaczce w lusterku w łazience. A to niezupełnie pomagało w ukojeniu

strachu przed powrotem do pracy i do ułożonego życia.

Matka i Lubbe spuścili wzrok, najprawdopodobniej dlatego, że opowieść raczej przywodziła im na myśl doświadczenia z własnego żalosego życia aniżeli z życia Jeanette. Żadne z nich jej nie przerywało, więc mimo wszystko w jakimś stopniu musieli ją rozumieć.

– I co wtedy zrobiłam? – ciągnęła Jeanette. – Wzięłam się w garść i zerwałam z nałogami? Nie, upadłam jeszcze niżej. Do niczego się nie nadaję, a moje życie to jedna wielka porażka.

Opowieść dobiegła końca. Nastrój prysł, kiedy do rozmowy wtrącili się inni. Częściowo może z tego powodu, że ostatnie słowa Jeanette mogły się tyczyć któregoś z nich. Lubbe i Matka nie mieli problemu z przymykaniem oczu na własne niepowodzenia, więc co popychało Jeanette do rzucenia im prawdą w twarz? Może w głębi ducha nie uważała się za lepszą od nich?

Obiecała sobie, że na przyszłość zacznie się inaczej wyrażać. Nie będzie oszczędzać się w słowach, które w gruncie rzeczy dotyczyły całej tej godnej pożałowania ferajny z ławek spod bramy Österport.

* Chodzi o jedną z bram wjazdowych do miasta w średniowiecznym murze otaczającym Visby. Obecnie w pobliżu Österport znajdują się liczne sklepy (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

ROZDZIAŁ 11 | SANDRA

– Mamo, dlaczego nie chcesz, żebym się bił?

Sandra siedziała w fotelu w pokoju dziecięcym i usiłowała czytać Erikowi do snu. Nie dlatego, że bał się ciemności albo że bał się zostać sam – robiła to raczej dla samej siebie. Niekiedy mijało trochę czasu, zanim się wyciszył, bo zdarzało się, że gawędzili. O książeczce, którą właśnie czytali, czy też o czymś, co wydarzyło się w ciągu dnia. Czasami o wielkich kwestiach jak przestrzeń kosmiczna, oceany czy bieda, a często na temat codziennych, lecz równie fascynujących zjawisk: autobusów, strachów na wróble i elektryczności. Tym razem padło najwyraźniej na zbrodnię i karę.

– Dlatego, że nie wolno robić innym krzywdy – odpowiedziała Sandra. – To przestępstwo i idzie się za to do więzienia.

– Igor nie siedzi w więzieniu – zaprotestował Erik.

– W Szwecji dzieci nie wsadza się do więzienia.

Na chwilę zapadła cisza, zanim syn pociągnął dalej.

– Ja nie myślę, że w więzieniu by było nudno.

– Nie? – zdziwiła się.

– Kręciłbym młynka palcami i robił na ścianie cienie.

Sandra musiała zdusić śmiech. Kręcić młynka palcami – skąd mu się to wzięło?

– Chyba lepiej, żebyś jednak unikał więzienia – odrzekła z uśmiechem, pieszczotliwie szczypiąc go w policzek. – Dobranoc, kochanie.

Erik zadawał sporo pytań i wysławiał się z łatwością. Jego szybki rozwój

objawiał się na wiele sposobów – chodzić zaczął już po dziewięciu miesiącach, a mówić po trzynastu. Odzywał się często i chętnie, aż kipiał od chęci wyrażania wszystkiego, co myślał i czuł.

Jakiż to dar mieć takiego syna, myślała często Sandra. Dumającego, pełnego empatii, śmiałego i łatwo wyrażającego uczucia. Zgoła innego niż ona – całe szczęście. Sama była przecież powściągliwa i tchórzliwa. Nie grzeszyła urodą: była gruba, nieporadna, miała rude, farbowane włosy pozbawione blasku i wystającą górną szczękę. Chłopcy nie ustawiali się do niej w kolejce, co jej rodzice wypierali ze świadomości, a mimo to i tak odczuwali rozczarowanie.

Niewiele przeczytali. Myślami pozostawała w świecie realnym, wśród jego licznych niedoskonałości, ale także pewnych pozytywnych stron. Erik był najjaśniejszą z tych ostatnich, a bez niego życie prawie nie miałoby sensu. Zamknęła książeczkę i przyglądała mu się w blasku lampki do czytania. Co właściwie mu dała? Oprócz miłości i troski? Koloru włosów ani karnacji po niej nie odziedziczył, podobnie jak budowy ciała czy ekstrawersyjnej osobowości. Ale za to jest dobroduszny, myślała, bierze życie, jakie jest. A ponadto troszczy się o innych.

Erik zasnął, więc Sandra zgasila lampkę i wyszła z pokoju. Sprzątnęła z grubsza w korytarzu i salonie, a potem też w kuchni po kolacji. Następnie usiadła przy stole nad gazetą i przy herbacie czekała, aż rozlegnie się dzwonek.

Przez telefon była jakby odmieniona. Udawała kogoś innego. Przede wszystkim miała odwagę głośno myśleć i mówić. Podtrzymywanie rozmowy może i nie wychodziło jej najlepiej, ale chwile ciszy też były dopuszczalne. Dla większości telefonujących największe znaczenie miało to, że ich słucha, liczyła się także jej cierpliwość oraz zwięzłe komentarze. Nikt nie wiedział, kim jest ani jak wygląda: kryła się za głosem, który wydawał się zarówno pełen zrozumienia, jak i doświadczenia. A może było wręcz przeciwnie – może nie musiała się chować za tym głosem, bo tak naprawdę należał do niej?

Często się nad tym głowiła. Czy przy odrobinie wysiłku mogłaby przestać myśleć o wyglądzie i o swoim strachu również wśród ludzi i wcielić się w rolę kobiety opoki, której nie zachwieją żadne wichry? Łagodnie napominającej pocieszycielki, która korygowałaby wytraconych z równowagi psychicznej.

Ale nie – nikt nie mógł świadomie wyprzeć swoich lęków ani słabości.

Zawibrował telefon. Pierwsza zadzwoniła Ellen. Cudowna, wesoła Ellen, która zwykle patrzyła na życie przez różowe okulary. Podobnie jak dziś. Jej radość była zaraźliwa. Po długiej opowieści o wycieczce na basen poprosiła Sandrę, by streściła, jak jej minął dzień. Sandra nie opierała się, choć jak zawsze chroniąc swoją prywatność, uważała, żeby nie ujawnić jakichś szczegółów, które mogłyby zdradzić na przykład, gdzie pracuje lub mieszka. Ze strony Ellen raczej nie miała się czego obawiać, ale prędzej czy później mógł się do niej przyczepić jakiś wariat.

Potem odebrała połączenie, a jakąś godzinę później kolejne, przychodzące od tego samego rozmówcy. Jednakże mężczyzna przedstawił się jako dwie różne osoby i opisywał oddzielne problemy. Sandra udawała głupią i podeszła do każdego z nich z osobna. Pierwsza kwestia dotyczyła życiowego kryzysu poprzedzonego wiadomością o nowotworze, druga obaw co do sytuacji, która według niego mogła w świetle prawa klasyfikować się jako przemoc wobec żony, chociaż tak naprawdę była raczej fizycznym kontaktem z rodzaju tych mniej czułych.

Sandra oceniła, że dobrze się spisała, w szczególności przy rozmowie numer dwa, kiedy to zdobyła się na to, aby nie oceniać, tylko pomóc mężczyźnie w uporządkowaniu uczuć. Tuż przed północą, kiedy nabrała większej wiary w swoje zdolności terapeutyczne, odebrała telefon od Kerstin.

– Cieszę się, że znów dzwonisz – przyznała Sandra.

Naprawdę tak pomyślała, czekała na tę rozmowę, odkąd zakończyły poprzednią. Kerstin nie odpowiadała.

– Jak się masz? – spytała Sandra.

– Tak sobie – odparła Kerstin z wahaniem.

– Wiesz dlaczego?

– Co „dlaczego”?

– Dlaczego nie najlepiej się czujesz?

– Boli mnie gardło – stwierdziła Kerstin.

– To musi być dokuczliwe. Ale minie – rzekła Sandra, której nie chciało się wierzyć, że Kerstin dzwoni pod numer telefonu zaufania, by dyskutować o paciorkowcach.

– Dużo płaczę – rzuciła niespodziewanie Kerstin. – Mąż mi umarł.

– Bardzo mi przykro. Czy to się stało niedawno?

– Nie, ale nachodzi mnie to falami. Myślę o tym, że zaczynam się starzeć, i jaką pustką zawsze będzie zionąć w domu.

Co na to odpowiedzieć? Samotność łączyła ludzi dzwoniących pod numer telefonu zaufania. Mogła jednak przybierać różne formy. Niektórzy czuli się samotni w niewłaściwym związku, inni – odrzuceni w pracy czy szkole. Zdarzali się też tacy, którzy byli samotni w każdym tego słowa znaczeniu: nie mieli nikogo, z kim szli przez życie, nie mieli pracy, dzieci ani wnuków. Część z nich uważała się za odgradzonych od ludzi przez własne blokady, nie potrafili się otworzyć, aby dopuścić innych do siebie.

– Mogłabym powiedzieć coś w stylu „człowiek ma tyle lat, na ile się czuje” albo „jak nie ten to inny” – oświadczyła Sandra. – Ale nie znam ciebie ani twojej sytuacji, więc to byłyby tylko puste słowa. A może chcesz coś opowiedzieć o swoim mężu? Jaki on był?

– I tak nie zrozumiesz – skwitowała Kerstin.

– Kiedy umarł? – Sandra się nie poddawała.

– Cztery lata temu. Czekałam i czekałam, ale on się nie zjawiał. Wiedziałam, że jedzie autem, wiedziałam, że coś się stało. Rozmawiałam z nim tuż przed wypadkiem, już dojeżdżał do domu.

– Czyli wypadek samochodowy. Straszna tragedia.

Na dobrą sprawę tak właśnie było. Grunt, że Kerstin mówiła. Dobrowolnie powiedziała kilka zdań o czymś, co musiało stanowić jej najgorsze życiowe doświadczenie. Za łamiącym głosem Kerstin i jej brakiem zdolności do dzielenia się swoimi myślami z innymi krył się wielki dramat, dokładnie jak Sandra wcześniej przeczuwała. Nie ona jedna straciła w tragicznych okolicznościach kogoś bliskiego, bratnią duszę. Była jedną z wielu, powinna szukać wsparcia i pocieszenia u ludzi z podobnymi doświadczeniami. A jednak zwróciła się do Sandry – która nie mogła porównać tego do żadnego z własnych przeżyć. Głupie, ale poczuła się zaszczycona i ogarnęła ją wielka serdeczność wobec tej Kerstin.

– Przez cztery dni był uważany za zaginionego – powiedziała Kerstin. – Czaisz? Przez cztery dni.

– Za zaginionego? – Sandra się zdziwiła, nie do końca nadążała.

– Było bardzo ślisko i auto stoczyło się do wąwozu. Leżał tam cztery dni, zanim go znaleźli.

Sandra nie wiedziała, co o tym myśleć. Skoro Kerstin rozmawiała z nim tuż przed wypadkiem, to chyba policja przy swoich możliwościach mogła go namierzyć. Poza tym rozbity samochód na pewno był widoczny z drogi – jakiś inny kierowca musiał chyba się zastanawiać, co pojazd robi na dnie przepaści.

– Umierał kilka godzin.

Sandra zauważyła, że Kerstin łamie się głos.

– Przeokropne – zdołała tylko wykrztusić.

– Według policji siedział przygnieciony ze zmiażdżoną czaszką i dusił się ponad dwie godziny, zanim zmarł. A dopiero po czterech dniach odnaleziono jego ciało.

– Pomimo poszukiwań? – spytała Sandra, której zaczęło się robić niedobrze od coraz wyraźniejszego wyobrażenia wypadku.

Zapadła cisza. Na linii dało się słyszeć tylko stłumione pociąganie nosem.

– Pomimo poszukiwań? – powtórzyła Sandra, która nadal nie rozumiała, jak to możliwe, że minęły cztery dni.

– Śnieg szybko zasypał samochód – wyjaśniła Kerstin. – Z drogi był niewidoczny, aż przysłała odwilż cztery dni później.

– Ale mimo wszystko – upierała się. – Musiałś chyba mieć jakieś pojęcie, gdzie się mniej więcej znajdował, a policja ma przecież psy i kamery na podczerwień. Nie rozumiem, dlaczego musiały minąć cztery...

Kerstin jednak już się rozłączyła. Sandra zaś siedziała z telefonem w ręku, gapiąc się przed siebie pustym wzrokiem.

ROZDZIAŁ 12 | JEANETTE

Kolejny dzień, inne – choć równie znajome – targające nią emocje. Jeanette czuła się lepiej, ale nie dobrze – to uczucie było jej obce. Dzisiaj jednak alkohol mocno szumiał jej w głowie, totalnie odleciała, ogarnęło ją przyjemne uczucie, otulające jak miękki, ciepły koc z polaru przy płonącym ognisku. Tu i teraz była bezpieczna, otoczona ludźmi, którzy dobrze jej życzyli i vice versa, odcięta od wszystkich przechodniów o rozmytych konturach, patrzących obojętnym czy pogardliwym wzrokiem.

W takie dni nie przejmowała się nimi – ludźmi mającymi zwyczajne życie, śpieszącymi z pracy do banku, domu, przedszkola lub sklepu, pędzącymi między życiem a śmiercią. Nic a nic nie obchodziła jej ich dola czy niedola i nawet kiedy czasem rozpoznała w nich kogoś ze swojego dawnego życia, nie dawała się złamać. Życie toczyło się tu i teraz, wśród tych, którzy dzielili z nią codzienność, jej przebłycki szczęścia oraz znoje.

Ciągle myślała o rąbnięciu, które ostatnio zarobiła, o śliwie, która pewnie już przybrała zielonkawą barwę. Towarzysze jej nieszczęść traktowali ją ciepło, z czułością, jakiej nie doświadczyła od bardzo dawna, podchodzili do niej ostrożnie i przemawiali łagodnie. Na życzliwość odpowiadała uduchowionymi komentarzami i zaraźliwym śmiechem.

Tak mógł wyglądać dzień spędzony na ławce, a wszyscy mieli nadzieję, że zostanie tak już na zawsze. Że chaotyczna, choć przyjazna atmosfera może się utrzymywać, podczas gdy bezlitosna rzeczywistość pozostanie w pewnej odległości, nie stawiając żądań zbyt uciążliwych lub wymagających bezzwłocznego działania.

Właśnie tak czuła się Jeanette, kiedy wśród ludzi przechadzających się

asfaltową uliczką pewien człowiek – z krwi i kości – nabrał wyraźnego kształtu. Z pijackich oparów wyodrębniła się postać o bardziej dostrzegalnych konturach, a do tego jakoś dziwnie znajoma. Kobieta w jej wieku, chociaż nie kojarzyła jej ze szkoły ani z pracy. Ponieważ nie od razu zrozumiała, do kogo należy znajoma twarz, usiłowała otrząsnąć się z tego wrażenia, jednak coś nie dawało jej spokoju.

Kobieta była wysoką, szczupłą blondynką, włosy miała zebrane w długi koński ogon opadający na jedno ramię. Miała na sobie spódnicę oraz bluzkę, a do tego wygodne buty – a więc strój biurowy, chociaż niewymuszony i nieprzesadnie elegancki. Wygląda przyjaźnie, myślała Jeanette, patrząc na nią dawnym, obecnie rzadko pojawiającym się u niej oceniającym spojrzeniem.

Ale kim ona była? Z jakiegoś powodu kobieta, która zniknęła za samochodem pod szkolną bramą, miała dla Jeanette znaczenie, czuła to. Pytanie: dlaczego?

Później znowu się pojawiła, ale tylko przelotnie, bo zaraz skręciła w prawo, żeby przejść przez bramę i dalej w ulicę Södra Murgatan, a po chwili przepadła na dobre. Jeanette utkwiała wzrok w miejscu, gdzie zniknęła kobieta, wyęzając umysł, by ustalić, kto to był.

– Teraz to nam odpłynęłaś, Nettan – stwierdził Lubbe, który od wydarzeń sprzed paru dni zdawał się nie spuszczać jej z oczu.

Dokładnie w tym momencie dotarło do niej, kim jest ta kobieta. Oczywiście, jak mogła zapomnieć? Jasne, że Jeanette była bardziej otępiała, niż jej się wydawało, co też tłumaczyło jej stosunkowo dobry humor. Jak również to, że pogodny nastrój nie opuszczał jej nawet teraz, kiedy myśli krążyły wokół tego, co usiłowała wyprzeć z pamięci.

– Zobaczyłaś kogoś znajomego? – zapytała Matka przechadzająca się tuż za ławką, na której siedzieli Jeanette, Lubbe i jego kompan od bitki Micke.

– Niezupełnie – odparła Jeanette, wciąż nie mogąc oderwać wzroku od punktu, w który się wpatrywała.

– Może jakiegoś dawnego kochanka? – podsunął Lubbe.

Jeanette wróciła do otaczającej ją prostej rzeczywistości i zobaczyła, jak Matka trzepnęła go w ramię i obrzuciła surowym spojrzeniem. Jednak z jakiegoś powodu pytanie Lubbego jej nie ubodło. Nieprzyjemne uczucie nie chciało zagnieździć się w jej świadomości. Pojawienie się blondynki też nie sprawiało bólu. Jeanette ani myślała pozwolić temu uczuciu rozochocenia ją opuścić – chciała pozostać w centrum uwagi przyjaciół i napotykać ich troskliwe spojrzenia. Oraz słyszeć własny głos.

Właśnie tak: chciała mówić, pragnęła, by brano ją na poważnie. Tak jak wtedy, kiedy poskładała się jak scyzoryk po oberwaniu z łokcia w twarz. Gdy zatraciła się w słodko-gorzkich wspomnieniach, a towarzysze jej nowego życia jednogłośnie okazali jej wsparcie. Dlatego na nieogłędne pytanie Lubbego odpowiedziała zgodnie z prawdą:

– Żonę mojego dawnego kochanka.

Mówienie o tym w stanie upojenia może nie było wybitnym pomysłem, ale jakaś wewnętrzna siła właśnie do tego ją popychała.

– Tego, dla którego... poświęciłaś wszystko? – zgadywał Lubbe z taktem, którego wcześniej brakowało w jego głosie.

– Zapamiętałeś? – Jeanette się uśmiechnęła.

– Jasne. – Odpowiedział jej tym samym. – Kochałaś go, a ja uwielbiam miłość. Czyli to była jego żona? Którą niezupełnie znasz?

– W ogóle jej nie znam, ale kojarzę – odparła, wyjmując z leżącego przed sobą plecaka flaszkę słodkiego winiacza.

– Dlaczego zerwaliście? – zapytał Micke, którego ominął cały wstęp parę dni wcześniej.

– Bo chuj wszystko strzelił, Micke. – Lubbe przyszedł z pomocą. – Jak to często bywa w związku.

Nie można było tego lepiej ująć, ale Jeanette była gotowa rzucić im coś

więcej.

– On zniknął – oznajmiła, odkręcając butelkę, po czym pociągnęła łyk prosto z gwinta. – Pewnego dnia nagle zapadł się pod ziemię.

Pozostali nie wiedzieli, czy informację traktować dosłownie, czy to jedynie metaforyczny sposób na opisanie przykrego rozstania, ale Kattis – jedna z tych bardziej rozwrzeszczanych w grupie – wcisnęła się na ławkę między Mickego a Lubbeego i zaczęła drażnić.

– Puff – powiedziała, pstryknawszy palcami. – Czary!

– Kattis, dla ciebie to tylko żarty – odparła Jeanette, która nie była w nastroju do pyskówki. – A on zniknął na serio. W gazecie pisali o tym tłustym drukiem, rodzina apelowała o pomoc.

– Ale nie ty, bo wiedziałaś, gdzie on jest. – Kattis się śmiała.

Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, ile ma racji, jednak Jeanette nie była gotowa zająć tak daleko w swojej opowieści.

– Sama załatwiłaś chłopca i wrzuciłaś go do morza. – Kattis się nakręcała. – I pewnie sobie zasłużyła!

– Dziewczyno, odpuść – upomniął ją Lubbe. – Niech Nettan sama opowie, wszyscy jesteśmy ciekawi, co było dalej.

Jeanette podała jej wino, a Kattis nie dała się prosić.

– Nic nie było dalej – stwierdziła Jeanette. – Nadal nie wiadomo, gdzie mógł się podziać.

Zapaliła papierosa i głęboko się zaciągnęła.

– Czyli ta laska, która przechodziła obok chwilę temu – drażnił Lubbe – ciągle jest jego żoną, chociaż facet nie daje znaku życia od... jak dawna? Od pięciu lat?

– Czterech. I czterech miesięcy.

– A dzieci rosną jak na drożdżach. Bo chyba coś o nich wspominałaś?

– Tak, jest ich dwoje.

– A on nigdy nie zobaczy, jak dorastają. Albo sam tak wybrał. Co mówi policja? Żyje czy nie?

– Oni oczywiście myślą, że nie żyje – powiedziała Jeanette, wydmuchując dym kącikiem ust. – Przecież nie zostawił po sobie żadnych śladów. Pewnego dnia pojechał do pracy jak zwykle i zniknął podczas przerwy obiadowej. Od tamtej pory nikt go już nie widział.

– A ty co o tym sądzisz? – dopytywał Micke.

– Nic – skłamała. – Życie toczy się dalej. Moje i tej, która właśnie nas minęła.

– Zdaje się, że chyba jednak bardziej cię to ruszyło – zaskrzeczała Kattis, oddając jej butelkę. – Bo siedzisz na ławce z flaszką jebanej rosity!

Zaśmiała się ochryple, aż zatrzęsł jej się brzuch i cała ławka zadrżała. Ale Jeanette nie zamierzała pozwolić, żeby ta chwila łączności z innymi wyslizgnęła jej się z rąk. Ta krzykaczka nie mogła zrujnować dnia, który tak dobrze się zaczął.

– Ona ma przecież dzieci, dla których warto żyć – stwierdziła z powagą. – Ja nie mam nic.

– No to zrób sobie dziecko – zagdakała naiwnie Kattis. – Jeszcze nie jest za późno.

Lubbe z wściekłością poderwał się z miejsca i warcząc, powłókł zdziwioną Kattis z dala od ławki.

– Tak czujesz? – dociekał Micke, przysuwając się bliżej Jeanette. – Że życie jakby się skończyło, kiedy ten kolo wziął nogi za pas? Albo wyciągnął nogi, czy co tam innego.

– Nettan jeszcze wcześniej straciła córkę – wyjaśniła ciepłym głosem Matka stojąca za Jeanette.

– Ożeż kurwa – zaklął Micke. – Teraz łapię, co się stało. Przykro mi,

Nettan. Naprawdę.

– Dzięki – powiedziała Jeanette, sztachnęła się jeszcze raz i przydeptała papierosa butem. – Czasem tak czuję, ale nie dziś. To trochę zależy od tego, czy zaszumi. W głowie.

Pociągnęła kolejny łyk wina, a następnie schowała je z powrotem do plecaka. Lubbe wrócił, popychając przed sobą Kattis.

– Sorry, Nettan – powiedziała kobieta markotnie i musnęła Jeanette w ramię. – Nie wiedziałam... Rozumiesz, że nie miałam nic złego na myśli?

Jeanette przytaknęła ruchem głowy.

– Nie ma sprawy – zapewniła, po czym przygnębiona Kattis poczłapała w swoją stronę, a Lubbe znów usiadł na ławce.

– Twój stary – zaczął, pochylając się w przód z dłońmi splecionymi między kolanami, żeby spojrzeć jej w oczy. – To znaczy twój były mąż... Masz z nim jakiś kontakt?

– Nie, tego bym nie powiedziała. Wysłałyśmy do siebie SMS-y w urodziny Charlotte, to wszystko. I w rocznicę jej śmierci – dodała nieco ciszej, mimo że tak naprawdę nie chciała o tym myśleć.

– Byliście małżeństwem – przekonywał Lubbe. – Przeszliście razem ciężki okres. Nie pojmuję, jak on mógł sobie ciebie tak zupełnie odpuścić. Dlaczego nie próbował ci pomóc wrócić na właściwą drogę, rozumiesz, o co mi chodzi? Smutno ci, kiedy o tym mówię? Mam siedzieć cicho?

Jeanette posłała mu uśmiech. Nie, nie było jej smutno i nie chciała, żeby Lubbe zamilkł. Na pytania, które stawiał, niełatwo było jednak odpowiedzieć.

– Wspólnie zdecydowaliśmy, że każde pójdzie w swoją stronę. – Broniła męża. – Nie wytrzymał ze mną, nie mógł patrzeć, w jakim jestem stanie. Nawet ja nie dawałam rady sama ze sobą. To ja kłamałam, zawiodłam go, zdradzałam i nie mogłam patrzeć w lustro. Ani jemu w oczy. On był niewinny.

– Tego nie możesz być pewna – stwierdził Lubbe bez cienia ironii. – Może to twój stary zmiotł tamtego z drogi. Znaczy się twojego kochanka.

Jeanette myślała z początku, że żartuje, ale po jego poważnym wyrazie twarzy wywnioskowała, że się myli. Wzbierał w niej śmiech, jednak nie chciała zranić uczuć Lubbeego. Spuściła więc wzrok na swoje ciasno splecione dłonie i oddychała głęboko.

– Dobry z niego człowiek, z mojego męża – wyjaśniła. – Nie życzę mu nic innego jak tylko szczęścia. Dałam mu odejść, bo na to zasługiwał, bo jest wart kolejnej szansy.

Lubbe wyciągnął się nad Mickem i położył jej dłoń na kolanie. Ciepło przeniknęło przez džinsy i rozeszło się po jej zziębniętym ciele.

– I ty też, kochana – oznajmił. – Daj sobie szansę, zostaw to życie za sobą. Przestań chlać, idź do psychologa, zrób coś.

Pewnie, może i mogła, ale proces rozkładu sięgnął w niej stadium, z którego nie było już odwrotu. Na wstyd i zniszczenie, które zawładnęły jej wnętrzem, nie mogła zaradzić ani ona sama, ani żadna terapia.

ROZDZIAŁ 13 | SANDRA

Erik już spał i Sandra też chciała się położyć. To był długi dzień, a po wywiadówce w przedszkolu miała ochotę tylko się rozpłakać. „Erik oczywiście ma lepiej rozwiniętą mowę, ale to nie znaczy, że może obrażać inne dzieci. Mały Igor, który robi postępy trochę wolniej, poczuł się lekceważony, chociaż też chciał, by zwrócono na niego uwagę. Gryzienie nie jest rzecz jasna dobrym sposobem na rozwiązywanie konfliktów, ale despotyczne metody Erika też nie, a jeden ślad po zębach w jedną czy w drugą stronę – jaką to robi różnicę, kiedy cios zadany w psychikę tak łatwo gnieździ się w duchu i umyśle? Siniaki zbledną i się wchłoną, a z wiarą małego Igora w siebie jest gorzej. Słowny terror Erika może pozostawić ślady na całe życie. Na dawanie upustu uczuciom w sposób fizyczny można jakoś zareagować, pozostają po tym namacalne znaki i dlatego jest to bardziej autentyczne. Przemoc psychiczna, którą uskutecznia Erik, jest znacznie bardziej wyrafinowana, trudniejsza do zauważenia i opanowania”.

Despotyzm i przemoc psychiczna? Erik to dobra, gadatliwa duszyczka. Nigdy nie podniósłby na nikogo ręki, chyba że ktoś by na niego naskoczył albo go uderzył lub ugryzł – jasne, że wówczas by na to odpowiedział. Słowami. Sandra wiedziała, że ten „mały Igor” nie daje Erikowi spokoju, a Erik próbował się bronić. Wiedziała również, że przedszkolanka – której wnuk był w wieku chłopców i usposobieniem niewiele odbiegał od Igora – miała trudności z tolerowaniem „przedwczesnego rozwoju” Erika, jak to zwykła nazywać w przyływach zyczliwości. Zazwyczaj określała go „starym maleńkim”, co brzmiało bardziej szyderczo, a jednocześnie nie było zwrotem obelżywym, za który można by ją skrytykować.

Igor przyzwyczał się do tego, że wszyscy są mu posłuszni, i wyciągał

piąstki, kiedy działo się inaczej, a na dodatek jego rodzice byli idiotami. (Kto normalny daje dziecku na imię Igor? Ten, kto z radością oczekuje inwazji Rosji na wyspę, kiedy wszyscy inni drżą ze strachu?) Przedszkolanka to manipulatorska żmija. Mimo to – albo może właśnie dlatego – Sandra, zgodnie z nawykiem, po prostu siedziała i słuchała wszystkiego, nie ośmielając się zaprzeczyć. Zamierzała oczywiście porozmawiać z Erikiem, spróbować zapanować nad jego zarozumiałością i wypłenić z niego te tak zwane despotyczne zapędy. Tak jej powiedziała, ale ani myślała tego robić. Żaden z Erika despota, był empatyczny i czuły, a ona nigdy w życiu nie spróbowałaby kształtować jego charakteru za pomocą znienawidzonych cech, które sama posiadała.

Wstydziała się. Sandra nie chciała być słabym rodzicem, który nie może się przemóc, żeby wstawić się za dzieckiem. Dobrze by było dzielić z kimś rodzicielstwo, ale jest jak jest, a ona nie mogła zabierać własnego ojca na spotkania z rodzicami w przedszkolu. Ani matki, co akurat nie zrobiłoby różnicy, ponieważ ta była równie wycofana jak córka.

Zdjęła spodnie, które mocno wpijały się w talię, mimo że były uszyte z rozciągliwego materiału. Następnie ściągnęła z siebie tunikę. Ta wprawdzie nie uciskała, ale skrywała body, które w najlepszym razie zmieniało położenie wałków tłuszczu. Obciskało tak, że ciężko jej było wziąć głęboki oddech, więc też je zdjęła. Potem wskoczyła w miękkie spodnie od dresu i gigantyczny podkoszulek, w których poczuła się swobodnie. Wszystko to przed wielkim lustrem w sypialni, zerkając w swoje odbicie nie więcej niż raz. Patrzyła w lustro rzadko albo wcale.

Później opadła na kanapę przed telewizorem, nie miała nawet siły zrobić sobie herbaty. Obojętnie obejrzała jakiś program o ludziach z ograniczonym instynktem przetrwania, którzy przegrywali całe oszczędności albo kupowali za nie napoje gazowane, papierosy i jeszcze inne rzeczy. W przerwie na reklamy zaczęła skakać po różnych kanałach, na których też leciały reklamy, aż wreszcie natrafiła na dość interesujący dokument o japońskich fetyszach, nadawany na jednym z programów telewizji publicznej. Wysłała kilka SMS-

ów do dwójki znajomych, ale zdawali się zajęci czymś innym, bo nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Zawsze, kiedy tak się działo, przychodziło jej na myśl, że spotykają się z nią tylko sporadycznie, żeby być w porządku, ale żadne z nich tak naprawdę nie czerpie przyjemności ze wspólnie spędzonego czasu.

Koledzy z pracy ją szanowali. Przyznano jej też zlecenie obciążone sporą odpowiedzialnością, do którego zakwalifikowała się dzięki ciężkiej pracy oraz kompetencji. Pomimo nieśmiałego usposobienia nikt nie podważał jej profesjonalizmu. Kiedy jednak nie mogła się schować za swoją rolę zawodową, cała jej pewność siebie się rozsypywała. W kontaktach społecznych była kompletnym zerem. Takie podejście ściąga mnie w dół, myślała. Nie pisz SMS-ów, skoro boisz się, że nie dostaniesz odpowiedzi. Wyrzuć lustro z sypialni, jeśli cię unieszczęśliwia. Noś ubrania, w których możesz się ruszać i oddychać. Wyjdź na miasto i się upij. Znajdź sobie jakieś hobby i poznaj nowych ludzi. Zaczynj budować statki w butelce albo malować akwarelą, chodzić na tenis, uczyć się tańczyć tango lub niemieckiego. Nie siedź tu tak zdołowana, zaczynj robić coś produktywnego również w wolnym czasie.

Zadzwoił telefon, a ona przypomniała sobie, że przecież robi coś produktywnego. Powoli docierało do niej też, że robi to przede wszystkim dla siebie, by mieć z kim porozmawiać wieczorami.

Telefonowała Kerstin, a Sandrę napełniła chęć działania. Jak często w chwilach, kiedy coś w jej życiu wymagało poczynienia wyjątkowych kroków. Ale niestety tylko wtedy.

- Wszystko w porządku? – zaczęła niekontrowersyjnie.
- Taaa, jak zwykle.
- Gardło już nie boli?
- Różnie bywa. Masz dzieci?

Może to nie takie dziwne pytanie, ale sposób, w jaki zostało zadane – ni

stąd, ni zowąd – był zaskakujący.

– Dlaczego pytasz? – zastanawiała się Sandra.

– Od kilku dni bardzo dużo nad czymś myślałam. Uważam, że dzieci przedefiniowują nas jako ludzi. Człowiek staje się kimś innym. Czyjaś matką, a nie jakąś przypadkową kobietą.

– Dla dziecka jest się oczywiście kimś wyjątkowym, a innych chyba nie interesuje, czy się ma dzieci, czy nie – odparła Sandra. – Masz na myśli siebie? Czy własną matkę?

Kerstin milczała przez parę sekund i odpowiedziała pytaniem:

– Jesteś dobrą mamą?

Mówienie o życiu prywatnym było wbrew zasadom Sandry, ale tym razem zdecydowała się zrobić wyjątek, żeby zbliżyć się do Kerstin.

– Nie należę do tych, które rozpętują wojnę w interesie swojego dziecka – wyznała zawstydzona. – Jestem raczej mało stanowczym rodzicem, ale kochającym i z dobrymi intencjami. Patrząc więc z tej perspektywy, sędzę, że całkiem dobra ze mnie mama. Mimo wszystko. A poza tym, prawdę mówiąc, w niczym nie jestem szczególnie dobra.

Ostatnie zdanie jej się wymknęło. Czy tak się oceniała? Beznadziejna we wszystkim? Chyba nie mogła tak o sobie myśleć i nic z tym nie zrobić. Powinna zabrać się do tego, w czym jest najmniej słaba, i nad tym popracować. Nawet jeśli nie jest dobra, mogła zacząć ćwiczyć i się poprawić, podszlifować formę i się rozwijać.

– Syn czy córka? – dociekała Kerstin.

– Trzyletni syn. – Sandrę dobiegł jej własny głos.

Wystarczy. Dość już ujawniania faktów z życia prywatnego, rozmowa miała przecież dotyczyć Kerstin. Sandrę ciekawiło, czy ona ma dzieci, ale temat mógł być drażliwy, więc zadała pytanie, zostawiwszy miejsce na dowolną interpretację:

– Czy masz w życiu jakieś powody do radości?

– Nie, już nie. Nie, odkąd mąż został mi odebrany.

Sandra usłyszała odgłos głęboko wdychanego powietrza, poprzedzony wyraźnym dźwiękiem kółka obrotowego pocieranego o krzesiwo zapalniczki. Skorzystała z okazji, by poprowadzić rozmowę tak, jak jej się podobało.

– Mówisz, że mąż został ci odebrany. Sposób, w jaki o tym opowiadasz... Sugerujesz, że śmierć go zabrała? Że Bóg wezwał go do siebie?

– Nie – skwitowała sucho Kerstin. – Nie o to mi chodzi.

I znowu zabierały się do tego tematu jak pies do jeża. Tak blisko, a jednak daleko. Sandra była przekonana, że śmierć męża i okoliczności jej towarzyszące ciążyły Kerstin bardziej niż cokolwiek innego, ale mimo to nie mogła dojść do sedna.

– Nasze ostatnie połączenie zostało gwałtownie przerwane – ciągnęła Sandra. – Rozłączyło nas czy nie miałaś siły dłużej rozmawiać?

– Nie pamiętam – odpowiedziała Kerstin beznamiętnie.

Sandra przeczuwała, że właśnie tak było i że tym razem mogło się skończyć podobnie. Słyszała, jak Kerstin zaciąga się papierosem i wydmuchuje dym, i liczyła się z tym, że rozmówczyni może się rozłączyć w każdej chwili. Tak się jednak nie stało – nastąpiło natomiast coś nieoczekiwanego. Kerstin zaciągnęła się jeszcze raz, po czym znów się odezwała. Sandra mogłaby przysiąc, że w jej głosie dała się słyszeć powstrzymywana wściekłość.

– Droga była jak lodowisko – mówiła. – Właśnie pokryła się lodem, była nieposypana piaskiem. Z naprzeciwka nadjechał samochód, który zmusił go do zjechania z jezdni. Kumasz? Prawie w niego wjechał. Bariereki, które zawsze odgradzały drogę od starego kamieniołomu, z jakiegoś powodu stamtąd zniknęły, a drugi kierowca nie kiwnął palcem, żeby uniknąć wypadku. Ściał zakręt i nie zahamował ani nie ustąpił pierwszeństwa, jechał prosto na auto z drugiego pasa. Wszystko zostawił mojemu mężowi. Który

wpadł w poślizg, a potem stoczył się z drogi wprost do wąwozu.

– I został tam, aż odnaleziono go cztery dni później – dokończyła cicho Sandra.

– Cztery dni. Po kilkugodzinnym umieraniu w straszliwych męczarniach. Uwięziony z pękniętą czaszką i dusznościami, poobijany i wyziębiony. Chciałabym, żeby przynajmniej szybko się to skończyło.

Głos jej się łamał, a Sandra słyszała, że płacze. Pomyślała, że to dobrze, że Kerstin tego potrzebowała. Miała też nadzieję, że jej obecność na linii stanowi choć małe pocieszenie. Naraz uderzyło ją, że w tej historii tkwiło jednak coś dziwnego, nie zdążyła tylko ubrać tego w słowa.

– Przepraszam – oświadczyła Kerstin, przełykając ślinę. – Nie chcę nikogo tym obarczać. Ciebie też nie.

– Ale po to jestem – odparła łagodnie Sandra. – Wolno ci płakać. Jestem tu i trzymam cię za rękę. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

– Dziękuję. I przepraszam.

– Nie przepraszaj – upierała się. – Rozumiem, co czujesz, i łączę się z tobą w cierpieniu, jeżeli to jakieś pocieszenie.

– Dziękuję – powtórzyła Kerstin, a Sandra usłyszała, że zakrywa słuchawkę, by wytrzeć nos.

– Złapali go? Kierowcę, który zbiegł z miejsca wypadku?

– Policja zakwalifikowała zdarzenie jako wypadek z udziałem jednego pojazdu. A po tak długim czasie nie znaleziono już żadnych śladów, które wskazywałyby na cokolwiek innego.

Wtem Sandrę naszła jeszcze raz ta wcześniej niedokończona myśl.

– Ale... Skąd... Skąd możesz wiedzieć, że ktoś uciekł z miejsca wypadku? Że twój mąż został zmuszony do zjechania z drogi przez kierowcę, który nie trzymał się swojego pasa, a potem patrzył, jak leci nad urwiskiem, i zostawił go na pewną śmierć?

Po kilkusekundowym namyśle Kerstin odpowiedziała cicho i melancholijnie:

– Są dowody w postaci zdjęć – odparła z wahaniem, przeciągając nieco każdą sylabę, jakby w dowolnym momencie mogła się rozmyślić i z powrotem wciągnąć słowa do ust. Ale tak nie zrobiła. Zamiast tego powtórzyła, tym razem wyraźniej i z większym naciskiem: – Rozumiesz, Sandro, są zdjęcia. Widziałam je na własne oczy.

– W takim razie policja musiała mieć spore szanse, żeby schwytać zbiegą. – Sandra przez tę historię czuła się coraz bardziej zmieszana.

– To takie proste, gdy o tym mówisz – stwierdziła Kerstin. – Ale rzadko kiedy bywa tak łatwo. Muszę już kończyć.

Na linii zapadła cisza. Kerstin sobie poszła.

Sandra, siedząc na kanapie, utkwiała wzrok w jakiejś innej przestrzeni, znajdującej się poza dawno już wyłączonym telewizorem. Dlaczego nie przekazałaś materiału dowodowego w ręce policji? – chciała zapytać. I skąd się wzięły te fotografie?

Było tak wiele nieudomówień związanych z tym wypadkiem, a ona chciała w jakiś sposób zadziałać. Pomóc Kerstin sobie to wszystko ułożyć, zachęcić ją do podzielenia się informacjami z władzami, aby uzyskać zadośćuczynienie i w końcu się z tym pogodzić.

Pozostałe rozmowy przychodzące tego wieczoru odbywała z nikłym zaangażowaniem, ale dołożyła wszelkich starań, żeby jej nie przejrano.

ROZDZIAŁ 14 | JEANETTE

– No chyba cię pojebało. – Tak Jeanette skwitowała zaproszenie Lubbego do zajęcia miejsca na ławce obok niego.

– Co, Nettan, mamy dzisiaj nos na kwintę?

– Brudny jesteś – syknęła. – Nie wytrzymam w tym smrodzie.

– Wielkie dzięki – odparł Lubbe, pociągając większy łyk bimbrowa z flaszki.

– Wstałaś lewą nogą? – spytał Micke.

– Pierdol to, wyjdzie ci na zdrowie.

– Kochana, usiądź i sobie odsapnij – rzuciła Matka. – Nie jest z tobą dobrze.

– Nie jesteś moją matką.

Troska przyjaciół obróciła się w złą stronę i tak jak ból rodził ból, tak złość prowokowała jeszcze większą wściekłość. Ale dopiero kiedy Kattis otworzyła usta, wszystkie pokojowe próby spaliły na panewce.

– Moczygęba – skomentowała, szukając kontaktu wzrokowego z pozostałymi.

Kattis powiedziała to półgłosem – tak, że wszyscy ją słyszeli, ale niewystarczająco głośno, by słowa mogły być skierowane do kogoś konkretnego. Nie mówiła zatem do Jeanette, ale o niej, a to stało się iskrą, która zapaliła w niej ogień. Wypluła z siebie jakiś obraźliwy epitet, który tak naprawdę nie znajdował się w jej zasobie słownictwa. Wyprężyła pierś, grożąc Kattis gestem, na co ta odruchowo się cofnęła.

Nabuzowana Jeanette krążyła między ławkami, mamrocząc pod nosem

długie wiązanki. Jakby rozpoczęte w jej głowie myśli nie mogły zostać dokończone, o ile ich nie wypowie. Nie żeby miały szczególne znaczenie, nawet ona sama zdawała sobie z tego sprawę, ale musiała jakoś się ich pozbyć, wyrzucić je z siebie. Dlatego paplała, łącząc między ławkami, śmietnikami oraz rabatkami. W międzyczasie wpadła na kogoś i wydarła się na niego, choć przechodzień wycofał się bez słowa sprzeciwu. Taka agresja była jej obca, ale akurat w tym momencie nie mogła powstrzymać fali emocji, które zdawały się jej nieznane.

Wszyscy starali się nad nią zapanować: Micke, Lubbe, Matka, młody i zgoła nieśmiały Jimmy, kilku przymulonych starców, a nawet Kattis. Każdy próbował namówić ją, żeby usiadła i się uspokoiła, ale ich odprawiła, wymachując rękami i sypiąc ordynarne odpowiedzi. Coś stanęło jej na drodze – ktoś, bo po trafieniu czyjejś twarzy wierzchem dłoni doszedł ją krzyk. Pędziła jednak dalej, usiłując uciec od tysiąca myśli rozsadzających jej głowę i wydostających się przez jej usta długim, wolno płynącym potokiem.

Ni stąd, ni zowąd otoczyli ją, naszli na nią z każdej strony. Wyglądali groźnie, kiedy się tak mnożyli, a to rozsierdziło ją jeszcze bardziej. Sadyli cholerami, wymachując rękoma i zataczając coraz mniejsze koła. Wreszcie ją złapali, a potem związali jej dłonie na plecach, aby nie mogła się ruszać ani uwolnić.

Schwytanie musieli zaplanować po cichu, bo tuż obok czekała taksówka z otwartymi tylnymi drzwiami. Wydzierła się, szalała, próbowała stawiać opór, jednak bez powodzenia. Władowali ją na tylne siedzenie między dwóch rosnących facetów, zatrzasnęli drzwi i odjechali.

Nie pamiętała, co się działo potem, ale kiedy już oprzytomniała, leżała na własnym łóżku w ubraniu i w butach. Jimmy siedział w nogach, a Lubbe tuż przy jej głowie. Delikatnie odgarnął jej włosy z czoła i podał szklankę wody. Kiedy po nią sięgnęła, odkryła zrozpaczona, że złe myśli, które ją prześladowały, wcale nie zniknęły. Uniosła głowę, by się napić, ale ręka trzęsła jej się i prawie cała się oblała.

Lubbe wziął od niej szklankę i odstawił na bok. Wsunął ramię pod jej szyję, położył się obok, chwycił ją za dłoń i próbował uspokoić. To jednak nie działało, oddychała płytko i bardzo szybko, wypluwając jednocześnie masę słów. Żadnych niemiłych, po prostu długą składankę uczuć – emocji, które teraz rzeczywiście należały do niej.

Opowiadały o szczęściu posiadania dziecka, męczarniach psychicznych towarzyszących sprawowanej nad nim opiece, bólu po stracie tego, co w życiu najważniejsze, niekończącej się żałobie, zdradzie człowieka, którego przysięgała kochać, wstydzie, kiedy oddaje się całego siebie i zostaje opuszczonym, o wyrzutach sumienia, druzgocących w skutkach pochopnych decyzjach, życiu w cierpieniu po wszystkim, co się wydarzyło i co zrobiła, o dramacie tkwiącym w tym, że wciąż żyje, choć nie chce ani na to nie zasługuje.

Nie trzymało się to kupy, a już na pewno nic z tego nie rozumieli, ale słuchali bez przerywania. Jeanette wiedziała, że pewnych kwestii nie powinna poruszać ani nawet o nich napomykać; próbowała nawet kilka razy się powstrzymać, ale nie mogła. Wygłaszając monolog, była naprężona jak struna, ale Lubbe nie wypuszczał jej z objęć. Rozgrzała się trochę i przestała trząść, ale dopiero po dłuższym czasie – może po paru godzinach – nie miała już nic więcej do powiedzenia, a mięśnie się rozluźniły. Wówczas Lubbe zmienił pozycję, wciąż jednak ją obejmując.

– Ładnie pachniesz, Lubbe – przyznała z nosem w jego włosach. – Przepraszam.

– A więc pamiętasz? – spytał, a ona czuła, że się śmieje.

– Przykro mi – powiedziała.

– Niepotrzebnie. Chyba każde z nas znalazło się kiedyś w podobnym stanie, paniki i bezsilności.

– Nie wiem, co się stało.

– Moczygębstwo, jak to trafnie określiła Kattis.

- Byłam okropna. Nie miałam na myśli nic z tego, co mówiłam.
 - Wszyscy o tym wiedzą.
 - Na pewno?
 - Na pewno. Chociaż te ostatnie wyznania były może trafniejsze? Odkąd przyszliśmy do domu?
 - Tak – zgodziła się Jeanette. – Ale o tym nasłuchaliście się już wcześniej.
 - Nie o wszystkim. Mogę cię o coś zapytać?
 - Pewnie – rzekła, nieprzekonana co do swojej gotowości na odpowiedź.
 - Odnoszę wrażenie, że jest coś, czego się szczególnie wstydzisz, czego ogromnie żałujesz. Wstyd i poczucie winy to najgorsze, co może człowiekowi ciążyć, nawet gorsze niż żaloba, tęsknota, nienawiść, złość czy nieszczęśliwa miłość. Zgodzisz się ze mną?
- Przytaknęła z wahaniem, przeczuwając, że nadciąga coś niepożądanego.
- Z tego, co mówisz – ciągnął Lubbe – w twoim życiu nie ma nic, co równoważyłoby pogardę, jaką dla siebie żywisz.
- Jeanette się nie odzywała, wstrzymując oddech przed dalszym ciągiem.
- Nie możesz nosić w sobie tych wyrzutów sumienia. To cię zrujnuje. Mówisz, że nie chcesz i nie zasługujesz, żeby żyć. Tak nie można. Przyjaciele mają wówczas powód do smutku i niepokoju.
- Ładnie powiedziane, może na tym przerwie. Jednak Lubbe jeszcze nie skończył.
- Miałaś romans na boku, zdradziłaś męża. To dozwolone, wiesz? Można być niewiernym i nie trafić do więzienia. Albo na pal. Człowiek nie czuje się przez to szczególnie dobrze, ale to nie powód do popełnienia samobójstwa.

Jeanette wypuściła wstrzymywane powietrze. Ale wtem nadeszła puenta,

której obawiała się przez całą rozmowę.

– Dlatego wydaje mi się – mówił Lubbe poważnym tonem – że jest coś gorszego. A ty naprawdę nie chcesz, żeby to wyszło na jaw. Śmiem twierdzić, że to właśnie z tego powodu wylądowałaś w tym stanie. Że to jest powodem, dla którego nie masz już siły żyć i dostajesz napadów lęku, tak jak dzisiaj. Jestem na dobrym tropie?

Przytaknęła. Niechętnie, ale musiała przecież przyznać mu rację.

– W takim razie proponuję, żebyś opowiedziała, o co chodzi. Niezależnie od tego, co to, poczujesz się lepiej, kiedy się tym z nami podzielisz. Wszystko zostaje między nami, ma się rozumieć.

Jeanette uniosła głowę, rzucając okiem na Jimmy'ego, który nadal siedział w nogach łóżka. Potrząsnął mocno głową. Jeanette znów się położyła. Westchnęła.

– Okej – zgodziła się – pewnie masz rację. Może zrobiłoby mi się lepiej po zrzućeniu tego ciężaru. Ale wtedy mnie znienawidzicie.

– Wątpię – uspokajał Lubbe. – Każde z nas zrobiło rzeczy, których żałuje, za które się wstydzi i o których niechętnie rozmawia. Rzeczy, za które powinniśmy pójść siedzieć.

– Ja siebie nienawidzę – znów stwierdziła Jeanette. – To, co zrobiłam, jest tak okrutne, takie egoistyczne, cyniczne i cholernie pojebane. Niewybaczalne.

Wzięła głęboki oddech i zaczęła opowiadać.

– To wydarzyło się cztery lata temu, zimą. Podczas tego krótkiego okresu, gdy spotykałam się z mężczyzną, o którym wam mówiłam. Który zniknął.

Tyle zdążyła zrelacjonować, zanim rozległo się dzwonienie do drzwi. Długi, zdecydowany sygnał, po którym nie mogła odgadnąć, kto jej szuka. Zamknęła oczy, wypuszczając powietrze. Wdzięczna dzwonkowi za ratunek.

Usłyszała kroki kierujące się do korytarza, dźwięk otwieranych drzwi i głos, który zapytał o nią. Ciężkie buty, które podchodziły coraz bliżej, aż

wkroczyły do sypialni. Otworzywszy oczy, zobaczyła przed sobą dwóch mundurowych.

– Jeanette Wretberg? Jest pani aresztowana pod zarzutem udziału w dzisiejszej bójce pod bramą Österport.

ROZDZIAŁ 15 | SANDRA

Nie padało już od dawna, więc Sandra obeszła swój domek z konewką w ręce. Wszystko dookoła kwitło, a piękno natury oświetlane łagodnym blaskiem było przytłaczające. Delikatne barwy zieleni działały kojąco na zmysły i właśnie dlatego wolała mieszkać w samotności tu, na wsi, niż w Visby czy na jakimś przeludnionym osiedlu.

Samotność z wyboru miała swoje wady, ale telefon zaufania działał jak swego rodzaju rekompensata, nawet jeżeli nie zaspokajał jej wszystkich potrzeb towarzyskich. Zerknęła na zegarek i stwierdziła, że czas wracać do domu, by przygotować się do dzisiejszych rozmów. Chciała porozmawiać z Kerstin, ale od ich ostatniej dyskusji minął już prawie tydzień, więc Sandra porzuciła nadzieję na to, że jeszcze się z nią skontaktuje.

Dokładnie tak, jak przeczuwała, w końcu wystraszyła ją swoimi wścibskimi pytaniami i ciekawością co do okoliczności towarzyszących temu tragicznemu, śmiertelnemu wypadkowi. Pytania miały pozostać bez odpowiedzi, a zatem Sandra sama próbowała wypełnić luki, by zaznać spokoju. Szkopuł w tym, że choć starała się przyjąć różne punkty widzenia, nie mogła wpaść na żadne możliwe wyjaśnienie, dlaczego Kerstin nie zdecydowała się pokazać policji demaskujących zdjęć, by pomóc w schwytaniu zbiega.

Może sama miała coś na sumieniu? Albo jej mąż? To i tak musiało wyjść na jaw po odnalezieniu ciała, więc co za różnica?

A może jakiś policjant zmusił męża Kerstin do zjechania z drogi? Czy to coś zmieniało? Jeden policjant nie mógł samodzielnie usunąć wszystkich dowodów, by powstrzymać dochodzenie, a jeszcze mniej prawdopodobne,

żeby szefostwo go w tym poparło.

Dowody w postaci zdjęć również wymagały wyjaśnień. Jeżeli w pobliżu miejsca przestępstwa znajdowała się kamera drogowa, policja z pewnością przestudiowałaby zarejestrowane przez nią fotografie, nawet bez podejrzeń o popełnieniu przestępstwa. A przecież chodziło o wykroczenie, skoro kierowca uciekł. Dlaczego jednak radar miałyby się znajdować właśnie tam? Takich, którzy przekraczali dozwoloną prędkość, raczej nie łapano na ostrych zakrętach.

Zdjęcia miejsca wypadku musiał zatem zrobić i wysłać do Kerstin ktoś inny. Może – stereotypowo – spacerowicz z psem? Który musiał nie mieć telefonu ani kontaktu z resztą świata, ponieważ nie wezwał policji i karetki tuż po wypadku ani później. Sam sprawca, którego gryzło sumienie? Przejeżdżający obok kierowca, który na początku źle ocenił sytuację i zwyczajnie pojechał dalej?

Tak czy inaczej, wszystkie teorie dotyczące zdjęć prowadziły do tego samego wniosku: to Kerstin zdecydowała, że nie powie o nich władzom.

Sandrę naszła myśl, że to właśnie Kerstin sfotografowała miejsce wypadku. Teoria całkowicie pozbawiona sensu, bo wtedy – nawet jeżeli kobieta obawiała się policji – sama mogła wezwać przynajmniej karetkę. Tę hipotezę Sandra wyeliminowała dość szybko. Podobnie jak wszystkie pozostałe. Wydarzenie nadal było owiane tajemnicą.

Stwierdziła, że trzeba już skosić trawę, ale odłożyła to na jutro. Erik spał i nie chciała mącić panującego w domu spokoju. Zdawało się, że nie tak dawno mrok zapadał już wtedy, kiedy odbierała go z przedszkola, a teraz kładła go do łóżka, gdy na zewnątrz było niemal równie jasno jak za dnia.

Poląła trochę wody na rośliny cebulowe posadzone w doniczkach na ganku, odłożyła konewkę, po czym weszła do domu. Wstawiła wodę na herbatę i – czekając, aż się zagotuje – usiadła na kanapie w salonie, żeby sprawdzić telefon.

Nagle zadzwoniła Kerstin. Po sześciu dniach milczenia.

– Jak się masz? – spytała Sandra. – Lepiej ci? Ostatnio byłaś bardzo przygnębiona.

– Zawsze jestem przygnębiona – wypaliła Kerstin.

– Bądź co bądź, cieszę się, że dzwonicz. Martwiłam się o ciebie.

– Niepotrzebnie. Jakoś sobie radzę.

– Bałam się, że już nie zadzwonisz – wyznała Sandra. – Że mogłaś pomyśleć, że jestem zbyt bezpośrednia i zadaję zbyt osobiste pytania. Poruszam drażliwe tematy.

Kerstin przez moment się nie odzywała, a potem powiedziała:

– Może i tak myślę.

– Wiesz, że to ty dyktujesz tu warunki...

– Doszłam do wniosku, że potrzebuję o tych sprawach pogadać – wtrąciła Kerstin. – Że dobrze mi to zrobi.

Sandra westchnęła z ulgą.

– Sama decydujesz, o czym chcesz opowiedzieć. Jeżeli nie spodoba ci się któreś z moich pytań, możesz odmówić odpowiedzi. Okej?

– Dobra – zgodziła się Kerstin i znów zamilkła na dłuższą chwilę.

Sandra próbowała to przeczekać, ale nic się nie działo. Nie chciała wyjść na wścibską, więc zdecydowała się lawirować wokół tematu, który nie dawał jej spokoju od sześciu długich dni.

– Kerstin, czy mogę zapytać, czym się zajmujesz?

– Właściwie niczym.

– Nie pracujesz?

– Po stracie męża byłam na długim zwolnieniu lekarskim, całkiem odechciało mi się żyć. Potem przeszłam na wcześniejszą emeryturę. Ale czasami pracuję na zastępstwo w paru przedszkolach.

– To była kiedyś twoja praca?

– Tak. Chociaż teraz jest ciekawsza, bo nie muszę jej poświęcać całego tygodnia.

– A co robisz poza pracą?

– Dużo czytam.

– Cieszy mnie to – odparła Sandra zgodnie z prawdą.

– Dlaczego?

– Bo ludzie, którzy czytają, mają bogatsze życie. Nigdy nie siedzą beczynnie. Są z reguły bardziej skłonni do empatii.

– Nie czuję się szczególnie skłonna do empatii – powiedziała Kerstin.

– Co masz na myśli?

– Są tacy, których nienawidzę.

Opowiadając o swojej codzienności, Kerstin mówiła nieco otępiłym, bezsilnym głosem. Teraz jednak wyszła z niego nowa ostrość – były już blisko.

– Ciężko nosić w sobie nienawiść – osądziła Sandra. – To wyczerpujące.

– A ja jestem bardzo zmęczona – przyznała Kerstin.

– Nienawiść zwykle traci na sile po pewnym czasie. Wydaje mi się, że poczułabyś się lepiej, gdybyś odpuściła.

– Nie zamierzam. Przeciwnie, będę ją pielęgnować. Z szacunku do mojego męża nieboszczyka.

– Obmyślasz plan zemsty? – Sandrę uderzyła ta myśl. – Chcesz wziąć prawo w swoje ręce?

Kerstin zaśmiała się bez radości, tak przenikliwie, że Sandrze aż zadzwoniło w uszach.

– Nawet jeśli, to przecież bym cię nie wtajemniczyła, prawda, Sandro?

Jeżeli przez to, co powiem, zaistnieje podejrzenie, że planuję popełnienie poważnego przestępstwa, powiadomisz o tym policję.

– Cholera wie, czy zrobiłabym tak w tym przypadku – wymamrotała Sandra.

Raczej pod nosem, w nikłej nadziei na to, że Kerstin jej nie usłyszy. A może – gdyby się dłużej zastanowić – wręcz przeciwnie? Po raz kolejny odbiegła od tych niewielu zasad, którymi się kierowała, będąc pod telefonem zaufania. Po raz kolejny źródłem jej nieposłuszeństwa stała się Kerstin. Z jakiegoś osobliwego powodu wiedza ta napełniła ją radością – nie dała się ujarzmić, nic nie musi. Dodała jej również odwagi do zadania jednego z pytań, na których odpowiedź chciała usłyszeć już od dawna.

– Mówiłaś o zdjęciach. Opowiedz mi o nich.

– Słyszałam, co wcześniej powiedziałaś – skwitowała Kerstin z radością w głosie.

Sandra udawała, że lekceważy ten komentarz, chociaż też uśmiechała się pod nosem. Sam fakt sprowokowania uśmiechu u melancholijnej Kerstin był dla niej zwycięstwem.

– Jak to możliwe, że wiesz o tym wypadku więcej niż policja? – rozwinęła pytanie.

Naturalna powaga natychmiast pojawiła się ponownie w głosie Kerstin.

– Przyszedł do mnie list. Parę dni po tym, jak go odnaleźli, dostałam list. A raczej odręcznie zaadresowaną, opłaconą z góry kopertę z kilkoma fotografiami w środku. Bez żadnego komentarza.

– A fotografie przedstawiały...?

– Wrak samochodu z kilku perspektyw, po przekątnej z góry. Na jednym ze zdjęć przez boczną szybę było widać tułów. Straszne ujęcia.

– Łącznie z głową? – Sandra zdobyła się na pytanie. – Z twarzą?

– Tak, niestety – odparła Kerstin ze smutkiem. – Trochę niewyraźne ze

względu na odległość, ale kiedy spojrzałam na nie przez lupę, widziałam wystarczająco dobrze. Nie mogę wymazać tego obrazu z pamięci.

– Rozumiem to uczucie. Ale też nie musisz spekulować. Wiesz, w jakim był stanie i jakie były okoliczności. Czasami lepiej wiedzieć, mimo że ta świadomość to więcej, niż jest się w stanie znieść.

– Domyślam się.

– Już nie żył, kiedy robiono mu zdjęcia? Twój mąż.

– Ciężko powiedzieć, ale raczej nie.

– Dlaczego tak myślisz?

– Przez trzecie zdjęcie – odrzekła Kerstin. – W kopercie była jeszcze jedna fotografia.

– Która przedstawiała...?

– Auto zbiegłego kierowcy. Niebieskie audi.

– No jasne – powiedziała Sandra, która zaczynała sobie to wszystko układać. – Ale skąd możesz wiedzieć, że ktoś uciekł z miejsca wypadku? Skąd wiesz, że twój mąż został zmuszony do zjechania z jezdni?

– Myślę, że nadawca stwierdził, że zasługuję na to, żeby mieć obraz całej sytuacji. Drugi samochód stał nieruchomo na drodze nad wąwozem. Po lewej stronie, ale nie w rowie, nie pod skosem, wyglądało na to, że bez szkód. Kierowca stał na dole przy wraku, stwierdził, że w aucie siedzi osoba z ciężkimi obrażeniami, ale nie zaalarmował służb ratowniczych.

– Skąd pewność, że zszedł do wąwozu? – dociekała Sandra.

– Na jednym ze zdjęć widać cień po drugiej stronie samochodu. Nie ma go na drugiej fotografii, co oznacza, że musiał się poruszać. Jestem prawie pewna, że to cień człowieka.

– Sądzisz, że fotograf skorzystał z okazji, aby zrobić zdjęcia samochodu sprawcy, kiedy ten był w wąwozie? – główkowała Sandra.

- Otóż to.
- Równie dobrze mógł to być pasażer. Ktoś, kto jechał z uciekinierem.
- Jasne – przyznała Kerstin. – Albo jakiś przypadkowy przechodzień.
- A jednak nie zatelefonował pod 112?
- Wszystko wskazuje oczywiście na pasażera – zgodziła się Kerstin. – Właśnie z tego powodu.

Sandra zamyśliła się, układając w głowie informacje.

- List – odezwała się po chwili. – Był ostemplowany?
- Tak, w Visby.
- To właściwie niewiele nam daje – stwierdziła. – Ale fotograf był chyba na miejscu, kiedy się to stało, i myślał na tyle klarownie, że udokumentował wypadek. Musiał się czuć zobowiązany poinformować cię, jak do tego doszło.
- Ale nie na tyle, by zadzwonić po karetkę – dokończyła gorzko Kerstin.
- Miał sumienie, ale zabrakło mu kręgosłupa moralnego? – spekulowała Sandra.
- Sumienie obudziło się, gdy było już za późno.
- Kiedy właściwie dostałaś ten list?
- Dzień po wywieszeniu nekrologu. Sądzę, że fotografujący zobaczył, że jestem podpisana jako osoba najbliższa zmarłemu, i pomyślał, że mam prawo wiedzieć.

Sandra zastanawiała się nad tym przez moment. Na pewno tak właśnie się stało. Mimo to zarówno fotograf, jak i żona ofiary – mający rozstrzygające dowody potrzebne do schwytania kierowcy – ułatwiłby sprawę, kontaktując się z policją: samo w sobie było to tajemnicze. Już w tym tkwiła zagadka. Może nie tyle w zachowaniu fotografa – założywszy, że pozostawał w bliskiej relacji ze sprawcą – ile w bierności Kerstin, której wciąż nie udało

się wyjaśnić.

– Jak to w ogóle możliwe, że znalezienie twojego męża zajęło tak dużo czasu? – ośmieliła się zapytać Sandra. – Odnoszę wrażenie, że policja nie potraktowała twojego zgłoszenia wystarczająco...

– Policja nic nie wiedziała – przerwała jej Kerstin.

– Słucham? – powiedziała Sandra, wierząc, że się przesłyszała.

– Nie zgłosiłam jego zaginięcia.

Sandra stłumiła swoje odruchy, przelękając pytania cisnące jej się na usta. Niechęć Kerstin do interakcji z policją stała się jeszcze wyraźniejsza, ale jej przyczyna była okryta tajemnicą. Nie odzywała się, a Sandra nie chciała naciskać.

– Unikam, jak widzisz, zadawania pytań, które same się nasuwają – zachęcała Sandra.

– Zauważyłam – odparła Kerstin. – Ale istnieje ich znacznie więcej i zdecydowanie ważniejszych.

– Pomóż mi zrozumieć.

– Tablica rejestracyjna sprawcy jest widoczna na zdjęciu. Przy niewielkim powiększeniu udało mi się odczytać numery, więc odnalazłam właściciela audi.

– No i...?

– Nazywa się Hallin. Pracuje jako ekspert do spraw środowiska w oddziale międzynarodowej korporacji w Visby. Jest też członkiem lokalnego zarządu organizacji walczącej o prawa człowieka.

Sandra nie kojarzyła nazwiska, ale coś ją tknęło, gdy usłyszała o środowisku i prawach człowieka.

– Gdzie i kiedy dokładnie wydarzył się ten wypadek? – Zmusiła się do zapytania, mimo że coś jej podpowiadało, że nie chce znać odpowiedzi.

– Przy Madvarze, w styczniu 2014 – odrzekła Kerstin. – Dwudziestego trzeciego, dokładniej mówiąc. Między wpół do czwartej a czwartą po południu.

Sandra instynktownie chwyciła podłokietnik kanapy, pociemniało jej przed oczami i przeszła ją gwałtowna fala emocji. Wezbrała w żołądku i popędziła w górę do serca, które waliło dwa razy szybciej, rozpalając jej policzki. Zaczęła straszliwie się pocić, miała ochotę po prostu się rozłączyć, położyć i odczekać, aż reakcja minie.

– Sprawca nie wiozł ze sobą pasażera, który zrobiłby zdjęcia. – Usłyszała własny głos. – Musiał je zrobić ktoś inny.

– Skąd możesz to wiedzieć? – zdumiała się Kerstin.

– To nie ma znaczenia, Kerstin, ale tak właśnie było. Trzymaj się, muszę już kończyć.

Odłożyła słuchawkę, po czym położyła się na kanapie. Po twarzy spływał jej pot, a krew pulsowała tak szybko, że aż wydawało się jej to niezdrowe. Starła się głęboko oddychać, ale nie mogła. Raz po raz usta układały się w nazwisko uciekiniera z miejsca wypadku, a umysł pracował nad jednym jedynym pytaniem:

Co ma zrobić z tą wiedzą?

Wypadek z udziałem jednego pojazdu przy Madvarze. Ofiara odnaleziona po czterech dobach

Tuż przed jedenastą w poniedziałkowe przedpołudnie kierowca przejeżdżający drogą wojewódzką numer 145 nieopodal Vejdhem zauważył na dnie wąwozu przy trasie samochód osobowy. Służby ratownicze, policja i pogotowie zostały wezwane na miejsce wypadku, gdzie znalazły poszkodowanego uwięzionego za kierownicą.

– Trudno było uwolnić mężczyznę, który niestety zmarł w wyniku obrażeń – mówi komendant służb ratowniczych na Gotlandii.

Ofiarą był 50-letni mężczyzna, a do wypadku doszło prawdopodobnie w zeszły czwartek. Samochodu nie odnaleziono wcześniej przypuszczalnie ze względu na duże opady śniegu.

Nie ma żadnych świadków zdarzenia i wciąż niejasne pozostaje, jaka była jego przyczyna. Można jednak powiedzieć, że w czasie wypadku było bardzo ślisko.

Rodzina zmarłego została już powiadomiona.

„GOTLANDS ALLEHANDA”

Styczeń – luty 2014

ROZDZIAŁ 16 | JAN

Całe przedpołudnie spędził na spotkaniu z klientem, nic nowego. Wałkowali w kółko te same kwestie: szanse na przetrwanie, ekorozwój oraz zasobooszczędną gospodarkę. Tematy były bliskie jego sercu, ale – mimo że w uszach klienta dźwięczały jak modne w tym roku neologizmy – już mu się trochę przejadły. Jako doradca i mentor wciąż jeszcze niedouczonego społeczeństwa był zawsze o krok przed innymi.

Trzeba było jednak łączyć przyjemne z pożytecznym, a w tym przypadku do przyjemnej części należał obiad po spotkaniu w słynnym zajęździe Vårdshuset Lindgården. Dziś to on stawiał, bo po klientach nie można się spodziewać proszonego obiadu – nawet jeśli nazywają się PayEx i mają kasy jak lodu. Poza tym niewielu było takich, którzy – podobnie jak on – uważali, że skoro środa to taka minisobota, to czwartek można traktować jako mininiedzielę, a czymże byłaby niedziela bez długiego, miłego obiadu?

Było już w każdym razie po wszystkim, ale po trzydaniowym menu, dwóch browarach i jednym głębszym zrobił się senny. Można to było prosto załatwić małą drzemką w biurze w pokoju pracowniczym – zarezerwowanym dla tych, którzy gorzej się poczuli – ale ponieważ Britt-Inger z działu kadr na dziewięćdziesiąt procent leżała tam już z migreną, uznał, że lepiej zrobi, jeśli zajęździe do domu i przymknie oczy na dwadzieścia minut, a potem wróci do pracy.

Zabrał więc samochód z rynku i zaczął się nim przeciskać wąskimi uliczkami, uważając, by nie zarysować lakieru ani kołpaków. Co swoją drogą nigdy wcześniej mu się nie zdarzyło, choć mogło go spotkać w każdym momencie, ponieważ niestety nie był jedynym kierowcą w tym mieście. Właśnie wtedy uprzytomnił sobie, że równie dobrze mógł zajęchać do

marketu budowlanego XL-BYGG w centrum handlowym Skarphäll, żeby odebrać klamki, które zamówił do swojego nowo odpicowanego pokoju rozrywki.

Tak właśnie zrobił. Wrzuciwszy reklamówkę z klamkami na tylne siedzenie, zauważył kobietę w potrzebie, stojącą niedaleko. Młodą dziewczynę, która – jak to kobiety – kupiła więcej, niż zamierzała, i ze zgoła desperackim wyrazem twarzy usiłowała zamówić taksówkę. Najwyraźniej bez powodzenia.

Usłyszał, dokąd zmierza – to kawał drogi. Ale było zimno jak w psiarni, a ona już długo czekała. Zrobiło mu się jej żal i naraz pomyślał, że pogawędka z młodą damą z pewnością przyniesie równie otrzeźwiający efekt jak sjesta w domu.

Niezwykle się ucieszyła na jego propozycję. Weseli ludzie sprawiali Janowi radość, a więc podjął słuszną decyzję, mimo że gigantyczny objazd kosztował go całkiem sporo, zważywszy na ceny paliwa, eksploatację samochodu oraz utracony dochód. Dziewczyna była w sumie trochę nudna, nie miała zbyt wiele do powiedzenia. Wobec tego Jan mówił jeszcze więcej o rzeczach, które mogłyby interesować dwudziestopięcioletnią cizję, ale to zdawało się nie działać. Przeszedł więc do tematów, które ciekawiły jego, a tych było całkiem sporo.

W międzyczasie szukał z nią kontaktu wzrokowego na potwierdzenie, że nie jest w aucie sam, ale ona była nieśmiała i patrzyła przede wszystkim na jezdnię. Chyba trochę się też zgrywała, bo mimo swojej wstydlivości i ustępliwego nastawienia zachowywała się jak *backseat driver*. Nie żeby komentowała sposób, w jaki prowadził, ale widział, że prawie wciska hamulec i odchyła się zgodnie z łukiem zakrętu. Kilka razy zwróciła uwagę, że jest ślisko albo że ktoś nadjeżdża z prawej, w razie gdyby nie zauważył.

Jana niełatwo było zdenerwować, więc cierpliwie znosił dziewczynę. Zerkał na nią ukradkiem i stwierdził, że w sumie nie wygląda najgorzej, chociaż miała wystającą górną szczękę i nadwagę. Z tą ostatnią zmagali się

teraz w gruncie rzeczy wszyscy młodzi ludzie, epidemia dotarła z Ameryki aż tutaj. Jednak młodzieńcza świeżość wiele rekompensowała.

Chociaż dziewczyna nie była wylewna, rozbudził się. Ani przez chwilę nie żałował, że poświęcił drzemkę na rzecz wycieczki w stronę Vejdhem. Dodał gazu, aż samochodem zarzuciło na zakręcie, i zadowolony przyglądał się, jak ona oburącz ściska uchwyt po wewnętrznej stronie drzwi.

ROZDZIAŁ 17 | SANDRA

Był szarmancki i nie pozwolił jej niczego podnieść. Sandra nie protestowała, chociaż – trochę wyczerpana tą szaleńczą jazdą – nie miała ochoty zapraszać go na kawę. Ale jakoś dojechali, a ona była naprawdę wdzięczna, że pojawił się tak niespodziewanie na ratunek w potrzebie.

– Bardzo dziękuję za pomoc – powiedziała, kiedy wchodzili do korytarza. – Mógł mnie pan po prostu wysadzić przy głównej drodze.

– Razem z tym wszystkim? – Zaśmiał się, rzuciwszy spojrzenie na górę toreb i kartonów.

Odwzajemniła uśmiech, rozkładając ręce w przeproszającym geście.

– Przynajmniej zwrócę panu za paliwo.

To powiedziawszy, sięgnęła do torebki po portfel, chociaż była przekonana, że jej odmówi. Dorośli rzadko przyjmowali pieniądze za wyświadczenie przysługi.

– Nie ma o czym mówić – odparł zgodnie z oczekiwaniami.

– Ale na kawę chyba mogę pana zaprosić? Zdąży pan?

– Może na małą kawę.

Sandra powiesiła swoją kurtkę na wieszaku w szafie, a jego na haczyku na ścianie. Zdjęła buty w korytarzu, ale jego nie chciała prosić o to samo. Z jakiegoś powodu wydałoby się to zbyt pedantyczne, a na dodatek mógłby to odebrać jako swego rodzaju zaproszenie, żeby poczuł się jak w domu.

Wstawiła wodę na kawę i wyjęła z szafki dwa kubki. Tyle zdążyła zrobić, zanim się rozmyślił.

– Mógłbym prosić o whisky zamiast kawy? – spytał bez ceregieli.

Przyglądała mu się przez moment.

– Przecież zaraz wsiada pan za kierownicę – stwierdziła w końcu z wahaniem.

– Mała szklaneczka nie zaszkodzi. – Wyszczерzył się.

Jakby miała zrozumieć, że wielcy, rośli panowie mogą sobie strzelić whisky, zanim wsiądą za kółko. Wprawił ją w zakłopotanie – czy na pewno wolno jej podać mu alkohol przed jazdą samochodem? Nie chciała jednak zrzedzić, on na pewno znał swoje granice. Wyjęła więc ze spiżarni, co miała: ledwie napoczętą rok temu butelkę.

Chwycił ją i odwrócił. Przyglądał się etykietce, kiwając głową z aprobatą.

– No, to rozumiem. – To powiedziawszy, nalał sobie do kubka.

Sandra obróciła się do niego tyłem i dalej przygotowywała kawę. Słyszała, jak pije, a potem jeszcze raz odkręca i zakręca flaszkę. Przypomniała sobie, że w samochodzie uderzyło ją podejrzenie o jego stan upojenia, że oddech cuchnął wręcz pijaństwem i że jego nieostrożna jazda mogła mieć związek z alkoholem.

Nie czuła się z tym dobrze. Nie mogła wypuścić go na jezdnię po pijaku. Nie chodziło tu wyłącznie o niego. Zebrała się na odwagę, po czym odwróciła się do mężczyzny.

– Wystarczy? – spytała, siląc się na nonszalancję w głosie i nie czekając na odpowiedź, zabrała whisky z blatu, gdzie ją odstawił.

Potem przeszła kilka kroków dalej do spiżarni, stwierdziwszy, że sobie nie żałował za każdym z dwóch razy, kiedy nalewał alkohol do kubka, bo z butelki zniknęła blisko jedna trzecia zawartości.

– Nie do końca – odparł już nie takim przyjaznym głosem. – Myślę, że nie podziękowałaś mi dość ładnie.

Wtem poczuła, jak kładzie dłonie na jej biodrach i do niej przywiera. Do

głowy by jej nie przyszło, że sytuacja potoczy się w ten sposób, pot natychmiast wystąpił jej na czoło. Musi spróbować się z tego wykaraskać bez niepotrzebnego dramatyzowania. Wciąż trzymała w dłoni butelkę, nie powinna była go prowokować, podając w wątpliwość jego zdolności prowadzenia samochodu.

– Może chciałby pan jeszcze trochę whisky? – zapytała dziarsko.

Próbowała odwrócić się do niego, wyslizgując się tym samym z nieproszonego uścisku. Myślała, że bez słów – nie urażając go – da mu do zrozumienia, że nie jest zainteresowana i powinien się zbierać do domu albo pracy czy dokądkolwiek miał jechać. Nie obchodziło jej już, czy jest zbyt pijany, żeby prowadzić. W tej chwili ma stąd zniknąć. Zamierzała zadzwonić na policję i poprosić, żeby go zatrzymali gdzieś po drodze, co nie byłoby pięknym podziękowaniem, ale był dorosły i sam o sobie decydował.

On jednak docisnął ją mocniej, nie zdołała się uwolnić ani odwrócić. Gdyby ostro zaprotestowała, poczułby się urażony i prawdopodobnie by się wściekł, a z rozsierdzonymi pijanymi mężczyznami z rodzaju tych, którzy w podobny sposób „brali, co im się należy”, nie ma żartów. Ale wszystko zupełnie wymykało się spod kontroli, więc musiała mu dać do zrozumienia, że powinien przestać, nie obrażając go przy tym.

Odstawiła flaszkę na blat, złapała go za dłonie i próbowała je od siebie odsunąć, wyslizgując się jednocześnie z uchwytu. Na próżno, nic z tego, jeżeli nie podejmie drastycznych działań, a tego naprawdę chciała uniknąć.

– Panienska dziś nie taka łatwa? – wycedził jej w szyję tuż poniżej ucha, głosem niższym niż przedtem. Oddech miał ciepły i wilgotny, usta mokre, a kiedy mówił, czuła od niego opary alkoholu. – Małe podziękowanie nie byłoby takie głupie, hę?

Wielka spocona łapa po omacku wtargnęła pod jej bluzkę, a druga mocno przytrzymała ją za brzuch. Teraz Sandra już naprawdę zaczynała się bać, zdawszy sobie sprawę, że może się z tego nie wyswobodzić. Zebrała wszystkie siły i podjęła próbę uwolnienia się, bardzo zdecydowanie, choć

w milczeniu, żeby nie poczuł się dotknięty. To, czego nie ubrano w słowa, miało się nigdy nie wydarzyć, a ona dawała mu okazję za okazją, by się wycofał.

Ale on tylko zarechotał pod nosem, odchylając nieco głowę: prędeż spodobał mu się napotkany opór.

– Już dobrze, dziewczyno. – Szczerzył się niewzruszony. – Rozluźnij się trochę.

Nagle zrobił szybki ruch lewą ręką: zakleszczył jej przedramię, oplatając szyję w nierozzerwalnym uścisku. Potem powalił ją na podłogę, pod siebie. Nie mogła złapać tchu, a przez myśl przeszło jej, że on naprawdę chce ją udusić.

Właśnie wtedy uświadomiła sobie, że już po niej. Nie zamierzał pozwolić jej się wywinąć.

ROZDZIAŁ 18 | JAN

Był z siebie naprawdę zadowolony, niemal wniebowzięty, że mógł pomóc. Wdzięczność dziewczyny stanowiła dla niego nagrodę, ale właściwie nie było o czym mówić – prawie odmroziła sobie dupę, stojąc tak na parkingu obładowana przecenionymi gratami.

Kiedy już dotarli na miejsce, wniósł nawet wszystkie rzeczy do środka, mimo że już i tak był spóźniony i powinien wracać do pracy.

– Bardzo dziękuję za pomoc. Mógł mnie pan po prostu wysadzić przy głównej drodze.

– Razem z tym wszystkim? – Zaśmiał się, wskazując na górę zakupów.

Rozłożyła dłonie, uśmiechając się przepaszająco.

– Przynajmniej zwrócę panu za paliwo – powiedziała, sięgając po portfel.

Jej próba zapłacenia za benzynę była w pewien dziecinny sposób urocza – jakby potrzebował rekompensaty pieniężnej za małą wycieczkę na wieś, aby pomóc bliźniemu. Oczywiście odmówił.

– Ale na kawę chyba mogę pana zaprosić? – nalegała. – Zdąży pan?

Jan ustąpił – skoro tak bardzo chciała wyrównać rachunki, to niech już jej będzie.

– Może na małą kawę – powiedział potulnie.

Mała filiżaneczka nie była takim głupim pomysłem, skoro czeka go samotna, długa droga do miasta. Ale gdy tylko wszedł do kuchni – przytulnej, domowej, zapraszającej do wejścia – wstąpił w niego czort. Czasami tak się działo, błogosławieństwo i przekleństwo, ale cały ten dzień był jakiś dziwny,

trochę odświeżony. Na dobrą sprawę wcale nie musiał wracać do pracy, gryzło go po prostu luterańskie sumienie.

– Mógłbym prosić o whisky zamiast kawy? – spytał.

To na pewno by go pobudziło, chociaż ona sprawiała wrażenie sceptycznie nastawionej.

– Przecież zaraz wsiada pan za kierownicę – stwierdziła w końcu z wahaniem, ale rozwiąła jej wątpliwości.

– Mała szklaneczka nie zaszkodzi. – Uśmiechnął się.

Miał doskonałą przemianę materii, a ponadto alkohol w rozsądnych ilościach raczej wyostrzał mu zmysły, niż powodował zmęczenie czy zaburzenia koncentracji. Dziewczyna ustąpiła i wyjęła butelkę.

Podczas gdy robiła sobie kawę, zdążył opróżnić pierwszą szklankę – a właściwie kubek. A ponieważ stała do niego tyłem i na pewno nie zwracała na niego uwagi, skorzystał z okazji i nalał sobie jeszcze trochę. Dwa drinki przed jazdą powrotną to w sam raz – pobudzały do życia, eliminując ryzyko zaśnięcia za kółkiem.

Mylił się jednak. Nie była tak nieobecna, jak mu się wydawało, i naraz odwróciła się, po czym sprzątnęła mu flaszkę sprzed nosa. Właściwie nie robiło to żadnej różnicy, ponieważ i tak nie zamierzał więcej pić. Ale ten despotyzm – jej opinia na temat tego, co powinien, a czego nie – go rozzłościł. Kim ona, kurwa, była, mała gówniara, żeby pokazywać, gdzie jego miejsce, i strofować mężczyznę w średnim wieku? Na dodatek po tym, co dla niej zrobił.

Wtedy się wściekł. Naprawdę nie spodobał mu się ten arogancki ton, a poza tym wyglądała jakby zapraszająco, kiedy tak stała ze swoimi wielkimi zderzakami wysuniętymi wprost na niego. Zakradł się za nią, położył jej ręce na biodrach, pocałował w szyję. Akurat w tym momencie trochę się stawiała, ale musiała zobaczyć, kto tu dyktuje warunki. Wciąż jeszcze była zła, a pachniała tak pięknie – tak ciepło, kobieco, cudownie – że wprost nie mógł

się pohamować.

W podnieceniu pociągnął ją ze sobą na podłogę. A zaraz potem, kiedy kotłowali się tak przez chwilę, dała za wygraną, poddając się przyjemności. Obopólnej. Bo kiedy zrobili to po raz drugi, była zupełnie zrelaksowana i wcale się nie opierała. Tę małą walkę na początku można było potraktować jako rozpalającą grę wstępną.

Później leżeli na łyżeczkę, a on wtulił się w jej kark i włosy, pieszcząc delikatnie. Po prostu jej się podobało, wiedział to na pewno. Nawet jeśli nie machała mu w drzwiach na pożegnanie, kiedy odjeżdżał.

ROZDZIAŁ 19 | SANDRA

W końcu było po wszystkim. Leżała na boku, ale on podniósł się tak, że widziała go, kiedy zasuwiał rozporek, zapinał guzik w spodniach i zaciskał pas. Na odchodne pochylił się i pocałował ją w usta oraz oba policzki. Miętko i czule, jakby chciał jej podziękować za chwilę przyjemności. Jakby była jego kobietą, a on właśnie wychodził do pracy.

Jakby miał niedługo wrócić.

Słyszała, jak włącza muzykę w aucie i uruchamia silnik. Beztrosko. Radośnie. Jak wreszcie odjeżdża, zostawiając ją samą w ciszy, mąconej jedynie brzęczeniem włączającej się i wyłączającej lodówki, tuż przy jej uchu.

Wciąż leżała na podłodze. Nie mogła się przemóc, by wstać, mimo że ciągnęło zinnem, a ona była półnaga. Rozchoruje się. Kaszel i ból gardła to jedyne, o czym mogła myśleć.

Wtedy zaczęła płakać. Cicho, długo, nie formułując w myślach żadnego konkretnego powodu. Skuliła się, obejmując nogi rękami.

Chyba też spała. Otrząsnęła się na dźwięk telefonu, ale nie była w stanie się podnieść, a już na pewno nie rozmawiać. Dalej łkała – pustymi, bezsensownymi łzami, aż wypłakała je wszystkie.

Wystarczy. Gramoląc się, wstała i w ciemności po omacku szukała ubrań rozrzuconych po podłodze. Powoli, ostrożnie się ubrała, ból pojawiał się w różnych miejscach w takt bicia serca.

Później zapaliła lampkę w oknie, w półmroku usiadła przy stole w kuchni i puściła wolno swoje myśli.

ROZDZIAŁ 20 | JAN

Ostrożnie zahamował. Nie mógł zrobić tego gwałtownie, bo wówczas straciłby kontrolę nad samochodem. Z tego samego powodu nie mógł też skręcić. Jadąc po oblodzonej drodze, chciał się trzymać z dala od wąwozu, więc umyślnie zdecydował się poruszać lewym pasem. Jakim cudem mógł przewidzieć, że na tak rzadko uczęszczanej trasie w środku lasu nadjedzie ktoś z naprzeciwka? Jadący na czołówkę kierowca miał zresztą na liczniku znacznie więcej, niż powinien – co Jan ocenił na podstawie tempa, w jakim się zbliżał – a temu niestety nie mógł zaradzić.

Wcisnął więc lekko hamulec, żeby zminimalizować zderzenie, a jednocześnie nie wprawić samochodu w ruch wokół własnej osi. Lepsze zderzenie czołowe, niż żeby wjechał w niego z boku, myślał. Albo stoczył się ze skarpy.

Ale ten idiota z naprzeciwka zrobił unik. Jakby tego było mało, to jeszcze gwałtownie zahamował – intelekt miał chyba na poziomie planktonu. Mimo wszystko nie doszło do kolizji czołowej. Jan ze zdziwieniem patrzył, jak samochód mija jego pojazd o włos, po czym z dużą prędkością sunie w poprzek drogi, a potem prawdopodobnie wypada poza jej krawędź. Zdążył jeszcze zauważyć, jak auto tyłem wjeżdża na skraj skarpy, zanim zniknęło w dole – bo sam musiał się skupić na jeździe.

Zatrzymał swoje audi trzydzieści metrów za miejscem wypadku i przez kilka sekund starał się uspokoić oddech. Potem wycofał do miejsca, w którym zniknął drugi samochód, wyłączył muzykę i przesiadł się na fotel pasażera, żeby lepiej widzieć. Nie był pewien, czy chce wysiąść z auta czy nie, trochę go to zszokowało i krótko mówiąc, nic już nie wiedział.

Źle to wyglądało. Samochód przekoziółkował i zatrzymał się na dnies przepaści przodem do jezdni. Leciał z niego dym, ale silnik zgasł. W środku nikt się nie ruszał, kierowca i potencjalni pasażerowie nie dawali znaku życia. Sądząc po tym, jak wyglądał wrak samochodu, zdziwiłby się, gdyby komus udało się przeżyć.

Co on teraz pocznies?

Ma zejść na dół i sprawdzić, czy on – albo ktoś inny – może jakoś pomóc? Na takiej ślizgawicy, w zimnie, w niskich butach po nierównym terenie? Nierealne.

Ma zadzwonić po pomoc? Wezwać policję? Nie najlepszy pomysł. Bo mimo że Jan był trzeźwy, to alkomat na pewno by zapiszczał. Padłyby na niego podejrzenia, które mogłyby się nieprzyjemnie rozejść jak kręgi na wodzie, a to byłoby już całkiem niefortunne. Koniec końców ten kretyn dostał, na co sobie zasłużył, sam był sobie winien. Niech go ktoś inny znajdzie i zadzwoni po karetkę. O ile to by się na coś jeszcze zdało, co raczej wątpliwe, oceniając po obrazie z dna wąwozu. Oraz panującej tam ciszy.

Jan przesiadł się więc z powrotem na miejsce kierowcy, po czym odjechał. Wracał rzadziej uczęszczanymi drózkami. Wolno i ostrożnie: nie chciał zwracać na siebie uwagi ani żeby mu się coś stało. Nie słuchał już muzyki, ponieważ nastrój do świętowania – niestety – znikł jak ręką odjął.

ROZDZIAŁ 21 | SANDRA

Wlała w siebie część zawartości butelki tej przeklętej whisky i wyliczywszy argumenty za zgłoszeniem sprawy na policję i przeciw temu, odłożyła decyzję na potem. Stało na tym, że postąpiła tak samo jak wiele innych przed nią. Wzięła prysznic, wyszorowała się, odkurzyła i wypucowała podłogę. Wszystko, co trzeba, aby wyplenić wszelkie ślady po tym odrażającym mężczyźnie: z siebie i z domu. Nie opuszczało jej tylko uczucie obrzydzenia.

Nie chciała już nigdy więcej o nim myśleć, oglądać czegoś, co by jej o nim przypominało. Wyrzuciła ubrania, które miała na sobie tego dnia, podobnie jak kubki na kawę, choć on korzystał tylko z jednego – chlejąc whisky.

Zmieniła też fryzurę i zrobiła pasemka, a nawet kupiła sobie nowe okulary, żeby nie mógł jej rozpoznać, gdyby gdzieś na siebie wpadli. Gotlandia wcale nie była taka duża. Jedyne, czego się nie pozbyła, to dom – nie była w stanie tego zrobić. Uwielbiała swój domek na wsi i za żadne skarby nie chciała mieszkać w innym miejscu, więc nie zamierzała pozwolić mu na to, by go jej odebrał. Wiązało się to z ryzykiem, że znów może się u niej zjawić – strach jej nie opuszczał. Swoją drogą mógł wyrosnąć przed nią gdziekolwiek indziej. Jeśli interesowała go jej tożsamość, na pewno już wiedział, kim jest.

Dostosowanie się do nowej rzeczywistości kosztowało Sandrę sporo wysiłku, ale po kilku tygodniach izolacji była gotowa na ponowne zetknięcie się ze światem. Z kolegami z pracy, klientami, rodziną i przyjaciółmi – nikomu nie dała powodu do podejrzeń, że ta ciągnąca się grypa, z którą się zmagiła, była w rzeczywistości czymś zupełnie innym.

Wreszcie od gwałtu minęło tak wiele dni, że zgłoszenie go byłoby śmieszne. Najpierw wyplenić wszystkie możliwe ślady po sprawcy, a później żądać od policji wszczęcia poważnego dochodzenia – żalosne.

Z czasem pogodziła się z myślą, że on pozostanie na wolności. Że może jeszcze raz zrobi coś podobnego, a jeśli nie, to w każdym razie wciąż będzie miał w pamięci wspomnienie Sandry, na którym będzie mógł budować swoje perwersyjne fantazje. Oraz że nic nie mogła na to poradzić.

ROZDZIAŁ 22 | JAN

Zaledwie parę minut po opuszczeniu miejsca wypadku zaczęły mu się koszmarnie trząść dłonie, a potem całe ręce. Przez większą część drogi powrotnej cały drżał. Doznał swego rodzaju szoku – może nie z medycznego punktu widzenia – ale mocno go to dotknęło i nie czuł się najlepiej.

Równie dobrze to on mógł siedzieć na dnie wąwozu, wykrwawiając się na śmierć, zamarzając, czy co tam się teraz, kurwa, działo z tamtym gamoniem. Zaraz miało się zacząć ściemniać, a śnieg padał gęsto. Samochód zasypie w okamgnieniu, nie będzie szans na jego odnalezienie, zanim śnieg stopnieje, co według prognoz miało nastąpić w kolejnym tygodniu.

Oczywiście, jeśli by nie zadzwonił pod 112. Jakkolwiek na to patrzeć, nie mógł wymyślić, co zrobić, żeby wyszło najlepiej dla niego. Nie mógł zatelefonować z własnej komórki – rozmowa została by namierzona. Budki telefoniczne już nie istniały, więc pozamiatane. Nawet jeżeli pożyczylby cudzy telefon, to ktoś by później sobie o tym przypomniał, a potem sporządził rysopis. Poza tym wszystkie rozmowy przychodzące do centrali służb ratunkowych były nagrywane, a jeśli odtworzono by ją w telewizyjnym programie śledczym *Efterlyst*, to jakieś czterysta osób zaczęłoby dzwonić, rozpoznawszy głos Jana.

Wprawdzie nie istniało szczególnie duże prawdopodobieństwo, że taka rozmowa wylądowałaby w *Efterlyst*, ale jeśli policja miała łeb na karku, to powinna stwierdzić, że anonimowy telefon informujący o wypadku z udziałem jednego pojazdu jest co najmniej podejrzany.

No i jeszcze tamto, rozmyślał, cudem unikając zrobienia miazgi z królika, który wyskoczył przed maskę w świetle reflektorów. Istniało minimalne

ryzyko, że tamta laska – o której niemal zapomniał w obliczu drugiego, bardziej wstrząsającego wydarzenia – stwierdziła, że nie do końca się na to pisała. I powiadomiła niebieskich albo przynajmniej kogoś bliskiego, kto zrobił to w jej imieniu. Mogła wówczas powiedzieć, że Jan wypił pierońskie ilości alkoholu i zostawił ją o godzinie takiej a takiej, a więc mijał miejsce wypadku dokładnie, kurwa, w momencie tego zdarzenia – to nie wyglądałoby za dobrze w oczach policji.

Groziły mu zarzuty odpowiedzialności za nie mniej niż trzy ciężkie przestępstwa, więc musiał już przyznać, że tego popołudnia zabrakło mu umiaru. W oczach sądu, ma się rozumieć – nie w jego. To pierwsze zajście nie było żadnym wykroczeniem, tylko małym bzykankiem dla przyjemności obu stron. Drugie też nie, to był przecież wypadek. Ponieważ Jan jechał ostrożnie, a mała ilość wcześniej wypitego alkoholu wcale na niego nie wpłynęła. To tamten szalenciec jechał za szybko po bardzo śliskiej nawierzchni i nie przemyślał wykonywanych manewrów.

W prawdziwą złość wprowadzało go jednak to, że wykroczenie związane z wypadkiem przy wąwozie – którego nie popełnił – nagle stało się przestępstwem tylko dlatego, że nie chciał zostać na miejscu i patrzeć na tę okropność. Tak go to rozwścieczyło, że kiedy o tym rozmyślał, zaczął walić roztrzęzionymi pięściami w kierownicę, aż przeszła go fala bólu od śródreżca aż po łokcie.

Powinien pojechać do pracy. Żeby móc powiedzieć, że był tam po południu. Temu, kto by pytał. Dobrze wiedział, że nic mu się nie uda zrobić przez resztkę dnia, bo czuł się bardzo źle i nachodziły go lęki. Wystarczyło jednak pokazać się kilka razy kolegom, by odnieśli wrażenie, że był w pracy. Potem mógł się zabunkrować w swoim gabinecie.

Tak też zrobił. Zaparkował przy rynku i na nogach jak z waty udał się do biura. Śnieg sypał mocno, więc naciągnął na głowę kaptur, żeby nie zmokły mu włosy.

W recepcji powiedział, że jadł obiad z PayExem, a po nim poszedł pieszo

do XL-BYGG odebrać zamówione klamki. Następnie przemknął się do pokoju tak, żeby nie zauważył go nikt poza recepcjonistką. Siedział tam wpatrzony w przestrzeń przez resztę dnia, przerywając sobie kilka razy, żeby pójść po kawę, kiedy z kuchni dochodziły go głosy. Uważał, by trzymać się na dystans i nie wydmuchiwać powietrza tak, aby ktoś mógł wyczuć od niego alkohol. Kaszlał w zgięcie łokcia, co zmartwiło zebranych, bo myśleli, że się rozchoruje.

*

Od tego okropnego dnia minął już prawie tydzień, kiedy w gazecie przy śniadaniu przeczytał o zdarzeniu. Nazwano go wypadkiem z udziałem jednego samochodu – co za ulga. Gdyby policja cokolwiek podejrzewała, napisaliby coś innego, a już na pewno daliby inny nagłówek. A ten kierowca, biedaczyna, zgodnie z podejrzeniami zmarł, ale kto by pomyślał co innego? Najwyraźniej tkwił tam cztery dni, co było trochę tragiczne, nawet jeśli już nie żył. Bo musiał nie żyć, zwłaszcza zważywszy na długi lot w powietrzu i to, w jakim stanie był wrak samochodu.

Akurat ta refleksja wpędzała go w zakłopotanie: brak stuprocentowej pewności, że tamten kierowca zginął w chwili wypadku. Jan walczył z niepewnością już blisko od tygodnia. Nie mógł jednak zachować się inaczej, po prostu nie mógł. Jasne, że facet zszedł z tego świata, gdy tylko auto uderzyło w skarpe i zostało zmiażdżone w taki sposób. Nic by nie dało, gdyby nawet Jan bawił się w alpinistę w swoich półbutach.

Kanapka z pasztetem z wątróbki przestała mu smakować. Połknął, co miał w ustach, a resztę odłożył na bok i przykrył serwetką. Może ogórki konserwowe stały w lodówce za długo po otwarciu słoika, mimo że Gunilla zajadała je z apetytem. Jego żona, która nie miała pojęcia, jak mało brakowało, żeby parę dni wcześniej została wdową.

Jan musiał trochę nad sobą popracować, by nie widzieć wszystkiego w czarnych barwach. Naprawdę pozytywne było to, że ofiara nikogo ze sobą nie wiozła. Że w foteliku nie siedziało jakieś dziecko ani żona na tylnym

siedzeniu. To by rzeczywiście była kicha. A tak, z życiem pożegnał się tylko kierowca – przy odrobinie nieostrożności na drodze mogło się to przytrafić każdemu.

Pech chciał, że żona tamtego, która na szczęście nie siedziała z nim w samochodzie, straciła męża, jak podawała lokalna gazeta. No ale można powiedzieć, że już od samego początku musiała wiedzieć, na co się pisze. Bo królem szos to on raczej nie był.

ROZDZIAŁ 23 | SANDRA

Mijały dni i robiło się coraz jaśniej. Sandra nie wiedziała, skąd czerpie siłę, ale – mimo koszmaru, którego doświadczyła, oraz nowych lęków – była na dobrej drodze, by odnaleźć się w zaistniałej sytuacji.

Przez kilka pierwszych tygodni po katastrofie potrzebowała samotności i nie przyjmowała niczyich odwiedzin. Przez kolejne, po powrocie do pracy, nie chciała już być sama, więc codziennie nocowała u rodziców. To było podczas tak zwanej rekonwalescencji po przebytej grypie. Niczego innego nie pragnęli, więc przyjęli ją z wielkim entuzjazmem na parę tygodni – było dokładnie jak za starych dobrych czasów.

Po pięciu tygodniach od napaści wróciła do siebie, stanęła z walizką na ganku i włożyła klucz do zamka, podczas gdy wicher uderzał o ściany domu. Czowała się, jakby wracała z długiej podróży, co się poniekąd zgadzało. Przekroczywszy próg, poczuła radość z powrotu do domu i posiadania zupełnie własnego miejsca na ziemi, gdzie mogła być sobą, nie zważając na oczekiwania stawiane przez otoczenie.

Takie muszę mieć nastawienie, powiedziała sobie, właśnie to uczucie muszę w sobie pielęgnować. Odnajdę się we własnym domu i odzyskam władzę nad swoim życiem, odsunę od siebie złe myśli na tyle, na ile to możliwe.

Rozpakowała się, a potem ugotowała kolację, zjadła, pozmywała naczynia i posprzątała. Następnie zapaliła świece i położyła się na kanapie pod kocem – wprawdzie z zaciągniętymi zasłonami, ale jednak dała radę zostać sama. Zaczęła nadrabiać zaległości w studiach. Zupełnie inaczej niż wcześniej teraz rzuciła się w wir nauki, bo musiała zdobyć wykształcenie,

a potem znaleźć pracę wymagającą użycia intelektu i koniec. Nawet jeżeli... Nie, te myśli muszą poczekać do jutra: wyzwaniem wieczoru było zaśnięcie bez obecności innych.

Zajęło jej to kilka godzin – akurat wtedy wspomnienia tamtego koszmarnego popołudnia zaczęły dawać o sobie znać jak nigdy przedtem. Leżąc, nasłuchiwała odgłosów w ciemności, dochodziło ją ich mnóstwo. Skrzypiała podłoga, śnieg z impetem spadał z dachu, a zwierzęta chodziły po drewnianej podłodze tarasowej z tyłu domu. Czekwała na dźwięk tłuczonego szkła, rozbijanego zamka albo wyważanych drzwi. Nie włączyła jednak światła: ani jej się śniło ulec irracjonalnemu lękowi, który wymusił na niej ten obrzydliwiec. Oznaczałoby to kapitulację, a ona na pewno nie zamierzała się poddać.

Następnego ranka Sandra obudziła się z nietypowym dla siebie poczuciem satysfakcji oraz pewności obranego celu. Nie ugięła się, mogła żyć i spać bez niczyjej pomocy. Zrobiła pierwszy krok do ponownego ustalenia starych przyzwyczajęń i sama dziwiła się, jak szybko udało jej się podnieść ze swojego beznadziejnego położenia. Poraniona, upokorzona, zalękniona, ale pełna siły. Kiedyś już jej się zdarzyło dojrzeć u siebie tę cechę. Gdy miała cztery lata, została sama w domu z ojcem, który dostał ataku wyrostka robaczkowego i straciwszy przytomność, runął na ziemię, a ona zadzwoniła po pogotowie. W gimnazjum uczestniczyła w pochodzie z okazji Dnia Świętej Łucji, a kiedy włosy grającej Łucję dziewczynki zapaliły się od wieńca ze świeczkami, Sandra jako jedyna nie wpadła w popłoch: zdarła z siebie albę i przed całą szkołą gasiła ogień w samych majtkach i staniku. Na co dzień była powściągliwa, wprost flegmatyczna, ale jeśli sytuacja naprawdę tego wymagała, wrzucała wyższy bieg – w akcję wkraczało jej zupełnie inne ja. Teraz najwyraźniej stało się podobnie.

Taką miała nadzieję. Istniało mianowicie coś gorszego niż strach przed niejasnymi zagrożeniami świata zewnętrznego, z czym musiała się zmierzyć. Pewne zmiany zachodzące w jej organizmie wymagały jej uwagi, bo nie była już pewna, czy może zwyczajnie zbagatelizować je jako skutek stresu

i przykrych doświadczeń.

Sandra oddychała głęboko, siadając na toalecie. Z nerwów trzęsły jej się ręce, choć właściwie była w tej sytuacji dziwnie spokojna. Jest jak jest, stwierdziła, teraz najważniejsze, żeby wiedzieć, co się dzieje. Dopiero potem przyjdzie czas na zmierzenie się z ewentualnymi konsekwencjami.

Jak tylko w okienku plastikowego patyczka pojawiła się niebieska kreska, przestała drżeć. Wzdychając, wyrzuciła do kosza rzecz, która wywróciła jej życie do góry nogami, i to wszystko. Musiała myśleć rozsądnie, być rzeczowa oraz szczerą wobec siebie, nie reagować raptownie.

Zrobiła sobie herbaty i usiadłszy przy stole w kuchni, rozważała wszystkie możliwości. Trzeźwo stwierdziła, że zaraz stuknie jej trzydziestka i chciałaby już mieć dziecko, że nigdy nie była w dłuższym związku, a z upływem czasu wcale nie stawała się atrakcyjniejsza na rynku matrymonialnym. Że ojciec maleństwa, które w niej rosło, wyglądał przyjaźnie oraz był pewny siebie. Że wiedział, jak się zachować w towarzystwie, był śmiały, a ponadto wyglądał na inteligentnego i ciekawego świata. Ale również że nie odróżniał dobra od zła, co prawdopodobnie wynikało z jego wychowania. Że z tej przyczyny dopuszczał się czynów karalnych, które popełniał z własnego wyboru. Że brak mu empatii i przypuszczalnie jest psychopata, a tego się nie dziedziczy.

Sandra zastanawiała się, jak mogłoby wyglądać życie z perspektywy dziecka będącego owocem gwałtu, po czym doszła do wniosku, że nie można się źle czuć z nieznanego sobie powodu. Jeśli natomiast prawda kiedyś wyszłaby na jaw, to co jak co, ale już chyba samo urodzenie dziecka stanowiłoby wystarczający dowód na to, jak bardzo było kochane i wyczekiwane.

Sandra podjęła decyzję. W radości, która ją wówczas ogarnęła, kryła się też satysfakcja z cudzego nieszczęścia. Tamten mężczyzna miał zostać ojcem jej dziecka – absolutnie cudownego maleństwa, które ma wyjść naprzeciw niesamowitej przyszłości. A on się o tym nie dowie. Ominie go, co

najpiękniejsze, będzie się przeglądał w stawie z nenufarami, aż jego żalosne życie dobiegnie końca – nigdy nie spotkawszy swojego dziecka.

Właśnie tak zamierzała mu podziękować za podwiezienie.



Mój najukochańszy mąż i przyjaciel

Karl-Erik Barbenius

*14 VIII 1965

† 23 I 2014

Pogrążona w smutku i żałobie

KERSTIN

—

*Jest taki ból, o którym lepiej nie mówić,
najlepiej bowiem wyraża go milczenie*

—

Ceremonia żałobna odbędzie się w ciszy.

Wszyscy pragnący uczcić pamięć zmarłego
proszeni są o składanie wolnych datków na rzecz fundacji

Leczenie z Misją:

Pg: 90 00 21-7

Maj 2018

ROZDZIAŁ 24 | SANDRA

„Jeśli na podstawie tego, co powiesz, zaistnieje podejrzenie, że ty bądź ktoś inny popełnił lub planuje popełnienie poważnego przestępstwa, powiadomię o tym policję”. Fraza odbijała jej się echem w głowie i jeszcze nigdy nie była tak trafna jak teraz. Nagle znalazła się w posiadaniu informacji, która mogła wsadzić gwałciciela za kratki. Mężczyznę, którego nienawidziła od ponad czterech lat.

Podarował jej wprawdzie to, co najpiękniejsze – Erika, który w wielu pozytywnych aspektach przypominał nieznanego mu ojca. Zrobił to jednak nieświadomie, a poza tym sprezentował jej też fizyczny ból, żal, zaburzenia snu, lęki i to, że stale miała się na baczności, z czym nie czuła się dobrze.

Hallin był gwałcicielem, a na dodatek jeszcze pijanym kierowcą zbiegłym z miejsca wypadku. Przyczyną cudzej śmierci. Jasne, że musi zostać ukarany, pytanie tylko jak.

Jeśli po upływie tylu lat Sandra poszłaby na policję, to jej wiarygodności nie oceniono by wysoko. Ojcostwo można ustalić bez trudu, ale udowodnienie, że cztery lata wcześniej doszło do gwałtu, było niemożliwe. Słowo przeciw słowu i byłoby po sprawie. W rezultacie Erikowi przypięto by łatkę dziecka z gwałtu, podczas gdy sprawca mimochodem uniknąłby następstw prawnych oraz społecznych.

Jeżeli jednak przedstawiono by dowody na jego obecność w miejscu wypadku – co już wskazywałoby na jego uczestnictwo w zajściu i na to, że nie zawiadomił policji i pogotowia – rzuciłoby to na sprawę nowe światło. Zeznania Sandry na temat gwałtu popełnionego kilkaset metrów dalej oraz poprzedzonego nim pijaństwa potraktowano by zdecydowanie bardziej

poważnie.

Szkopuł w tym, że Kerstin nie chciała mieć do czynienia z policją, a Sandra zagwarantowała jej milczenie. Wprawdzie z pewną rezerwą, ale przede wszystkim była lojalna wobec Kerstin, która – koniec końców – okazała się tutaj ofiarą.

Jedną z nich. To wymagało zastanowienia.

*

– Przepraszam, że ostatnio tak nagle się rozłączyłam – usprawiedliwiała się Sandra, kiedy Kerstin zadzwoniła ponownie. – Żle się poczułam.

To była prawda, lecz Sandra nie miała czystego sumienia, ponieważ Kerstin nie wiedziała, że odtąd pomaga jej bardziej ze względu na samą siebie niż na nią. Sandra nie musiała jednak brać odpowiedzialności za tajemnice, nie na tym polegała umowa. Ich nocna relacja się pogłębiła, rozmowa przeobraziła się z badawczej i pełnej niepewności w otwartą i serdeczną. Sandra z zaangażowaniem popychała Kerstin we właściwym kierunku, pomagając jej przynajmniej mówić o swoich zmartwieniach, co od początku było jej celem.

– Nie szkodzi – odpowiedziała Kerstin.

Miała prawo choć się zastanawiać, skąd przyszło Sandrze do głowy, że Hallin nie wiozł ze sobą żadnego pasażera.

– Możemy kontynuować tam, gdzie ostatnio skończyłyśmy? – zaproponowała Sandra.

Zdaje się, że Kerstin też na to liczyła.

– Nie poszłaś ze zdjęciami na policję, tyle wiem. Wystarczała ci wiedza, kto spowodował wypadek? Poczułaś się wtedy lepiej?

– Nie – odparła Kerstin.

– Nie było ci lepiej?

– Nie. No i to mi nie wystarczało.

– Wygląda na to, że jest jakiś ciąg dalszy...

– Muszę się upewnić – skomentowała Kerstin. – Chyba na mnie nie doniesiesz?

Sandra zastanawiała się, co zaraz usłyszy, i chwilę debatowała sama ze sobą.

– Nie – powiedziała w końcu. – Cokolwiek zrobiłaś, nie poczynię żadnych kroków prawnych. Masz moje słowo.

– Dziękuję – odrzekła Kerstin.

– Opowiadaj. Co zrobiłaś z tą informacją?

Kerstin zapaliła papierosa i głęboko się zaciągnęła.

– Zaszantażowałam go – oświadczyła wreszcie.

– Zaszantażowałaś? – zdziwiła się Sandra.

Na to nigdy by nie wpadła. Zdawało się, że niewielu ludzi miało siłę kogoś szantażować, a poza tym z niejasnych powodów tego typu taktyka już dawno wyszła z mody.

– W sumie to tak – powiedziała Kerstin nieporuszona. – Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł.

– Ale jak? Czym mu groziłaś?

– Wysłałam mu zdjęcia.

– To rozumiem, ale czego żądałaś w zamian? Zakładam, że chciałaś, żeby dobrowolnie oddał się w ręce policji.

– Nie – zaprzeczyła Kerstin, wydmuchując dym. – Jasne, mógł to zrobić, ale nie tego żądałam. Do koperty wrzuciłam też kluczyk do depozytu w przystani promowej razem z krótką instrukcją.

– Chciałaś pieniędzy? – spytała sceptycznie Sandra.

Ciężko jej było traktować tę przejętą żalem, poukładaną osobę jako szantażystkę starej szkoły.

– Tak.

– Ile?

– Sześć milionów.

– Sześć milionów?! A co cię skłoniło do myślenia, że wytrzepie je z rękawa?

Kerstin zwlekała z odpowiedzią, może sama uważała, że to naiwne.

– Jeździ drogim autem, ma piękny dom – odparła po chwili. – Dobrze płatną pracę i modnie ubraną żonę, która nosi diamentowe kolczyki. Myślałam, że jakoś to ogarnie.

– Bo inaczej?

– Chyba zrozumiałe, że poszłabym ze zdjęciami na policję, jeśli by nie zrobił tego, co mu każę.

– Podziałało?

– Nie. – Kerstin westchnęła. – Nie podziałało.

– A ty nie wcieliłaś w życie swojej groźby, jak rozumiem.

– Nie – przyznała, zaciągając się kolejny raz. – A nie miałam siły dalej go szantażować.

– Ale dlaczego nie poszłaś z tym na policję? – drążyła Sandra.

– Przegapiłam swoją szansę, nie rozumiesz? Gdybym poszła na policję, wkopałby mnie za szantaż. Mogło się skończyć na tym, że ja trafiłabym do więzienia, a jego puściliby wolno z braku dowodów. Nie wiedziałam przecież, i nadal nie wiem, jak ważnym dowodem w sprawie są te zdjęcia. Ale wiem jedno: na pewno nie mam ochoty siedzieć za kratkami.

– Rozumiem – przyznała Sandra. – Ale chyba wiesz, jak niebezpiecznie jest naskakiwać na takich ludzi? Grozić im. Mógł czatować przy depozycie, poczekać na ciebie, a potem... Cóż, sama możesz się domyślić. To, że ludzkie życie jest dla niego niewiele warte, już wiemy.

– Tak, z czasem to do mnie dotarło. Wtedy niestety było już za późno. Brakowało mi odwagi i sił, żeby próbować dalej. Może to i lepiej... W sumie za pierwszym razem uszło mi na sucho.

– *Status quo*. – Sandra się zamyśliła.

– Mogę cię o coś spytać?

– Jasne, że możesz, ale nie jestem pewna, czy odpowiem – odparła Sandra, która przeczuwała, czego może dotyczyć pytanie.

– Chcę wrócić do tego, gdy mówiłaś, że Hallin nikogo ze sobą nie wiózł: jak możesz być tego taka pewna?

– Może ci powiem, jeśli mi wytłumaczysz, dlaczego nie zgłosiłaś zaginięcia swojego męża. – Sandra sprytnie się wykręciła.

Tak naprawdę w ogóle nie zamierzała wtajemniczać jej w swoje sekrety. Jak na razie nikt nie miał dostępu do tych ciemnych miejsc i Kerstin – której ciążyły własne problemy – raczej nie będzie stanowiła wyjątku.

ROZDZIAŁ 25 | JEANETTE

Starania Lubbego dały efekt. Otrząsnął się i zaczął myśleć trzeźwo, żeby wyjaśnić zajście policji oraz pracownikowi służb socjalnych, reprezentującym interesy kobiety w średnim wieku, którą Jeanette przypadkiem trafiła ręką. Obecność Jeanette przejawiała się tylko w jej kiwaniu albo potrząsaniu głową. Po wykładzie Lubbego na temat jej rozvodu poprzedzonego długą depresją po stracie córki wszyscy zgromadzeni zmiękli. Już wcześniej nie stwierdzono żadnych obrażeń, a kiedy Jeanette okazała skruchę i przeprosiła, doszli do porozumienia, po czym zamknięto dochodzenie, a ją puszczono wolno.

Odtąd nie brała już tabletek, zadowolając się jedynie odurzeniem, które zapewniał alkohol. Dobrze wiedziała, że to raczej chwilowe, ale jak na razie wystarczało. Z pewną dozą obojętności zauważyła, że pozostali jej pilnują, gotowi w każdej chwili chronić ją przed nią samą. Podobała jej się ich troska, chociaż czuła się też stale obserwowana, a przez to zniewolona.

Nie zwracała na siebie uwagi i odzywała się słabym głosem do tego, kto akurat był najbliżej, żeby nikogo nie martwić. Z takim nastawieniem do tej, z reguły rozbawionej, paczki spod bramy Österport lądowała najczęściej na jednej z ławek z brzegu, razem z Matką.

Ta może i nie zarażała szczęściem, ale była w porządku. Nie gadała jak najęta, w przeciwieństwie do większości innych – nie wyłączając Jeanette – a mówiła zwykle z sensem. Jeanette czuła się dobrze w jej towarzystwie, nawet jeśli to Lubbe o wielkim sercu zajął najwięcej miejsca w jej życiu.

– Opowiedz o swoim kochanku – odezwała się pewnego dnia Matka.

Gdyby Lubbe podjął ten sam temat, na pewno zaczęłby od razu

przepraszać i zapewniać, że w każdej chwili może przerwać, jeśli będzie jej za ciężko. Kiedy robiła to Matka, w pytaniu tkwiła zachęta i – choć brzmiało to dziwnie – miała na myśli dokładnie to samo, co powiedziała by Lubbe. Przejawiało się to w tonie jej głosu, w spojrzeniu, mowie ciała. Jeanette widziała, że nie może się wymigać od odpowiedzi, że Matka nie chciała jej dręczyć ani rozdrapywać starych ran, że podała jej ramię do wypłakania, nawet jeśli ona przenigdy nie mogłaby się odpłacić tym samym.

Po chwili wahania zdecydowała się o nim opowiedzieć, mimo że sprawiało jej to ból. Musi spróbować myśleć normalnie o minionym życiu oraz swoich doświadczeniach, choćby przywoływało to stare uczucia, które z całych sił starała się stłumić. To była dobra okazja. Krzyki oddaliły się, a one zostały na ławce same.

Jeanette przypomniała sobie, jak mało brakowało, by opowiedziała o rzeczy najbardziej zakazanej, zanim policja zaczęła dobijać się do jej drzwi. Tym razem nie zamierzała posuwać się równie daleko. Wówczas musiała nad nią czuwać jakaś siła wyższa, która przybyła na ratunek. Mogła jednak mówić o czymś innym.

– Spotkaliśmy się w pracy, podczas uroczystości z okazji Dnia Świętej Łucji – zaczęła. – Było wcześniej rano, przed otwarciem sklepu, występowały dla nas dzieci z pobliskiej podstawówki. Oglądaliśmy przedstawienie, siedząc na prowizorycznie ustawionych ławkach w sklepie. Do oczu napłynęły mi łzy, jak zwykle podczas świąt, kiedy słucha się piosenek, które przenoszą nas do naszego dzieciństwa. I do dzieciństwa Charlotte. To pewnie myśl o niej sprawiła, że popłynęły łzy.

Matka się nie odzywała, ujęła ją tylko za dłoń.

– Siedział na ławce obok – ciągnęła Jeanette. – Nie pracował u nas, lecz w sąsiadującym ze sklepem warsztacie, ale on i jego koledzy z pracy też zostali zaproszeni. Zrobił dokładnie to samo co ty teraz. Wziął mnie za rękę. Łzy w oczach miało pewnie wielu, ale on musiał zauważyć, że ja bardziej to przeżywam. Nie znaleźliśmy się, co najwyżej się sobie kiedyś ukłoniliśmy

i zamieniliśmy kilka słów. Ale z jakiegoś powodu było to piękne, naturalne. Że obcy człowiek po prostu jest obok, gotów cię podnieść, gdy upadasz. Puścił moją rękę, kiedy dzieci zaczęły wychodzić. A kiedy zapalono światło, skinęliśmy sobie głowami na pożegnanie. I każde poszło w swoją stronę.

Jeanette przerwała, po czym wyjęła z plecaka dwa piwa. Jedno podała Matce, a drugie otworzyła sobie. Matka odwdzińczyła się papierosem.

– A później?

– Minęły dwa dni. Nie mogłam wyrzucić go ze swojej głowy, myślałam o nim przed zaśnięciem, po przebudzeniu, w pracy, przy kolacji z mężem. Jego gest mocno mnie poruszył, chciałam znów trzymać go za rękę. Pewnego dnia wpadliśmy na siebie na parkingu. Rozpromienił się na mój widok, zapytał, czy mnie gdzieś podwieźć. Zgodziłam się, chociaż przyjechałam samochodem i zamierzałam wrócić prosto do domu. I tak pojechaliśmy razem. Rozmawialiśmy. O wszystkim i o niczym. Z wyjątkiem mojej reakcji na Świętej Łucji. Ani jego. Był taktowny.

Piły i paliły w milczeniu. Tuż obok jak zwykle toczyła się pyskówka, śmiech Lubbeego zagłuszał całą resztę. Słońce świeciło na jasnoblękitnym niebie, dał mocny ciepły wiatr, a liczne flagi powiewające na murze prężyły się na wschód. Ludzie nosili lekkie ubrania, byli pełni oczekiwań, bo mieli przed sobą perspektywę długiego, cudownego lata.

– Mieliśmy tyle do powiedzenia, tak dużo chcieliśmy się dowiedzieć o sobie nawzajem. Ledwie się obejrzałam, a jechaliśmy okrężną drogą, wyjechaliśmy kawał za miasto. Wreszcie zjechał na ubocze i wyłączył silnik. Na początku tylko patrzyliśmy na siebie bez słów, potem oboje wybuchliśmy śmiechem. Naraz się zawstydziałam, nie mogąc wpaść na to, co mogłabym powiedzieć. Znów dotknął mnie w podobny sposób, a ja mu na to pozwoliłam, chciałam jeszcze raz poczuć ciepło jego bezpiecznej dłoni. Pamiętam, że przeszło mi przez myśl, do czego to może zaprowadzić. Nie wystraszyło mnie to jednak, tak jakby... nie byłam sobą. Nie działały żadne moje mechanizmy obronne, a ja puściłam wodze. A potem to się stało.

Na dróżce przed nimi zatrzymała się mama pchająca przed sobą pusty wózek. Mała dziewczynka chwiejnym krokiem chodziła po asfaltowej ścieżce, wywracała się i podnosiła. Potem potuptała co sił w nóżkach wprost na Jeanette, która wyciągnęła do niej rękę, żeby nie upadła. Dziecko zaśmiało się, podobnie jak Jeanette, ale jego matka nie wyglądała na ucieszoną. Obcesowo podniosła dziewczynkę, posadziła ją w wózku i śpiesznie odeszła w swoją stronę. Dziecko głośno zaprotestowało, a Jeanette odprowadziła je wzrokiem. Dalej, przy ulicy Skolportsgatan, kobieta wyjęła nawilżane chusteczki – Jeanette upadła tak nisko, że ludzie, którzy jej dotykali, musieli się później umyć.

Wzięła łyk piwa i odpaliła kolejnego papierosa od poprzedniego, a następnie ciągnęła temat.

– Nie przestaliśmy się spotykać, robiliśmy to ze dwa–trzy razy w tygodniu. Czas między spotkaniami był nie do zniesienia. Dla nas obojga. W każdym razie to dawał mi do zrozumienia. Święta i Nowy Rok utrudniły sprawę, ale pracowałam we wszystkie dni robocze między Bożym Narodzeniem a sylwestrem. On zrobił podobnie.

Jeanette głęboko zaciągnęła się papierosem, zerkając dyskretnie na Matkę, żeby sprawdzić, czy dalej jej słucha. Ta ją na tym przyłapała i posłała jeden ze swoich rzadkich uśmiechów.

– Słucham cię – powiedziała, po czym wlała w siebie resztkę zawartości puszki.

– Okej – odrzekła Jeanette, przygotowując się na ciąg dalszy. – Znów przyszła szara, nudna codzienność, a wraz z nią styczeń. Zaczęłam się zastanawiać, co chcę ugrać na tym związku. Ale właściwie nie było się nad czym długo głowić, byłam gotowa opuścić męża i wysłużone resztki, które zostały po naszym życiu z Charlotte. Nie miałam mimo to odwagi, by zrobić pierwszy krok, chciałam usłyszeć to od niego, od Petera, bo tak miał na imię. On też się zastanawiał, choć nie mówił tego wprost. Wplatał to w pytania i spekulacje co do naszego wspólnego życia, tego, jak mogłoby wyglądać.

Byłam ostrożna: miał żonę i dzieci, a ja nie mogłam sobie nawet wyobrazić, jak trudne i rozdzierające byłoby porzucenie takiego życia. Nie zastanawiałam się też nad tym, jak by się to odbiło na naszym wspólnym życiu. Czy nasza miłość mogła przewyciężyć podobne przeszkody, nienawiść ze strony byłych małżonków oraz smutek dzieci, a może też wrogie nastawienie? Żadne z nas nie zarabiałoby kokosów... Czy byłoby nas stać na godne życie? Na dodatek z dwojgiem dzieci przyjeżdżających co drugi tydzień, co wiązało się przynajmniej z jednym dodatkowym pokojem i rokrocznie rosnącymi wydatkami. Czy to, co się między nami zrodziło, było tylko przyjemną odmianą, czy przetrwałoby wszystkie trudności i rozczarowania, które przyszłość definitywnie ze sobą niosła? Jestem jednak pewna, że byliśmy na tej samej drodze. Mimo że znałam go niespełna miesiąc, byłam gotowa zostawić dla niego wszystko. Gdyby tylko wypowiedział odpowiednie słowa. Pierwszy.

Jeanette przerwała swoją opowieść, zastanawiała się, jak połączyć różne jej fragmenty. Ale nie musiała, nie tym razem. Kattis i Roffe – jeden ze starszych facetów – nadeszli z kilkoma jednorazowymi grillami i torbami zakupów.

– Lubbe ma urodziny! – wrzasnęła Kattis.

Zrobiła to w tradycyjny sposób, czyli tak, by ludzie, których to zupełnie nie dotyczyło, obracali się za nią aż spod piekarni na kółkach z rynku Östertorg.

– Uczcijmy to grillem pod Gustavsvik! Picie we własnym zakresie.

Miła inicjatywa. Jeanette trochę jednak ubodło, że nie ona była jej autorką. Zupełnie zapomniała o urodzinach Lubbeego. Jak zwykle widziała tylko czubek własnego nosa, do głowy jej nie przyszło, że istnieli inni ludzie, którzy także mieli swoje potrzeby i zasługiwali na uwagę.

Siliła się na uśmiech, choć znów przyczepili się do niej wierni kompani – poczucie winy oraz wstyd.

ROZDZIAŁ 26 | SANDRA

Erik zasnął w trakcie czytania bajki na dobranoc, kompletnie wycieńczony po dniu zabaw na świeżym powietrzu w pięknej, wietrznej aurze. Sandra przysiadła na chwilę na skraju jego łóżka i pogładziła go po policzku, wdychając zapach świeżo umytych włosów. Czasami nie mogła się nacieszyć tą małą istotą, która zajęła tak ważne miejsce w jej życiu.

O tej porze roku wszystko rosło jak opętane, a kolejnego dnia miało padać. Trawę trzeba skosić, zanim woda przesiąknie aż do korzeni, bo kiedy znów wyschnie, będzie przypominać raczej łąkę niż trawnik otaczający dom, a tego Sandra chciała uniknąć. Innymi słowy, trzeba to zrobić teraz, wkrótce zaczną przychodzić połączenia na linię telefonu zaufania. Dłonią przeczesła synowi grzywkę, ostatni raz poprawiła kołdrę i opuściła pokój, zamykając za sobą drzwi.

Włożyła kalosze i wyszła na zewnątrz. Był niesamowicie ciepły wiosenny wieczór. W ogrodzie słyszała jedynie świergot ptaków, obok przejeżdżało niewiele samochodów. Szkoda było przerywać ciszę hałasem silnika kosiarki, ale jak mus to mus. W zamian mogła się cieszyć zapachem świeżo skoszonej trawy i przyjemnością czerpaną z pracy fizycznej, kiedy w głowie kotłowały się myśli.

Nowo zdobyta informacja na temat tożsamości gwałciciela nie dawała jej spokoju. Nawet jeśli nie wierzyła w siły nadprzyrodzone, to i tak odnosiła wrażenie, że nowina spadła na nią nie bez przyczyny. Ofiarowano jej możliwość wpłynięcia na przyszłość tego mężczyzny – w sposób negatywny, miała nadzieję – i chciała wykorzystać tę szansę.

Plotki były sprawdzoną metodą na zniszczenie cudzej reputacji – pytanie

tylko, czy zwykle pomówienie ruszało takich jak Hallin. Sandra miała niewiele znajomości, a on na pewno mnóstwo. Najprawdopodobniej uderzyłoby to w nią samą ze zdwojoną siłą, natomiast on wyszedłby z tego bez szwanku.

Co do pozostałych popełnionych przez niego przestępstw, nie mogła nic zrobić. Nie miała żadnych zdjęć, a władze nie miały podstaw, by stwierdzić, że popełniono jakiegokolwiek wykroczenie. Ilości alkoholu we krwi nie dało się już zbadać, podobnie jak nie sposób udowodnić zamieszania Hallina w wypadek, ponieważ nie było widać żadnych śladów. Jedyne namacalne dowody stanowiły fotografie – do tych zaś nie miała dostępu.

Dziś niesamowicie żałowała, że nie zgłosiła gwałtu od razu. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby tylko dała radę podnieść wtedy słuchawkę. Przeszukanie miejsca przestępstwa wykazałoby, że Hallin tam był, pił whisky z jej kubka, zaparkował samochód na żwirowej drodze pod domem. W trakcie obdukcji na ciele Sandry znaleziono by ślady przemocy oraz niedobrowolnego obcowania płciowego. Można by rzecz jasna udowodnić również, że Hallin jest ojcem narodzonego dziewięć miesięcy później dziecka, a ponadto zmusić go do poniesienia idącej za tym odpowiedzialności finansowej. Nawet jeśli Sandra w dobrowolnej izolacji po gwałcie nie miała pojęcia o tym, że zaledwie paręset metrów dalej doszło do poważnego wypadku, to policja najpewniej połączyłaby fakty. Może nie umieliby udowodnić udziału Hallina, ale by go zdemaskowali. Dochodzono by, co robił tego dnia, i na pewno dowiedziano by się, gdzie oraz co pił, zanim wsiadł do samochodu i pojechał do marketu budowlanego. Może to by wystarczyło, żeby go posadzić przynajmniej za jazdę po pijaku, a może nawet uderzyłby się w pierś i przyznał do wszystkiego.

Tak rozmyślała Sandra, gdy słońce zniknęło za koronami drzew na zachodzie, a wokół roztaczał się zapach trawy. Po skończonej pracy schowała kosiarkę w składziku, pochyliła się nad roślinami doniczkowymi i wybrała z nich zwiędłe części. Pomyślawszy, że jutro przyroda sama zajmie się podlewaniem, weszła do domu, żeby zdjąć kalosze. Szybko zajrzała do Erika

i bosy pośpieszyła w stronę altany, gdzie wyłożyła nogi na stół i czekając na pierwszą rozmowę tego wieczoru, obwiniała się za to, co już się stało.

Gdyby tylko wykazała trochę energii do działania, kiedy to wszystko się wydarzyło, życie przybrałoby inny bieg. Przeklinała swoje tchórzostwo. Ze względu na siebie, ale też na Kerstin. Obie dźwigały swoje brzemie, kiedy ta świnia – która ni stąd, ni zowąd nagle zyskała nazwisko – żyła sobie, jak gdyby nigdy nic. Koniec końców może lepiej byłoby nie wiedzieć, kim on jest.

Sandra już miała roztrząsać tę myśl, kiedy zadzwoniła Kerstin jako pierwsza tego wieczoru.

– Naszła mnie jedna myśl po naszej ostatniej rozmowie – mówiła. – Wspomniałaś, że jesteś pewna, że Hallin jechał sam.

Sandra czekała na ciąg dalszy.

– Prawda? – dociekała Kerstin. – Czy dalej tak uważasz?

– Owszem – skwitowała Sandra, nie zagłębiając się w szczegóły.

– Okej – powiedziała kobieta z uśmiechem w głosie. – Wiem, że próbujesz mnie przycisnąć, ale to głupota.

– Nie myślałabyś tak, gdybyś знаła powód – oświadczyła Sandra poważnie. – Ale podtrzymuję, że w aucie nie było pasażera.

Kerstin zastanawiała się nad tym, co usłyszała od Sandry, może wystraszyła się tonu jej głosu. Wkrótce jednak się otrząsnęła.

– Skoro osoba fotografująca nie miała nic wspólnego z Hallinem, to ponosiła równie dużą odpowiedzialność za długie cierpienie mojego męża. A oprócz tego za jego śmierć. Może dałoby się go uratować, gdyby udzielono mu pomocy na czas. Fotograf udokumentował miejsce wypadku, ale też nie zadzwonił pod 112.

– Jeszcze jeden kandydat na liście nienawiści – cicho skonstatowała Sandra.

– I tak mogło być gorzej – powiedziała Kerstin. – Jak zauważyłaś, sporo nad tym myślałam od naszej ostatniej rozmowy. Istnieje jeszcze jedna możliwość. A co, jeśli fotografujący był zamieszany w wypadek?

– Po co w takim razie miałyby dokumentować całą tragedię? – spytała Sandra.

– Może chciał odsunąć od siebie podejrzenia? Może Hallin po prostu przejeżdżał obok. Zatrzymał się i zobaczył, jak to wszystko wygląda, ale stwierdził, że nie może już nic poradzić, a sytuacja zdaje się opanowana. Mógł założyć, że ktoś, fotograf, już na pewno zawiadomił odpowiednie służby. Fotografujący zrobił zdjęcie jego audi nad wąwozem, sugerując tym samym, że to właśnie on spowodował wypadek i uciekł z miejsca tragedii.

– Czy Hallin nie powinien w takim razie skontaktować się z policją w późniejszym czasie: kiedy gazety donosiły o tak zwanym wypadku z udziałem jednego samochodu, który odnaleziono dopiero po czterech dniach? – Sandra nie dowierzała.

Chciała, żeby Hallin był winny. Ale scenariusz przedstawiony przez Kerstin był całkiem prawdopodobny. Nie można się było dziwić, że Hallin nie skontaktował się z policją od razu: prowadził pod wpływem alkoholu, a wcześniej zgwałcił kobietę.

Później zapewne obawiał się, że Sandra zgłosiła gwałt na policję, dlatego się tam nie pojawił.

– Może nie czytuje gazet – gdybała Kerstin bez przekonania.

– Możliwe – przyznała Sandra, która już odbiegła myślami od tematu.

– To by tłumaczyło, dlaczego nie wziął próby szantażu na poważnie. Nie był zamieszany w wypadek, dlatego zignorował całą sprawę.

– Racja – zgodziła się Sandra, która naprawdę nie chciała, żeby tak było. – Ale wówczas prawdopodobnie zgłosiłby szantaż na policję.

– Pewnie stwierdził, że to jakiś żart – podsumowała ze śmiechem Kerstin. – Jeśliby się nad tym zastanowić, sześć milionów to całkiem

śmieszne żądanie.

Sandra również się uśmiechnęła. Zaszły więc w swoich rozmowach tak daleko, że potrafiły śmiać się z tego nieszczęścia. Dla Kerstin to wielki krok... dla nich obu. Nawet jeśli Kerstin była nieświadoma, że terapia działa tu w obie strony.

Po zakończeniu rozmowy Sandra ponownie pograżyła się w myślach. Hallin mógł nie być winny tego tragicznego wypadku. Niezwykle ją to ukłuło, jednak wciąż istniała taka ewentualność. Bo jakie w innym razie istniało logiczne wytłumaczenie na to, że fotograf przekazał dowody w sprawie – które w domyśle wskazywały Hallina jako winnego – wdowie, nie zadzwoniwszy pod 112?

Żadne. Hallin był wprawdzie gwałcicielem, ale nic nie wskazywało na to, by lekko brał życie i śmierć. Zostawił Sandrę przy życiu, mimo że mogła wnieść przeciwko niemu oskarżenie. Nie pofatygował się, by zacząć grozić szantażyście czy go ukarać. A niepowiadomienie pogotowia, kiedy się mija miejsce wypadku, nie jest karalne, szczególnie jeśli się to czyni w dobrej wierze.

Tłumiona wściekłość Kerstin zostałaaby wówczas skierowana na coś innego, nieznanego, a Sandra pozostałaby w końcu sama w swojej awersji do Hallina. Jedyńm jego przewinieniem, co do którego nie było wątpliwości, był gwałt sprzed prawie czterech i pół roku, a po tym nie został żaden ślad. Oprócz syna, ale o nim tylko Sandra mogła powiedzieć, że został poczęty inaczej niż za obopólnym porozumieniem.

Zadrżała na myśl o tamtym popołudniu, o tym ohydny obrzydliwcu, który rościł sobie prawo do chwilowego zabawienia się kosztem jej ciała i nienaruszalności. Chciała go dręczyć, zmiażdżyć – uczucie to wzbierało w niej mocniej niż niechęć do usłyszenia jego głosu albo do spotkania z nim. Wcześniej, dopóki nie wiedziała, kim on jest, nie było mowy o podobnych emocjach – wówczas pozostawała zobojętniała, brodząc w niewiedzy.

Teraz do niej dotarło, że tak naprawdę coś mogła mu jednak zrobić.

Nawet jeśli nie mogło się to równać z tym, co on zrobił jej. Mogła potrząsnąć nim i jego rodzinną sielanką, wsadzić kij w mrowisko.

Mogła zażądać od niego alimentów.

Powinno pójść gładko i bezboleśnie. Jedyne, co musiał zrobić, to wytrzasnąć jednorazowo pewną sumę pieniędzy, która pokryłaby koszty utrzymania minionych oraz nadchodzących lat szkolnych Erika. Bez mieszania w to urzędów – czego pewnie wolał uniknąć, Sandra zresztą też. Nie miała innych intencji, jak tylko wyegzekwować, co jej się należy. Byłby to jedynie dodatek do jej lichego budżetu, ale oznaczałoby to też przyznanie się Hallina do winy. A to zdecydowanie lepsze niż nic.

Tylko czy ma wystarczająco dużo odwagi?

Sandra przypomniała sobie, jak wcześniej pouczała Kerstin, że niepotrzebnie narażała się na niebezpieczeństwo ze strony mężczyzny, który nie ma szacunku dla ludzkiego życia. Teraz jednak nic już nie wskazywało na to, że lekko patrzył na sprawy życia i śmierci. A żądanie kwoty pieniężnej odpowiadającej alimentom regulowanym prawnie to nie szantaż.

*

Potrzebowałyby beta-blokera przed tą rozmową, tak bardzo się trzęsła. Nie do końca jednak wiedziała, co to takiego, podejrzewała tylko, że to jakiś lek na receptę, który ciężko było dostać, jeśli nie miało się problemów z sercem lub tym podobnych. Zamiast leków wlała w siebie dwie lampki czerwonego wina na uspokojenie, co chociaż trochę pomogło.

Sandro, to tylko rozmowa telefoniczna, powiedziała sobie. Pomyśl, że to twoja specjalność. On cię nie widzi, nie zauważy twojej niepewności.

Dobrze się przygotowała, wypisała wszystkie punkty do odfajkowania, a następnie kilka razy prześledziła listę, aż nauczyła się jej na pamięć. Przećwiczyła tempo oraz ton głosu, a także kilka fraz, ale mimo to miała w głowie pustkę, kiedy odebrał.

– Mam na imię Sandra – zaczęła. – Jestem matką trzyipółletniego

chłopca, który urodził się w wyniku gwałtu ze stycznia 2014 roku.

Na kilka koszmarnie dłużących się sekund zapadła cisza, aż w końcu odezwał się słowami:

– Interesujący wstęp. Mam pogratulować czy współczuć? No cóż, w czym mogę pomóc?

– Tak się składa, że to ty jesteś ojcem dziecka. Pamiętasz?

Do jasnej cholery, po co to powiedziała? Nie planowała dyskutować z gwałtobójcą o starych wspomnieniach. Zapadła jeszcze dłuższa cisza.

– Teraz już na pewno się mylisz, Sandro – skomentował wreszcie. – Może wybrałaś zły numer?

– Z pewnością nie – odparła. – I ty też to wiesz.

– Słuchaj, muszę przyznać, że to całkiem otrzeźwiająca rozmowa tak przy wieczorze. Na pewno nie jesteś trochę podchmielona?

– Może przestaniesz pieprzyć i przejdę do meritum?

– Oho! A więc jest jeszcze jakieś meritum. Ciekawe.

W głosie Hallina nie było słychać ani cienia niepokoju. Wszystkie jego dotychczasowe komentarze były lekceważące, ton głosu miał niemal rozbawiony. Czego się właściwie spodziewała? Że się załamie i poprosi ją o wybaczenie?

– Podsuwam ci możliwość rekompensaty.

– Z tej możliwości chętnie zrezygnuję. Proponuję raczej skontaktować się z ojcem dziecka, on na pewno poczuje się do odpowiedzialności.

– To właśnie robię. Pomyślałam, że będziesz bardziej skłonny do wzięcia odpowiedzialności, jeśli porozmawiamy o tym w cztery uszy, że tak się wyrażę. Ale jeśli wolisz mieszać w to urzędy i tym podobne, to nie ma sprawy.

– Zwracasz się do niewłaściwej osoby – oświadczył Hallin, tym razem już

bez śladu ironii, do której zaczęła się przyzwyczajać.

Sandra nie była pewna, czy to groźba, czy kolejna próba zaprzeczenia.

– Zawsze mogę się zwrócić do twojej żony – mówiła. – Wyobrażam sobie, że podobnie jak ja uważa, że również mężczyźni powinni brać odpowiedzialność za swoje dzieci.

– Kochaniutka, nawet nie próbuj. Nie mamy z żoną przed sobą żadnych tajemnic, więc to zagranie ci się nie uda.

Jasne. Bardzo prawdopodobne, że po zgwałceniu młodej dziewczyny Hallin pojechał prosto do swojej żony i zdał jej raport z wydarzenia dnia.

– Czyli mam rozumieć, że wolisz, bym skontaktowała się z odpowiednimi służbami? – podpuszczała go.

– Kurwa, czego ty właściwie chcesz? – warknął, jakby powstrzymując się od wybuchu wściekłości.

– Myślałam nad pakietem promocyjnym – odrzekła Sandra. – W zamian za jednorazową opłatę nie usłyszysz więcej o dzieciaku, nie będziesz się musiał użerać z urzędami ani ze mną.

– O jaką kwotę chodzi? – grzmiał. – Pytam z ciekawości, nie żebym miał jakikolwiek zamiar zastanawiać się nad tym twoim pakietem. Bo za chuja pana nie wiem, o czym mówisz.

– Luki w pamięci? W ogóle mnie to nie dziwi, biorąc pod uwagę, jaki byłeś pijany. Myślałam o trzech tysiącach koron miesięcznie przez dziewiętnaście lat. Łącznie sześćset osiemdziesiąt cztery tysiące koron.

– Sześćset osiemdziesiąt cztery tysiące? Chyba kpisz.

– Powiedziałabym, że to bardzo atrakcyjna propozycja. Nie musisz na przykład kupować prezentów na święta ani urodziny. Możesz też spłacać ratami. To będzie trzy tysiące siedemset siedemnaście koron miesięcznie do 2033 roku włącznie, jeśli zaczniesz płacić od razu.

– A więc mała materialistka ucieka się do szantażu – stwierdził Hallin

tonem zupełnie pozbawionym ludzkiego ciepła.

– Traktuję to jako wygodne wyjście, by ominąć zawiłości urzędowe. Policję, prokuraturę, służby socjalne, no wiesz. I aby mój syn nie był kojarzony z obleśnym dziadem, który musi kogoś zgwałcić, żeby się wyżyć.

– Wyjście? Cha, cha! Nazywaj to sobie, jak chcesz. Mogę cię tylko poinformować, że ten, kto mnie ostatnio próbował szantażować, wcale dobrze nie skończył, więc nie rób sobie nadziei.

– Wyślę ci SMS z numerem konta – odparła chłodno Sandra. – Dziękuję za poświęcony czas.

– Jebana wariatka – powiedział Hallin i odłożył słuchawkę.

ROZDZIAŁ 27 | JEANETTE

Traf chciał, że następnym razem Jeanette i Matka zostały same. Matka trzymała się na peryferiach towarzystwa, siadała na najdalej wysuniętej w stronę rynku ławce, i to właśnie tam Jeanette zrzuciła z siebie plecak. Musiała z niego wygrzebać ubrania przeciwdeszczowe, bo złowrogie chmury zaczęły się kłębić nad murem na północnym zachodzie. Matka, która zdążyła się już przebrać, siedziała z kapturem zaciągniętym na głowę i czekała na burzę. Zaczął dąć wiatr, którego porywy przyniosły ze sobą pierwsze krople deszczu.

– Znowu tędy przechodziła – powiedziała Matka. – Może pracuje gdzieś przy ulicy Adelsgatan.

Jeanette siedziała obok i wkładała spodnie przeciwdeszczowe na dzinsy. Nie musiała pytać – z jakiegoś powodu wiedziała, o kim mowa.

– Jaka szkoda, że jej wtedy nie widziałam – odparła chłodno Jeanette. – Mogłabym jej powiedzieć, kto mierzwił jej pościel, kiedy była w pracy.

Matka świdrowała ją wzrokiem.

– Gardzisz mną – stwierdziła Jeanette, wydymając dolną wargę.

Wiedziała jednak, że takie tanie chwytły nie robią wrażenia na Matce, która pociągnęła łyk z plastikowej butelki o nieznannej zawartości, nie spuszczać wzroku ze swojej rozmówczyni.

– Ech, tylko tak pieprzę – wyznała Jeanette. – Nigdy nie byłam u niej w domu. To jasne.

Brak komentarza. Zrobiło jej się niezręcznie, sama uważała, że zachowała się bez szacunku. Jakby tamta kobieta z włosami spiętymi w długi koński

ogon zasłużyła sobie na to, co ją spotkało.

– Ja nie mogłam nosić żałoby – ciągnęła mimo wszystko. – Ale tak cholernie szkoda mi było tej blondyny i ich ślicznych dzieci.

Matka uniosła brwi, po czym wzięła kolejny łyk.

– Było mi ich szkoda. – Jeanette zmiękła. – No ale wiesz... Jestem tylko człowiekiem. Ja też potrzebowałam pocieszenia. Jej życie i tak ległoby w gruzach, ona po prostu o tym nie wiedziała. Zostawiłby ją dla mnie, gdyby nie...

Urwała. Znów prawie wdepnęła w bagno, choć wcale nie miała na to ochoty.

– Dasz łyka? – poprosiła, żeby zmienić temat.

Matka podała jej butelkę, ale nie dała się przechytryć.

– Gdyby nie...? – zachęcała.

– Gdyby nie stanęło nam na drodze to, co się stało – odpowiedziała w nadziei chociażby na uśmiech.

Jednak go nie dostrzegła. Jeanette piła, alkohol przyjemnie palił w piersi. Skorzystała z okazji, by łyknąć sobie więcej, zanim oddała butelkę.

– Czyli hotele, co nie...? – dociekała Matka.

W pierwszej chwili Jeanette nie zrozumiała pytania. Wytrzepała dwa szlugi z paczki i poczęstowała jednym Matkę. Dała ognia. Potem załapała.

– Ach, nie. Na to nie było nas stać. Poza tym za duże ryzyko. Ktoś mógłby nas rozpoznać i wyciągnąć niewygodne wnioski. – Następnie pochyliła się w przód i zasłoniła dłonią usta, by jej słowa nie doszły przypadkiem kogoś nieproszonego, choć w pobliżu nikogo nie było. – Pieprzyliśmy się w bagażniku samochodu – wyszeptała.

Matka kiwnęła głową, zacisnąwszy wargi. Zmrużyła oczy, gdy zaczęło padać. Jeanette oczekiwała kolejnych pytań. Skoro zostały na uboczu sam na sam, to chciała mówić dalej.

– W aucie Petera – wyjaśniała, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Ale to były piękne czasy, czyż nie? Gdyby się tak zastanowić, już bez nostalgii. Wyjęła z plecaka swoją flaszkę, bo nie chciała więcej żerować na Matce.

– Popołudniami wyjeżdżaliśmy na wieś. Właściwie, gdzie tylko popadnie, za każdym razem w inną stronę, byle w bezpiecznej odległości od miasta. Zatrzymywaliśmy się na leśnych drózkach, gdzie zimą nikt nie jeździł. Przy leśnych duktach, wiesz, takich porośniętych trawą między śladami po kołach. Raz stanęliśmy na podjeździe opuszczonego domku letniskowego i przez szybę zapukał jakiś facet ze śrutówką. Aleśmy się zwijali, psiakrew! Nakryto nas ten jeden jedyny raz, bo zawsze byliśmy bardzo dyskretni.

Usta jej się nie zamykały. Taki miała dzień, dobry dzień. Zresztą Matka sama zaczęła ją o to wypytywać, Jeanette mogła równie dobrze nawijać dalej, bo nikt inny tego nie robił, a temat najwyraźniej ciekawił koleżankę.

– Z tyłu leżał koc – wspominała. – Taki na wycieczki. Pełen rzepu, którego nie sposób było się z niego pozbyć, kulek przylepiło się do niego setki. Znacząco pewnie można było je wyskubać, ale kto by czyścił stary koc z tyłu łopianowych kuleczek? Okrywaliśmy się nim od strony bez rzepu, składaliśmy tylne siedzenia i włączaliśmy stację ze spokojnymi kawałkami. Bardzo cicho, żebyśmy słyszeli, gdyby ktoś się zbliżał. A potem się kochaliśmy, aż auto się kołysało.

Jeanette uśmiechnęła się od ucha do ucha. Matka zajęta papierosem puszczała kółka z dymu, które dryfowały w powietrzu, deformowane słabym, już prawie nieprzypominającym mżawki deszczem. Jeanette odniosła wrażenie, że Matka straciła zainteresowanie, i zastanawiała się, czy w ogóle jej słucha. Ale to w sumie nic. Jeanette chciała pozostać we wspomnieniach.

– Był fantastycznym człowiekiem – ciągnęła. – Znacznie twardszym niż ja. Wszystko widział jakby w jasnych barwach: dostrzegał możliwości, gdzie ja wietrzyłam ryzyko. Chociaż wtedy żaden był ze mnie mazgaj. Odważyłam się rozpostrzeć skrzydła, ośmieliłam jeszcze raz zasmakować młodości oraz

miłości. Sądysz, że zły ze mnie człowiek, Matko? Tak sądzisz?

Matka wydmuchała dym papierosowy kącikiem ust. Pstryknięciem palców wyrzuciła peta na mokry asfalt i patrzyła, jak gaśnie na deszczu. Następnie skrzyżowała ręce na piersi, wkładając dłonie pod pachy, i się skuliła. Nie spojrzawszy na Jeanette, potrząsnęła głową.

– Przecież sama tak sądzisz, chyba to wystarczy? Jesteś dla siebie zbyt surowa.

Jeanette nie była pewna, o co jej chodzi.

– Co masz na myśli? – zapytała z wahaniem.

– Chciałaś o tym opowiedzieć – stwierdziła Matka. – Akurat teraz nie ma tu nikogo poza mną. A kim ja jestem, żeby oceniać innych?

– O czym chciałam opowiedzieć? Kiedy?

– U ciebie w domu. Kiedy przyszła policja.

– Ale... ciebie tam nie było, więc jak...?

– Byłam. Przecież nie puściłabym cię do domu samej z dwoma nawalonymi chłopami.

Deszcz stukał o kaptur, a przed nimi tworzyły się kałuże. Jeanette wyjęła z plecaka butelkę, wzięła łyk i kolejny, po czym schowała ją pod kurtkę przeciwdeszczową. Matka rzeczywiście mogła być u niej w domu – pole widzenia Jeanette ograniczało się wtedy do łóżka, na którym siedzieli Lubbe z Jimmym. A tego, że Lubbe przekabacił ją, aby ta straszna historia ujrzała światło dzienne, raczej by nie zapomniała. Że niemal nie mogła się doczekać, by już było po wszystkim, że na pewno by ją znienawidzili, ale jednak byłoby to lepsze niż duszenie tego w sobie. Teraz siedziała sam na sam z Matką, która nigdy nie powiedziałaby na nią złego słowa, nie oceniałaby jej ani nie odrzuciła. Jeanette trafiła się okazja, by wypluć z siebie cały jad; by ten ciężar nieco zelżał.

Rozsądek chciał dojść do głosu: opowiedzenie tej historii komukolwiek

nie mogło być dobrym pomysłem. Wówczas wyplątała się z sidła w ostatniej chwili – teraz nie było ratunku na horyzoncie. Czy na pewno wiedziała, w co się pakuje?

Odezwały się uczucia: i już tam była. W ramionach Petera, w których chciała pozostać. Miała dobry humor, była rozmowna, zobojętniała i niesentymalna. Nadarzyła jej się okazja, by sobie ulżyć – szansa, która pewnie się nie powtórzy w równie sprzyjających okolicznościach.

– Znienawidzisz mnie – ostrzegła Jeanette.

– Nienawiść to mocne słowo – odparła Matka.

Jeanette już miała zapalić papierosa, ale ulewa temu nie sprzyjała.

– To było w styczniu – zaczęła. – Wtedy widziałam Petera po raz ostatni, choć wówczas nie zdawałam sobie z tego sprawy. Jechaliśmy gdzieś w las, nie wiedząc dokładnie dokąd, jak zwykle zresztą. Rozmawialiśmy o przyszłości, naszej wspólnej. Lawirowaliśmy wokół tematu, żadne z nas nie powiedziało tego wprost. Dla namiętnego zakochania, za którym może nie kryło się nic więcej, byliśmy gotowi poświęcić wszystko, co dotychczas zbudowaliśmy. Nachodziły mnie ponure myśli. Czułam się splamiona, przepełniona pożądaniem do mężczyzny, który należał do innej. Oszukiwałam i okłamywałam męża. Wiem, że można, a nawet powinno się dać sobie przyzwolenie na żywienie tak mocnych uczuć do drugiej osoby, że można postąpić jak ja. Ale to oszustwo... Poza tym to była tylko jego namiastka w całej tej historii.

Matka słuchała, nie komentując, lekko pochylona w przód, by chronić się przed deszczem. Jeanette postanowiła mimo wszystko zapalić, też mogła się zgarbić, osłaniając płomień dłonią oraz całą sobą.

– Droga zaczęła się pokrywać lodem, więc postanowiliśmy nie oddalać się bardziej od miasta. Zatrzymaliśmy się w pierwszym lepszym miejscu, lądując na małej ścieżynie, takiej dla maszyn leśnych, biegnącej od głównej drogi. Zaparkowaliśmy na samym jej końcu, co i tak nie było zbyt daleko od trasy, może ze trzydzieści metrów, ale za to drzewa zasłaniały nas całkiem

przyzwyczajenie. Kiedy mnie dotykał, zdejmował ze mnie ubrania, zapominałam o szarej codzienności. Zapominałam o wszystkich wątpliwościach co do naszego związku i naszej przyszłości. Żyłam chwilą, trzymał mnie w ramionach, a to było sensem mojego życia. Mogłabym przysiąc, że on czuł podobnie. Peter.

Jeanette podała Matce szluga. Pomyślała, że może się nim z nią podzielić, skoro wkrótce miały dzielić o wiele więcej. A może to ostatni raz, kiedy cokolwiek je łączyło.

– Coś nam jednak przeszkodziło. Rozległ się ogłuszający huk, który przerwał panującą wokół ciszę. Usiedliśmy, ale nic stamtąd nie widzieliśmy. Naciągnęłam spodnie i sweter, a potem wyszłam tylnymi drzwiami. Włożyłam na nogi śniegowce, które zostawiłam na zewnątrz, śpiesznie chwyciłam płaszcz i narzuciłam go na siebie, wybiegając na główną drogę. Hałas ucichł, ale kiedy minęłam drzewa, zobaczyłam, co się stało. Samochód zjechał ze śliskiej drogi, a teraz leżał na dnie głębokiego wąwozu. Całkiem zmiażdżony, prawie jak kartka papieru zgnieciona w dłoni. Silnik zgasł, ale jeszcze dymił. Pomyślałam, że nikt by nie przeżył takiego upadku. Wtedy uniosłam wzrok i zobaczyłam inny samochód, niebieskie audi, na drodze kawałek dalej. Cofnął kilkadziesiąt metrów, żeby – takie odniosłam wrażenie – zobaczyć, co się dzieje na dnie przepaści. Dotarło do mnie, że audi równie dobrze mogło spowodować wypadek, więc wyjęłam telefon z kieszeni płaszcza i zrobiłam zdjęcie auta. Na pewno się nie myliłam, bo po jakiejś minucie, nie otworzywszy nawet drzwi, odjechał. Uciekinier, ma się rozumieć, który nawet nie wyszedł z samochodu, żeby zobaczyć, co narobił.

Matka pokiwała głową w zamyśleniu, po czym zaciągnęła się jeszcze raz, zanim oddała papierosa Jeanette. Jak na razie jej nie przekreślała. Choć to może tylko kwestia czasu. Jeanette wypaliła szluga, wyrzuciła peta w deszcz, a potem zaczerpnęła tchu, by przygotować się przed ostatnią, najbardziej przerażającą częścią historii. Która nie dawała jej spać w nocy i nękała ją całymi dniami.

O wielkim oszustwie. O dwóch wielkich oszustwach, gwoli ścisłości.

ROZDZIAŁ 28 | SANDRA

Pewnego wieczoru, kiedy Sandra zdążyła już położyć się do łóżka, ale jeszcze nie spała, dobiegł ją odgłos kroków na ganku. Takie rzeczy przytrafiały się nagminnie, kiedy się mieszkało na wsi. Niekiedy udawało jej się przyłapać intruza na gorącym uczynku, innym razem znajdowała ślady następnego ranka. W lecie nie miały takiej potrzeby, ale w pozostałe pory roku sarny nie omieszkały chodzić po schodach, jeśli znalazł się ku temu jakiś jadalny powód. Na przykład doniczka z więdnącymi roślinami albo – jak teraz – wiosenne kwiaty, które już zrobiły swoje.

Odgłos nieproszonego gościa ją rozbudził, a jasny majowy wieczór nie ułatwiał ponownego zaśnięcia. Przeciwnie, uruchomiła się cała machina myśli i jakkolwiek by na to patrzeć, Hallin zajmował w niej czołowe miejsce.

Nie odzywał się już od tygodnia. Zastanawiało ją, w jaki sposób rozumuje człowiek taki jak on w obecnej sytuacji zagrożenia.

Przed samym sobą chyba by się nie wypierał. Z pewnością pamiętał, co zaszło. O ile oczywiście nie zgwałcił tylu kobiet, że sam stracił rachubę, lecz to było mało prawdopodobne, ponieważ Sandra nie słyszała, żeby na Gotlandii grasował gwałciciel. Spostrzeżenie to nieco ją ubodło, kiedy w rozmyślaniach zakładała, że inne dotknięte podobnym problemem kobiety zareagowałyby rozsądniej niż ona i zgłosiłyby napad.

Tak czy owak, wszystko wskazywało na to, że Hallin główkuje teraz, spekulując, dokąd zaprowadzi go to cholerstwo, w które się wplątał.

Najłatwiej oczywiście byłoby sypnąć kasą i po sprawie. Możliwe jednak, że nie udałoby się to bez wzbudzania podejrzeń czy pytań żony, co mogło być gorsze od śmierci. Może rzeczywiście po prostu nie było go stać, choć to

mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę jego wiek oraz pozycję społeczną. Trzy tysiące siedemset koron miesięcznie odżałowałyby większość ludzi znajdujących się w podobnej sytuacji życiowej.

Inną opcją było zostawienie Sandrze wolnej ręki przy zgłoszeniu sprawy służbom socjalnym, po czym on, po przeprowadzeniu testu na ustalenie ojcostwa, i tak byłby zmuszony płacić alimenty równe – dość dobrodusznym – wyliczeniom Sandry. Co w takim razie też nie umknęłoby uwadze żony, której się obawiał. Ponadto istniało ryzyko, że Sandra wniesie przeciw niemu oskarżenie o gwałt – co musiało go przerażać. Może jednak nie wierzył, że ona miałaby siłę wszczynać proces po tylu latach, a potem go wygrać. Możliwe, że żywił również nadzieję, że tak naprawdę nie był ojcem dziecka, więc nie zamierzał przelewać na jej konto złamanego grosza, dopóki mu tego nie udowodni.

Trzeci wariant to najwyraźniej schowanie głowy w piasek w nadziei, że zagrożenie samo zniknie. Taktykę tę przetestował już przy próbie szantażu cztery lata wcześniej i wówczas poszło mu świetnie.

Istniał rzecz jasna jeszcze jeden scenariusz, nawet jeśli Sandra odrzuciła go, uważając za mało realistyczny. Zawsze mógł przecież spróbować zastraszyć tę dzirę, żeby siedziała cicho.

Następnego ranka, gdy Sandra szła z Erikiem do samochodu, zauważyła na podłodze przed drzwiami wyjściowymi coś na kształt bukietu, zawiniętego nie w tradycyjny papier z kwiaciarni, ale w gazetę.

Kazała Erikowi zaczekać na zewnątrz, a sama zeszkrobała taśmę, wyjęła kwiaty z opakowania, po czym włożyła je do wazonu i postawiła na stole w kuchni. Były piękne, ale nie znalazła przy nich żadnego liściku ani nic, co zdradzałoby nadawcę.

Rano zawsze brakowało czasu, więc Sandra przestała się tym martwić: podrzuciła Erika do przedszkola i pojechała do pracy. Wieczorem zjedli kolację u rodziców, a dopiero po powrocie do domu i ułożeniu synka do snu zaczęła się zastanawiać nad kwiatami.

Nie miała żadnego wielbiciela, o ile jej wiadomo. Nie było też okazji do świętowania, nie wygrała w totolotka, nie dostała podwyżki, nie obchodziła teraz urodzin ani nawet imienin. Chociaż, chwileczkę – czy imieniny Erika nie wypadały przypadkiem w maju? Dokładniej mówiąc, dzisiaj, co odkryła, rzuciwszy okiem w kalendarz. Takich rzeczy jednak nie świętowali, a poza tym – kto traciłby pieniądze na kupowanie kwiatów trzylatkowi? W dodatku bez kartki z życzeniami, z której miałby pewnie większą pociechę niż z samych kwiatów.

Botanika nie była najmocniejszą stroną Sandry, ale wydawało jej się, że te białe z okazałymi pręcikami, których pyłek – jak wiedziała – przekłęcie farbował, mogły być jakąś odmianą lilii. Pozostałe wprawdzie kojarzyła, ale nie miała podejrzeń co do ich nazwy. Po chwili googlowania znalazła. Kwiat nazywał się kalia, co właściwie wiedziała, ale zmylił ją kolor. Sandrze wydawało się, że kalie widywała dotąd w odcieniach czerwieni, może też w kilku innych kolorach. Ale nigdy o tak ciemnoniebieskiej barwie, niemal czarne.

Białe lilie i czarne kalie, dumiała, kiedy dosięgło ją nieprzyjemne uczucie. Nietrudno odgadnąć, jakie znaczenie niosą ze sobą czerń i biel, ale same gatunki? Czy miały ukrytą symbolikę?

Jak najbardziej – lilia symbolizuje niewinność. Jak dowiedziała się Sandra, Dziewica Maryja przedstawiana jest nierzadko z lilią, nawiązującą do niepokalanego poczęcia. Według niektórych źródeł kwiat ten może oznaczać próżność. Kalia zdaje się nie mieć znaczenia jako takiego, poza tym, że często pojawia się w okolicznościach pogrzebowych. Podobnie jak lilia.

Sandra może powinna wpaść w popłoch, zabić gwoździami wszystkie okna i rozłożyć w ogrodzie miny. Mogła wyrzucić bukiet, żeby nie musieć już na niego patrzeć.

Rozbudziła się ogarnięta złością. Kwiaty były przepiękne – starannie wyrzeźbione dłonią natury w jakimś lesie deszczowym po drugiej stronie globu. Pozwoliła im więc stać w całej swej okazałości na środku stołu

w kuchni, w niemym proteście oraz jako przypomnienie o pogardzie, którą czuła dla tego mężczyzny.

Posunięcie Hallina było w gruncie rzeczy infantylne: insynuacje o niepokalanym poczuciu i próżności dostarczone w gazecie w dniu imienin Erika, z wyraźnym odniesieniem do śmierci i pogrzebu. Nie ulegało wątpliwości, że miało to napędzić jej stracha. Próbował ją zastraszyć, by odwołała swoje żądania i dała mu spokój.

Bo inaczej co? Czeka ją śmierć i pogrzeb?

Bukietu kwiatów nie można – nawet przy najszczerzych chęciach – traktować jako groźby targnięcia się na czyjeś życie w prawnym tego słowa rozumieniu, więc mieszając w sprawę policję, tylko by się ośmieszyła. Poza tym nie traktowała groźby poważnie. To ostatnie nieudolne posunięcie miotającego się mężczyzny, który widzi, że nie ma szans wygrać bitwy.

Patrząc na to wszystko z boku, śmierć i niewinność zapakowane w papier drukarski to inspirująca myśl. W głowie zakiełkował jej plan. Zacisnąwszy pięści, przyglądała się dumnym kwiatom i stwierdziła, że życie chyba już nigdy nie będzie takie samo.

Wciąż ani śladu po zaginionym 41-latku

Minęły ponad dwa tygodnie od zniknięcia 41-letniego Petera, widzianego po raz ostatni w centrum Visby. Pomimo znacznego wkładu w poszukiwania oraz pomocy między innymi ze strony Obrony Kraju mężczyzny wciąż nie odnaleziono.

Zaginionego widziano po raz ostatni 4 lutego. Miał opuścić miejsce pracy w porze obiadowej, po czym ślad po nim zaginął. Jego samochód stał na pobliskim parkingu. Tam również zarejestrowano ostatnią aktywność jego telefonu. Poszukiwania tracą odtąd na intensywności.

Mężczyzna mierzy 178 cm, waży 76 kg, ma ciemne krótko przystrzyżone włosy. W chwili zaginięcia prawdopodobnie miał na sobie ciemne spodnie, jasną koszulę i czarną kurtkę.

„GOTLANDS ALLEHANDA”

Styczeń – luty 2014

ROZDZIAŁ 29 | **KARL-ERIK**

Przysnął na chwilę na promie w drodze na wyspę, więc jadąc do domu, czuł się dość wypoczęty. Na Gotlandii ziąb jak w psiarni, nie tak jak poprzedniego dnia rano, kiedy opuszczał wyspę. Temperatura spadła już do zera. Musiał jechać ostrożnie, bo na szosie zaczynała groźnie zamarzać warstwa rozciapanego śniegu.

Ale było już niedaleko. Wkrótce będzie w ciepłym domu, gdzie Kerstin – miał nadzieję – czeka na niego z małą niespodzianką. Po prostu tak zakładał po tych wszystkich latach oczekiwania. Akurat w tym momencie poczuł, że może jednak było warto. Nie powtórzyłby tego, absolutnie, a gdyby miał jeszcze raz przeżyć ostatnie trzydzieści lat, to dokonałby innych wyborów. Odtąd jednak mieli przed sobą lata, które wyglądałyby zupełnie inaczej, gdyby nie tych trzydzieści minionych. Musiał więc myśleć w ten sposób, że mimo wszystko było warto. Że on, to jest oni – Kerstin oczywiście również – na to zasługiwali. W przeciwnym razie wszystko na nic, a nie chciał w ten sposób patrzeć na swoje życie.

Dotarło do niego, że zapomniał do niej zatelefonować, obiecał zadzwonić po dobieciu do brzegu. Żeby mogła przygotować, co zaplanowała. Uśmiechnął się, pomyślawszy o tym. Zawsze mógł liczyć na Kerstin. Nie tylko w kuchni. Wytrzymała z nim, a to już o czymś świadczyło. Cierpliwie na niego czekała przez te wszystkie lata, zamiast znaleźć sobie innego faceta. Co zresztą – w dobroci swojej natury, równocześnie wiedząc, że to niewłaściwe – zaproponował jej jeszcze na początku. To jednak nie wchodziło w rachubę. Z jakiegoś niepojętego powodu najwyraźniej go kochała.

– Moja gołąbeczko! – krzyknął, kiedy odebrała telefon.

Tylko się zaśmiała, przyzwyczajona do jego teatralnych wyznań miłosnych.

– Zapomniałem zadzwonić, przepraszam.

– Domyśliłam się – powiedziała Kerstin. – Ale wiedziałam, o której przyływa prom. Wszystko w porządku?

– Jestem na Gotlandii. Mam dość paliwa. Opony napompowane. Pasy zapięte. W lusterku nie widzę żadnego samochodu, a na drodze ani śladu po kozłach hiszpańskich. Co może pójść nie tak?

– Odpukać. Gdzie jesteś?

– Właśnie minąłem to skrzyżowanie ze znakiem Sarve coś tam w lewo, a Lilla coś w prawo.

– Brzmisz, jakby cię tu pierwszy raz przywieźli. – Znów się zaśmiała. – Havdsarve i Lilla Lärs. Przecież to nie takie trudne!

– Mieszkam tu dopiero od dwóch lat! A ty jesteś tu od dziesięciu. Wszystkie miejsca na tej wyspie mają jakieś pojebane nazwy. Co dziś pijemy?

– Przygotowałam whisky sour, tyle mogę zdradzić. Ale pomyślałam, że możemy zacząć od kieliszka szampana.

– Oho, na bogato, moja ukochana żono!

– A czy to źle?

– Oczywiście, że nie. To pierwszy dzień naszego nowego życia. A co na kolację?

– Tutaj musisz się uzbroić w cierpliwość. Jedź ostrożnie, pewnie jest już bardzo ślisko.

– Racja. *Love you, baby!*

– Ja też cię kocham. Całusy.

Ile mu jeszcze zostało? Może jakieś dwadzieścia pięć kilometrów? Przy

obecnych warunkach pogodowych około czterdziestu pięciu minut. Jechał z przesadną przezornością, nic nie mogło pójść niezgodnie z planem. Nie tym razem, kiedy gra toczyła się o tak wiele. Wjeżdżając w zakręt przy starym kamieniołomie wapienia, zwolnił jeszcze bardziej, myślał o stadninie koni, którą mieli kupić, a także o Kerstin w kaloszach i olejaku, jak mawiano w rodzinnych stronach Karla-Erika. Wtem zauważył, że barierka przy wąwozie została zdemontowana, i stwierdził, że styczeń to wyjątkowo beznadziejny czas na tego typu prace.

Dokładnie w tym samym momencie spostrzegł nadjeżdżający samochód, który wyrósł za kolejnym skrętem, na niewłaściwym pasie, jadący z prędkością niedostosowaną do tego miejsca i warunków drogowych – nawet dzieciak by to zrozumiał. Audi nie próbowało uniknąć kolizji, a więc Karl-Erik musiał wziąć sprawy w swoje ręce, zahamować i w razie czego zmienić ruch na lewostronny. W razie czego, bo audi wciąż miało szansę zjechać na swój pas oraz wyhamować, żeby uniknąć czołowego zderzenia. Ale audi zwyczajnie jechało prosto na niego, cholernie szybko – wątpliwe, że jego kierowca w ogóle zwolnił. Do Karla-Erika dotarło w ostatniej chwili, że sam musi zareagować – musi skrócić. Tak więc zrobił i natychmiast tego pożałował: poczuł, że opony tracą przyczepność, a auto sunie po jezdni niemal na boku, a potem wylatuje w powietrze poza jej krawędź i koziołkuje w nieprawdopodobny sposób: to nigdy, przenigdy nie miało szans dobrze się skończyć.

Kiedy się obudził, nie otwierał oczu. Zamiast tego chwycił się wyobrażenia Kerstin w kurtce od Barboura ze szklanką whisky sour w dłoni. Ciężko mu było jednak oddychać, więc zasnął. Następnym razem, gdy odzyskał przytomność, miał wręcz nieznośnego kaca: pulsujący ból głowy, a w ustach sucho jak Beduin w burzy piaskowej. Kerstin zrobiła za mocne drinki, jak zwykle. Przy trzecim przebudzeniu ujrzał kobietę, którą na początku wziął za Kerstin, lecz gdy zrozumiał, że się myli, znów zamknął oczy, ponieważ już nigdy nie zamierzał jej zawieść, nie Kerstin. Potem chciał jeszcze raz podnieść powieki, bo już wyobrażał sobie to, co chciał – jedynie

dobrych ludzi w pięknych miejscach, gdzie panowała wolność, przestrzeń
i gdzie nie było miejsca na ból.

ROZDZIAŁ 30 | JEANETTE

Gdy audi odjechało, instynktownie pośpieszyła w dół skarpy, nawet się nie zastanawiając nad tym, że nie ma na sobie odpowiednich ubrań do tego rodzaju eskapad. Licząc w metrach, to nie aż tak głęboko, ale za to stromo, a teren był trudno dostępny. Ześlizgiwała się, zjeżdżając kawałek razem z toczącymi się kamieniami i lądując na pośladkach, ale nie dbała o to – wstawiała i szła dalej. Musiała jak najszybciej dostać się na dno kamieniołomu, nieważne, czy będzie ją to kosztowało skręconą kostkę lub rozerwaną kurtkę.

Peter wystartował później, ale miał mocniejsze nogi, więc dogonił ją, kiedy już prawie dotarła na dół. Gdy Jeanette przedzierała się przez chrust w drodze do drzwi od strony kierowcy, zatrzymał się.

– Ja chyba wymiękam – oświadczył. – Ty popatrz pierwsza.

– Nie najlepiej to wygląda – stwierdziła, doszedłszy do samochodu. – Jest totalnie zmasakrowany.

Miała ochotę się rozplakać, zacząć krzyczeć. Widok był okrutny: auto przypominało harmonijkę, mężczyzna siedział zakleszczony za kierownicą zmiażdżonego pojazdu. Przypuszczalnie już nie żył, bo twarz miał zalaną krwią, na czole głęboką, paskudną ranę, a prosto z krtani wystawał mu wielki odłam szyby niczym wbity nóż. Obraz jak z horroru, to nie mogło się dzieć w rzeczywistości.

– Czy w samochodzie ktoś jeszcze żyje? – spytał Peter z pewnej odległości.

Obszedł auto i w końcu przystanął na jego tyłach.

– Nie sędzę – odparła Jeanette. – Widzę tylko kierowcę, wygląda na to, że jest sam. Musimy spróbować go stamtąd wyciągnąć.

Tak naprawdę nie miała na to siły, wydawało jej się, że może zemdleć w każdej chwili, ale musiała opanować własne emocje i potrzeby i stanąć na wysokości zadania. Dopiero wtedy wpadła na to, co oczywiste: muszą wezwać pomoc. Powinna była to zrobić od razu, ale nie pomyślała, popędziła tylko na ślepo w dół przepaści.

– Peter, dzwoń pod 112 – poleciała. – Ja otworzę drzwi i spróbuję go wyciągnąć.

Czy w ogóle zdołałaby otworzyć drzwi? Pewnie nie, bo były wgniecione i pokiereszowane do tego stopnia, że potrzebny byłby kilof do ich wyważenia, a chyba i to za mało. Może trzeba tu palnika do cięcia metalu. Ogarnęła ją panika, brało ją na wymioty, miała ochotę się rozryczeć, prawie mdlała, chciała się po prostu obudzić z tego koszmaru o rozerwanym mięsie, krwi, szkle i zgniecionej blasze. Po co tu zesła? Lepiej było po prostu zadzwonić na dyspozytornię i zostawić tę robotę profesjonalistom.

– Peter, dzwoń pod 112! – Tym razem już wrzasnęła. Dlaczego nie reagował?

Szarpnęła za drzwi, ale ani drgnęły.

– Chodź tu na chwilę – odezwał się wreszcie Peter.

– Musimy zadzwonić, Peter, dzwoń już!

Z całej siły podparła się piętą, postawiwszy ją na środku drzwi, w nadziei, że coś się ruszy, lecz na próżno.

– Najpierw muszę ci coś pokazać – powiedział. – Chodź tutaj.

Znów kopnięcie, raz po raz szarpała za klamkę, ale bez skutku. Ostatnie walnięcie w drzwi, raczej z bezsilności niż w nadziei.

Jeanette niechętnie odwróciła wzrok od ofiary wypadku, która wciąż nie dawała znaku życia, po czym wygramoliła się, minąwszy głaz, i dalej przez

chaszczę, aż dotarła na tył wraku, przy którym stał Peter.

– Spójrz – rzucił.

Drzwi bagażnika poluzowane przy upadku stały otwarte na oścież, zauważyła to już z drogi. Ale zupełnie nie zwróciła uwagi na ładunek, czyli na małą walizkę i dwie sportowe torby. Obie były otwarte, przeczuwała, że Peter z jakiegoś powodu rozsunał zamki.

Z początku Jeanette nic nie rozumiała. Nie pojmowała, jakie znaczenie miała zawartość toreb akurat w tak tragicznym momencie, ani też jak to możliwe, że jedna osoba ma tyle pieniędzy.

– Żyje? – zapytał ponownie Peter.

– Nie jestem pewna. Ale potwornie to wygląda. Chyba ma pękniętą czaszkę i... Nie sądzę, żeby w ogóle był w stanie oddychać.

– Dzięki tym pieniądzom możemy zbudować wspólną przyszłość.

Dziwne stwierdzenie, przecież to nie ich kasa.

– On nie żyje, prawda? – dociekał.

– Tak mi się wydaje – odrzekła bliska płaczu. – Tak czy inaczej, musimy zadzwonić... Dlaczego nie dzwonicz?

– Jeanette, jak myślisz, skąd on wziął tyle szmalu? To gotówka, więc raczej tyle nie zarobił ani nie wygrał w totka. Nikt nie będzie jej szukał, wierz mi.

– Przecież te pieniądze muszą być czyjeś – zaprotestowała Jeanette, która czuła się w tej sytuacji bezradna.

– Ten facet musiał je skądś wytrzasnąć. Gwarantuję ci, że zrobił to nielegalnie. On nie żyje, a my tu sobie stoimy. Nie bądźmy frajerami.

– Nie wiem. – Zawahała się. – Nie możemy po prostu zadzwonić pod 112?

– To chyba możemy zostawić komuś innemu? Już i tak za późno, a poza

tym to nie my spowodowaliśmy śmierć tego oszusta. To nasza życiowa szansa. Ty i ja, Jeanette, możemy sobie kupić ładne mieszkanie, może nawet dom. Możemy wyjechać w podróż.

Słyszała, co mówi, a był przekonujący, gdy tak na nią błagalnie patrzył z błyskiem w aksamitnym spojrzeniu. Chciała już stamtąd iść, była wyczerpana psychicznie i fizycznie, nie miała sił podejmować jakichkolwiek decyzji. Chciała odejść od tego zmasakrowanego ciała we wraku samochodu, od chłodu oraz nadciągającej ciemności i już nigdy więcej nie myśleć o tym dniu.

– O jaką kwotę w ogóle chodzi? – zapytała, pełna sprzecznych emocji.

– Musi tu być kilka milionów. Na moje oko trzy.

– Trzy miliony?

– Może więcej.

– Nie wiem... Po prostu chce mi się ryczeć... To wszystko takie straszne.

Ale Peter wziął ją w ramiona, mocno objął i kołysał lekko w tył i przód, jakby usypiał małe dziecko.

– Nie róbmy nic, czego później będziemy żałować – szeptał jej we włosy. – Taka szansa się nie powtórzy.

Oczywiście, miał rację. Już to zrozumiała. Jak dobrze, że siedzieli w tym we dwoje – we dwoje we wszystkim, co ich czeka. Nie chciała go powstrzymywać, nie chciała zaprzepaścić ich szansy na cudowną przyszłość.

Odpuściła więc. Otarła łzy, otrzepała się z gałązek, igliwia oraz gliny, którą zauważyła na swoim płaszczu. Jeszcze raz obeszła samochód dla pewności, że dla mężczyzny nie ma już nadziei, a decyzja o niezaalarmowaniu służb ratunkowych jest właściwa. Musi być. Mężczyzna nie drgnął ani o milimetr, oczy wciąż miał zamknięte, usta na wpół otwarte. Z niejasnego powodu sięgnęła po telefon i z boku od strony kierowcy zrobiła zdjęcie poharatanego ciała. Następnie przedarła się znów do bagażnika, przerzuciła jedną z toreb przez ramię, po czym zaczęła wspinaczkę.

Zatrzymała się kawalek dalej i sfotografowała wrak widziany z góry, z ukośnej perspektywy. Spostrzegła, że Peter wciąż jest na dole.

– Peter, co ty tam jeszcze robisz?! – zawołała. – Pośpiesz się, zaraz zapadnie zmrok!

– Myliłem się! – krzyknął w odpowiedzi. – Musi być tego dwa razy więcej! Słyszałaś?! Sześć cholernych milionów!

Poczekala na niego. Niedługo to trwało, wkrótce był przy niej, a zaraz potem ją przegonił. Już prawie na górze zrobiła zdjęcie rozwalonego auta na dnie kamieniołomu, sama nie wiedziała po co. Może z szacunku do zmarłego. Ktoś musiał udokumentować koniec jego życia, każdy zasługuje na epitafium.

Kiedy stamtąd odjeżdżali, zaczęło porządnie sypać śniegiem. Szybko zrobiło się ciemno, a płatki, wirujące w blasku reflektorów samochodowych, tworzyły dramatyczny kontrast z bezpieczeństwem i ciepłem w środku pojazdu. Po długiej chwili niemego zamyślenia poruszyli drażliwy temat: przyszłości.

– Co zrobimy z pieniędzmi? – Jeanette odważyła się zapytać.

– Pod domkiem volvo, przy domku Azorek. – Peter się uśmiechnął.

– Mam na myśli, co zrobimy z nimi teraz. Gdzie je ukryjemy?

– Ja się tym zajmę. Na razie dobrze im w bagażniku. Ja jeden jeżdżę tym autem, a nikt nie ukradnie samochodu z logotypem firmy. Ale chyba mam pomysł, gdzie możemy je potem przechować.

– Okej – skwitowała.

Peter patrzył przez większość czasu na jezdnię, ale niekiedy rzucał na nią zmartwione spojrzenie. Wreszcie przykrył jej dłoń swoją.

– Kochanie – mówił łagodnie – nie rozpatrujmy tego. Słowo się rzekło, zrobiliśmy to dla nas. Będziemy sobie wdzięczni, rozłożeni na leżakach na Bahamach, z drinkiem z parasolką w garści. Nie niszczy tego teraz.

– Nikomu nie powiem, jeśli to cię martwi – odparła Jeanette. – Nie mam

ochoty siedzieć w więzieniu.

– Nie popełniliśmy żadnego przestępstwa – oświadczył Peter, akcentując każde słowo. Zrobił przy tym ruch dłonią, jakby chciał wyrazić, że już nie pierwszy raz to wyjaśnia.

– Ukradliśmy cudze pieniądze – wytknęła.

– Tak, ale czyje? Jakiś bank stracił kupę kasy, no i co z tego? Przecież dodrukują sobie nowe, na miły Bóg. Zresztą to nie my obrabowaliśmy bank.

Jeanette miała mocne przeczucie, że winni byli innego – znacznie gorszego – wykroczenia, ale dała już spokój. Przede wszystkim dlatego, że nie czuła się na siłach, by dokończyć tę myśl, ale również nie chciała zniszczyć czegoś, co teraz naprawdę ich łączyło. Tego, co rzeczywiście było gwarancją ich wspólnej przyszłości. Skapitulowała wobec tego.

– Masz rację – stwierdziła, gładząc wierzch jego ręki drugą dłonią. – Nie powinnam zabijać nastroju.

– To wstrząsające wydarzenie – mówił Peter. – Zostawmy to za sobą i patrzmy w przyszłość. Okej?

– Umowa stoi – zgodziła się, po czym ścisnęła jego dłoń, zanim ją wypuściła.

Jechali przez chwilę w ciszy, Jeanette patrzyła przed siebie. Rozmyślała o ich kolejnym spotkaniu, jak to będzie. Bardziej intymnie? Bardziej na luzie? Bardziej radośnie?

A może mniej?

Nie, tak nie mogło się stać – w przeciwnym razie na nic wszystko, przez co wspólnie przeszli. Wszystko zależało teraz od niej, właśnie sobie to uświadomiła. Jeśliby się w sobie zamknęła – jak to zwykle ona, kiedy wszystko w domu szło nie tak – to związek skończyłby się, jeszcze zanim się zaczął, z milionami czy bez. Przynurzała sobie, że nie będzie się tak bała, tylko spróbuje utrzymać dobry humor i myśleć pozytywnie, dokładnie tak, jak to robił Peter. Czekala ich świetlana przyszłość – jakże mogła sobie wyobrażać

cokolwiek innego?

– Kocham cię – wymusnęło jej się.

– W końcu! – Peter się rozpromienił. – Ile ja się naczekałem!

Jeanette miała nadzieję, że pociągnie temat dalej. Trochę to trwało, ale wreszcie się odezwał.

– Niepokoisz się? – zapytał, nie odwróciwszy wzroku od trasy.

Milczała, ale z jego wesołego spojrzenia i miny odczytała, że jest na co czekać.

– Chciałem tylko potrzymać cię w niepewności. – Uśmiechnął się. – Ja też cię kocham, czy to nie oczywiste?

I tak, pogładził ją po policzku, przeczesał palcami jej włosy i lekko uszczypnął w kark, zanim ponownie położył dłoń na kierownicy.

– Mało romantyczna chwila – stwierdził. – Ale wydaje mi się, że przez jakiś czas powinniśmy trochę uważać. Nie sądzisz?

Jeanette dobrze o tym wiedziała. Nie, żeby to miało zrobić jakąś różnicę, ale to chyba rozsądne działanie.

– Będziemy musieli wysyłać zakodowane wiadomości. – Posłała mu uśmiech.

– W języku KA?

– Morsem.

– Tylko do czasu, aż wszystko się uspokoi – odparł Peter. – Może ze dwa tygodnie.

– Tyle może wytrzymam.

– Serio?

Jeanette westchnęła.

– Z wielkim trudem – wyznała.

– Ja tak samo. Ale *a man's gotta do* i tak dalej.

Tym razem wysadził ją dobry kawał drogi od pracy, na osiedlu za miastem, gdzie żadne z nich nikogo nie znało. Czekał ją dwukilometrowy spacer, ale nie ryzykowali, że ktoś ich razem zobaczy i wyciągnie wnioski z ich wspólnej nieobecności – co dzisiaj było ważniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

Długo się obejmowali, wymienili szybki pocałunek i się rozdzielili. Jeanette stała chwilę, patrząc na odjeżdżający samochód. Została teraz sama ze strasznymi wspomnieniami wypadku, a to jeszcze bardziej ją przerażało. Nie wiedziała, jak wytrzyma bez Petera dwa długie tygodnie.

Czuła pod skórą, że tygodnie zamieniają się w lata.

ROZDZIAŁ 31 | KERSTIN

Rozłączyła się i ułożyła ostatnie kanapeczki. Szampan i tartinki nie wchodziły w codzienny jadłospis, ale tego dnia się postawiła. Po latach oczekiwań nadchodziło wynagrodzenie. Zadośćuczynienie za ciężkie konsekwencje tak nierozmyślnych, jak nielegalnych czynów, za które Karl-Erik odpowiadał w pojedynkę.

Za skoki – serię rabunków małych i średnich banków oraz punktów pocztowych oddalonych od wielkich miast – odpowiadało ich czworo. Karl-Erik wylądował w pace, a pozostali się wywinęli. Odsiedział w różnych placówkach osiem lat i tyle Kerstin żyła w samotności. Przeprowadziła się na Gotlandię po jego aresztowaniu. Chciała zostawić za sobą stare życie, a – co za tym szło – także destrukcyjne towarzystwo. Zacząć od nowa w miejscu, gdzie nikt jej nie znał, więc Gotlandia nadawała się idealnie.

Karl-Erik wyszedł z więzienia dwa lata temu i odtąd żyli na wsi, z dala od miejskiego zgiełku i corocznej inwazji turystów. Przez ten czas z pewnością miała na nich oko policja, ale oni cierpliwie czekali na właściwy moment. Z łupu o łącznej wartości blisko dwunastu milionów połowa miała przypaść Karlowi-Erikowi na wylizanie ran, a także jako dowód wdzięczności jego kumpli. Prali te pieniądze podczas minionej dekady, więc nie miał powodu do obaw, o ile zachowa się roztropnie i nie będzie szastał kasą na każdym kroku.

Tego dnia pieniądze miały przyjechać do domu. Marzenie o stadninie koni będzie mogło się wówczas ziścić. Stąd to kosztowne świętowanie.

Po upływie godziny od rozmowy naląła sobie wina do kieliszka. Wszystko było przygotowane: stół nakryty, świece zapalone, cały dom tchnął odświętnym nastrojem. To musi być już kwestia minut, ale dobrze, że jedzie

ostrożnie: temperatura spadła poniżej zera, na zewnątrz panowały egipskie ciemności i sypał śnieg. Kerstin krążyła od okna do okna, raz po raz rzucając spojrzenie na działkę przed domem.

Dwadzieścia minut później, gdy już zdążyła wypić wino, zaczęła się martwić na poważnie. Wysyłała do niego SMS-y i próbowała się dodzwonić kilka razy, ale odzywała się poczta głosowa. Rozłądował mu się telefon, a on nawet nie zauważył? Może złapał kapcia i siedzi teraz w kucki w ciemności, zmieniając oponę? Wstawiła tacę z kanapeczkami do lodówki, przysiadła na brzegu sofy i nie mogła zdecydować, co dalej robić. Po niespełna godzinie siedziała w tym samym miejscu, nerwowo splótłszy dłonie, tworząc w myślach różne dramatyczne scenariusze.

Niemożliwe, żeby na którymś odcinku drogi nie było tak długo zasięgu. Zmiana przebitej opony nie zajmuje aż tyle czasu. Powinien się chyba odezwać, jeśli nie stało się coś poważnego.

Może jednak policja depta mu po piętach? Co, jeśli tamci wcale nie są tacy solidarni, za jakich się podawali, i zostawili go na ciemnym odludziu, odebrawszy mu życie? Albo związali go i wsadzili do bagażnika samochodu? Co było równoznaczne ze śmiercią, ponieważ zanim ktokolwiek znalazłby porzucone auto – a stałoby się to pewnie dopiero nad ranem – zamarłoby na śmierć. A może inni kryminaliści jakoś się o tym wszystkim dowiedzieli i zrobili coś podobnego?

Istniało oczywiście takie ryzyko, ale zabójstwo...? Prawdopodobieństwo, że wydarzyło się coś takiego – szczególnie pod koniec przedsięwzięcia – było według obliczeń Kerstin niemal zerowe.

Mieli tylko jedno auto, więc nie mogła zacząć go szukać, co – zważywszy na okoliczności – byłoby pomysłem skazanym na niepowodzenie. Najprawdopodobniej uległ wypadkowi przez tę niefortunną pogodę i przewieziono go do szpitala.

Z dudniącym sercem zatelefonowała na pogotowie przy szpitalu w Visby. Sam fakt, że musiała to zrobić, wzbudzał okropne uczucia, ale wiadomość, że

nie przyjęli pacjenta odpowiadającego opisowi Karla-Erika ani noszącego jego imię, wcale jej nie uspokoiła.

Każdy rozsądny zadzwoniłby oczywiście na policję. Kerstin biła się z myślami, rozważając wady i zalety takiej decyzji, aż wreszcie stwierdziła, że więcej mogłaby na tym stracić, niż zyskać. Może Karl-Erik miał powody ku temu, by na chwilę odsunąć się na bok, może nawet ze względu na Kerstin. Skąd mogła wiedzieć, z kim lub z czym musiał się zmierzyć od ich ostatniej rozmowy? Nikogo by nie uszczęśliwiła, nasyłając na niego policję – wręcz przeciwnie. Mogła zniszczyć to, o co tak długo walczyli.

Nie było jeszcze tak późno, by ruch na drodze zupełnie ustał. Nawet jeśli większość ludzi starała się zostać w domu przez panujące warunki pogodowe, to gdyby doszło do wypadku, ktoś by to zgłosił. Policja byłaby już na miejscu, a jeśli Karl-Erik został aresztowany z powodu zawartości bagażnika, toby ją o tym w porę zawiadomili.

Podsumowując, Kerstin nie mogła zrobić nic innego, jak tylko czekać. Prędzej czy później otrzyma odpowiedź na wszystkie swoje pytania. Cierpliwość jest gorzka, ale jej owoce słodkie – czy nie tak powiadają? W każdym razie to sobie wmawiała, kiedy już zdmuchnęła wszystkie świece, a potem położyła się do łóżka i próbowała zasnąć.

W kolejne dni gasła nadzieja na szczęśliwe rozwiązanie. Kerstin czuła się fatalnie, nie mogąc się zdobyć na nic innego poza jazdą autobusem w któreś z miejsc mijanych po drodze przez Karla-Erika. Odbyła długie, wyczerpujące wędrówki na wietrze, bez powodzenia. Wszystko po to, by potem spędzać noc w duchowej mroczni, o jakiej nigdy nie śniła. W całkowitej izolacji od świata, w kłującej samotności, jakiej nawet nie musnęła przez osiem długich lat oczekiwania. Czas się zatrzymał: cztery dni w niepewności były gorsze niż osiem lat z wyraźnym punktem końcowym.

Wreszcie wyszło słońce, a z nim przyszły dodatnia temperatura i roztopy. Dwaj policjanci, którzy zawitali do niej pewnego popołudnia z poważnymi minami i furażerkami w dłoniach, podali pogodę jako powód tego, że

zmasakrowanego pojazdu nie było widać z drogi aż dotąd.

– Samochód odnaleziono na dnie wąwozu przy Madvarze – mówił ten bardziej gadatliwy. – Musiało go zupełnie zasypać. Wie pani, gdzie to?

Wiedziała, bo Karl-Erik dojeżdżał właśnie do Madvaru, kiedy do niej dzwonił, ale nie była w stanie tego skomentować. Czuła, jak odpływa z niej krew, i dała im się poprowadzić – niemal zanieść – na kanapę w salonie. Kiedy się już trochę otrząsnęła, przedstawiono jej garść informacji technicznych, by stworzyć obraz zajścia. Ślizgawica, ciemność, padający śnieg, wypadek z udziałem jednego samochodu – słowa, które w żaden sposób nie pomagały w poradzeniu sobie z traumą. Potem nastąpiły oczywiste pytania, na które nie mogła odpowiedzieć:

– Kiedy właściwie mąż miał wrócić do domu?

– Nie wiem.

– Nie rozmawialiście państwo ze sobą?

– Może chciał mi zrobić niespodziankę.

– To znaczy nie miała pani zielonego pojęcia, czy mąż miał przyjechać w zeszły czwartek albo dzisiaj, albo w któryś dzień w przyszłym tygodniu?

Kerstin wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową, udając głupią.

– Dlaczego nie zgłosiła pani jego zaginięcia?

– Przecież nie wiedziałam, że zaginął.

Kerstin dawała coraz to nowe niejasne, osobliwe odpowiedzi, które bez trudu można by podważyć bilingami rozmów, gdyby zaszło podejrzenie o nieścisłości informacji. Co jednak się nie wydarzyło, bo z wraku samochodu zabrano rzeczy osobiste ofiary, które teraz, bez ceregieli, przekazano w ręce Kerstin.

Walizkę kabinową położono przed nią na stoliku w salonie. Oczekiwano, że otworzy ją na ich oczach, lecz zawartość nie okazała się fascynująca – leżały w niej jedynie ubrania oraz kosmetyki. Należały do Karla-Erika, przez

co miały znaczenie dla Kerstin. Nie zaś dla dwóch policjantów, którzy cierpliwie czekali, gdy grzebała w walizce. Ze łzami w oczach spoglądała to na jednego, to na drugiego, a oni uciekali wzrokiem, po czym podali jej jakieś narzędzia, apteczkę i parę płyt CD, które cudownym sposobem przetrwały wypadek.

– To wszystko – oznajmił jeden z nich.

Powiedział to bez wahania, które powinna wyczuć, gdyby w aucie znajdowało się coś więcej, bardziej interesującego, o czym może Kerstin wiedziała. Ona też nie dopytywała – było oczywiste, że ktoś zabrał pieniądze, zanim policja wkroczyła na miejsce wypadku.

A nazajutrz wyszło na jaw, że stało się to, zanim śnieg przykrył samochód. W towarzystwie jednego z policjantów, którzy poinformowali ją o śmierci męża, obejrzała ciało.

– Chciałabym zobaczyć zdjęcia miejsca wypadku – poprosiła później Kerstin.

Pomimo szokującej wiadomości, żałoby i tęsknoty, które już zdążyły się w nią wpić, chciała wyjaśnień, co dokładnie się wydarzyło, jak Karl-Erik spędził ostatnie godziny swojego ziemskiego życia.

– Według mnie to nie najlepszy pomysł – odparł policjant. – Po obejrzeniu zdjęć może pozostać uraz.

– Rozumiem. Ale ja naprawdę muszę je zobaczyć, niezależnie od tego, jak bardzo byłoby to bolesne. Chcę poczuć, że jestem w to zaangażowana.

Z trudem przekonała go, by zabrał ją na posterunek i pokazał przeraźliwe fotografie miejsca wypadku, przeanalizował krok po kroku zdarzenie, które wywróciło jej życie do góry nogami.

Właśnie wówczas dowiedziała się, że była to kwestia nie sekund, tylko godzin. Sama rozbita twarz oraz rana na czole napełniały trwogą, ale najbardziej poruszyło ją to, co lekarz orzekający podejrzewał jako przyczynę śmierci – kawał szkła sterczący z gardła i katusze, które za sobą pociągnął.

Obdukcji nie wykonano ani nie planowano, bo nie było czego udowodniać. Karl-Erik nie żył, był skazany na śmierć, sam spowodował wypadek, ponieważ zapadła ciemność, a śnieg padał tak intensywnie, że niedługo potem przykrył cały samochód. Analiza techniczna miejsca wypadku dowiodła, że wydarzył się on tuż przed bądź zaraz po tym, jak zaczęło sypać, co z kolei zbiegło się z zapadnięciem zmroku. Śnieg padał całą noc, nie dłużej.

Na niektórych zdjęciach widniała w bagażniku mała walizka kabinowa pokryta, podobnie jak wnętrze bagażnika oraz dach samochodu, warstwą śniegu. Nie było śladów odbicia po torbach sportowych, które w takim razie musiały zostać stamtąd zabrane, zanim w czwartkowy wieczór zaczął padać śnieg, a nie przy odkryciu wraku w poniedziałek.

Taką analizę Kerstin przeprowadziła sama, nie wtajemniczając w nią pomocnego policjanta. Kwintesencją sprawy było mianowicie, że ktoś był przy Karlu-Eriku tuż przed tym, nim zaczęło padać, to znaczy tuż po wypadku. Ktoś, kto najwyraźniej zagarnął pieniądze, po czym oddalił się, nie zrobiwszy nic, żeby ocalić mu życie czy skrócić jego cierpienie.

Czyżby ten tak zwany wypadek z udziałem jednego samochodu został tak naprawdę spowodowany przez kierowcę, który uciekł z miejsca zdarzenia? Grabież trudno oceniać, ponieważ kasa i tak była kradziona, jednakże cynizmu i wyrachowania, jakiego wymagało sprzątnięcie sześciu milionów bez zadawania sobie nawet trudu wezwania służb ratunkowych, nie dało się usprawiedliwić.

Ale co Kerstin mogła zrobić?

Nic, ponieważ brakowało namacalnych dowodów na to, że w wypadku wzięło udział więcej niż jedno auto. Ponieważ kradzieży rzeczy kradzionej nie mogła zgłosić, nie wpędzając się przy tym w tarapaty – to by przecież znaczyło, że najwyraźniej wiedziała o pieniądzach i zamierzała z nich skorzystać. To natomiast samo w sobie było przestępstwem, mogła za to pójść do więzienia, a to nie wchodziło w rachubę.

Dlatego Kerstin zachowała milczenie.

ROZDZIAŁ 32 | JEANETTE

Jak przypuszczała, czas dłużył jej się w oczekiwaniu na kolejne spotkanie z Peterem. We dnie chodziła jak zombie, wypatrywała tylko końca pracy, mimo że nocami było jeszcze gorzej. Leżała wówczas bez snu, przewracając się z boku na bok, wyrzuty sumienia złapały ją za gardło i nie chciały odpuścić.

Sześć milionów koron – czy na pewno było warto? Przemykać pod ścianami jak cień z coraz ciemniejszymi worami pod oczami, przerażona samą sobą oraz tym, do czego jest zdolna, przerażona reakcjami, nad którymi może nie będzie umiała zapanować po spotkaniu swej zakazanej miłości, współsprawcy, przed sklepem albo w środku.

Nie warto. Teraz już wiedziała, że nie byłoby warto nawet dla sześciu miliardów koron. Gdyby znów stanęła przed takim wyborem, gdyby mogła cofnąć czas i znów przeżyć to nieszczęsne popołudnie, postąpiłaby inaczej. Stanęłaby okoniem, przekonałaby Petera, że konsekwencją głęboko niemoralnych czynów jest to, że człowiek nie może sam ze sobą wytrzymać. Bezzwłocznie wezwałaby na miejsce wypadku policję i karetkę, a na te pieniądze ani by spojrzała.

Ale mleko się rozlało, musiała odnieść się do tego, co zrobiła, w sposób konstruktywny. Nie mogła obwiniać Petera, on odpowiadał za własne decyzje, ale musiała coś zrobić w tej beznadziejnej sytuacji.

Tylko co?

Nie za bardzo mogła z tym pójść na policję. Zniszczyłaby wówczas przyszłość nie tylko własną, ale również Petera i ich wspólną. A przecież właśnie dla niej było całe to poświęcenie – bo w ten sposób myślała teraz

o zaistniałej sytuacji, odkąd niemal nieznośne następstwa zawładnęły jej życiem.

Nie mogła właściwie nic zrobić. Ręce i nogi miała związane lojalnością wobec Petera oraz złożonymi mu obietnicami. Relacja z nim dała jej nowy wgląd w siebie, nową nadzieję na szczęśliwe życie nawet po tym, co się stało z Charlotte. Nie chciała się pozbawiać wizji przyszłości, chociaż pragnęła zadośćuczynić okropieństwu, którego dokonała względem drugiego człowieka. Musiała je jakoś zrekompensować.

Nie wiedziała tylko jak. Jedynym promieniem, który rozjaśniał teraz życie, było ciepło objąć Petera nęcące znad horyzontu. Jego beztroskie usposobienie i niespożyty optymizm skierowałyby jej myśli na inny tor, wyssały truciznę z żył, pomogły w rozgrzeszeniu samej siebie. Pokładała w tym całą nadzieję, to zawsze coś. Wciąż jednak czekało ją wiele dni samotnego cierpienia.

Jak na przykład ten, kiedy w lokalnej prasie pojawił się artykuł o wypadku samochodowym. Lęk wpił się w nią wówczas ostrymi pazurami – odtąd przypominały o sobie już nie tylko wyrzuty sumienia. Coś czysto fizycznego wpędziło ją w stan dezorientacji, przez co prawie spadła z krzesła. Przewróciło jej się w żołądku, dlatego chwiejnym krokiem, przesuając się wzdłuż blatu, przeszła do zlewu, by zwrócić tę odrobinę, którą zdążyła zjeść.

Przez cztery dni tkwił na dnie przepaści – cztery dni zakleszczony we wraku samochodu, niezauważony przez przejeżdżających obok ze względu na grubą pokrywę śniegu. Artykuł nie podawał, czy zginął na miejscu, ale to wszystko było makabryczne. Dla tych, którzy go kochali, musiały to być cztery dni wypełnione niezmiernym cierpieniem, nie mieli nawet cienia podejrzeń co do zajścia – nie wiedzieli, czy żyje, cierpi, czy już został im odebrany. A potem, kiedy było po wszystkim, jeszcze ciężąca świadomość tego, że ukochana osoba spędziła dzień za dniem w ciemności i na mrozie, bez szans na ocalenie. Nawet jeżeli zginął od razu, to fakt, że był przez kilka dni uwięziony w samochodzie zasypanym śniegiem, wydawał się niegodny, nieludzki.

Jeanette mogła zaś ulżyć jego męczarniom. Mogła ułatwić życie jego najbliższemu, cóż – po prostu dopilnować, by go uratowano. To ostatnie ciężko jej było pojąć, nie chciała w to wierzyć, nie mogła sobie na to pozwolić. Myśl ta jednak do niej wracała, Jeanette ubierała ją w słowa, mimo że te nie chciały się w niej zakorzenić. Mężczyzna już nie żył, nie było szans na ratunek. Musiał być martwy, to było jej koło ratunkowe, inaczej odechciewało jej się żyć.

A więc kolejne dni bez przejaśnień, z gorszymi wyrzutami sumienia. Samotność była monumentalna, Jeanette ocierała się nawet o myśli samobójcze. Nie dawała już rady, nikła nadzieja, że nawet z pomocą Petera mogłaby się podnieść. Tymczasem przyszłość z Peterem zdawała się coraz bardziej odległa w miarę upływu dni. Nie widywała go – czy on jeszcze istnieje? A może był nieosiągalnym marzeniem, które nigdy miało się nie spełnić? Tworem fantazji, którego miała się ucześcić przed swoją zagładą?

Pewnego dnia zobaczyła nekrolog w gazecie. Zwięzły i poruszający, podpisany przez jedną jedyną osobę: żonę. Jeanette nie знаła nazwiska ofiary, ale codziennie od wypadku przeglądała przelotnie nekrologi we wszystkich lokalnych gazetach, nie znalazła jednak żadnego odpowiadającego mężczyźnie wiekiem ani datą zgonu. Tym razem miała pewność – to musiał być on.

Brak dzieci, żadnych pograżonych w żalu rodziców bądź rodzeństwa, tylko partnerka. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak wyglądały jej cztery dni niepewności – Kerstin, bo tak miała na imię. Albo jak wyglądało jej życie, świeżo upieczonej wdowy, którą się stała w kwiecie wieku.

Jeanette chciała coś dla niej zrobić, przeprosić, a może też w jakimś stopniu spróbować wynagrodzić jej to, co narobiła. Kobieta mogła jednak równie dobrze pójść z tym na policję, a Jeanette zrozumiała, że – niezależnie od klasyfikacji czynu przestępczego – obydwójce z Peterem znaleźliby się wtedy w nie najlepszym położeniu. Romans wyszedłby na jaw i wszystko na nic.

Mogła przynajmniej przekazać wdowie pieniądze, anonimowo. Zostawić pod drzwiami i zapukać, a potem uciec, zanim zdąży otworzyć. Tylko że Peter nigdy by się na to nie zgodził. Nie miała pojęcia, gdzie je schował, i wcale nie chciała wiedzieć – myśl o pieniądzach tylko ją wkurzała. Poza tym wdowa pewnie nawet o nich nie wiedziała. Podobny rodzaj przestępczości – generujący wielomilionowe zyski – wydawał się sportem dla mężczyzn. Może po prostu zadzwoniłaby na policję, która by się nimi zajęła, i nikt nie miałby z tego pożytku.

Jednak Jeanette musiała coś zrobić. Anonimowo. Mogła dać wdowie odpowiedzi potrzebne do zablźnienia ran. Wiedziała z autopsji, że u człowieka dotkniętego żałobą pojawia się potrzeba poznania dotąd nieznanego: konkretnych faktów, do których można się odnieść, żeby uporządkować sobie życie.

Wdowa nie wiedziała, jak doszło do wypadku, żyła w błędnym przekonaniu, że przez własną nieostrożność sprowadził na siebie tragiczny los. Kiedy tak naprawdę za jego śmiercią stał przestępca: inny kierowca, który uciekł z miejsca wypadku, nie sprawdzwszy jego konsekwencji, nie zaalarmowawszy służb ratowniczych. Dlaczego? Jeśli nie chodziło o jazdę pod wpływem alkoholu, to może chociaż o niezachowanie należytej ostrożności w ruchu. Nonszalancki, samolubny uciekinier, po prostu.

Tę wiedzę Jeanette mogła przekazać pogrążonej w żałobie wdowie. W telefonie wciąż miała fotografie miejsca wypadku. Na znak szacunku do zmarłego udokumentowała nie tylko teren tragedii, ale też pojazd zbiegłego kierowcy. Jak również tułów oraz twarz zmarłego mężczyzny, chociaż ten widok nikomu nie poprawiłby samopoczucia.

Wydrukowała więc trzy zdjęcia i włożyła je do koperty. Potem dowiedziała się, gdzie mieszka bolejąca wdowa, zaadresowała list, nakleiła znaczek i wysłała. Nie załączywszy żadnej wiadomości – zdjęcia mówiły same za siebie, a poza tym kimże była Jeanette, by moralizować? Wdowa mogła odczytać zdjęcia wedle życzenia, mogła zrobić z tą informacją, co chciała.

To niewiele, ale ten nieegoistyczny czyn sprawił, że Jeanette poczuła się odrobinę lepiej. Przynajmniej na chwilę.

ROZDZIAŁ 33 | JAN

Parę dni po ukazaniu się w miejscowej gazecie nekrologu ofermi drogowej do skrzynki wpadła odřecznie zaadresowana koperta. Nieczęsto się to zdarzało i mogło oznaczać, że zbliża się jakaś impreza. Innymi słowy, mały doping, który akurat teraz by mu się przydał. Cały ten wypadek coś z Janem zrobił, nie mógł się otrząsnąć z chandry, która nim zawładnęła.

Przez tamtego człowieka owdowiała kobieta. Tę wiadomość Jan odnotował z gulą w gardle. Doskonale wiedział, że równie dobrze mógłby to być jego nekrolog, podpisany przez Gunillę z dziećmi w roli żałobników. Nie, już nigdy więcej nie zamierzał stawiać się w takiej sytuacji, postanowił to potraktować jako nauczkę. Co nie zmieniało faktu, że czuł przygnębienie i sam nie potrafił temu zaradzić. Z tego względu tuż przed kolacją otworzył kopertę w nadziei na odskocznię.

Ale nie. Był w niej kluczyk, chociaż nie napisano na nim, do czego pasuje. Oprócz niego znalazł tam jeszcze trzy fotografie o dość dużej ziarnistości, przedstawiające coś, czego w pierwszej chwili nie rozpoznał. Zanim jednak udało mu się skojarzyć motyw ze zdjęć, obleciał go strach. Może to półmrok zapadającego zmierzchu tej zamazanej kompozycji budził grozę. Minęło zaledwie parę sekund, a ponownie się tam przeniósł. Na miejsce wypadku. Oblał go zimny pot i musiał usiąść na krześle w kuchni. Gunilla obrzuciła go pytającym spojrzeniem, ale wkrótce potem znów zajęła się szykowaniem kolacji. Miał nadzieję, że nie zwróciła zbytnej uwagi na jego reakcję. Przynajmniej jej nie skomentowała.

Kto, do diabła, zrobił te zdjęcia? Jedno z nich przedstawiało rozbity samochód z góry, z ukośnej perspektywy. Drugie – zrobione pod tym samym kątem, choć z bliższej odległości – wrak, w którym wyraźnie było widać

ofiare. Wcześniej nie miał o tym pojęcia. Usiłował jakoś to sobie wyobrazić, patrząc z drogi, ale było zbyt ciemno, trudno cokolwiek stamtąd zobaczyć, a odległość była za duża. Jedyne, co mu wtedy pozostało, to zrozumieć, jakie są fakty: kierowca nie żył, nie mógł przeżyć. A teraz rzucono mu w twarz wprawdzie nieostre, ale mimo to makabryczne zdjęcia zmarłego mężczyzny, co było wstrząsające.

Co gorsza, na trzeciej fotografii widniał jego samochód. Nie ulegało wątpliwości – to jego niebieskie audi, w którym siedział nad przepaścią, rozmyślając nad tym, co się stało, i rozważając, jak postąpić w zaistniałej sytuacji. Na złym pasie, jakby tego było mało, co wróżyło jeszcze gorzej.

Dopiero teraz zauważył, że w kopercie leżała też odręcznie napisana notatka. Otarł pot z czoła i wygrzebał karteczkę.

Zostaw sześć milionów koron w skrytce depozytowej numer 67 w przystani promowej w Visby. Masz czas do 10 lutego, do 12.00.

Zupełnie osłupiał. Sześć milionów koron – skąd miałyby je wziąć? Dziesięć dni, całkiem wyrozumiale, ale sześciu milionów nie wytrzepałby z rękawa nawet w dziesięć miesięcy, jeśliby nie sprzedał wszystkiego, co ma: domu, samochodu i quada. A to przecież wykluczone.

Ale do więzienia też nie mógł pójść. Bo chyba to go czeka, jeśli dojdzie to do policji. Że był obecny w miejscu wypadku, zanim zaczął padać śnieg, to znaczy tuż po tamtym zdarzeniu. Że jego samochód stał na złym pasie jezdni tuż za zakrętem, co wskazywało – o ile nie dowodziło – że to on spowodował wypadek. Że znajdował się na miejscu, kiedy doszło do tragedii, ale nie powiadomił pogotowia ani policji. Można by zapytać, jaka była przyczyna, i wygrzebać stare paragony z Lindgården. A może i wcześniejsze zgłoszenie gwałtu w niedalekim sąsiedztwie, o ile takie istniało i śledczy mieli głowę na karku.

Kurwa! Chciał krzyknąć. Nie zrobił tego jednak, bo był z rodzaju tych, którzy rozwiązują problemy: jedynym, który zachowywał spokój, kiedy cała reszta rzucała się tam i z powrotem jak skołowane kury. Musi się jakoś

wydostać z tego potrzasku. Trzeba tylko krzty fantazji, a może i odrobiny szczęścia.

Pozostawało pytanie: kto zrobił te przekłete zdjęcia?

Ze względu na nadciągającą śnieżycę, kiedy doszło do wypadku, był słaby ruch, a na tej małej drodze daleko w chaszczach już zupełnie nie było o czym mówić. Czy w zmiażdżonym pojeździe znajdował się ktoś jeszcze oprócz kierowcy? Osoba, która wypadła z auta podczas upadku albo zdążyła się wydostać i wspiąć po skarpie, zanim Jan się zatrzymał i wycofał samochodem?

Mało prawdopodobne. Pasażer powinien w takim razie skontaktować się ze służbami ratowniczymi albo chociaż z wdową, a nie zostawić trupa, żeby przez cztery dni zamarzał na kość.

Janowi musiało umknąć, że na drodze pojawił się ktoś inny. Rzeczywiście istniała taka możliwość, ponieważ on był zajęty własnymi problemami – i problemami ofiary – i nie patrzył w lusterko. Jeśli świadek podszedł bliżej, to Jan go na dodatek nie usłyszał.

– Kolacja gotowa za parę minut! – zawołała za nim Gunilla, kiedy wstał i wyszedł z kuchni.

– Zaraz wracam – odparł, zabierając ze sobą fotografie do gabinetu.

Rozłożył je przed sobą na biurku, zapalił lampkę i wyjął z szuflady lupę. Nie mógł się powstrzymać od rzucenia okiem na zmarłego, a nie był to piękny widok. Naprawdę, chociaż zdjęcie było nieostre. Przeszedł go dreszcz, zrobiło mu się niedobrze i musiał kilkakrotnie przełknąć ślinę.

Przesunął soczewkę na swoje auto, po czym stwierdził, że wprawdzie jego nie widać na zdjęciu, ale za to bez trudu można odczytać tylną tablicę rejestracyjną. Nie ulegało wątpliwości, że stał tam samochód Jana. Właściwie z której strony zrobiono to zdjęcie? Fotograf nie stał na wprost za nim, co by się zgadzało, gdyby nadjechał z tego samego zakrętu co on. Nie, zrobiono je pod lekkim kątem z prawej strony, jakby świadek patrzył przed siebie z lasu

od strony wąwozu.

Czy nie było tam przypadkiem niedużego wjazdu dla maszyn leśnych? przypomniał sobie nagle. Taka dróżka ze śladami po kołach, porośnięta w środku chwastami? Tak, był tego całkiem pewien. Zresztą nie tylko tego: z zamglonych oparów tamtego nieszczęsnego popołudnia wyłoniło się naraz wspomnienie z jego podróży w przeciwnym kierunku. Błyskawiczna refleksja, która go naszła, kiedy wioził do domu dziewczynę spod sklepu. Przez ostatnie kilometry siedziała i biadoliła – najwyraźniej się bała, co stwierdził nieco rozbawiony, bo przecież nie było ku temu powodów. Skupił się więc raczej na jeździe oraz jej reakcji niż na tym, co mignęło po drugiej stronie drogi. Jednak właśnie tam, przy leśnym dukcie, poczynił przelotną obserwację. Jego uwagę przykuł samochód pośród ogołconych drzew, więc zaczął się zastanawiać, czy może zepsuł mu się silnik albo coś w tym stylu. Miał go w każdym razie w głębokim poważaniu, bo poznał, że to samochód firmowy faceta z jego grupy łowieckiej. Koleś nazywał się Norling i był zadufanym w sobie idiotą. Jego ewentualne problemy w ogóle Jana nie ruszały.

Jak dużo czasu spędził u dziewczyny od whisky? Jakies pół godziny? Jeśli Norlingowi skończyło się paliwo i czekał na pomoc, to równie dobrze mógł siedzieć w aucie, kiedy doszło do wypadku.

Najprawdopodobniej to ten skurwysyn go szantażuje. Wpadł w finansowe tarapaty? Sześć milionów to nie żarty, ale tak naprawdę to dokładnie tyle, ile Jan mógłby skombinować, gdyby sprzedał wszystko, co miał.

Czego zrobić nie zamierzał. Trzeba to załatwić inaczej, myślał, chowając zdjęcia do koperty. Doszedł go odgłos zbliżających się kroków, więc odwrócił się do żony, siląc się na uśmiech.

– Już idę, kochanie – oznajmił, zasuwając szufladę z nieprzyjemną przesyłką.

ROZDZIAŁ 34 | JEANETTE

Czekała wśród betonu, blachy dachowej, zabrudzonych zimą samochodów i asfaltu. W deszczu, na wietrze i lutowym chłodzie, a jednak podekscytowana. Zdawało jej się, że minęła cała wieczność, ale nareszcie wybiła godzina tak długo wyczekiwanego ponownego spotkania z Peterem.

Jeanette odebrała SMS-a od nieznanego numeru. Może miał jeszcze jeden, sekretny numer albo kupił sobie telefon na kartę. Przekaz był jasny: miał zamiar kierować się na południe i zgarnąć ją spod salonu sprzedaży samochodów Bilcity, zaraz przed rondem z wylotem na Tofta Strand. Po dwóch tygodniach, licząc od dnia wypadku.

Jeanette odczytała to jako znak, że musiał się niecierpliwić tak samo jak ona. W tym trudnym okresie obawiała się między innymi, że będzie wszystko odwlekał albo dla pewności wydłuży czas oczekiwania o kilka tygodni czy nawet miesięcy. I że w międzyczasie jego zainteresowanie nią przygaśnie. A może sama się podda, zanim zdążą porozmawiać.

Wiadomość odebrała cztery dni przed spotkaniem. Cztery niekończące się doby wypełnione dobrze jej już znanymi katuszami: bezsennością, lunatykowaniem, poczuciem winy oraz wstydu, osłabieniem, nerwowością, brakiem apetytu i niemal utratą woli życia. Jednak ze świadomością – światłem w ciemności – że niebawem Peter się nią zajmie, pomoże jej wrócić na właściwy tor. Że poczuje na sobie jego dotyk.

Stała więc tak, nieczuła na nużące otoczenie, przykrą aurę czy chłodny wiatr. Nie było nic gorszego od tego, przez co przechodziła w ostatnim czasie, ale wspomnienia te zostały przeniesione do jakiejś skrytki w jej podświadomości. Teraz czekała ją nowa przyszłość, tylko to się liczyło.

Zegar wskazywał piętnaście po – czy nie umawiał się z nią na czwartą? Jeanette obeszła wielki, prawie pusty parking. Może ustawił auto tak, że go nie widzi? Nie.

Musiał natrafić na jakiś problem, zostać dłużej w pracy. Mogła poczekać, nie miała nic lepszego do roboty. Zrobiło się wpół do piątej – może czeka na nią na drodze, chociaż wyraźnie mówił o parkingu. Też nie, stwierdziła i zawróciła na parking. Może wszedł do środka, żeby się ogrzać? Nie, na parkingu nie stoi jego samochód, więc tu go nie ma. O ile nie zmienił auta, oczywiście, choć to nie było prawdopodobne, bo raczej nie odszedł z firmy po ich ostatnim spotkaniu. Samochód mógł się rzecz jasna popsuć, więc może przyjechał pożyczonym lub wynajętym, co stanowiło jeszcze większy powód, by jej się pokazać.

Bilprovningen – dotarło do niej nagle. Napisał Bilcity, ale miał rzecz jasna na myśli Bilprovningen tuż obok. Tam też go jednak nie było, a wybiła już piąta. Może napisał czwartą, a miał na myśli piątą – pojawiła się nadzieja na to, że jednak w końcu się zjawi.

Znów pośpieszyła na umówione miejsce pod salonem samochodowym, chodziła tam i z powrotem, powtarzając czynności sprzed godziny. Bez skutku, ani śladu po nim czy nawet po wiadomości w telefonie.

Zapadł zmrok, a kiedy już zaczęła tracić nadzieję, ośmieliła się wysłać SMS-a pod numer, z którego wcześniej do niej pisał. Może coś źle zrozumiała, chyba się umawiali? Ale nie dostała żadnej odpowiedzi, a nie ośmieliła się bardziej naciskać. Albo się do niej odezwie, albo nie. Wiedział, że na niego czeka i że zła wiadomość jest lepsza niż żadna.

Minęła szósta, siódma, lecz ona nie porzucała całej nadziei. Niemożliwe, że ją tu zwabił, a później olał, to do niego niepodobne. Chociaż... czy mogła być tego pewna? W końcu niewiele o sobie wiedzieli. Nie, już teraz się dobrze znali, próbowała przekonywać samą siebie. Byli złączeni na całe życie, czy im się to podoba, czy nie. Dokładnie dwa tygodnie wcześniej wydarzyło się coś, o czym żadne z nich nie mogłoby zapomnieć, a –

zwłaszcza z punktu widzenia Petera – lepiej utrzymywać przynajmniej przyjacielskie stosunki. No i po co te wszystkie czułości w jednej jedynej wiadomości, skoro wcale tak nie myśli? Po co wyznawać miłość i tęsknotę, jeśli to tylko puste słowa?

Włączyła się między mało inspirującymi barakami, kręciła się po terenie przemysłowym, żeby nie marznąć, ochlapywana przez zestresowanych kierowców, pędzących po ruchliwych ulicach przy rondzie, a zegar tykał: minuta za minutą, godzina za godziną.

W końcu, po kilku godzinach, doszła do wniosku, że jej słynna wytrwałość miała źródła nie w jej sile i cierpliwości, ale raczej w desperacji i szaleństwie. Jakoś musi się teraz dostać do domu i spróbować wcisnąć mężowi zmyśloną historyjkę o tym, jak to zapomniała o bożym świecie. A później pozostanie jej tylko cicho szlochać w mroku sypialni.

ROZDZIAŁ 35 | JAN

Dziesięć dni wlokło się straszliwie, a do nich doszło kolejnych dziesięć. Dopiero po upływie dwóch tygodni po ustalonym terminie Jan mógł odetchnąć: pogróżki nie miały pokrycia w rzeczywistości. Świątował to w ciszy, choć otoczony ludźmi, wspiąwszy się na stołek barowy w Gamla Masters w drodze powrotnej z pracy. Jak na razie policja nie zapukała do jego drzwi, nikt z jego towarzystwa nie rzucał mu ukradkowych spojrzeń w przekonaniu, że się nie zorientuje. Bez wątplenia warto było to uczcić piwem i whisky.

Zaginięcie Norlinga stało się tematem wielu artykułów i relacji w wiadomościach nie tylko lokalnych, ale również ogólnokrajowych. Według nich policja traktowała rzecz bardzo poważnie, ale mimo to twierdziła, że nie znajduje żadnych poszlak – nie wie, gdzie go szukać ani nawet dlaczego i w jakich okolicznościach zniknął. Sprawa ta stanowiła zagadkę dla większości, ale zawsze znajdował się ktoś, kto wiedział, o co chodzi, to jedno jest pewne. Jan uśmiechnął się w duchu, opróżniając szklaneczkę whisky jednym haustem.

– Jeszcze raz? – spytał czujny barman.

Przytaknął ruchem głowy. Najwyżej zostawi tu samochód na noc, teraz nie wsiadał za kółko nawet po piwie.

– Przedziwna historia z tym Peterem Norlingiem – mówił barman, nalewając whisky do pustej szklanki. – Tak po prostu zapadł się pod ziemię.

Że też ze wszystkich ludzi dookoła musiał się zwrócić akurat do Jana, jakby czytał mu w myślach. Na jego twarzy widocznie malowało się zdziwienie, bo barman poczuł się chyba zobowiązany do wyjaśnienia swojej

wypowiedzi.

– Jesteście w jednej grupie łowieckiej, dobrze kojarzę?

– A, tak – potwierdził Jan z ulgą. – No, rzeczywiście cała ta sprawa jest pierońsko pokręcona.

– Tragedia – skomentował barman, stawiając przed nim szklankę. – Również dla rodziny, obojętnie, co tam zaszło.

Jan pokiwał głową. Osobiście nie czuł rzecz jasna żalu, to go nie ruszało. Zamiast tego cieszył się, że już nie trzeba się przejmować tą istic przykrą historią z szantażem.

Teoretycznie Jan mógł to źle zinterpretować i samochód służbowy, którym rozbijał się Norling, odjechał stamtąd jeszcze przed wypadkiem. Na dobrą sprawę Jan nie mógł tego wiedzieć, ponieważ w drodze powrotnej jechał złym pasem, więc nie widział, co się dzieje przy drodze do lasu. Skoro tak, to wyciągnął błędne wnioski, kierując podejrzenia w stronę Norlinga, i powinien był myśleć inaczej. To nie było jednak możliwe, ponieważ nie odnotował żadnych ruchów w lesie przy wąwozie, a poza tym nie mógł odgadnąć, kto spośród pięćdziesięciu siedmiu tysięcy ludzi zadomowionych na wyspie został cichym świadkiem śmiertelnego wypadku i jeszcze go udokumentował.

Ale zaradni ludzie mają szczęście, stwierdził z wesołością, która znów dała o sobie znać po miesięcznej hibernacji. Cały wypadek oraz jego tragiczne konsekwencje Jan zdążył niemal wyprzeć ze świadomości. To fotografie miejsca zdarzenia kładły się cieniem na jego życiu. Norlinga w każdym razie już nie było, a od tego czasu szantażysta więcej się nie odezwał ani też nie zrealizował wcześniejszych pogroźek. Tym samym problem zniknął i Jan mógł z ufnością patrzeć w przód.

– Na zdrowie. – Uśmiechnął się do barmana.

Przyjaźnie, ale bez przesadnego entuzjazmu, skoro wspominali tragiczne zaginięcie Norlinga. Wypił więc następną kolejkę whisky, a także resztkę

piwa i zapłaciwszy, wyszedł. Już od dawna nie było mu tak lekko na duchu.

ROZDZIAŁ 36 | JEANETTE

Jeanette siedziała w samochodzie przed pracą. Swoją pracą – dlatego tam zaparkowała. Ale także przed pracą Petera, co tłumaczyło, dlaczego tam siedzi. Zaschło jej w ustach, musiała się czegoś napić, ale nie miała nic przy sobie. Wizyta u niego w pracy stała w sprzeczności z tym, na co się umawiali, a ponadto odstręczała ją. Jeanette nie mogła jednak wymyślić nic innego – to zdecydowanie lepsze niż wizyta u niego w domu, co było wykluczone. Ten pomysł na pewno by się Peterowi nie spodobał, a ona nie mogła znieść myśli, że miałyby nawet przelotnie zobaczyć jego żonę i dzieci. Pewność siebie zniknęła jak ręką odjął, więc żeby odwlec tę nieprzyjemną, choć nieuniknioną wizytę, ponownie przeanalizowała sytuację.

Akurat dzień wcześniej w długie popołudnie i wieczór spędzony pod salonem samochodowym oraz w nocy zauważyła nowy kawałek w układance duchowej niedoli: brak wiary w siebie. Do Jeanette zaczęło stopniowo docierać, że nie można już jej było kochać, że i tak nie zasługuje na miłość.

Istniały dwa realne sposoby poradzenia sobie z sytuacją w wąwozie. Pierwszy: zabrać pieniądze, czmychnąć z miejsca wypadku, cieszyć się szczęściem i korzystać z życia, patrząc w przyszłość z oczywistą radością. Albo drugi: postąpić w zgodzie z własnym sumieniem, stanowczo odrzucić całą tę propozycję i odejść z wysoko podniesioną głową.

Jeanette wybrała jednak drogę tchórza. Niezdecydowana przestępowała z nogi na nogę, jednym uchem słuchając głosu serca, a jednocześnie dając się – dość bezkrytycznie – namówić do zrobienia rzeczy, która stanowiła absolutne przeciwieństwo wszelkich jej przekonań. I to przez człowieka, którego ledwie знаła.

Ależ z niej cykor, tchórz bez własnego zdania. Chorągiewka na wietrze.

Skończyłoby się to dobrze, niezależnie od jej wyboru, gdyby tylko miała w sobie odrobinę pewności siebie. Asertywność kluczem do szczęścia i sukcesu, poczucie własnej godności to atrakcyjna cecha. Kiedy przedstawiała to w ten sposób, stało się jasne, że taka trzęsidupa jak ona nie mogła obudzić pożądania u żonatego mężczyzny już na stałe. W drodze powrotnej z miejsca wypadku miał się na baczności. Poznał się na niej, zrozumiał, że żaden z niej kompan na wojnę. Oraz że niewiele miała do zaferowania w czasach pokoju.

Pod wpływem ciężaru nowego odkrycia wyszła z auta i ruszyła do sklepu połączonego z warsztatem samochodowym, gdzie pracował Peter. Resztkami sił zebrała się na odwagę, po czym weszła do środka przy akompaniamencie dzwonka do drzwi.

– Tydzień temu rozmawiałam z pewnym panem o problemie z moim samochodem – zaczęła. – Nie pamiętam, jak się nazywał, ale miał czarne, dość krótkie włosy i...

– Bez różnicy – odparł mężczyzna zza lady. – Może ja mógłbym pomóc?

Miał około trzydziestki, bujną rudawą brodę oraz ogoloną głowę i był rosłej postawy. Nagle rzucił trudne do zrozumienia spojrzenie innemu pracownikowi, który przed chwilą stał odwrócony tyłem i grzebał przy jakiejś półce.

– To dość skomplikowane – powiedziała Jeanette. – Raczej nie dam rady tego wszystkiego jeszcze raz wyjaśnić. Nie ma go w pracy?

Znów wymiana spojrzeń – czy coś przeczuwają? Może gdzieś ich razem przyuważyli lub może Peter zwierzył im się w zaufaniu, chociaż nie powinien?

– Nie – odpowiedział, opierając się na ladzie szeroko rozstawionymi rękami.

Wyglądał trochę groźnie, kiedy mierzył ją wzrokiem, stojąc w ten

sposób – zdawał się czekać na jej kolejny ruch, jakby wiedział, że mija się z prawdą.

– Wie pan, kiedy można o niego pytać? – Nie odpuszczała.

– Nie – skwitował, nie spuszczać jej z oczu.

Może poczuł się urażony, że nie powierzyła mu swoich problemów z mechaniką?

– Jest na urlopie – wtrącił drugi, starszy mężczyzna, któremu na oko niewiele zostało do emerytury. – Nie będzie go jeszcze przynajmniej dwa tygodnie.

Mężczyźni znów wymienili tajemnicze spojrzenia, a Jeanette naszło nieodparte wrażenie, że podczas całej tej dziwnej rozmowy nie padło ani jedno słowo prawdy.

– Okej, w takim razie spróbuję wrócić za parę tygodni. – Uśmiechnęła się z wymuszoną nonszalancją. – Do widzenia.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z warsztatu. Gdy zamykała drzwi, usłyszała ponownie słaby odgłos dzwoneczka, który miał informować pracowników o nadejściu nowego klienta.

Udając beztroski chód, minęła witrynę sklepu. Potem wsiadła do samochodu. Znów zaczęła myśleć. Usiłowała przeanalizować sytuację. Doszła do wniosku, że Peter mógł być w warsztacie, ale poprosił kolegów, żeby go nie wydali, gdyby ktoś o niego pytał. Na przykład modnie ubrana blondynka, udająca, że go nie zna. Możliwe też, że rzeczywiście był na urlopie. Może przez dwa tygodnie, może dłużej. Oraz że jej o tym nie powiedział.

Tak czy inaczej, źle to wróżyło. Pewnie już nie chciał jej znać.

*

Jeanette przeglądała gazetę przy śniadaniu. Pobieźnie i raczej na pokaz, ponieważ mąż siedział przy stole. Jeśliby nie czytała, musiałyby z nim

rozmawiać, a na dyskusję z małżonkiem nie miała ochoty. Aktualności też jej nie interesowały – to, co działo się teraz w jej głowie, przysłańało wszystko inne.

Od niedoszonego spotkania upłynęły dwa tygodnie, a problemy Jeanette jeszcze bardziej się pogłębiły. Nie miała już odwagi żywić nadziei na zejście z Peterem. Po tym, jak rozebrała na części pierwsze wszystkie fazy zaistniałego dramatu, stawało się coraz bardziej oczywiste, że on już nie chce zabrać jej ze sobą w podróż ku świetlanej przyszłości. Istniało jednak kilka szczegółów, które ją interesowały i dzięki którym nie traciła nadziei, niezależnie jednak od tego, ile się zastanawiała, nie mogła zrozumieć toku jego myślenia.

Skąd u niego pewność, że ona się nie złamie, nie odda się w ręce policji, a tym samym nie wyda również jego? Takie ryzyko istniało od samego początku, więc nie powinien był polegać na jej lojalności. Jeśli na dodatek ją okłamał, zwodził, że się spotkają, a potem uciekł bez zajknięcia, to jego położenie było tym poważniejsze. Musi przecież rozumieć, że nie chodziło już o jej lojalność wobec niego, ale po prostu o jej stan ducha. Jeanette mogła zrobić, co chciała, a skoro wyrzuty sumienia nie dawały jej żyć, to niewiele ją powstrzymywało od skontaktowania się z policją.

I dlaczego do końca pozwolił jej wierzyć w swoją miłość i tęsknotę? Ostatni SMS zawierał piękne słowa i jasne – świetnie zadziałał jako metoda na to, by nie straciła zapału, ale zamiast proponować spotkanie, mógł je przesunąć. Tydzień po tygodniu albo o miesiąc. Dla bezpieczeństwa, żeby ich poczynania w tamto styczniowe popołudnie nie zostały podważone, ponieważ ich związek rozpoczął się znacznie później. Mógł to przedstawić w ten sposób, a ona wpadłaby w pułapkę. Aż pewnego dnia zrozumiałyby, że nigdy nie będą razem. Wówczas minęłoby jednak tyle czasu, że wszystko rozeszłoby się po kościach i znów byłoby po staremu. O ile już nie było.

Wtem jej wzrok przykuła rozkładówka z artykułem o tajemniczym zniknięciu czterdziestojedynolatka. Przeczytała go kilkakrotnie i przyglądała się zdjęciu z rosnącym przerażeniem, po czym pognała do łazienki, żeby mieć

trochę spokoju, bo nie mogła opanować drżenia, a mózg pracował na wysokich obrotach.

Nafaszerowała się kilkoma tabletkami, które popiła wodą nabraną w roztrzęsione ręce. Później usiadła na klapie toalety i starała się pozbierać myśli, czekając, aż reakcje fizyczne ustąpią.

Zaginiony? Co to miało oznaczać? W dodatku bez auta?

Podejrzewano, że wydarzyło się coś poważnego, a stało się to dwa dni przed ich planowanym spotkaniem. Był już zaginiony, gdy pałętała się w zimnie i plusze pod salonem samochodowym. To tłumaczyło, dlaczego się nie pojawił, milczał i nie odpowiadał na SMS-y. Wyjaśniało to również zagadkowe zachowanie oraz podejrzenia mechaników samochodowych, kiedy wypytywała o Petera. Wiedzieli oczywiście, że jest poszukiwany. Policja musiała przecież zasięgnąć u nich języka, a potem zalecić im milczenie, więc starali się dostosować do tych swoistych okoliczności, jak mogli najlepiej. Nie ujawniwszy zbyt wiele, chociaż musieli być ciekawi wszystkich, którzy szukali Petera. Jeśli rzecz jasna było ich więcej, a może to tylko Jeanette.

Czy jej wizyta zwróciła uwagę śledczych? Musiała, to jasne. Ale chyba jednak dobrze odegrała swoją rolę beztroskiej, niewinnej klientki, nieznającej nazwiska człowieka, o którego pyta. Co zupełnie mijało się z prawdą. Brak wiedzy o nagłym zniknięciu Petera był natomiast nieudawany. Podsumowując, współpracownicy Petera nie mieli prawdopodobnie powodów, by poinformować policję o wizycie Jeanette.

Co było dobre, bo naprawdę nie chciała zostać w to wmieszana. Nie chciała, żeby istniały jakieś widoczne połączenia między nią a Peterem. Kiedy wróci, będą mogli zacząć od nowa, nikt nie musiał mieć powodów do podejrzeń, że ich związek zaczął się wcześniej.

Jeśli wróci. Uderzyła ją ta myśl, aż poczuła ścisk w żołądku. Według policji mogło zająć coś poważnego – co to znaczy? Zawał serca w trudno dostępnym miejscu? Wypadek czy morderstwo? Ile tak naprawdę wiedziała

o Peterze? O jego zdrowiu albo skłonnościach do wystawiania się na niebezpieczeństwo? Nic. Zdawało jej się, że znała go lepiej, zanim wydarzyły się wszystkie te okropieństwa. Przed kradzieżą pieniędzy.

Pieniądze. Sześć milionów, których tak gorąco pragnął po tym, jak on – oni razem, poprawiła się – prawie dosłownie przeszli po trupach, żeby je zdobyć.

Jeanette znów poczuła nadciągające dreszcze i mdłości. Nie chciała wymiotować, żeby nie wyrzucić z żołądka tabletek, zanim zaczną działać. Położyła się więc na dywaniku w łazience i przykryła ręcznikiem. Czy nie może zasnąć, skoro jest tak potwornie zmęczona? Przespać wszystkiego i już nigdy się nie obudzić?

Nowa myśl nie opuszczała jej jednak. Jeanette trzęsła się, aż podskakiwała na podłodze. Było jej tak zimno, że szczykała zębami. Na dodatek z oczu popłynęły jej łzy. Płakała w ręcznik, żeby nie było słychać, ale nie mogła pohamować szłochu. Nie po tym, jak dotarło do niej to wielkie oszustwo.

Peter przekonał ją, że pozostawienie ofiary poważnego wypadku na śmierć jest rozsądne. Nakłonił ją do tego czynu wbrew jej woli. Bo sam chciał ukraść dwie torby pełne banknotów. Pieniądze nie interesowały Jeanette ani wówczas, ani obecnie. Zrobiła jednak to, co kazał Peter, dla dobra ich miłości i wspólnej przyszłości. Była jego współniczką, ponosiła jednakową winę, z tą tylko różnicą, że czuła się znacznie gorzej przez ich postępek. Czuła się okropnie, bardzo tego żałowała i niemal zupełnie straciła wolę życia. Jedyne, co ją przy nim trzymało, to marzenia o Peterze, marzenia o ich wspólnej przyszłości.

A on wziął nogi za pas. Ze wszystkimi pieniędzmi. Które wprawdzie jej nie obchodziły, ale należały jej się w równym stopniu. Peter nie mógł jednak oprzeć się pokusie – dla niego znaczyły najwyraźniej więcej niż miłość, a Jeanette była tylko przeszkodą.

Zapadł się pod ziemię w ubraniu i butach, które miał na sobie tego dnia,

zostawiając auto, paszport, szczoteczkę do zębów i walizkę – wszystko, co można kupić w innym miejscu. Stworzył niemożliwą do rozwiązania zagadkę swojego zaginięcia, złamał jej serce i osierocił dzieci.

Dlatego podsycił jej nadzieję swoją miłosną obietnicą o ponownym spotkaniu. Wiedział mianowicie, że wtedy, gdy mieli się zobaczyć, już go tu nie będzie, więc nie grało roli, co zrobi Jeanette. Wszystko mu jedno, czy byłaby wobec niego lojalna, mogła iść na policję i złożyć zeznania, jeśli jej się podoba, ale to by mu nie zaszkodziło – co najwyżej jej.

Cyniczne, wyrachowane – zawód był ogromny. Jak miała dalej żyć?

ROZDZIAŁ 37 | KERSTIN

Teraz już naprawdę została sama. Wprawdzie miała pracę przedszkolanki w Fårösund i dobrze dogadywała się z dziećmi oraz kolegami, ale nie znalazła tam prawdziwych przyjaciół. Poza tym nie mogła pracować i pewnie nie zdoła tego robić jeszcze przez jakiś czas, ponieważ dokuczał jej brak apetytu i snu.

Do sąsiadów też miała daleko, a z tymi najbliższymi utrzymywała uprzejme, ale raczej zachowawcze stosunki. Stado kur i dwa koty to istoty z krwi i kości, które były jej najdroższe, przynajmniej kiedy przebywała na zwolnieniu lekarskim po śmierci Karla-Erika. Poza tym jej obecne towarzystwo ograniczało się do grona fikcyjnych postaci z książek, które czytywała.

Kerstin została więc naprawdę sama. Ciężko to pojąć, ale tak właśnie było. Może miało tak pozostać na zawsze. Kiedy Karl-Erik siedział za kratkami, nie czuła się równie opuszczona. Nawet gdy przez wiele lat doskwierało jej, że jest od niej daleko, i tak wiedziała, że ten koszmar kiedyś się skończy. Rozmawiali przez telefon kilka razy w tygodniu, a ona odwiedzała go raz na miesiąc. Z czasem rozpoczęły się też przepustki, które wróżyły zbliżający się dzień wolności.

Teraz nie mogła już się chwycić żadnej nadziei i wokół niej piętrzyła się przejmująca samotność. Nie mieli dzieci, ojciec Kerstin zmarł jako nałogowiec wiele lat temu, a matka nie chciała jej znać, odkąd zaczęła się obracać w kryminalnym towarzystwie. Z którego co prawda już dawno wyszła, ale to nie wpłynęło na decyzję matki. Odwróciła się od swojego jedyne dziecko raz na zawsze.

O przeprowadzce do Sztokholmu i powrocie do starych znajomych nie było mowy, te czasy zostawiła za sobą. Ale na wsi też nie mogła zostać. Nie starczyłoby jej pieniędzy, żeby ciągnąć to wszystko w pojedynkę. Co więcej, było stamtąd za daleko do ludzi. Kerstin była tak naprawdę duszą towarzystwa, mimo że nie sprawiała takiego wrażenia przy pierwszym spotkaniu. Dobrze się czuła wśród innych i rozchorowałaby się od samotnego siedzenia w domku na wsi.

Z tego względu postanowiła przeprowadzić się do Visby, gdzie mogła niedrogo wynająć mieszkanie. Najłatwiej tam o pracę, można się zaangażować w jakieś stowarzyszenie i poznać nowych ludzi. W jaki rodzaj stowarzyszenia i jakich ludzi, nie miała pojęcia, ale coś wartego uwagi chyba musi się znaleźć. Może kilka osób, które mogłyby się nią zainteresować, niezależnie od szufladkujących ją tatuaży, ograniczających szanse na zawarcie znajomości?

W lesie znaleziono ciało

W pobliżu kurhanu Digerrojr w lesie Alskogen na południu Gotlandii znaleziono zwłoki. Służby ratunkowe zostały powiadomione przez osobę prywatną w środę.

Tożsamość oraz wiek zmarłego w dalszym ciągu pozostają nieznane, ale wiadomo, że to mężczyzna. Stwierdzono również, że ciało leżało w podanym miejscu stosunkowo długo, zanim je odnaleziono.

Okoliczności zgonu są bardzo niejasne, a sprawa została przekazana policji.

– Jak na razie nie wiadomo, czy śmierć jest następstwem zbrodni – mówi zwierzchnik postępowania przygotowawczego, który twierdzi, że mężczyzna mógł zabłądzić, ponieważ ciało znaleziono na terenie rzadko uczęszczanym przez ludzi.

Na tym etapie brak jeszcze konkretnych podejrzeń, ale policja odgrodziła teren i wysłała zwłoki do analizy w Krajowym Urzędzie Medycyny Sądowej.

– Nie możemy na razie stwierdzić, czy to 41-latek, który zaginął w 2014 roku – komentuje ten sam zwierzchnik. – Ciało musi zostać poddane obdukcji i trzeba ustalić jego tożsamość, ale poinformowaliśmy rodzinę, że istnieje taka ewentualność. Na razie nie wiemy, kiedy będzie można zidentyfikować zmarłego – dodaje.

„GOTLANDS ALLEHANDA”

Czerwiec 2018

ROZDZIAŁ 38 | SANDRA

Od jej ostatniej rozmowy z Kerstin minął ponad miesiąc, co niepokoiło Sandrę. Przeczuwała, że kobieta może popełnić samobójstwo, ponieważ Kerstin sprawiała wrażenie bardzo przytłoczonej swoimi zmartwieniami i samotnością. Wmawiała sobie jednak, że Kerstin nigdy by się do tego nie posunęła bez wcześniejszego skontaktowania się z nią przez telefon zaufania. Po prostu nie mogło być inaczej. Tak bardzo się do niej przywiązała, tak ją inspirowały ich rozmowy oraz wspólna działalność detektywistyczna. Poza tym ona sama potrzebowała z nią pogadać. Rozmowy działały terapeutycznie również na Sandrę, która miała do Kerstin pytania.

Ale nie tylko Kerstin trzymała się na dystans. Hallin też nie dawał znaku życia, odkąd na jej ganku zostawiono ten nieszczęsny bukiet. Przede wszystkim na jej koncie nie pojawiła się żądana przez nią kwota pieniędzy, co było nie do przyjęcia.

Miał prawie miesiąc na zebranie myśli i podjęcie rozsądnej decyzji. Wysłanie pogroźki w języku kwiatów i jednocześnie ignorowanie problemu było nie tylko nieprzemyślane, ale wprost idiotyczne, bo ryzykował oskarżenie o gwałt. Hallin musiał przecież rozumieć, że to mu grozi, o ile się nie zrehabilituje.

Sandra nie zamierzała się poddać. Skoro już wiedziała, kim on jest, nie mogła pozwolić mu się wywinąć. Nie chciała grać roli niestanowczego rodzica, który nie potrafi stanąć w obronie swojego dziecka. Nawet gdyby Erika kiedykolwiek doszły słuchy, że urodził się w wyniku gwałtu, zarówno on, jak i otoczenie potraktowałoby to tylko jako dowód na to, z jaką niecierpliwością go wyczekiwano. Był ostoją spokoju i nigdy nie musiał wątpić, jak bardzo jest kochany. Postanowiła stoczyć tę wojnę dla siebie

i syna. Oczywiście z pobudek finansowych, ale również, aby zmusić Hallina, żeby jej za wszystko zapłacił – przyznał się do swojego czynu i na tym ucierpiał. Ostrzeżenia, które względem niego wystosowała, mogła bardzo łatwo wcielić w życie. Mogła – jeśli jej się podoba – wnieść oskarżenie o gwałt, mimo że nie była pewna, czy wystarczy jej na to sił. Nie ulegało jednak wątpliwości, że udałoby się przeprowadzić test na ojcostwo. Jemu samemu pozostawał wybór, czy chce to zrobić publicznie, czy nie. Chyba nadszedł czas, by znów wziąć go w karby.

Wzięła telefon i upewniła się, że opcja ukrytego numeru jest włączona. Najwyraźniej i tak wiedział, kim jest i gdzie mieszka, ale po gwałcie zmieniła numer na prywatny, bo nie miała ochoty znosić terroryzowania przez telefon. Tym razem nieszczególnie się denerwowała – buzowała w niej adrenalina. Wiedziała, że lepiej sobie radzi, mówiąc do słuchawki, kiedy nie musi pokazywać swojej mało zachęcającej postaci, niż w rozmowie twarzą w twarz. Wzięła kilka głębokich oddechów, po czym wybrała numer domowy do państwa Hallinów.

- Hallin – odezwał się męski głos.
- Czy mogę rozmawiać z Gunillą? – zapytała.
- Nie ma problemu. A kto prosi?
- Sandra. Wiesz, matka twojego dziecka.

Zapadła cisza. Sandra wyobrażała sobie frustrację narastającą u rozmówcy, gdy dotarły do niego jej słowa.

– Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz? – syknął wściekle, lecz tym razem ciszej.

Chyba mimo wszystko miał przed żoną małą tajemnicę, chociaż podczas ich ostatniej rozmowy zarzekał się, że jest inaczej.

– A, właśnie! Dzięki za kwiaty. Nie boisz się, że doniosę na ciebie policji?

- Wyobraź sobie, że niespecjalnie. Nie boisz się, jakie konsekwencje ty

możesz ponieść za tego rodzaju szantaż?

– To żaden szantaż, tylko prośba o to, co odpowiada zwykłym regulowanym prawnie alimentom. Wracając do twojego pytania, sądzę, że konsekwencją będzie pozytywne rozpatrzenie przez ciebie wniosku i przelew żądanej sumy na moje konto. Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Trudno mi zrozumieć, dlaczego tak się zapierasz.

– Doprawdy, trudno ci zrozumieć? W takim razie oświecę cię dlaczego. Nie podoba mi się, że jakaś mała zdzira włazi z buciorami w moje życie, żeby nachapać się cholernie dużo forsy.

– W takim razie ja ciebie oświecę, że to znacznie mniej niż połowa moich wydatków na chłopca. – Sandra walczyła. – Poza tym raczej nie prosiłam się o ciążę.

– A ja tym bardziej – warknął Hallin. – Byłoby lepiej dla wszystkich, gdybyś usunęła to dziecko.

– Najlepiej, i to bez porównania, byłoby, gdybyś myślał głową, którą masz na karku, wiesz, trochę wyżej. A nie tą drugą.

– Ty naprawdę jesteś jebnięta.

– Serio? – Sandra zaśmiała się szyderczo. – Ja jestem jebnięta, chociaż to ty latasz i gwałcisz kobiety?

Na chwilę zapadła cisza, po której znów podjął rozmowę – tym razem mówiąc opanowanym głosem.

– Słuchaj, zrobmy tak. Przyznaję, że to, do czego pijesz, było trochę niepotrzebne. Może i źle oceniłem sytuację, a jeśli tak, to przepraszam. Ale alimenty? Nie interesuje mnie żaden mały bachor. A ty mogłaś przecież usunąć dziecko, co nie? Zwłaszcza jeśli nie było cię na nie stać. Ale zdecydowałaś inaczej. Twój wybór, ja to szanuję. Ale mnie w to nie mieszaj, ja nie miałem tak jakby prawa głosu.

Zmieniony ton wprowadził Sandrę w lekkie osłupienie. Łatwiej sobie poradzić z arogancją oraz zgorzknieniem, teraz to zrozumiała. To, że spuścił

z tonu, hamując swoją pogardę, nie znaczyło, że Sandra musi pójść w jego ślady.

– Mnie nikt nie pytał, czy chcę uprawiać z tobą seks – odbiła piłeczkę. – A bardzo wyraźnie ci pokazałam, że sobie tego nie życzę. Czy nie łatwiej po prostu przelać te pieniądze i załatwić sprawę bez kolejnych rozmów ze mną? Nikt nie musi wiedzieć.

– I tak nikt się o niczym nie dowie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? To groźba?

– Nie zgłosisz tego tak zwanego gwałtu. Gdybyś chciała, zrobiłabyś to już dawno temu. A nie ma na to żadnych dowodów.

– Test na ojcostwo potwierdzi to i owo. Mogę sobie wyobrazić, że oskarżenie o gwałt trochę by tu namieszało.

– Słowo przeciw słowu: jak już powiedziałem, nie ma żadnych dowodów. Nigdy nie uda ci się pociągnąć mnie do odpowiedzialności karnej.

– Bardzo możliwe, ale ucierpi na tym twoja reputacja, a wydaje mi się, że tego wolałbyś uniknąć. Po prostu zapłać i po sprawie. Inaczej będę musiała podjąć działania, które ci się nie spodobają.

– To brzmi jak groźba. Nie masz pojęcia, z kim masz do czynienia.

– Chyba jednak mam – odparła Sandra zgodnie z prawdą. – Wiem o tobie o wiele więcej, niż ci się wydaje.

– Uważam, że czas zakończyć tę rozmowę – powiedział szorstko Hallin. – Dobrze ci radzę: daj sobie spokój.

– Zapomnij – odrzekła chłodno. – Mogę już prosić twoją ukochaną małżonkę?

– Ty paskudna, gruba, jebana pizdo – skwitował Hallin, aż Sandra słyszała, jak toczy pianę z ust, wypluwając z siebie słowa.

Rzucił słuchawką. Wnosząc po opisie, przynajmniej ją zapamiętał, skonstatowała Sandra i smutno się uśmiechnęła.

ROZDZIAŁ 39 | JEANETTE

Był ciepły, słoneczny dzień i wokół chodziło pełno ludzi, bo turyści zaczęli już zalewać wyspę. Zbliżała się noc świętojańska i widać było wyraźnie, że lepsze szkoły w Sztokholmie zakończyły już letni semestr.

Jeanette siedziała między Lubbem a Kattis i obserwowała przemykających obok ludzi. Wszyscy zdawali się pędzić w wielkim pośpiechu, by zdążyć zrobić coś ważnego przed całą masą innych niecierpiących zwłoki rzeczy, z którymi też należało się uwinąć. Sztokholmczycy przenieśli stres z metra aż na Gotlandię, a wszystko trochę się uspokajało dopiero przed Tygodniem Średniowiecznym, pod koniec wakacji.

– My jesteśmy małe mrówki, hopsasa, hopsasa! – śpiewał Lubbe.

Kattis zaśmiała się w głos. Jeanette uśmiechnęła się pod nosem, rozumiejąc w każdym razie aluzję, której – była przekonana – nie wyłapała Kattis.

Jeanette ubodła trochę myśl, że nie była już taką pracowitą mrówką, tylko hipiską, jak to ich dawniej nazywano. Gdyby się tak zastanowić, myślała, to słowo miało pozytywny wydźwięk. Pewną dozę szacunku do ludzi, którzy wybrali alternatywny styl życia. Mimo że tego się nie wybierało: człowiek lądował w takim stanie, nie mogąc podejmować przemyślanych decyzji, dobrych w ostatecznym rozrachunku. Życie chwilą wyniszczało, a hipisi to nic innego jak tylko żule, nałogowcy – te słowa nigdy nie brzmiały dobrze.

– Te szczury lądowe umrą wreszcie ze stresu – powiedziała Jeanette.

– Trzeba przecież zamarynować śledzie – spekulował Lubbe. – Zapiekłować łososia i zaopatrzyć się w coś mocniejszego. Zdrówko!

Uniósł plastikową butelkę i wziął kilka łyków coli zmieszanej z jakimś bimbrem, który akurat wpadł mu w ręce. Jeanette zamierzała właśnie sięgnąć do plecaka po swoją flaszkę, kiedy zauważyła zbliżającą się do nich parę policjantów.

– Lubbe, gliniarze – ostrzegła go, wyciągając zamiast butelki papierosa, którego zapaliła.

Mężczyzna szybko schował butelkę i też zaczął zapalać szluga, kiedy się do niego odezwano.

– Pijesz colę prosto z gwinta, Lubbe? – spytała policjantka, w gruncie rzeczy sympatyczna pani o surowej aparycji.

Lubbe odchylił się nonszalancko do tyłu z papierosem w kąciku ust.

– Co zrobić? – zapytał, rozkładając ręce. – Kieliszki Riedel tak okropnie podrożały. Nie macie nic lepszego do roboty niż szwendanie się w kółko i napastowanie wielbicieli słońca?

– Najwyraźniej nie – odparła. – Uważaj, Lubbe, żeby cię za bardzo nie przypiekło. Już jesteś trochę czerwony.

– Dzięki za troskę – powiedział, krzyżując ręce na piersi. – Ale może powinniście bardziej zaangażować się w sprawę morderstwa niż w mój filtr przeciwsłoneczny.

Policjantka nie dała się złamać, chociaż jej kolega się uśmiechnął.

– Uspokójcie się trochę. Nie musicie się tak obnosić z tym, co robicie. A te ławki to nie wasza własność, są jeszcze inni, którzy mogliby z nich skorzystać.

– Tylko by spróbowali – rzekł Lubbe z udawaną urazą.

– O to mi właśnie chodzi: ani się ważą. Może byście dla odmiany zmienili ławkę? Albo rozłożyli się na kocu gdzieś na pagórku pod lasem?

– Weźmiemy to pod rozwagę – odpowiedział, wydmuchując dym papierosowy drugim kącikiem ust.

Policjanci odeszli, a Jeanette znów zaczęła grzebać w plecaku. Wzięła głębszego i schowała butelkę, nie chciała niepotrzebnie kusić losu.

– Te psy zawsze muszą wiercić dziurę w brzuchu – stwierdziła Kattis.

– Ech, robią tylko, co do nich należy – skwitował Lubbe.

– Co za różnica, czy tu siedzimy? – Kattis jak zwykle nie mogła zrozumieć tego, co oczywiste.

– Dokładnie, jak powiedzieli, przesiadujemy tu całe dnie, więc nikt inny nie ma pożytku z tych ławek. Mogli nas stąd przepędzić milion razy, a jednak tego nie robią. Widzą, że pijemy, ale zostawiają nas w spokoju, chociaż picie alkoholu w miejscach publicznych jest zabronione. Mogli nas wszystkich aresztować, zapakować do radiowozu i stąd wykopać, ale zostawili nas, bo są w porządku.

– Mnie i tak prowokują, jak widzę, że wkładają ludziom mandaty za wycieraczki samochodów i napastują wielbicieli słońca, zamiast ścigać morderców.

– Kattis – Lubbe westchnął, wypuszczając chmurę dymu – po pierwsze, żartowałem z tym całym napastowaniem wielbicieli słońca. Wcale tego nie robią. Grzecznie zwrócili nam uwagę, że nie powinniśmy chlać przy tych wszystkich ludziach. Po drugie, to nie policja daje mandaty za złe parkowanie, tylko służba miejska zatrudniona przez Region Gotland. Parkingowi... Słyszałaś kiedyś o takim zawodzie? To nie policja. Po trzecie, są różni policjanci. Tamtych dwoje pracuje w lokalnej, a oni nie zajmują się dochodzeniem w sprawach zabójstw. To zadanie policji kryminalnej.

Kattis wywróciła oczami, poruszając głową w geście, który miał przypuszczalnie być wyrazem jej znudzenia towarzystwem otaczających ją idiotów. Następnie otworzyła puszkę z piwem, aż zasyczała.

– O jakim zabójstwie mowa? – spytała Jeanette.

– Nie słyszałaś? – Kattis się ucieszyła.

– Wcale nie wiadomo, czy chodzi o zabójstwo – powiedział Lubbe,

przydeptując butem peta. – Ale „nie wykluczają ewentualności morderstwa”, jak to się szumnie nazywa. Bardziej prawdopodobne, że ktoś zabłądził w lesie albo dostał udaru czy coś.

– W jakim lesie? – dopytywała Jeanette.

– Gdzieś na południe. W Garde.

– Ale to było dawno – dodała Kattis.

– Dawno temu? – dociekała Jeanette, której wcale nie ulżyło po usłyszeniu tej wiadomości.

W oczach Lubbego szukała dalszych odpowiedzi i coś musiało widnieć w jej własnych, bo jego twarz nabrała innego wyrazu.

– Nie rozmawiajmy już o tym – wymówił się.

– A to dlaczego? – spytała Kattis, której zdolności odczytywania nastroju pozostawiały wiele do życzenia. – Ja myślę, że to superciekawe! A co, jeśli to on?!

– On? – powtórzyła Jeanette, przelękając ślinę. – Wiadomo, kto to taki?

– Kattis, zmieńmy temat – powiedział Lubbe, posyłając Jeanette smutne spojrzenie.

– Podejrzewają, że to facet, który zaginął dawno temu – ciągnęła Kattis z błyskiem w oku. – I że został zamordowany.

Lubbe wziął teraz Jeanette za rękę i mocno ją ścisnął.

– Nie, Kattis – rzucił władczo. – Jakiś dziennikarz spekuluje, że mogło tak być. Policja nic takiego nie powiedziała, czeka, aż sądowi obducenci potwierdzą tożsamość mężczyzny.

Była to jego ostatnia desperacka próba uciszenia jej, ale mleko już się rozlało. Jeanette chciała usłyszeć, co Kattis ma do powiedzenia, mimo że jej słowa brzmiały sensacyjnie oraz na przekór temu, że od tej rozmowy przewracało jej się w żołądku.

– Przecież jasne, że to on – ciągnęła Kattis. – A może ktoś inny zaginął na wyspie?

– Kto? – spytała cicho Jeanette.

Lubbe zacisnął powieki. Sprawiał wrażenie, jakby chciał się zapaść pod ziemię. Nie wypuszczał jednak jej dłoni z rąk, więc mogła się ich w każdym momencie chwycić.

– Czterdziestojednolatek – poinformowała Kattis. – Nie pamiętasz? Pisali o nim we wszystkich gazetach.

– Wiesz co, Kattis? – odezwał się Lubbe. – Nettan go znała, więc może nie uszczęśliwia jej to, że słyszy to od ciebie.

– A, to *sorry*. – Kattis wzruszyła ramionami. – Ale tak przecież piszą w gazecie, więc sama sobie tego nie wymyśliłam.

Wstała i trochę obrażona poczłapała w swoją stronę. Na jej miejscu usiadła Matka, która wyrosła naraz zza ławki. Lubbe przyciągnął Jeanette bliżej siebie, zakładając jej kosmyk włosów za ucho. Nie wiedziała dokładnie dlaczego, ale do oczu napłynęły jej łzy.

– Tak mi przykro, Nettan – powiedział. – Powinienem był ci powiedzieć, tylko inaczej. Nie skojarzyłem tej historii z twoją. Aż było już za późno. Przepraszam.

Jeanette się nie odzywała, siedziała pogrążona w myślach, z głową opartą na ramieniu Lubbego, i nie wiedziała, co dalej. Nie miała pojęcia, jak powinna zareagować na tę wiadomość. Jakie to miało dla niej znaczenie – czy w ogóle ją ruszało?

– Matko, słyszałaś? – spytał Lubbe zawstydzony.

– Słyszałam – potwierdziła Matka, gładząc Jeanette po policzku.

– Ale ze mnie idiota. – Westchnął.

– Może nie wybiegajmy przed orkiestrę – zaproponowała Matka. – Powiedzmy, że odkładamy żałobę, aż będzie wiadomo, że jest nad czym

biadolić.

Zabrzmiało to rozsądnie, tymczasem Jeanette zyskała parę dni na przygotowanie się na najgorsze. Mimo że jej nadzieja nikła, przeplatana uczuciem paniki.

ROZDZIAŁ 40 | SANDRA

W przeddzień nocy świętojańskiej spali u rodziców, żeby mieć czas na przygotowania do uroczystości. Erik z dziadkami już szykowali wszystko przed inwazją gości, ale Sandra siedziała jeszcze w altanie przy śniadaniu, korzystając z okazji, by przeczytać gazetę od deski do deski w świętym spokoju.

Oczywiście słyszała o tej sprawie, ale dopiero teraz wzbudziła jej zainteresowanie, bo mężczyzna w średnim wieku zniknął bez śladu na ponad cztery lata. Jakiś człowiek znalazł go teraz na południu Gotlandii. Do tamtej części lasu nie zapuszczało się wielu ludzi, co nie budziło większej sensacji. Mężczyzna był zakopany, a zwłok nie grzebano zwykle w miejscach łatwych do odnalezienia. W tym przecież tkwił cały szkopuł: ciało miało w najbliższej przyszłości pozostać nieodnalezione.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że za zaginięciem kryło się zabójstwo, bo przecież żaden trup nie zakopuje się sam. Przyczyną śmierci było tępe uderzenie w głowę, a narzędziem zbrodni – łopata leżąca w grobie przy ciele, którą pewnie też wykopano dół.

Zdaniem Sandry wyglądało to na egzekucję – czyżby ofiara własnoręcznie wykopała sobie grób? Mężczyzna nazywał się Peter Norling, a przed zaginięciem „nie był interesujący z punktu widzenia policji”. Nie dziwiło to Sandry, na zdjęciu wyglądał przyjaźnie. Jeśli oczywiście można oceniać książkę po okładce, chociaż raczej się to sprawdzało – zarówno w przypadku ofiar, jak i przestępców, których załatwiła mafia. Można było to poznać choćby po tatuażach, a on nie miał żadnego.

Norling był właścicielem firmy, która zajmowała się naprawą

samochodów. Jego auto – firmowe – zostało pod jego pracą, gdzie widziano go po raz ostatni. Pokazano je na jednym ze zdjęć w gazecie – smutny widok, odosobniony samochód na parkingu w szarudze i rozchlanym śniegu, odgradzony taśmą policyjną w sporej odległości od pozostałych pojazdów. Logo firmy było rozmazane, raczej niemożliwe do odczytania. Jednak ku własnemu zdziwieniu Sandra odkryła, że ma przed oczami obraz logotypu i wie, jak wygląda i jak brzmi nazwa firmy. Zadawała sobie pytanie: dlaczego? Nigdy nie miała z nią nic wspólnego, nawet nie umiała powiedzieć, gdzie mieści się ten warsztat. Artykuł też tego nie podawał.

Okrutna historia. Po przedpołudniu spędzonym w warsztacie zniknął w porze obiadowej i już go więcej nie widziano. Zostawił żonę i dzieci, dom, długi, ale nie wypłacono im nawet pieniędzy z ubezpieczenia na życie, ponieważ nic nie wskazywało na jego śmierć. Ani też na to, że żył, ale firmy ubezpieczeniowe były skłonne ucześcić się raczej tej pierwszej wersji. Zaginął w lutym 2014 roku, czyli jego najbliżsi przez ponad cztery lata żyli w niewiedzy, co się dzieje z ich mężem i ojcem.

Dokładnie cztery lata i cztery miesiące. Prawie tyle, ile ona spędziła, nie wiedząc, kto jest ojcem jej dziecka. To jednak bardzo niesprawiedliwe porównanie. Jej życie zmieniło się na lepsze, Sandra stała się szczęśliwsza. Życie Norlingów rozpadło się na kawałki. Najpierw wtedy, a teraz ponownie. To nieludzkie. Ona doszła do siebie po gwałcie, została w niej tylko odraza do sprawcy.

Tak często wracała myślami do tamtego audi. Do głosu, który męczył o tym i owym, do zapachu skórzanych siedzeń drogiego samochodu zmieszanego ze smrodem trawionego alkoholu, do szosy zamieniającej się w lodowisko i do prędkości, która zdawała się rosnać, w miarę jak bledły jej knykie. Do jego niemal sadystycznego sposobu jazdy, który – jak wiedziała – był bezpośrednią konsekwencją jej strachu. Do tego, jak dodał gazu, zamiast zwolnić na zakręcie przed wąwozem. Gdyby ktoś nadjechał z naprzeciwka, to Sandra siedziałaby uwięziona w zaśnieżonym wraku samochodu przez cztery doby. Ale nikt nie nadjechał, na szczęście nie mijali

nikogo przez te ostatnie kilometry szaleńczej jazdy.

Chociaż... Chwileczkę... Tuż przed zakrętem za wąwozem – czy nie stał tam zaparkowany samochód? Tak, już jej się przypomniało: wśród drzew widziała jakieś auto. Chyba nawet przeszło jej przez myśl pytanie, co, u licha, tam robi. W środku zimy i to w taką pogodę, nie jeździły tamtędy żadne samochody, droga prowadziła donikąd. Nie miała jednak czasu na zastanawianie się nad tym, była całkowicie zajęta truchleniem o swoje życie, zamartwianiem się, co ich czeka za kolejnym zakrętem. Teraz już widziała wyraźnie – zamazane zdjęcie z gazety musiało naprowadzić jej myśli na ten trop – to ten samochód firmowy, czarno-czerwony, z logo, którego nie mogła odczytać na zdjęciu, ale które wyraźnie widziała nad przepaścią. PN Auto – zapadło jej głęboko w pamięć tylko po to, by w dalekiej przyszłości mogła sięgnąć po tę nazwę, kiedy nadejdzie potrzeba.

Teraz.

Czy właśnie to zaszło, kiedy mąż Kerstin wyjeżdżał z zakrętu przed wąwozem? Czy właśnie wtedy Peter Norling zdecydował skrócić w główną drogę? Może był nieostrożny, niczego się nie spodziewał, może stracił panowanie nad kierownicą i zepchnął nadjeżdżający samochód z drogi w dół skarpy? Może potem cofnął na leśną drogę, żeby się schować, sfotografował niebieskie audi, które po chwili przejeżdżało obok i zatrzymało się, a następnie – kiedy już odjechało – zszedł do kamieniołomu, do tamtego nieszczęsnego samochodu, zrobił zdjęcia wraku i uciekł z miejsca wypadku, nie zawiadomiwszy służb? A potem wysłał zdjęcia do Kerstin, żeby odsunąć od siebie podejrzenia.

Tak musiało się stać. Hallin nie był winny ucieczki z miejsca wypadku i dlatego z czystym sumieniem zignorował próbę szantażu. To Peter Norling spowodował katastrofę.

Dwa tygodnie później stracił życie – został zamordowany. Pytanie: dlaczego, ale oczywiście wszystko wskazywało na to, że miało to związek z wypadkiem. Co z kolei przemawiało za tym, że zabójstwo było sprawką

Kerstin. To jednak wydawało się bardzo mało prawdopodobne, ponieważ ich nocne rozmowy w żaden sposób nie sugerowały, że w momencie zaginięcia Norlinga Kerstin wiedziała wystarczająco dużo, by poczynić tak drastyczne kroki. Najpewniej nie była świadoma roli, jaką w tym wszystkim odegrał Peter Norling. Poza tym Kerstin zwyczajnie nie sprawiała wrażenia osoby brutalnej – raczej była jej przeciwieństwem.

Obiad z okazji nocy świętojańskiej celebrowano w ogrodzie rodziców w towarzystwie krewnych i znajomych. Kiedy z talerzy zniknęły śledzie i młode ziemniaki, a ze szklanek piwo i sznaps, wszyscy wspólnie pojechali na rowerach do Fridhem, gdzie odbywało się tradycyjne świętowanie: taniec wokół słupa majowego, dziecinne zabawy, a dla milusińskich – gra w łowienie łakoci w „stawie rybnym”.

Cała dość duża ferajna rozłożyła koce na uboczu, tuż przy zagajniku. Późnym popołudniem, kiedy nadchodził czas zbierać się do domu, aby przygotować wieczorne grillowanie, Erik razem z parą starszaków zrobił sobie wycieczkę do lasu. Sebastian i Fredrika mieli po dziewięć lat i obiecali mieć na niego oko.

Wrócili po dwudziestu minutach, każde z dziecinnie skomponowanym bukietem w garści, złożonym głównie z wielkich, rozłożystych chwastów, zupełnie przysłaniających kwiaty, które powinny rozjaśniać bukiety. Znalazło się tam również siedem rodzajów kwiatów do włożenia pod poduszkę w noc świętojańską, dokładnie jak głosiła tradycja. We śnie miał się ukazać przyszły wybranek lub wybranka – co zdawało się raczej naciągane zarówno w przypadku trzylatka, jak i starszaków. Odległa przyszłość. Ale dzieci były podekscytowane, a o to przecież chodziło.

Sandra, podobnie jak pozostali dorośli, spojrzała tylko pobieżnie na bukiety dzieciaków. Ściśle mówiąc, ledwie rzuciła na nie okiem, zupełnie pochłonięta rozmową z kuzynem i jego żoną. Dopiero parę minut później, kiedy zaczęli się zbierać do domu i pakować kosze piknikowe, przyjrzała się bukietowi Erika. Odkryła wówczas, że wśród ostu, cykorii oraz mleczy o długich łodygach kryły się również biała lilia i czarna kalia.

Natychmiast wstała i objęła wzrokiem przeredzającą się zgrają ludzi i las. Nigdzie ani śladu po Hallinie, a wśród drzew nikt się nie ruszał. Jeszcze raz przebiegła wzrokiem po łące i otoczeniu, ale jeśli tu był, to pewnie trzymał się w ukryciu. Najprawdopodobniej zmył się, kiedy tylko załatwił sprawę.

Co to za wygłupy – dorosły mężczyzna, który zachowuje się jak jakiś rąbnięty psychopata z horroru? Miał szczęście, to zwyczajne zrządzenie losu, że Erik oddalił się na chwilę, na dodatek po to, żeby nazbierać kwiatów. Swoją drogą, nawet jeśli nie dziś, to udałoby mu się innego dnia, w inny sposób.

Sandra się nie wystraszyła, była rozsiedzona. Zachowała jednak spokój, zdecydowana trzymać rodziców i całą resztę z dala od tego. Na pozór nieporuszona, kucnęła przy Eriku i przemówiła ciepłym głosem:

– Jakie piękne kwiatki, kochanie. Gdzie je znalazłeś?

– W lesie, o tam.

– Te też? – spytała Sandra, lekko trącąc cięte kwiaty w bukicie.

– Taaaak! – Erik się rozpromienił.

– Na pewno rosły sobie tak jak inne kwiatki? – dociekała.

– Tak. Ale nie tak mocno!

– Racja. Bo widzisz, ktoś odciął im łodyżki, a ty chyba nie masz nożyka?

– Nie, nie mam. – Erik się zmartwił, czując, że mu nie wierzy.

– Na pewno nikt ci ich nie dał?

– Nie, zbierałem je całkiem sam.

– Dobra robota, Eriku, są przepiękne. A spotkaliście kogoś w lesie czy byliście tam sami z Sebastianem i Fredriką?

– Byli tam inni, ale z nami nie rozmawiali.

– Nikt szczególny, kogo zapamiętałeś?

– Nie, bo nikt z nami nie rozmawiał.

– Okej. – Sandra zmierzwiła mu włosy. – Będziesz dziś słodko spał!

Stała w miejscu i patrzyła na niego zamyślona. Dotarło do niej, że Hallin nie miał szczególnej ochoty wytrzasnąć ponad pół miliona alimentów na dziecko, którego nie chciał uznać. Naprawdę to rozumiała, wystarczyło, że jej powiedział. W sumie wcale nie musiał jej o tym informować – i tak wiedziała. Ale to? Co to miało znaczyć? Ukryta groźba w formie kwiatów pogrzebowych to po prostu głupota. W dodatku drugi raz, kiedy pierwszy nie odniósł skutku.

Jednak ze znaczącą różnicą – tym razem zamieszano w to Erika. Czy przesłanie miało być takie, że trzylatek ma umrzeć i zostać pogrzebany? Bo Hallin, mimo że dysponował odpowiednimi środkami, nie miał ochoty płacić alimentów? To okropne, ten facet jest rąbnięty.

Od wysyłania kwiatów do morderstwa jest jednak długa droga, a Sandra nie miała zamiaru dać się odstraszyć. Utwierdziła się tylko mocniej w swym przekonaniu: Jan Hallin zbliżał się milowymi krokami do swojej klęski. A Sandra miała mu w tej podróży pomóc.

Czas jednak uciekał, musiała w spokoju usiąść przy komputerze. Bez mieszania w to rodziców i innych, którzy z całą pewnością zaczęliby się angażować i przeciwdziałać całemu przedsięwzięciu. Musi też ponownie skontaktować się z Kerstin. Jak najszybciej.

ROZDZIAŁ 41 | JEANETTE

Na początku stosowała się do zaleceń Matki i przygotowała się najlepiej, jak tylko potrafiła. Roztrząsała własne uczucia, by dojść do tego, jak naprawdę traktuje Petera po tym wszystkim, co się wydarzyło, i jak może zareagować, gdyby się okazało, że w Alskogen znaleziono jego ciało. Jednak samo szperanie w starych śmieciach, o których wolałaby zapomnieć, było wyczerpujące, a na dodatek miała się jeszcze odnieść do perspektywy przyszłości, która nie zapowiadała się zbyt obiecująco.

Jak zwykle, jedno wynikało z drugiego. Niezależnie od wsparcia przyjaciół czuła się niezwykle osamotniona, a jedynym lekarstwem na dobrze jej znane lęki był alkohol. W dużych ilościach. Otępił ją na tyle, by do pewnego stopnia wyprzeć problemy, co w rezultacie doprowadziło do tego, że kiedy nadeszła odpowiedź, nie była na nią do końca przygotowana.

Wiadomość podano akurat w noc świętojańską. Jeanette leżała jeszcze w łóżku, kiedy przeczytała o tym w telefonie, na jakiejś stronie z aktualnościami. Ciało znalezione w sąsiedztwie Digerrojr należało do czterdziestojednolatka zaginionego 4 lutego 2014 roku, Petera Norlinga, który zostawił pograżone w żałobie żonę i dwoje dzieci.

Zamiast natychmiast się załamać – czego się spodziewała w całym tym zamroczeniu – w jakiś niezwykle sposób udało jej się odłożyć uczucia na bok, by zrobić miejsce na stosunkowo jasną analizę.

Czy Jeanette pogrzyżała się w żałobie? Nie było zaskoczeniem, że nikt inny tak na nią nie patrzył, ale czy sama tak siebie postrzegała?

Gdyby ta wiadomość przyszła na początku lutego 2014, z pewnością tak by siebie traktowała. Nie zdawała sobie wówczas sprawy ze skali

przeczuwanej zdrady, a jeśli by się jej spodziewała – na pewno zmieniłaby tok myślenia. Miałaby świadomość, że wszystko błędnie zrozumiała, że deklarowane przez niego uczucia względem niej były najprawdopodobniej niekłamane. Mając na uwadze jej ówczesny stan psychiczny, śmierć Petera z pewnością by ją załamała, chociaż właściwie podobnie stało się, kiedy wzięła go za oszusta, więc niewielką zrobiłoby to różnicę.

Ale teraz? Czy była w szoku? Czy na wiadomość o śmierci kochanka poczuła wielki ból?

Już od dawna nie był jej kochankiem. Jednak równie długo nie był już ojcem i mężem, ale oni go opłakiwali – to oczywiste, niezależnie od tego, co wypisywały gazety. Podążając tym tropem, Jeanette także przeżywała żałobę. W momencie śmierci Petera była jego kochanką. On kochał ją, a ona bez cienia wątpliwości kochała jego. Naturalną kolejną rzeczą – w świetle wszystkich okoliczności – byłoby ponowne postawienie się w sytuacji, w której się wówczas znajdowała. Powinna zapomnieć o tym, jak go niesłusznie oskarżała, wymazać cztery lata nienawiści oraz zgorzknienia i mu przebaczyć. Po prostu przyjąć swoją pierwotną postawę.

To jednak było niemożliwe. Żałoba żałobą, może już go odżałowała.

Zamordowany, pomyślała potem. Peter nie umarł ot tak, ktoś odebrał mu życie. Uderzył go w głowę czymś ciężkim i twardym, a później wrzucił do grobu tak głębokiego, że nie było po nim śladu przez cztery lata, dopóki lis nie zwęszył jego szczątków.

Okropne. Ktoś postąpił tak z mężczyzną, którego kochała. Tylko dlaczego? Jak to możliwe, że zaszedł komuś za skórę tak bardzo, że aż doszło do zabójstwa? Peter? Niepojęte.

Czy mogło to mieć związek z tamtymi pieniędzmi? Może się komuś wygadał, zwyczajnie pochwalił? Nie, to nie do pomyślenia. Przecież od tych sześciu milionów zależała cała jego przyszłość, ich przyszłość. Chybaby nie ryzykował wszystkiego – zwłaszcza swojej wolności – będąc niedyskretny?

Przez ostatnie cztery lata Jeanette nawet do głowy nie przyszło, że Peter

mógł nie żyć. Wiedziała, że ją zostawił i dał drapaką razem z kasą. Myślała o nim źle, przypisując tak wiele niepoehlebných cech. Jakże go nienawidziła, życząc mu najgorszego!

Bez powodu zbrukała jego pamięć, co teraz ją dręczyło. Spotkało go najgorsze, a ona – zamiast okazać wdzięczność za całą radość i przyjemność, jakich dzięki niemu doświadczyła, oraz wspominać go z szacunkiem i smutkiem należnym człowiekowi godnemu uznania – użalała się nad sobą i swoim zmarnowanym życiem.

Właśnie wtedy ogarnął ją smutek. Czysty, niewypaczony smutek, który nie miał nic wspólnego z niedoskonałościami Jeanette. Miał związek wyłącznie z Peterem oraz tęsknotą za nim i był o wiele szlachetniejszy od całej pogardy, którą tak długo żywiła dla niego i siebie samej.

Było to wyzwajające uczucie, które – mimo łez płynących po policzkach – przypominało radość, jakiej Jeanette nie doświadczyła już od bardzo dawna. Z tą myślą wstała z łóżka i podeszła do szafki w łazience.

ROZDZIAŁ 42 | SANDRA

Reszta wieczoru świętojańskiego przebiegała bez incydentów, a Sandra z Erikiem zostali u dziadków na jeszcze jedną noc. Chłopiec miał u nich spędzić cały weekend, Sandra wymówiła się pracą. Powołała się na to, że wiele kolegów i koleżanek wzięło wolne z okazji nocy świętojańskiej, co po części było prawdą, choć niezupełnie. Wprawdzie zgodziła się – kosztem własnego urlopu – zastąpić szefa do końca lipca, ale to nie znaczyło, że musi pracować dniem i nocą przez kolejnych pięć tygodni. Sandra miała inne zajęcia, ale o tym rodzice nie musieli wiedzieć.

Nieporadne próby wystraszenia jej nie sprawią, że Hallinowi się upiecie – nie zmusi jej do milczenia. W końcu nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko spłacić alimenty, które tak bardzo go rozwścieczyły. Nie ulegało to najmniejszej wątpliwości, ale najpierw chciała mu dać szansę, by przyznał się do wykroczenia i uregulował sprawę bez mieszania w nią urzędników. Innymi słowy, chciała go nastraszyć tak, żeby jej posłuchał: tak samo jak on usiłował strachem zamknąć jej usta. Bez wątpienia oboje znaleźli się w ciekawym zawieszeniu. A pikantny dodatek w postaci zaszyfrowanych pogroźek tylko napędzał ją do działania.

Siedziała z telefonem w garści, by po raz pierwszy zamienić parę słów z panią Hallin. Była przekonana, że na początek taki kontakt będzie wystarczająco przerażający. Jeśli odebrałby Hallin, mogła udać, że to pomyłka. To jednak nie okazało się konieczne.

– Gunilla Hallin – odezwał się głos w słuchawce.

– Dzień dobry, mam na imię Sandra. Jestem w trakcie dyskusji z pani mężem dotyczącej utrzymania pewnego chłopca, który wychowuje się

w trudnych warunkach.

– Brzmi ciekawie – stwierdziła Gunilla. – Cały Jan!

Rzeczywiście, pomyślała Sandra. Działalność charytatywna była Janowi niemal równie bliska jak równouprawnienie Kapitanowi Sukience* – komendantowi wojewódzkiej policji, który w pracy stawał w obronie kobiet, a po godzinach gwałcił małe dziewczynki.

– Tak, rozumiem, że jest mocno zaangażowany w różnego rodzaju działalność charytatywną – odparła. – Szczególnie w los dzieci, którym dzieje się krzywda.

– Jak najbardziej. Czy mam go poprosić do telefonu?

– Będę wdzięczna – powiedziała Sandra, myśląc, że to raczej oczywiste.

Jednocześnie dotarło do niej, że pozwoliła swojej odrazie do Hallina niesprawiedliwie skropić jego żonę. Kobieta miała przyjazny głos, a poza tym była nawet trochę dumna z męża, co było piękną cechą u partnerki. Na dodatek ona sama też była przecież ofiarą, chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy. Kto chciałby poślubić gwałciciela? Uwodziciela. Bo raczej nie pierwszy raz ją zdradził, nawet jeśli chciałoby się wierzyć, że z reguły nie wymuszał seksu przemocą.

Z oddali dobiegły ją naraz łagodna rozmowa oraz odgłos zamykanych drzwi. A niedługo potem również syczenie Hallina.

– Najwyższy czas z tym skończyć. Nie zamierzam z tobą rozmawiać.

– Chciałam tylko dać ci ostatnią szansę, byś się opamiętał – powiedziała chłodno Sandra. – Mnie nie wystraszysz.

– To ty przerażasz mnie, tyle ci powiem.

– Lwica z lwiątkiem, no wiesz.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś nie mieszała w to mojej żony.

Hallin mówił cicho, niemal szeptem, ale brzmiał, jakby był trochę zmęczony, raczej jakby się poddał, niż wściekał.

– Jedyne, co musisz zrobić, to zapłacić tyle, ile jesteś winien – oznajmiła rzeczowo Sandra.

– Sześciuset tysięcy, czy ileś tam, kurwa, chciała, nie wytrzępię przecież z rękawa.

– Jak już mówiłam, możesz to spłacić w ratach.

– Uparta z ciebie pinda.

– Numer konta już masz, a przy pierwszym przelewie możesz podwoić kwotę. Ponieważ zalegasz z płatnością z maja, o ile się nie mylę.

Hallin głośno westchnął.

– Okej, zapłacę – powiedział wreszcie.

– Traktuję to jako przyznanie się do winy – stwierdziła Sandra, a słodycz triumfu rozeszła się po jej wnętrzu.

– Nigdy więcej się ze mną nie kontaktuj – skwitował Hallin.

– Nie zamierzam, jeśli będziesz płacił swoje zobowiązania.

Ale on już się rozłączył. Sandra rzuciła okiem na zegarek i uświadomiła sobie, że rozmowa trwała trochę ponad minutę.

Może za szybko poszło? Co, jeśli on tylko gra na czas?

Odsunęła jednak od siebie te myśli, jak na razie była zadowolona ze swoich osiągnięć i chciała wierzyć, że go wymęczyła. Że usłyszała jego wyznanie, nawet jeśli nie do końca można to nazwać przeprosinami. Wyglądało na to, że wreszcie dostanie zasłużone alimenty, co samo w sobie stanowiło przyznanie się do winy.

Postanowiła dać mu tydzień. Jeśli na jej konto nie wpłyną pieniądze, poczyni kolejne kroki, choć miała nadzieję tego uniknąć. Musiała się zająć innymi, ważniejszymi rzeczami.

* Chodzi o Görana Lindberga, który zyskał taki przydomek po skandalu dotyczącym molestowania nieletnich (szw. Kapten Klänning).

ROZDZIAŁ 43 | JEANETTE

Otworzywszy oczy, zobaczyła, że znajduje się w szpitalu. Było to trzeźwe stwierdzenie, a Jeanette nie chciała być trzeźwa. Nie chciała też oprzytomnieć ani leżeć w szpitalu. Nigdzie nie chciała być, więc zamknęła oczy i znów odpłynęła.

Po kolejnym przebudzeniu zawiesiła wzrok na Lubbem i Matce, którzy siedzieli na krzesłach przy jej łóżku i cicho rozmawiali. Kiedy tylko Lubbe zauważył, że już nie śpi, pochylił się nad nią i chwycił jej dłoń.

– Jesteśmy przy tobie, kochana – mówił łagodnie. – Nie musisz się bać.

Jeanette westchnęła, wbijając wzrok w nieokreślony punkt na suficie. Nie miała nic do powiedzenia. Czy wszystko nie mogło zwyczajnie przestać istnieć? To byłby znośny koniec.

– Wierzysz w niebo, w Boga i te sprawy? – spytał Lubbe.

Jeanette zaprzeczyła ruchem głowy, nie spojrzawszy na niego.

– Proponuję więc, żebyś została z nami tu, na dole. Jesteśmy z tobą, wiesz? Tak łatwo cię nie puścimy.

– Skąd...? – wyszeptała Jeanette.

Nie miała jednak sił dokończyć zdania, w sumie nie bardzo obchodziła ją odpowiedź.

– Skąd wiedzieliśmy? – powiedział Lubbe. – Zobaczyliśmy to, co i ty. Matka... Próbowaliśmy dzwonić, ale nie odbierałaś. Więc do ciebie poszliśmy. Waliliśmy w drzwi, wrzeszczeliśmy, aż sąsiedzi powychodzili z mieszkań, bo zastanawiali się, co się dzieje. A ty dalej nie odpowiadałaś. Coś nam nie grało.

– Mam twardy sen – szepnęła.

Pomyślała, że odstawiła prawdziwą szopkę, chociaż starała się pozostać w tym bloku anonimowa mimo pełnych podejrzeń spojrzeń, które jej towarzyszyły, gdy tylko wchodziła do klatki lub z niej wychodziła. Czy nie można już nawet spoczywać w pokoju?

– Opakowanie było puste, Jeanette. Nie oszukuj, nie nas. Myślałem, że skończyłaś z tym gównem.

– Musiałam się tylko... trochę uspokoić.

Lubbe pokręcił głową, wypuścił jej dłoń i odchylił się na krzesło. Był przerażony. Matka siedziała obok, przyglądając się jej z kamienną twarzą. Jeanette nie miała już nawet siły płakać. Czuła, jak świdrują ją wzrokiem, i chciała stamtąd po prostu zniknąć.

– Jak właściwie weszliście do środka? – zapytała, żeby ich przeszywające spojrzenia napełniły się czymś innym niż samą litością.

– Włamaliśmy się – przyznał Lubbe. – Po chwili przekonywania namówiliśmy jednego sąsiada, żeby dał nam kilof, a potem wyważyliśmy drzwi. Już prawie było gotowe, gdy przyjechała policja, więc dali nam skończyć. Wyobrażasz sobie? Policję, która dopinguje, kiedy włamuję się do mieszkania? Niech mnie kule biją, pierwszy raz mi się to zdarzyło.

Jeanette lekko się uśmiechnęła, czym chyba zaraziła swoich obserwatorów, którzy trochę się rozchmurzyli. Lubbe pochylił się nad nią, delikatnie musnął wargami jej czoło, po czym znów opadł na krzesło.

– Hej, dziewczyno – powiedział, lekko boksując ją w przedramię. – Nie rób nam tego więcej. Ranisz nas, kapujesz?

Nie, chyba tego nie wiedziała. Chyba jak zwykle myślała przede wszystkim o sobie. Nie zauważała, że jej czyny wciąż wpływają na innych. Ani że istnieją jeszcze ludzie, dla których naprawdę coś znaczy. Mimo że oni nic dla niej nie znaczyli. Nie więcej niż rozrywka w codzienności.

Ludzie, którzy liczyli się dla Jeanette, już odeszli.

ROZDZIAŁ 44 | SANDRA

Po weekendzie celebrowania nocy świętojańskiej Sandra odebrała Erika od swoich rodziców – przed ostatnim tygodniem roku przedszkolnego. Do urlopu jeszcze jej trochę zostało, ale Erik miał spędzić początek wakacji z dziadkami. Mieli wolne od przyszłego weekendu, a po ich miesięcznym urlopie Sandra miała przejąć pałeczkę. Składali się jak scyzoryk, żeby życie Sandry oraz chłopca jakoś funkcjonowało, i mimo że trochę się wstydziła, była swoim rodzicom wdzięczna. Przekazywanie im odpowiedzialności ułatwiał nieco fakt, że czas spędzony z wnukiem był jednakowo ważny dla nich, jak i dla niej.

Nawet jeśli Sandra chwilowo była pochłonięta wymagającym zadaniem, nie wzięła wolnego od telefonu zaufania. Ellen wciąż dzwoniła prawie codziennie i stała się teraz promykiem radości, kiedy Kerstin usunęła się w cień. Poza tym Sandra słuchała tych samych co zwykle zwierzeń na temat strachu, samotności, obawy o przyszłość i trwogi związanej z przeszłością. Było to pomocne i interesujące dla obu stron, miała nadzieję. Ona w każdym razie czuła się zadowolona z tego, że może choć w niewielkim stopniu pomóc ludziom, którzy potrzebowali z kimś porozmawiać.

Wieczory płynęły szybko. Minęły czasy, kiedy leżała na kanapie i obojętnie wpatrywała się w telewizor między sporadycznie przychodzącymi rozmowami. Obecnie wypełniała czas czymś innym, więc podskoczyła, gdy tylko telefon zaczął wibrować na stole w kuchni. Rzuciła okiem na zegar ścienny i odkryła, że już po północy, więc powinna pójść spać, żeby zdołać stawić czoło wyzwaniom kolejnego dnia. Innymi słowy, czyste szczęście, że połączenie nadeszło, zanim zdążyła się położyć do łóżka.

– Kerstin! Ależ się cieszę, że dzwonisz! To już sześć tygodni, odkąd się

ostatnio odezwałaś, naprawdę się o ciebie martwiłam.

– Martwiłaś się? – Kerstin się zdziwiła. – Jak to?

– No wiesz. Masz przecież swoje problemy, a ja nie wiem, jak sobie z nimi radzisz na co dzień.

– Chodzi ci o myśli samobójcze? – wypaliła Kerstin bez ogródek. – Nie wiem takich, więc nie masz się czego obawiać. Ale za to... – Przerwała, rozbudzając w Sandrze ciekawość.

– Ale za to co?

– Ech, zaraz do tego dojdę. Chcę z tobą pogadać o czymś, co się wydarzyło.

– Nic poważnego mam nadzieję?

– W pewnym sensie. Ale to nie to, co myślisz.

Sandra nie wiedziała, co o tym sądzić, więc prawdopodobnie zaskoczyłoby ją, cokolwiek by powiedziała. Tak to zwykle bywało podczas rozmów z Kerstin.

– Okej – odparła. – Zamieniam się w słuch.

– Poznałam osobę, której nienawidzę – rzekła ponuro Kerstin. – Dlatego się nie odzywałam. Musiałam się zastanowić, jak się zachować.

Sandra doskonale wiedziała, na kim Kerstin koncentrowała swoją nienawiść. Z tym, że od ich poprzedniej rozmowy Sandra doszła do wniosku, że uciekinier z miejsca wypadku, a tym samym fotograf, już nie żył. Kerstin nie mogła go poznać.

– Poznałaś? – spytała z niedowierzaniem.

– To znaczy... Nie, „poznałam” to złe słowo – poprawiła się.

Dobrze. Nienawiść to poważna sprawa, z którą nie można igrać.

– Znam ją od kilku lat. Spotykałam się z nią.

– Z nią? – Sandra pomyślała, że Kerstin musi się mylić.

– To dość długa historia – tłumaczyła Kerstin, wzdychając. – Chyba muszę zacząć od początku. Masz czas pogadać?

– Cała noc przed nami – odrzekła Sandra, którą nagle opuściła potrzeba wyspania się przed kolejnym dniem pracy.

Kerstin opowiedziała więc.

O swoim dawnym życiu w kryminalnych kręgach oraz o miłości do przestępcy, który trafił za kratki za napad na bank. O zerwaniu z destruktywnym towarzystwem w Sztokholmie, przeprowadzce na gotlandzką wieś, wyjściu na wolność i praniu brudnych pieniędzy. Kerstin ominęła szczegóły ciężkiego wypadku, ale opisała dni oczekiwania na męża, który nigdy nie wrócił do domu, oraz to, co się działo, kiedy dowiedziała się o jego śmierci – mówiła o żalu, samotności i o tym, jak przyjęto ją w Visby po przeprowadzce. Opowiadała, jak trudno jej było zdobyć pracę, odnaleźć sens życia, jak się stoczyła, a w końcu wylądowała na marginesie społeczeństwa pod bramą Österport. Tylko po to, żeby wyjść do ludzi i być wśród nich. O tym, że przez nazwisko i osobowość zaczęli na nią mówić Barbamama, co starała się traktować nie jako obelgę, ale wyraz sympatii. Powiedziała, że z czasem pseudonim skrócono: dla wszystkich znajomych była Matką – podstawiającą rękaw do wyplakania się i chętną do wysłuchania problemów.

Kerstin opisywała to wszystko z taką pokorą i skrytym cierpieniem, że Sandra nie potrafiła powstrzymać łez. Ale to jeszcze nie koniec, bo usłyszała dotąd jedynie o tle wydarzeń, które były dla Kerstin jeszcze ważniejsze. Tyle Sandra zrozumiała, podobnie jak fakt, że Kerstin jeszcze nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo opowiadanie o śmiertelnym wypadku było ważne również dla Sandry.

– Przykro mi – oznajmiła, kiedy Kerstin przerwała, by zapalić papierosa. – Bardzo mi przykro, że musiałś przez to wszystko przejść. Ale cieszę się, że masz przyjaciół.

– Jeanette – ciągnęła Kerstin – jedna z dziewczyn z ławki. Próbowала się

zabić w noc świętojańską. Jakiś czas temu znaleziono ciało w Garde, ale dopiero w piątek gazety doniosły, kto to był.

– Chodzi o Petera Norlinga? – zapytała Sandra, do której dotarło, że zbliżają się do czegoś istotnego, co może jej umknęło.

– Tak – potwierdziła Kerstin. – Domyśliłam się, że Jeanette nie zniesie tego najlepiej. Peter Norling był jej kochankiem.

– Gdy zaginał?

– Gdy zaginał.

Sandra wciąż nie rozumiała, jakie to mogło mieć znaczenie, ale coś jej podpowiadało, że to bardzo istotne.

– Jego samochód stał na miejscu wypadku – czuła się w obowiązku wtrącić.

Teraz to Kerstin się zdziwiła.

– Skąd o tym wiesz?

– Przejeżdżałam koło wąwozu tuż przed wypadkiem – odpowiedziała. – Zrozumiałam to z twoją pomocą. A kiedy czytałam o znalezionym ciele, kiedy zobaczyłam auto Norlinga, przypomniałam sobie, że widziałam ten samochód wśród drzew w tamto popołudnie. Myślę, że to on spowodował wypadek. I zrobił zdjęcia.

– Nie – rzekła Kerstin. – To Jan Hallin zepchnął Karla-Erika z drogi. I uciekł.

Sandrze zaparło dech w piersi. Czy to jednak pijany gwałciciel mknął złym pasem na zakręcie? I nawet nie kiwnął palcem, kiedy z naprzeciwka nadjechało inne auto? Dokładnie tak, jak na początku myślały, co zgadzało się z tym, w co naprawdę, naprawdę chciała wierzyć. Zanim te fotografie zaczęły mącić, skłaniając je do wniosku, że to jakaś konspiracja, i przysyłając to, co oczywiste.

– To Jeanette zrobiła zdjęcia i je do mnie wysłała – ciągnęła Kerstin. –

Byli razem z Peterem Norlingiem w tym samochodzie. Nie spowodowali wypadku, ale też stamtąd uciekli. Nie przyłożywszy nawet ręki do uratowania Karla-Erika.

– Cień – myślała głośno Sandra. – Na tamtym zdjęciu widziałas cień Petera Norlinga. Nie Hallina czy kogokolwiek innego.

– Otóż to – przyznała Kerstin.

– Ale dlaczego? – dopytywała gorączkowo. – Co popycha człowieka, parę ludzi, do zrobienia czegoś takiego?

– Chciwość – odparła Kerstin, akcentując każdą sylabę.

Następnie wyjawiała część historii dotyczącą zakazanej miłości, żądzy pieniądza, wyrzutów sumienia, lęku, tęsknoty, zdrady, nienawiści i pragnienia śmierci...

Opowieść Jeanette, którą streściła bez krzty subiektywizmu. Szczerze, bez przekręcania faktów, z jednakowym zaangażowaniem jak swoją własną.

Sandrę głęboko to poruszyło – sama skomplikowana historia, ale również sposób, w jaki Kerstin się w nią wczuła, mimo że nie doświadczyła tych zdarzeń.

– Jeanette wie, kim jesteś? – podpytywała delikatnie Sandra.

– Nie, nie wie, jak się naprawdę nazywam, dla niej jestem po prostu Matką. Jeszcze się nie ujawniłam. Nie jestem pewna, czy w ogóle to zrobię, to zależy.

– Zależy od tego, jak się do tego ustosunkujesz? Do Jeanette?

– Między innymi – powiedziała Kerstin po namyśle. – Ciągłe się nad tym zastanawiam.

– Nie zamierzam dawać ci rad – odrzekła Sandra. – Odpowiedź znajdziesz w głębi serca.

Kerstin tego nie skomentowała, ale zwróciła uwagę na rzecz, która zajmowała myśli Sandry już dłuższą chwilę.

– Jeanette gryzły wyrzuty sumienia i wysłała do mnie zdjęcia. Ja z kolei do Hallina, z groźbą, że pójdę z tym na policję. Jeśli nie oddałby mi pieniędzy, które, jak błędnie sądziłam, ukradł. Hallin nie miał kasy, ale był śmiertelnie przerażony, że policja zacznie węszyć, więc co miał zrobić?

– Myślałyśmy, że unikał problemu i miał nadzieję, że rozejdzie się po kościach. – Sandra się zamyśliła.

– Co zresztą się stało – uzupełniła Kerstin. – Ponieważ nie miałam siły przypomnieć mu, co ryzykuje, ani zrealizować groźby. Choć może on inaczej to odebrał.

Sandra poczuła, że coś chwyta ją za gardło.

– Że źródło problemu ma z głowy – dokończyła rozumowanie Kerstin. – Mianowicie Petera Norlinga.

– Dokładnie tak pomyślałam – przyznała Kerstin. – To, że Peter Norling został zamordowany zaraz po wypadku, którego był świadkiem, wygląda mi po prostu na zbyt duży zbieg okoliczności. Pytanie tylko, skąd Hallin wiedział, że Norling był w pobliżu akurat w chwili tragedii.

– Z tego samego powodu co ja – odparła wolno Sandra. – Tuż przed wypadkiem przejeżdżał obok i samochód przykuł jego uwagę.

Kerstin milczała przez chwilę, najwidoczniej w nadziei, że Sandra dokończy wypowiedź.

– Możesz rozwinąć? – poprosiła wreszcie.

Sandra pomyślała, że chyba już nadszedł czas. Prawdopodobnie miały z Kerstin tak wiele wspólnego w tej sprawie, że równie dobrze mogły zmierzyć się z nią we dwie. Na dobre i na złe.

– Jechałam samochodem z Hallinem, kiedy mijał przepaść po raz pierwszy – powiedziała ze zrezygnowaniem. – Nie znałam go, nigdy przedtem go nie widziałam. Ale zaproponował, że podwiezie mnie do domu, więc się zgodziłam. Prowadził jak szaleniec, a na dodatek chyba był podchmielony. Kiedy dojechalismy na miejsce, wypił jeszcze więcej

alkoholu. I...

– I...? – dopytywała.

– Zgwałcił mnie. Zostawił mnie jak mokrą plamę na podłodze i odjechał.

– Ja... Naprawdę bardzo mi przykro – wyznała Kerstin.

– Dopiero po rozmowach z tobą zaczęło do mnie docierać... co jeszcze mógł nawywiјаć w tamto popołudnie. Nie wiedziałam, kim jest, dopóki mi nie powiedziałaś.

– To dlatego byłaś taka pewna co do tego, że uciekł z miejsca wypadku – stwierdziła Kerstin. – Wiedziałaś, że był pijany i do czego się może posunąć.

– Mieszkam kilkaset metrów od starego kamieniołomu i wiem, że ode mnie wyjechał wpół do czwartej. Oraz że nie miał ze sobą innych pasażerów. A więc masz już odpowiedź na swoje pytanie. W końcu.

– Tak mi przykro – powtórzyła Kerstin.

– Pomijając Hallina, jesteś jedyną osobą, która o tym wie, więc chciałabym prosić, by zostało to między nami.

– Oczywiście, tym się nie martw.

– Można by jeszcze długo o tym opowiadać – skwitowała Sandra – ale o tym porozmawiamy innym razem. Jeśli jesteś zainteresowana. To w końcu nie o mnie mamy mówić.

– Jasne, że jestem zainteresowana – zapewniła Kerstin. – Siedzimy w tym razem. Najpierw zgwałcił kobietę, a później wsiadł za kierownicę po pijaku i spowodował śmierć drugiego człowieka. Nic dziwnego, że w zaistniałej sytuacji ten typ nie wezwał karetki. Wówczas przyjechałaby również policja, a tak zaoszczędził sobie wiele lat za kratkami.

– A jeśli oprócz tego stoi za zabójstwem Petera Norlinga, doszłoby ich jeszcze parę – przypomniała Sandra, która nie mogła przestać o tym myśleć.

– Jakoś musimy udupić tego gnoja – oznajmiła stanowczo Kerstin.

– Tak zrobimy. Ale najpierw chciałabym cię poprosić o pomoc w pewnej sprawie.

– O pomoc? – Kerstin się zdumiała.

– Możesz to potraktować jako ofertę pracy. Mam kilka pytań, na które potrzebuję odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 45 | KERSTIN

Rozmowa z Sandrą napełniła Kerstin – której sytuacja była dość opłakana – nadzieją, ale codzienność wyglądała jak wcześniej. Jeanette wróciła na ławkę pod murem przy Österport, a wszyscy pozostali mieli na nią oko. Wystarczyło im taktu, by nie wspominać ostatniego zajścia, ale i tak czuć to było w powietrzu. Troska, jaką ją otoczono, była całkiem zdumiewająca i wlewała ciepło w zatwardziałe serce Kerstin, kiedy się temu wszystkiemu przyglądała.

Nawet jeśli było to niejedyne uczucie, jakie żywiła. Oczywiście cieszyło ją szczere współczucie ze strony przyjaciół, lecz jednocześnie trochę ją raziło zachowanie Jeanette, która traktowała je jak coś oczywistego, nie siląc się nawet na okazanie wdzięczności.

Jeanette miała jednak depresję, przypominała sobie Kerstin. Odcięta od świata i obojętna – typowe symptomy głębokiego stadium tej choroby. Zaledwie parę dni wcześniej próbowała na poważnie odebrać sobie życie i tylko zrządzenie losu zadecydowało o tym, że jej się to nie udało. Intuicja Kerstin, gwoli ścisłości. Nikt inny nie wiedział o Jeanette tyle, co Kerstin, i nikomu z pozostałych do głowy by nie przyszło, że sprawa wygląda tak krytycznie.

Jedynie intuicja podpowiedziała jej, żeby wyrwać Lubbeego z drzemki i zaciągnąć na osiedle Jeanette. Kerstin miała złe przeczucia, już odkąd po raz pierwszy usłyszała o znalezionym denacie, i nastawiała budzik na wcześnie rano, by dowiedzieć się czegoś nowego w tej sprawie, zanim doszłoby to do Jeanette. Żeby osobiście przekazać jej wiadomość i podnieść na duchu, w razie gdyby się załamała.

Kerstin sama nie wiedziała, dlaczego to dla niej robi. Jasne, Jeanette była przeciwna kradzieży – jeśli wierzyć jej wersji – i temu, co miało po niej nastąpić, więc można to potraktować jako okoliczność łagodzącą. A jednak dała się przekonać do pozostawienia Karla-Erika na śmierć, choć mogła wybrać inaczej. Poza tym Kerstin uważała, że Jeanette zaślepiona miłością dała się łatwo przekabacić. Chciała, żeby to uczucie przetrwało. Chociaż zdaniem Kerstin Jeanette straciła głowę przez potrzebę bycia kochaną. I to przez człowieka pozbawionego sumienia, który myślał wyłącznie o sobie.

Z tej przyczyny Kerstin nie mogła się zdecydować. Jeanette to kobieta z krwi i kości, która okazała zwykłą słabość. Któż nie miewał takich momentów? Istniały jednak granice. Jeanette wyznawała z pewnością podstawowe wartości, które były rozsądne, ale niestety, brakowało im solidnego gruntu. Rozsypały się przy pierwszym podmuchu wiatru, a razem z nimi całe życie Kerstin.

Podobnie jak świat Jeanette. Kolejna okoliczność łagodząca. Pozostawało jednak pytanie, czy w przypadku Jeanette większe spustoszenie spowodowała śmierć Karla-Erika czy strata kochanka. Odpowiedź była dość oczywista. Sprawiała ona, że Kerstin znów zalała fala odrazy, którą żywiła do Jeanette oraz do jej okrutnego egoizmu.

Biła się z myślami, przechodząc ze skrajności w skrajność. W jednej chwili darzyła Jeanette sympatią, w kolejnej – czystą nienawiścią.

Tak czy inaczej, Jeanette otaczali teraz przyjaciele, więc Kerstin nie musiała się angażować. Zamiast tego obserwowała ją na odległość, a myśli szalały jej w głowie.

Po rozmowie z Sandrą sytuacja rozjaśniła się jeszcze bardziej. Jeanette była tu wprawdzie postacią poboczną, jednak ważną na tyle, by mogła zmienić bieg wydarzeń. Koniec końców, miała możliwość nie tylko ocalenia Karlowi-Erikowi życia, ale również zapuszkowania Jana Hallina za popełnienie gwałtu, jazdę po pijanemu, spowodowanie śmierci i ucieczkę z miejsca wypadku. Czego następstwem byłoby uratowanie życia jej

kochankowi. Jeśli zaś o to chodziło, również Kerstin gryzło sumienie, ponieważ Peter Norling nie zostałby zamordowany, gdyby nie jej próby szantażu Hallina. Który był bez wątpienia głównym bohaterem całego zajścia. Popęłił wykroczenia na tyle poważne, że mogły mu gwarantować wiele lat w więzieniu, może nawet dożywocie. Mimo że już od dawna wiedziała na jego temat tak wiele, to Sandra – której nigdy nie widziała, a nawet nie znała jej wieku – obmyśliła plan, dzięki któremu w końcu miał zostać skazany.

Taką w każdym razie miała nadzieję, choć bez dwóch zdań na ich drodze czekały kłopotliwe przeszkody. Ciężar dowodu, brak świadków, czas, który upłynął, oraz dobra reputacja Hallina, a także jego znajomości – to tylko kilka z nich. Tak czy siak, przedsięwzięcie napełniało Kerstin lekką ekscytacją i chociaż mogła na tym stracić to i owo, weszła w sprawę na całego.

Polityka ustępstw, która pociągnęła za sobą wszystkie konsekwencje tego fatalnego popołudnia w styczniu 2014 roku, była jedynie wspomnieniem. Jeanette, która nie ośmieliła się zaprotestować, zadzwonić po pogotowie albo na policję, Sandra, która nie mogła się przemóc, by zgłosić gwałt na policję, oraz Kerstin, której zabrakło odwagi, by mieszać w sprawę mundurowych, kiedy jej mąż zniknął na dobrze znanej drodze.

Lepiej późno niż wcale: teraz potoczą się głowy.

ROZDZIAŁ 46 | SANDRA

W pierwszy dzień roboczy po nocy świętojańskiej Sandra posadziła Erika na tylnym siedzeniu samochodu, żeby odwieźć go do przedszkola w Visby, a sama udać się do pracy. Rozmawiała z Kerstin do wczesnych godzin porannych, na czym bez wątpienia ucierpiał sen. Sandra była wyczerpana, choć przede wszystkim czuła strach.

Łącząc siły z Kerstin, nareszcie zdołała uformować wszystkie elementy układanki styczniowego popołudnia sprzed czterech lat w spójną całość. Mogły, rzecz jasna, pójść z tym na policję, która musiałaby potraktować oskarżenia poważnie i rozpocząć dochodzenie. Co bez wątpienia trochę by Hallinem wstrząsnęło, ale wystarczyło, żeby stanowczo wszystkiego się wyparł, a śledztwo runęłoby jak domek z kart. Ponieważ nigdy nie udało by im się nakłonić Jeanette do współpracy, a ona jedyna mogła zaświadczyć o wypadku. Wszystko, co Kerstin wiedziała, albo co jej się wydawało, to tylko pogłoski. Miała jedynie zamazane fotografie, które może i na coś wskazywały, ale niczego nie dowodziły. Zniknęły nawet pieniądze, które potwierdziłyby teorię i dzięki którym Sandra i Kerstin mogłyby obejść się bez pomocy Jeanette.

Sandra zeznałaby, że Hallin znajdował się na miejscu w czasie, kiedy doszło do wypadku, a na dodatek odjeżdżał od niej konkretnie pijany. Lecz Hallin mógłby stwierdzić, że próbuje go oczernić w ramach zemsty za jego niechęć do spłacania alimentów na dziecko, którego rzekomo jest ojcem, a które ewentualnie mogło zostać spłodzone podczas ich przelotnego spotkania. Czego można było dowieść bez trudu, w przeciwieństwie do samego gwałtu, niemożliwego do udowodnienia po tak długim czasie – a zatem słowo przeciw słowu.

Podsumowując, zgłoszenie na policję niewiele by pomogło, ale są jeszcze inne metody. To, że Kerstin stała za nią murem, przyniosło jej sporą ulgę. Głównie dlatego, że Kerstin wypełniła dużo luk w rozumowaniu Sandry, prostując błędy, co mogło być niezwykle istotne w natarciu na Hallina.

Jak na razie wszystko było pod kontrolą, ale wcześniej też sądziła, że bez ryzyka może przyprzeć Hallina do ściany. Z takim nastawieniem mogła podzielić los Petera Norlinga, a to był przerażający scenariusz.

Początkowo uznała, że kalie i lilie były dość kretyńską próbą zastraszenia jej i zmuszenia, by wycofała roszczenia o alimenty, ale po pewnym czasie ta śmieszna taktyka przyniosła Hallinowi zamierzony efekt. Sandra zaczęła się bowiem naprawdę bać, ogarnęło ją niemal przerażenie. Z Hallinem najwyraźniej nie było żartów, a ona przeciągnęła strunę. Miała pod opieką małe dziecko, nic nie mogło jej się stać.

O tym właśnie rozmyślała, kiedy jadąc ze śpiewającym sobie na tylnym siedzeniu Erikiem, zredukowała do trójki i zdjęła nogę z gazu, zanim wzięła zakręt przed wąwozem. Z dalszego zakrętu nadjechała ciężarówka, więc Sandra dla pewności trochę wyhamowała.

Cholera by to... Zdawało się, jakby hamulce nie reagowały, jak należy. No cóż, nic się nie stało – i tak jechała wystarczająco wolno, by wszyscy zainteresowani wyszli z tego bez szwanku. Prawą nogę miała przygotowaną na pedale hamulca, więc prędkość nie wzrastała. Ciężarówka wyminęła ją bez większego problemu i zniknęła w lusterku. Erik skończył śpiewać *Letnią piosenkę Idy* i przeszedł do Pippi Pończoszanki. Obie z niezbyt oryginalnego repertuaru na zakończenie roku przedszkolnego sprzed kilku tygodni.

Gdy Sandra wyjechała z drugiego zakrętu, miała przed sobą krótszą prostą, za którą czekała długa droga w dół. Wcisnęła pedał kilka razy, ale hamulce za żadne skarby nie chciały działać. Znajdowała się już na szczycie pagórka, a w trakcie zjazdu prędkość na pewno zacznie wzrastać – nie miała pojęcia, jak bardzo, ale była przekonana, że bardziej, niżby jej się podobało.

Tak właśnie się stało: licznik skoczył z pięćdziesięciu do sześćdziesięciu,

a potem do siedemdziesięciu.

– „Bo latem komarów przybywa, choć lato to pora szczęśliwa” – śpiewał Erik, a Sandrę ogarniała panika.

Raz po raz bezskutecznie wciskała hamulec z całych sił. Co, u licha, miała zrobić?

Po zjechaniu z pagórka dobiła do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, czyli zdecydowanie za dużo, bo niebawem dojedzie do skrzyżowania, przed którym miała obowiązek zatrzymania się, a już stąd widziała samochody pędzące z prawa i lewa. Musi zatrzymać auto – jak miało się jej to udać?

Co chwila wciskała pedał hamulca, ale system hamowania nie reagował, był definitywnie zepsuty. Śpiew Erika zagłuszał jej myśli i ogarnął ją popłoch. Mogła zrobić tylko jedno, żeby nie spowodować kraksy na skrzyżowaniu. Narażała wprawdzie w ten sposób siebie i Erika na niebezpieczeństwo, ale nie tak duże w porównaniu z alternatywą. Musi zjechać z drogi. Rowy nie wyglądały na głębokie, jakoś to będzie, musi się ułożyć.

Ale przy osiemdziesięciu na godzinę? Czy to na pewno zadziała? Nie uśmiechała jej się myśl o zniszczeniu samochodu, wzywaniu pomocy drogowej, jeździe karetką i spóźnieniu do pracy. Erik fałszował beztrąsko o ciepłym, słonecznym lecie, a przez głowę Sandry przelatywały różne nieinteligentne myśli, klęła w duchu, waląc dłońmi o kierownicę.

Naraz wpadła na pomysł. Jakie to oczywiste! Sparaliżował ją strach i nie wiedziała, co robić, kiedy pędziła w stronę skrzyżowania z nic niepodejrzewającym Erikiem na tylnym siedzeniu. Jaka ze mnie idiotka, pomyślała, wciskając sprzęgło i redukując do jedyńki, aż zaczęła hamowanie silnikiem.

Spokojnie przejęła kontrolę nad pojazdem i wjechała do rowu, nie spowodowawszy szkód w ludziach ani własności.

ROZDZIAŁ 47 | KERSTIN

Słońce powoli zachodziło za murem, opromieniając stare kamienie na jego zwieńczeniu. Wiatr ustał, a flagi opadły. Sklepy w Östercentrum już pozamykano, a tłum ludzi, który wypełniał rynek od wczesnego ranka, się przeczadził. O tej porze dnia rośliny zasadzone między ławkami pachniały intensywniej, a jeśli Kerstin zdołała zignorować paplaninę przyjaciół, wyraźnie słyszała przyćmione bzyczenie owadów w skrzynkach z kwiatami.

Kiedy opadły emocje po próbie samobójczej Jeanette, a Kerstin zdołała uporządkować myśli po nieoczekiwanej sugestii Sandry, dotarło do niej, że na dobrą sprawę istniała jeszcze jedna poszlaka, której nie sprawdziła. Zdawała się ona nieważna w porównaniu z całą resztą, więc może właśnie z tego powodu ją przeoczyła. Kwestia ta stała się istotna dopiero po odnalezieniu szczątków Petera Norlinga – gdzie właściwie podziały się pieniądze?

Muszą przecież gdzieś być, prawdopodobnie nie wpłacono ich na konto w banku, ponieważ przepisy przeciwdziałające praniu brudnych pieniędzy zakazywały bankom przyjmowania dużych sum bez sprawdzenia, czy środki zostały zarobione legalnie. Tamte zaś nie klasyfikowały się jako takie. Nawet jeśli rzeczywiście zostały wyprane, to i tak trudno byłoby uzasadnić wpłatę tak dużej kwoty. Albo jej zdobycie. Pieniądze należało wydawać sporadycznie i z umiarem.

Tylko gdzie mogły się znajdować? Według Jeanette zajął się nimi Norling – ukrył je w miejscu, gdzie nikt by ich nie odkrył. Z punktu widzenia Kerstin brzmiało to obiecująco, bo pewnie nie natknął się na nie nikt inny. Mogło to jednak oznaczać, że ukryto je tak dobrze, że ona też ich nie znajdzie, choć – w odróżnieniu od niemal wszystkich pozostałych – wiedziała o ich istnieniu. Z tego, co zrozumiała, wypchali nimi dwie sportowe torby,

więc musiały trochę ważyć. Takich rzeczy raczej nie chowa się za biblioteczką.

Gdy nadeszła pora wracać do domu, Kerstin odprowadziła Jeanette.

– Chyba nie zamierzasz... spróbować jeszcze raz? – podpytywała delikatnie.

Jeanette wzruszyła ramionami, jakby nikomu to nie robiło różnicy, a już na pewno nie jej.

– Dzisiaj akurat nie, jeśli o to ci chodzi – odpowiedziała.

Oczywiście, nie to miała na myśli, ale Jeanette wyraziła się wystarczająco jasno.

– Jeanette, jesteś jeszcze młoda. Nie rób sobie tego. Możesz poszukać pomocy.

– Aha. U jakiegoś pieprzonego doktora od czubków, któremu miałabym wciskać kit. To na pewno by coś dało. Albo powiem, jak jest, i wsadzą mnie do paki.

Kerstin pokręciła głową ze zrezygnowaniem i westchnęła.

– Przecież wiesz, że możesz z nami pogadać. Następnym razem powiedz, jeśli nie będziesz dawała rady. Obiecujesz?

Położyła Jeanette rękę na ramieniu, co było dość niezwykłym gestem, bo Kerstin nie przepadała za kontaktem fizycznym.

– Okej – stwierdziła Jeanette, nie patrząc jej w oczy.

– Nie śpię po nocach, bo się o ciebie martwię. Nie chcę cię znowu znaleźć w takim stanie jak w noc świętojańską. Albo w jeszcze gorszym. Rozumiesz?

– Obiecuję, że następnym razem zrobię to za dnia – zbyła ją Jeanette. – Żeby nie zakłócać twojego snu.

Jak zwykle zajęta samą sobą, myślała Kerstin. A na dodatek złośliwa. Cofnęła rękę, ale tak, żeby nie było to zbyt oczywiste.

Szły dalej w milczeniu. Po chwili Jeanette się zatrzymała i spojrzała na nią ze skruszoną miną.

– Wybacz. Nie chciałam cię zranić.

– W porządku – odparła Kerstin. – Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

Nie rozumiesz znaczenia słowa „ranić”, pomyślała. Gdybyś tylko wiedziała, co mi zrobiłaś.

– Zastanawiam się nad jednym – oznajmiła łagodnie, żeby nie wyjść na zbyt podekscytowaną. – Może mogłybyśmy to zrobić razem, żeby zająć czymś myśli, że tak powiem.

– Schlać się? – zaproponowała Jeanette ze szczyptą niespotykanego dotąd humoru.

Przynajmniej tak się Kerstin wydawało, ale kąciki ust tamtej ani drgnęły.

– W życiu! – Uśmiechnęła się. – Wpadłam na coś innego. Chcesz posłuchać?

– Dawaj.

– Myślałam nad tymi pieniędzmi, o których mówiłaś, o tych sześciu milionach. Kiedy już nie ma Petera, sprawa przedstawia się trochę inaczej, co nie?

– To znaczy? – Jeanette nie sprawiała wrażenia szczególnie poruszonej tematem, mimo że dotyczył Petera.

– Cały czas wydawało ci się, że Peter nawiał z kasą, ale teraz się okazuje, że nie mógł tego zrobić.

– No i...?

– Chodzi mi o to, że one muszą gdzieś być – wyjaśniła Kerstin. – Wspominałaś, że to on się nimi zajął. Jak sądzisz, gdzie mógł je ukryć?

– Nie wiem, nic mnie to nie obchodzi.

– Mowa o sześciu milionach koron – przekonywała. – Mogłyby się przydać.

– Nie interesowały mnie te pieniądze wtedy, a teraz obchodzą mnie jeszcze mniej – odrzekła Jeanette. – Przysporzyły tylko kłopotów.

– Możliwe, ale taka duża kwota mogłaby przynieść pożytek i radość. Trochę się jednak marnują, kiedy tak po prostu gdzieś leżą. A z czasem będą bezwartościowe.

– Już i tak pewnie są.

– A dlaczego?

– Bo ukradliśmy je jakiemuś cholernemu rabusiowi, który napadł na bank.

Jeanette nie zdawała sobie sprawy, że ani trochę się nie myli.

– Rabusiowi? – Kerstin się zdumiała. – Skąd ci się to wzięło?

– A jak myślisz, kto inny jeździłby sobie z sześcioma milionami w gotówce w bagażniku?

– Chcesz przez to powiedzieć, że dałoby się je namierzyć? Że poświęciliście z Peterem tak wiele dla całej masy bezużytecznej forsy?

– Coś w tym stylu – skwitowała lakonicznie Jeanette.

Kerstin zamyśliła się na moment, rozważając, jak ma się do tego odnieść. Jeanette nie była głupia, miała sporo czasu, by zmyśleć już po szkodzie. Tym razem jednak Kerstin wiedziała, że Jeanette się myli, chociaż tego rzecz jasna nie mogła wyjawiać.

– To się okaże – odpowiedziała. – Ale chyba niepotrzebnie zakładać najgorsze. Możemy przecież zacząć od ich zlokalizowania, nie? A jak już je znajdziemy, to zadecydujemy, co dalej z nimi robić. Proponuję, żebyś się zastanowiła, gdzie mógł ukryć pieniądze. Potraktujemy to jako wspólną akcję poszukiwawczą. Takie oderwanie się od wszystkiego dobrze nam zrobi. Tylko ty i ja. W końcu nikt inny nie wie o tej kasie.

Ostatnie zdanie było kłamstwem, takim białym, wmawiała sobie Kerstin,

która nie widziała powodu, by mieszać Sandrę w tę sprawę.

– Pewnie – zgodziła się Jeanette. – Skoro twierdzisz, że coś z tego wyjdzie...

ROZDZIAŁ 48 | SANDRA

Samochód wyszedł z tego bez szwanku, podobnie zresztą jak Erik, któremu incydent niezwykle się podobał. Sama jazda taksówką do przedszkola była dla niego przygodą. Nie zdążył zobaczyć lawety, ale już myśl o tym, że zabrała ich auto do warsztatu, była fascynująca. Wszystkim zainteresowanym w kółko opowiadał, że mama wjechała do rowu. Musiały tego wysłuchiwać dzieci oraz część personelu przedszkola i oczywiście dziadkowie, do których chwilowo się wprowadzili.

Na wsi, w domu bez alarmu, antywłamaniowych drzwi i okien nie byli bezpieczni. Dziadkowie przyjęli ich, jak zwykle, z otwartymi ramionami, a mało prawdopodobne, żeby mężczyzna samotnie wtargnął do domu zamieszkiwanego przez troje dorosłych.

Tak jak podejrzewała Sandra, ktoś majstrował przy samochodzie. Przecięto przewód hamulcowy – prosty zabieg dla kogoś z odpowiednią wiedzą i właściwymi narzędziami – w nadziei, że skończy się to nie tyle niegroźnym zjechaniem do rowu, ile zniszczeniami pojazdu albo stratami w ludziach, to nie ulegało wątpliwości. Ktoś musiał to zrobić w najciemniejszą noc, to znaczy jakoś między północą a drugą, kiedy Sandra rozmawiała z Kerstin przez telefon parędziesiąt metrów dalej.

Myśl o panicznej jeździe, która skończyła się w rowie, sprawiła, że pociemniało jej przed oczami. Kamieniołom – a co, jeśli jechałaby szybciej na zakręcie? Długi zjazd z pagórka i niemożliwa do opanowania igła prędkościomierza przesuwająca się w zastraszającym tempie, a potem ruchliwe skrzyżowanie, w którego kierunku pędziła. Mieli niesamowite szczęście, jednak na to nie mogła liczyć w przyszłości.

Sandra nie wyjawiała rodzicom prawdziwej przyczyny wypadku. Tylko by ich to nakręciło, nie poprawiając ani trochę sytuacji. Zamiast tego zgłosiła sprawę – wbrew swym nawykom – na policję. Niechętnie przyznała przed samą sobą, że zaczęło się to całkowicie wymykać spod kontroli, więc musiała poinformować policję, że coś się tu od początku nie zgadzało. Przy okazji doniosła, że już od pewnego czasu czuje się zagrożona: kilkakrotnie otrzymała kwiaty pogrzebowe od nieznanego nadawcy.

Zgłoszenie na policję, kto stał za pogrózkami i zagranieniem z samochodem, byłoby jednak głupie. Pomijając już to, że nie przyniosłoby żadnego skutku – ponieważ wyparłby się oskarżeń, jeśli nie zostałyby poparte dowodami – rozwścieczyłoby Hallina, popychając do jeszcze gorszych czynów. Jedyne, czego mogła być pewna, to że ją ukarze.

Policja została jednak poinformowana, że coś się dzieje, a to dawało jej przewagę, zważywszy na to, co ją czeka.

Co gorsza, musiała teraz złożyć wizytę żonie Hallina. Sandrze wcale się to nie uśmiechało – najchętniej wycofałaby się z całej tej sprawy, żeby już nigdy więcej nie mieć z nim do czynienia. Im dłużej jednak myślała, tym jaśniej wszystko widziała. Nie chodziło już o pogróżki czy chęć zaszkodzenia Hallinowi. Miał to być apel do osoby, która jako jedyna mogła położyć kres prześladowaniom.

Zadzwoiła do jego pracy, by upewnić się, że nie ma go w domu, bo naprawdę nie miała ochoty więcej go widzieć, a przede wszystkim brakowało jej odwagi, by się z nim zmierzyć. Pomijając oczywiście nadchodzący proces sądowy, w którym miała wystąpić jako świadek.

Stała więc pod drzwiami jego domu – zdenerwowana tak, że aż jej zaschło w gardle, i z rękami drżącymi tak mocno, że aż musiała je schować do kieszeni spodni, żeby nie było widać – i wcisnęła guzik dzwonka. Wiedziała, że Gunilla Hallin jest w domu, bo przez okno dojrzała, jak krząta się w środku.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich kobieta pod pięćdziesiątkę, która

uśmiechnęła się do niej pytająco. Wyglądała przyjaźnie, wcale niegroźnie, a wokół oczu rysowały się zmarszczki mimiczne.

Sandra odchrząknęła i przełknęła ślinę.

– Dzień dobry – powiedziała. – Mam na imię Sandra.

– Skądś znam to imię. Czy to nie pani dzwoniła kilka dni temu?

W sprawie jakiegoś dziecka, któremu Janne obiecał pomoc finansowo?

– Tak – przyznała Sandra – to ja.

– Niestety nie ma go w domu, ale...

– To pani szukam – przerwała jej.

Twarz kobiety przybrała skonfundowany wyraz, jakby oczekiwała wyjaśnień.

– Nie spodoba się pani, co mam do powiedzenia – ciągnęła Sandra – ale robię to, bo nie widzę innego wyjścia.

– Brzmi niepokojąco – stwierdziła pani Hallin, marszcząc czoło.

– Nie byłam do końca szczerą podczas naszej ostatniej rozmowy. Zrobiłam to z szacunku do pani, w nadziei, że sprawa się rozwiąże i nie będę musiała pani w nią mieszać.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

Początkowa sympatia przygasła, kobieta przygotowała się na przykre wiadomości i nie chciała niepotrzebnie przedłużać udręki. To, co Sandra miała do powiedzenia, było samo w sobie prowokacją, ale sposób, w jaki to przekazała, mógł pomóc w przyjęciu nowiny. Już wcześniej postanowiła, że musi ważyć słowa, żeby nie odebrano jej jako prowokatorkę.

– Nic mi przecież do państwa związku, więc...

– Tu mamy całkowitą jasność – wtrąciła kobieta, która wyglądała już na zdenerwowaną. – Do rzeczy.

– Jan jest ojcem mojego dziecka – rzuciła Sandra.

Gunilla Hallin wytrzeszczyła oczy, zdawało się, że na chwilę przestała oddychać. Sandra odczekała, aż zasadnicza kwestia do niej dotrze, spodziewając się odzewu w postaci potoku oskarżeń. Kobieta jednak w końcu odzyskała kontrolę nad oddechem, głęboko westchnęła, skrzyżowała ręce na piersi – jakby chroniąc się przed nadchodzącym z zewnątrz niebezpieczeństwem – i spuściła wzrok na stopy. Znow westchnęła, spoglądając na Sandrę ze łzami w oczach.

– I teraz chcesz pieniędzy? – powiedziała, przełknąwszy ślinę.

– To zdarzyło się tylko raz – wyjaśniała Sandra, wciąż potulnie. – Dopiero niedawno dowiedziałam się, że ojcem jest pani mąż. Chłopiec ma już trzy i pół roku.

Gunilla Hallin wyglądała na zdruzgotaną, ale Sandra musiała wyrzucić z siebie, co miała do powiedzenia, a robiła to tonem pełnym pokory i współczucia.

– Jan jest ojcem dziecka, czy mu się to podoba, czy nie – oznajmiła. – Nie chciał mieć z chłopcem nic wspólnego, co jest mi bardzo na rękę. Dlatego, żeby nie mieszać w to służb socjalnych, zaproponowałam umowę prywatną, która w żaden sposób nie jest bezzasadna. Wręcz przeciwnie. Wydaje mi się, że moje żądania są dla niego korzystniejsze, niż gdyby angażować w to urzędy.

– Ale... – mówiła skołowana kobieta. – Po co mieszać w to Jana? To w końcu pani zdecydowała się zatrzymać dziecko.

Powiedziała to tonem nie tyle oskarżycielskim, ile racjonalnym. Sandra mogła zaprotestować i wyjaśnić, co tak naprawdę zaszło oraz czyja to była decyzja, ale nie chciała wszczynać wojny. Zamierzała zakończyć tę wcześniejszą.

– Nie przyszedłam tu dla pieniędzy – wyznała szczerze. – Otrzymałam kilka pogróżek. Na początku raczej mnie nie przstraszyły, ale teraz ktoś majstrował przy moim samochodzie i to już przestało być śmieszne. Razem z synem mogliśmy ulec wypadkowi. Mogłabym oczywiście pójść na policję

i opowiedzieć, co wyprawia pani mąż, ale nie chcę go dodatkowo rozjątrzać. A ponieważ nie potrafię dojść z nim do porozumienia, przyszedłam do pani. Myślę, że jako kobieta okaże pani choć trochę zrozumienia dla sytuacji samotnej matki. Ale jak już wspomniałam, nie jestem tu dla pieniędzy, ale by poprosić panią o interwencję. Prześladowania muszą się skończyć. W przeciwnym razie będę zmuszona zgłosić je na policję ze względu na siebie i syna.

Pani Hallin wyglądała na zaskoczoną. Kilka razy bez słowa pokręciła głową, wbijając wzrok w Sandrę. Ta bez wątpienia jej współczuła, bo kobieta nie zasłużyła sobie na to, co ją spotkało.

– Jan... – wyjąkała pani Hallin. – Jan nigdy by nie... Znam go od trzydziestu lat, on nie byłby zdolny do... Miałby upozorować wypadek samochodowy, żeby panią skrzywdzić? On nie umie nawet nikogo spoliczkować. To wszystko wydaje się nieprawdopodobne.

Sandrze zrobiło się wstyd, prawie zaczęła żałować, że wmieszała w tę sprawę niczego nieświadomą żonę. Naraz poczuła się jak bezwzględna egoistka i skuliła się w duchu. Miała nadzieję, że nie dała tego po sobie poznać, musiała wyglądać poważnie, by sprowadzić rozmowę na zamierzone tory.

– Rozumiem, że to nie są dla pani dobre wiadomości, ale przedstawiam tylko fakty – usprawiedliwiała się.

Nie żeby musiała przeproszać, że ją zgwałcono, grożono jej i narażono na coś na wzór próby zabójstwa. Swoją drogą, rozumiała również żonę Hallina. Była niewinna, nie znała swojego męża od tej strony. Oczywiście, że ciężko jej dopuścić do siebie myśl, że mężczyznę, z którym zdecydowała się iść przez życie, oskarżano o tak ciężkie wykroczenia.

– Nie wiem, co powiedzieć – oświadczyła. – Trudno mi uwierzyć... Zgłoszenie na policję całkiem by go załamało.

– Nie chcę iść na policję – wyjaśniła Sandra – i nie zamierzam. Jeśli ustaną te okropne pogrożki i minie niebezpieczeństwo, na jakie naraża mnie

oraz mojego syna. Tylko o to proszę.

– A pieniądze?

– Chciałam jedynie spokojnie porozmawiać z ojcem mojego dziecka na temat alimentów, które mi się należą, to był mój jedyny cel, zanim to zupełnie wymknęło się spod kontroli. Naprawdę bardzo mi przykro, że panią w to wciągnęłam, świetnie rozumiem pani odczucia wobec mnie. Ale proszę jeszcze raz: niech pani dopilnuje, by przestał mnie nękać.

Kobieta posłała jej sceptyczne spojrzenie, mierząc wzrokiem z góry na dół. Nic nie powiedziała, ale Sandra zdawała się czytać jej w myślach:

Czy to naprawdę możliwe, że jej mąż miał z tym coś wspólnego?

Gunilla Hallin wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Zamiast tego potrząsnęła smutno głową, wycofała się do korytarza i zamknęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 49 | JAN

Kiedy wrócił do domu, zastał Gunillę w rozsypce. Siedziała przy stole w jadalni i cicho szlochała, nawet nie podnosząc na niego wzroku, gdy stanął w drzwiach. Rzadko płakała, prawie nigdy, a jeśli już, to sprawa była poważna. Jan miał złe przeczucia.

Dlaczego na niego nie spojrzała, dlaczego jak zwykle nie szukała pocieszenia w jego oczach?

Wysunął krzesło i usiadł przy niej, ujmując jej dłoń. Ręka leżała martwo, odpychająco w jego uścisku, nie odpowiadała na pieszczotę.

– Co się stało, kochanie? – spytał łagodnie.

Musiał, choć czuł, dokąd to zaprowadzi. To on sprawił jej przykrość, w przeciwnym razie przywitałaby go w progu, skryła się w jego ramionach i zaczęła płakać w jego pierś.

Nie odpowiadała, wzrok wciąż miała utkwiony w stole i łkała okrutnym, cichym szlochem. Jak długo mają tu tak siedzieć? Rzadko odczuwał podobną bezsilność. Zwykle miał na wszystko radę. Jednak tym razem nie potrafił jej pomóc, czuł to.

– Ona jest przecież tylko dzieckiem, Janne – powiedziała cicho Gunilla, nie podnosząc wzroku.

Ona? Miała na myśli Sandrę? A więc Sandra u nich była, weszła na jego teren, niepokojąc jego żonę. Wzrastała w nim wściekłość. Ta chciwa, jebana suka nie cofnęła się przed wcieleniem swoich gróźb w życie. Teraz wciągnęła w to Gunillę – wstydziłaby się, to nie po sportowemu. Gunilla nie miała z tym nic wspólnego, walka toczyła się między nimi dwojgiem: Janem a Sandrą.

Sandra nie rozumiała jednak reguł gry, targnęła się na niewinnych, sama się dyskwalifikując.

Jan nie wiedział, co powiedzieć, więc siedział cicho, uściśnął tylko trochę mocniej rękę Gunilli, by pokazać, że przy niej jest i że jemu też jest przykro. Co z niego za idiota! Jak mógł się wpakować w podobną sytuację?

– Co ty sobie myślałeś? – odezwała się żona, w dalszym ciągu bez unoszenia wzroku.

Sam się nad tym zastanawiał i nie znał odpowiedzi.

– W ogóle nie myślałem – odparł, spuściwszy wzrok, mimo że na niego nie patrzyła. – Chyba muszę winić alkohol.

Nie wymagało to komentarza, i tak wiedział, co sądzi żona. W gruncie rzeczy się z nią zgadzał. Jeśli nie radził sobie z pić, to powinien się od tego powstrzymać. Albo przynajmniej je ograniczyć.

– Jak by to wyglądało, gdyby nagle co drugi tydzień zaczął się u nas pojawiać mały chłopiec? – mówiła Gunilla. – Jak myślisz, co by ludzie powiedzieli? I dzieci, przede wszystkim, co?

Skąd jej się to wzięło? Jednego był pewien: Sandra nigdy nie zaproponowałyby czegoś podobnego.

– O tym nie było mowy – wyznał szczerze. – Ona pod żadnym pozorem nie chce, żebym uczestniczył w wychowaniu dzieciaka.

– I ty w to wierzysz? – zapytała Gunilla, patrząc mu w oczy po raz pierwszy. – Dziewczyna jest młoda i pewnie ma na głowie pracę. Oczywiście, że potrzebuje odciążenia.

– Gunillo, nic o tej dziewczynie nie wiem...

– Nie mów tak o niej. Ona ma imię i jest matką twojego dziecka. Okaż jej trochę szacunku.

Gunilla była zalana łzami, ale z nim rozmawiała, spokojnie, z rozwagą. Wszystko było lepsze od tamtej dławiącej ciszy.

– Chciałem powiedzieć, że prawie nic nie wiem o... Sandrze. Wiem natomiast, że ona nie chce angażować mnie w wychowanie chłopaka. Ale za to na pieniądze jest łasa.

Gunilla potrząsnęła głową z oskarżycielskim wzrokiem i broniła Sandrę opanowanym tonem:

– To jasne, że potrzebuje pieniędzy, Janne. Jest około trzydziestki i niezależnie od tego, czym się zajmuje, na pewno nie zdążyła sobie jeszcze zapewnić przyzwoitej wypłaty. Samotnie wychowuje małego chłopca, dzieci kosztują. Oczywiście, że żąda alimentów od jego ojca.

– Nic nie wskazuje na to, że jestem ojcem tego dziecka – rzucił Jan.

– Owszem, wskazuje, Janie – skwitowała.

Rzeczywiście. Gunilla miała rację, przez co wściekał się na Sandrę jeszcze bardziej.

– Mam rozumieć, że sądzisz, że mam wypłacać alimenty tej małej dziwce? – Ciskał się.

Natychmiast tego pożałował. Taki ton głosu nie przystawał do zaistniałej sytuacji. Gunilla wzdrygnęła się i spojrzała na niego z dezaprobatą.

– Dlaczego tak o niej mówisz? Skoro tak, to ty jesteś dziwkarzem? Jest po prostu młodą dziewczyną, która miała pecha.

Prawda w oczy kole. Może i sobie zasłużył. Trudno było mu jednak pocieszać zrozpaczoną żonę, kiedy w środku aż się gotował ze złości.

– Pecha? – odparł. – Spokojnie mogła zrobić aborcję, ale się na to nie zdecydowała. Nie mam ochoty płacić za nieodpowiedzialne z ekonomicznego punktu widzenia decyzje, na które nie miałem wpływu.

Gunilla siedziała bez słowa. Udało jej się już trochę uspokoić i przestać płakać.

– Co jej powiedziałaś? – dociekał Jan.

Wytarła nos i oczy zmięta chusteczką, którą chowała w dłoni.

– Wzięła mnie z zaskoczenia, a moją pierwszą reakcją było cię bronić. Wyglądała na sympatyczną dziewczynę, ale zatrzasnęłam jej drzwi przed nosem. Żałuję, że inaczej tego nie rozegrałam.

Sympatyczną? Nic z tych rzeczy. Sandra była bezwzględna w swoich dążeniach, a teraz na dodatek nagabywała jego żonę. Czy następnym krokiem będzie policja? Jan czuł, jak pot występuje mu na czoło.

– Chyba nie uważasz, że mam się zgodzić na jej warunki? – powtórzył.

– Nic nie mówię – odparła Gunilla. – W zasadzie to nie moja sprawa.

– Ale rodzinne finanse to już chyba twoja sprawa? – wymamrotał Jan.

– Twoje dziecko, twoja decyzja. – Westchnęła.

– Skoro tak, to przelewam sześćset osiemdziesiąt cztery tysiące na konto tej... Sandry.

Dobrze wiedział, że nie spodoba się to żonie. Chciał jednak, żeby podjęli tę decyzję wspólnie, by później mu nie wypominała. Wcale nie zamierzał płacić jakichś pierdolonych alimentów na dziecko, skoro nawet nie wiedział, czy na pewno jest jego ojcem. I skoro z wielu przekonujących powodów nie chciał być jego ojcem. Wyrazić zgodę na zapomogę finansową to jakby przyznać się do czegoś, co mogło pociągnąć za sobą więcej poważnych oskarżeń, a na to nie mógł pozwolić.

– W takim układzie ucierpią na tym nasze dzieci – powiedziała ponuro Gunilla.

Jan uśmiechnął się w duchu, dokładnie o to mu chodziło.

– Tak, a to nie wydaje się właściwe – odparł. – Uważam, że powinniśmy to tak zostawić, a wszystko pewnie rozejdzie się po kościach.

Gunilla zacisnęła usta, bezradnie potrząsając głową i patrząc nieobecny wzrokiem. W każdym razie nie będzie później narzekała.

ROZDZIAŁ 50 | KERSTIN

Nie chciała sprawiać wrażenia zbyt zaangażowanej, więc już nie wspominała o potencjalnej kryjówce z pieniędzmi, ale cierpliwie czekała, aż Jeanette dobrowolnie przejmie inicjatywę. Już prawie straciła nadzieję, kiedy w czwartek Jeanette usiadła przy niej na ławce, oznajmiając gotowość wyruszenia na poszukiwanie skarbu.

– Jest taki domek letniskowy – powiedziała. – Może tam?

Jeanette miała trochę lepszy humor niż ostatnimi czasy, co dobrze wróżyło. Przez cały czas była jednak pijana jak bela, więc jej zachowanie trudno interpretować. Podobnie było teraz, kiwała się w przód i w tył, aż Kerstin kilkakrotnie musiała ją złapać, by uchronić ją przed upadkiem z ławki. Jeanette nawet tego nie zauważyła albo się nie przejmowała, trudno stwierdzić.

– Pewnie – odparła Kerstin. – Wiesz, gdzie to jest?

– W Tofta Strand. Albo gdzieś w okolicy. – Bełkotała i ledwie można było ją zrozumieć.

– W Tofta Strand? – powtórzyła Kerstin.

Jeanette przytaknęła ruchem głowy.

– Wiesz, w którym miejscu?

– Nie mam pojęcia – odparła Jeanette. – Ale on zawsze mówił na to Ängsbacken.

– Dobra robota – pochwaliła ją. – Pojedziemy tam jutro na wycieczkę?

– Możemy. Czyli buchniemy komuś auto, czy co?

– Pojedziemy na rowerach. – Kerstin się uśmiechnęła. – Prowadzi tam ścieżka rowerowa. Masz czym jechać?

– Tak, ale nie wiem, czy mam napompowane opony.

– To załatwimy. Przygotuję prowiant i przyjadę po ciebie koło ósmej. Masz być trzeźwa, inaczej jadę sama. Okej?

– Dobra, dobra – powiedziała Jeanette, próbując wywrócić oczami, ale wyglądało to tak, jakby co najwyżej uniosła wzrok.

Nazajutrz pogoda była ładna, choć dzień był pochmurny i wietrzny. Jeanette otrząsnęła się ze smutku minionych dni i wytrzeźwiała, a przynajmniej na to wyglądało. Dała radę jechać na rowerze mimo mocnych podmuchów wiatru.

Plan – nieszczególnie przemyślany, czego Kerstin miała świadomość – był taki, żeby rozpytywać ludzi. W Tofta musiały stać setki domów, ale może nie tak dużo znajdowało się w pobliżu czegoś w rodzaju łąki, jak wskazywała nazwa „Ängsbacken”. Kerstin zawiesiła na kierownicy dwa wiaderka wypełnione ścierkami, środkami czyszczącymi, gumowymi rękawiczkami oraz paroma czarnymi workami na śmieci. Pomyślała, że mogą się rozejrzeć po okolicy, podając się za sprzątaczkę. Nie miała pomysłu, co dalej, ale wyprawa nosiła znamiona przygody – Jeanette zdawała się mieć względnie dobry humor, a odrobina morskiego powietrza jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Droga w tamtym kierunku zajęła niecałą godzinę, po czym dwie kolejne i dwadzieścia minut spędziły na rozpytywaniu o Ängsbacken i domek letniskowy państwa Norlingów, zanim przyniosło to jakikolwiek skutek. Następne pół godziny minęło, zanim dostały się do domku, a – nie licząc czterdziestu pięciu minut przerwy na lunch w ogrodzie rodziny – przetrzepanie wszystkiego, a potem przywrócenie do porządku, zajęło im łącznie pięć godzin. Po dwudziestu kilometrach jazdy na rowerze wróciły do Visby, nie osiągnąwszy niczego.

Chociaż niezupełnie, gwoli ścisłości, bo przynajmniej dowiedziały się, że

pieniędzy tam nie ma. Poza tym spędziły miło dzień, mimo że był dość wyczerpujący. Kerstin miała też okazję, by pobyć sam na sam z obiektem swoich najczarniejszych fantazji. Poobserwować Jeanette w innym środowisku niż zwykle, porównywać jej dobre cechy ze złymi. Tylko po to, aby dojść do wniosku, że do niczego jej to nie doprowadziło.

Jeanette cechowała skomplikowana natura, a kiedy miała dobry humor, trudno jej było nie lubić. Jeśli była nie w sosie, budziła inne emocje, ale ciężko przejawiać agresję względem osoby o zapędach samobójczych. Najmniej sympatyczne cechy Jeanette – nieustanna potrzeba afirmacji, myślenie tylko o sobie, obojętność na innych, a także niezdolność do mobilizacji i przejęcia kontroli nad sytuacją – wychodziły na jaw, gdy lądowała w pośrednim nastroju. Innymi słowy, można by ją nazwać niezaradnym leniem, i może przez te dość pospolite cechy słabła w okolicznościach wymagających trochę więcej woli walki.

Obwinać ją czy dać spokój? Kerstin w dalszym ciągu nie miała najmniejszego pojęcia, ale myślała, że prędzej czy później – jeśli nadarzy się właściwa okazja – pewnie porządnie zło jej tyłek. Jednak, jakkolwiek wydawało się to dziwne, pamięć o Karlu-Eriku oraz wszystko, co mu się przytrafiło, zaczynało się oddalać, w miarę jak poznawała więcej faktów dotyczących katastrofy. Może mówienie o tym miało działanie uzdrawiające, może nieustanna powtarzalność okrutnych, wywracających życie do góry nogami wydarzeń sprawiała, że siały one mniejsze spustoszenie. Może rozmowa sama w sobie działała na nie wygłuszająco. Dokładnie jak alkohol, choć w tym wypadku tylko chwilowo.

W ciągu dnia doszły jednak do kilku wniosków. Dzięki temu, że Jeanette dobrze wyglądała, łatwiej nawiązywała kontakt z ludźmi. Poorana zmarszczkami twarz Kerstin, jej ochryply głos oraz tatuaże odstraszały obcych. Gadkę zostawiły Jeanette, a Kerstin trzymała się na dystans, udając, że nie mówi po szwedzku. Jeśliby kiedyś miały znów pojechać na wycieczkę, Kerstin musiałaby zaopatrzyć się w okulary przeciwsłoneczne i bluzkę z długimi rękawami. Zestaw narzędzi też by nie zaszkodził, no i ręcznik, żeby

po wszystkim mogły wskoczyć do morza.

ROZDZIAŁ 51 | SANDRA

Był piątek i zbliżał się termin, który w swojej głowie ustaliła jako ostateczny, by Hallin zaczął płacić te przeklęte alimenty. Kiedy zadzwoniła do niego nazajutrz po nocy świętojańskiej, niespodziewanie się poddał, choć tylko po to, żeby odwlec cały proces – zupełnie jak przeczuwała. Potrzebował czasu na przygotowanie kolejnego ruchu swojej wendety: uszkodzenie samochodu, które dwa dni później wyraźnie pokazało jej, z kim zadarła. Pozostało jej tylko błaganie jego żony o interwencję, co może przyniesie skutek. Minęły już cztery dni bez pogroźek i Sandra liczyła na to, że to koniec.

Nie zamierzała ciągnąć tej sprawy – nie, kiedy wisiała nad nią groźba śmierci, jak to interpretowała. Sandra jasno wytłumaczyła jego żonie, że nie obchodzi jej pieniądze, tylko po prostu chce wyjść z tego cało. Jeśli w ogóle ze sobą rozmawiali, do Hallina musiał trafić przekaz.

Była pełna nadziei, równocześnie żałując, że nie położyła uszu po sobie zaraz po tym, jak na ganku wylądował tamten wielki bukiet. Nie musiałyby się wówczas bać, a co za tym idzie, również martwić o rozwiązania logistyczne, to znaczy zamieszkać w innym miejscu niż na co dzień.

Mimo minusów tej sytuacji myśl o wyrzutach, jakie po wizycie Sandry musiała Hallinowi prawić żona, była niezwykle pocieszająca. Wprawdzie Sandra nie zamierzała w obecnej sytuacji bardziej komplikować mu życia, ale i tak dała mu – w przenośni – porządnego kopa w jaja.

Na przekór kiełkującemu optymizmowi strach jej jednak nie opuszczał. Miała do czynienia z nie byle kim, musiała raz po raz przypominać sobie, że facet był zdolny do zabójstwa. Peter Norling został zwabiony w odludne

miejsce i zamordowany. Pewnie podstępem, ponieważ to nie on zrobił zdjęcia, a już na pewno nie wysłał ich Hallinowi. Hallin był bezlitosny, siedł po trupach, aby zatuszować własne błędy. Które się tylko mnożyły.

Poza tym był ojcem dziecka Sandry.

Ona jednak pod żadnym pozorem nie chciała go tak traktować, Erik był jej synem. Nie miał ojca, a jeśli kiedyś miałby się taki pojawić w jego życiu, to na pewno nie w osobie Hallina. Alimenty mógł spokojnie wpłacić, miał wpłacić, ale nie traktowała ich jako zapomogi. Z wydatkami na jedzenie, ubrania, zabawki, mieszkanie i opiekę nad dzieckiem radziła sobie dotąd całkiem dobrze, Erikowi niczego nie brakowało. Pieniądze byłyby dla Sandry odszkodowaniem. Za wyrządzony ból, zwolnienie lekarskie, stany lękowe i całe mnóstwo dręczących ją wspomnień. Za niechcianą ciążę, z którą z początku nie wiedziała, jak postąpić. Oraz za niesłabnący strach przed mężczyznami, a zwłaszcza przed zbliżeniem.

Pierwsze połączenie nadeszło, kiedy rozdzielala zgromadzonym w kole pracownikom zadania na resztę popołudnia i wieczór. Zerknęła na wyświetlacz, ale zobaczywszy, że dzwonią z przedszkola, mówiła dalej – odrzuciła rozmowę i postanowiła, że oddzwoni zaraz po spotkaniu. Niecałą minutę później telefonowano z tego samego numeru – zrozumiała, że coś się mogło stać. Ale Erik mógł też dostać gorączki albo zacząć wymiotować, a w tego rodzaju sytuacjach opiekunom zależy zwykle na szybkiej interwencji bardziej niż samym rodzicom. Znów wcisnęła czerwony przycisk, choć tym razem z rosnącym niepokojem. Gdy telefon odezwał się zaraz potem, przeprosiła kolegów i wyszła do pokoju obok, po czym zamknęła za sobą drzwi.

– Erik zniknął – powiedziała przedszkolanka.

– Jak to zniknął? – zapytała Sandra, nie do końca rozumiejąc, o co chodzi.

– Byliśmy na wycieczce w lesie Furulundsskogen i nagle po prostu zniknął.

Sandra wysunęła krzesło i usiadła, a w głowie kłębiły jej się różne myśli.

Doszła do wniosku, że skoro wychowawczynie czuła się zobligowana do skontaktowania się z rodzicem w tak delikatnej kwestii, od zaginięcia dziecka musiało już minąć trochę czasu.

– Kiedy to się stało? – spytała.

– Około drugiej. Szukaliśmy wszędzie, bez skutku. Bardzo mi przykro, nigdy bym nie przypuszczała, że będę musiała przekazać komuś taką wiadomość.

Sandra zerknęła na zegarek, minęło dziesięć po trzeciej.

– A może po prostu poszedł do domu? – próbowała dociekać. – To znaczy do dziadków?

Absolutnie nie chciała wierzyć w nic innego, jak tylko w to, że Erik zwyczajnie się z kimś posprzeczał i postanowił sobie pójść. Z Igorem, pomyślała. Ten mały dręczyciel skrzywdził jej syna, Erikowi zrobiło się przykro, wściekł się i poczuł tak niesprawiedliwie potraktowany, że obrażony uciekł.

– Koleżanka pojechała tam samochodem, ale nie znalazła go tam ani nigdzie po drodze.

Sandra zrozumiała wtedy, że to nie konkurs na wymianę zdań. Nie cierpiała tej przedszkolanki, ale tu nie chodziło o osobiste sympatie, tylko o współpracę.

– Wezwaliście policję? – wypytywała.

– Zrobię to, jeśli wyraża pani zgodę.

– Proszę wezwać – poleciła. – Przyjadę najszybciej, jak mogę. Furulundsskogen, tak?

– Szukamy dalej, zobaczymy się przy rynku Gråbo Torg.

– Gdzie dokładnie?

– Na bezpłatnym parkingu za Träffpunkt Gråbo. Pod ośrodkiem młodzieżowym.

Dopiero wtedy zrozumiała, co się stało. Erik zniknął, a sytuacja była na tyle poważna, że wezwano Sandrę i zamierzano zaangażować policję. Przed oczami miała wizję grożącej jej przyszłości, życie bez Erika byłoby nie do zniesienia, nie do pomyślenia i nie mogło się stać rzeczywistością. To jak strzał ostrzegawczy, który ją obudził i dał do myślenia, jak to wszystko może się skończyć, jeśli nie będzie wystarczająco strzegła tego, co nadaje jej życiu sens.

Z rosnącą paniką wsiadła do samochodu i odjechała w stronę lasu Furulundsskogen.

Dziesięć minut później była na miejscu. Pojechało z nią dwóch kolegów z pracy, zjawił się również jej ojciec. Mama została w domu, w razie gdyby Erik mimo wszystko tam dotarł. Na parkingu stała karetka pogotowia, a Sandra ubzdurała sobie, że to z powodu Erika. Może wspiął się na drzewo, spadł i stracił przytomność? Połamał ręce i nogi, skręcił kark? Rozciął skórę na czymś ostrym albo pogryzł go pies? Lub ukąsił wąż? Może dostał reakcji alergicznej na użądlenie osy?

Furulundsskogen był przystępnym lasem, niezwykle pięknym miejscem, idealnym na wycieczki z przedszkolakami. Żadnych zbiorników wodnych, brak oczywistych niebezpieczeństw. Ale jednak otoczony ze wszystkich stron budynkami i drogami. Budynkami zamieszkałymi przez ludzi, którzy mogli sobie wbić do głowy, żeby zabrać dziecko do domu. Drogami prowadzącymi do większych jezdn, większych lasów i okalającego wyspę morza.

Świat Sandry rósł, a tym samym kurczyło się jej pole widzenia.

Dorośli i dzieci zasypali ją mnóstwem pytań i informacji. Zagrożenie stało się przez to jeszcze bardziej namacalne. Co, jeśli to nie jest żadna przestroga? Co, jeśli Erik naprawdę zniknął? Na zawsze. Policja zadawała tysiące pytań, mówiono o mobilizacji sił poszukiwawczych, przesłuchiowano ją co do przyzwyczajęń Erika, jego wyglądu, budowy ciała, problemów zdrowotnych, ubrania i zainteresowań. Czy dziecko ma ojca? Czy istnieje jakieś zagrożenie?

Czy istniało? Co miała odpowiedzieć? Jeśli nie ma dziecka, to nie ma też ojca, tak można było pozbyć się zagrożenia. Ale tak: wcześniej zgłaszała już policji pogroźki. I tak: ma ojca, a to nieprzyjemny typ. Skupcie się na nim, od razu, tylko dyskretnie, działajcie niezauważenie. Śledźcie każdy jego najmniejszy ruch, a prędzej czy później odszukacie Erika. O ile jeszcze żyje, bo wtedy nie znajdziecie go przez długi czas.

Czy właśnie tak powiedziała? Czy może tylko pomyślała? Ona sama bezpowrotnie przeciągnęła strunę, wpędzając przeciwnika w taką desperację, że aż naraziła własne dziecko na śmiertelne niebezpieczeństwo. Czy naprawdę zrozumiała to dopiero teraz, gdy mogło już być za późno? Jednak – upomniała samą siebie – niekoniecznie musiało do tego dojść.

Nie mogła się skontaktować z Hallinem, bo przeraźliwie się bała, że go rozdrażni. Zbliżenie się do niego policji to jeszcze gorszy pomysł. Jeśli Erikowi nic nie jest, to interwencja Sandry czy policji tego nie zmieni.

Na dobrą sprawę chciała po prostu zacząć go szukać, ale trzeba było się zająć ważniejszymi rzeczami, w poszukiwania zaangażowali się inni. Skończyło się na tym, że wysłano ją do domu – do siebie, a nie do rodziców. Skoro Erik znał swój adres, mógł poprosić kogoś o podwiezienie. Musiała tam zostać na noc, później wolno jej było wrócić do rodziców, gdzie zostanie otoczona ciepłem i będzie miała z kim dzielić zwątpienie.

Sandra spędziła więc noc samotnie u siebie w domu na odludziu. Podziękowała wszystkim przyjaciołom i krewnym, którzy zaoferowali jej towarzystwo. Ojciec razem z setką ochotników wyruszył na poszukiwania do okolicznych lasów, matka czuwała w domu rodzinnym, a Sandra – u siebie.

Pracowała. Jak najęta. Kiedy jednak myśli zwolniły, rozproszyła ją letnia noc. Wymknęła się wówczas przez otwarte drzwi na zewnątrz, wdychała zapachy zwilżone rosą i krążyła po działce. Szukała odgłosów oraz cieni, nawoływała w płaczu.

Potem ponownie usiadła do komputera, nie było czasu do stracenia, jak nigdy przedtem. Głowiła się, rozbierając na części pierwsze wszystko, co się

wydarzyło. Umysł tonął w myślach, które jednak utrzymywały ją w pełnej gotowości.

Czyżby nie wyraziła się dość jasno? Pozostawały jakieś wątpliwości co do wymogów finansowych? Czy rzeczywiście powiedziała, że wycofuje żądania, pod warunkiem że pogroźki ustaną? Nie dbam o pieniądze, proszę tylko dopilnować, żeby on nas nie skrzywdził – to chyba udało jej się przekazać?

A może problem tkwił właśnie w jej błaganiu – czy porwanie to odwet za to, że poniżyła go przed żoną? Że ją w to zamieszała?

Czy też, idąc jeszcze dalej – błędnie zinterpretowano jej wizytę: jako zapowiedź wcielenia jej gróźb w życie? Czy mógł ją zrozumieć jako pierwszy krok – żona rozmówiła się z nim, oznajmiając, że tego popołudnia coś się wydarzyło, że doszło do niedozwolonego, niemoralnego spotkania? Czy odebrał to tak, że wszystko wskazywało na jej plan poczynienia kolejnego kroku, do czego za żadne skarby nie mógł dopuścić, a mianowicie poinformowania policji o popełnionym gwałcie?

Czy jedna z tych rzeczy bądź wszystkie razem wzięte pchnęły mężczyznę, który wziął Sandrę siłą, do uprowadzenia jej syna? Skoro nie ma dziecka, nie ma też ojca. Dziecko stanowiło jedyne potwierdzenie luźnych teorii na temat gwałtu i jazdy w stanie nietrzeźwości, co z kolei mogło prowadzić do założeń, że spowodował śmierć człowieka, uciekł z miejsca wypadku, a dalej również że był mordercą. Przy tak długiej liście win porwanie nie robiło różnicy.

Albo morderstwo.

Możliwe, że rozstrzygnęłyby to, czy dostałby maksymalną karę więzienia, czy dożywocie – jeżeli zabójstwo Petera Norlinga i cała reszta nie wsadziłyby go za kratki na resztę życia, to sprawiłoby to zamordowanie dziecka. Hallinowi i tak nie zrobiliby to chyba większej różnicy. W ogóle nie chciał zostać pozbawiony wolności, a najwyraźniej gotów był zrobić wszystko, żeby nie pójść siedzieć.

Nawet zabić dziecko, to niewykluczone.

Sandra miała nikłą nadzieję, że obserwacja policyjna Hallina coś da. Jeżeli w ogóle potraktowano jej obawy poważnie. Petera Norlinga zabił ciężką łopatą, musiało wystarczyć parę sekund. O ile zamierzenie było takie, że Erik miał umrzeć, to już dawno go zamordował i pogrzebał.

Sandra starała się odsuwać od siebie tę niepojętą myśl – to chodziła od okna do okna ze łzami w gardle, to pracowała, aż poczuła w ustach posmak krwi. Wcale nie spała tej nocy, nie miała czasu.

3-latek znika podczas wycieczki przedszkolnej do lasu

W piątkowe popołudnie podczas wycieczki przedszkolaków do lasu Furulundsskogen opiekunowie zauważyli zniknięcie chłopca. Wciąż nieznane są okoliczności jego zaginięcia, lecz według przypuszczeń dziecko oddaliło się, kiedy grupa przyglądała się życiu ptaków.

Niedługo po zawiadomieniu policji rozpoczęto intensywne poszukiwania. Oprócz patroli policyjnych zaangażowano również psy gończe i śmigłowiec. W całościową akcję włączyły się setki wolontariuszy.

– Na razie nie podejrzewamy popełnienia przestępstwa, ale pracujemy nietendycyjnie – mówi dowódca operacji z policji. – Apelujemy do każdego, kto widział lub słyszał coś, co może się łączyć ze sprawą, o skontaktowanie się z policją.

Chłopiec ma krótko przystrzyżone blond włosy i mierzy około 90 cm. Jak podaje policja, w chwili zaginięcia miał na sobie niebieskie dżinsy, czerwoną bluzę bez kaptura i zielone kalosze.

„GOTLANDS ALLEHANDA”

Lipiec 2018

ROZDZIAŁ 52 | KERSTIN

Jeanette znów zaczęła pić na umór, a Kerstin siedziała obok i tylko się jej przyglądała. Patrzyła, jak kuli się niczym kociątko w ramionach Lubbeego, chłonąc całą uwagę pozostałych, którą przyciągała, gdy była w takim nastroju. Kerstin nie mogła oprzeć się myślom, że to ta, która zostawiła jej ukochanego w śmiertelnym cierpieniu dla własnego zysku. Ta, której nie obchodziły pieniądze, a i tak pozwoliła mu umrzeć, bo jej ukochany uznał to za dobry pomysł.

W pewnych chwilach, ale tylko czasami, Kerstin udawało się skumulować energię, która sprawiała, że stawała się nieprzejeđnana. Częściej widziała w Jeanette kobietę, która straciła dziecko, a potem grunt osunął jej się spod nóg. Podobnie jak jej samej po utracie męża. Przeważnie patrzyła na Jeanette bez emocji, z chłodnym zainteresowaniem, jak na cokolwiek innego, balansującego na skraju jej świadomości. Może właśnie tam zaprowadziły ją wszystkie rozmyślenia – gdzieś pomiędzy, do krainy jałowej obojętności.

Nadszedł pierwszy dzień Tygodnia Politycznego w Almedalen* i zainteresowani zaczęli ściągać z wszystkich stron. Przez siedem dni zalewali całe miasto, pod Österport stało tysiące rowerów. Fajnie było na nich patrzeć – ani trochę nie przypominali przeciętnych turystów, bo reprezentowali inne wartości. Zwykle byli radośni i rozentuzjasmowani oraz zadziwiająco poukładani, zważywszy na ilości darmowego różowego wina, jakie w siebie wlewali. Najczęściej żywo rozmawiali między sobą.

Kerstin była zadowolona, że mogła teraz dyskutować z Sandrą i że miały wspólny cel. Poczyniła już pewne kroki, ku uciezce Sandry. Teraz jednak wyglądało na to, że w kwestii pieniędzy Sandra się na niej zawiedzie, bo pomysły Jeanette były bezwartościowe. Włamanie do domu Norlingów pod

ich nieobecność w wakacje to niezbyt konstruktywne rozwiązanie. Po części dlatego, że Kerstin porzuciła już występki o charakterze kryminalnym – pomijając oczywiście wtargnięcie do domku letniskowego, ale to działo się w dobrej wierze, a przy tym niczego nie zniszczyły ani nie ukradły. Po części zaś dlatego, że pieniądze pewnie znalazłyby się już dawno, jeżeli leżały w domu Norlingów. Musiałaby na nie natrafić policja – o ile nie wyszłyby na jaw w innych okolicznościach – która na pewno przeszukiwała dom w związku z zaginięciem. Podobnie musieli postąpić z warsztatem.

Wydawało się, że Jeanette zupełnie straciła zainteresowanie tematem pieniędzy, a Kerstin nie miała żadnej strategii. Jakże mogła na cokolwiek wpaść? Norling wsiadł prawdopodobnie do samochodu, pojechał do lasu i gdzieś tam zakopał torby. Prędzej czy później ktoś się na nie natknie, ale Kerstin nie będzie tą osobą. Poza tym i tak byłoby za późno, zegar tykał nieubłaganie.

Kerstin postanowiła, że jeszcze tego wieczoru zadzwoni do Sandry z wyjaśnieniami co do bieżącej sytuacji. Przeprosi, że jej i Jeanette skończyły się już pomysły, gdzie Norling mógł schować pieniądze, i podkreśli, jak bardzo gotowa jest się zaangażować w pomoc w jakikolwiek inny sposób.

Jeanette zawołała ją, pędząc beztrąsko po trawniku nieopodal, goniona przez kilku młodszych chłopaków. Kerstin nie zwracała na nią uwagi – ta młodzieńcza radość mogła w każdej chwili zamienić się w przygnębienie oraz łzy albo gotowość do bójki i skwaszenie. Na dodatek Jeanette była porządnie naprana, więc tylko patrzeć, kiedy rozedrze sobie ubranie lub skręci nogę.

Jeanette zawołała jednak jeszcze raz, dławiąc się przy tym ze śmiechu: jeden z młodzieńców, Jimmy, objął ją od tyłu i przewrócił na ziemię.

– On poluje! – wrzeszczała, a Kerstin pomyślała, że tego raczej nie sposób przegapić. – Może ambona czy coś! – znów krzyknęła i wtedy Kerstin spadły klapki z oczu.

Gdy życie wydawało się łatwe i przyjemne, skorzystała z okazji, by mówić o Peterze Norlingu. Kerstin znów zmiękło serce. Uznała, że Jeanette

starala się na swój sposób oraz że jej nie doceniła.

Ambona, myślała Kerstin. Tam chyba niczego nie można ukryć, używają jej przecież inni. Ale domek myśliwski? To już prędzej. Nie żeby wiedziała, co to takiego, ale może chodziło o chatkę, w której spotykano się przed polowaniem i po nim? Z ubojnią w szopie, gdzie wywieszano zabita zwierzynę? Obdzierano ją ze skóry? A może robiono to na wolnym powietrzu? Może były tam również miejsca do spania, jeżeli polowanie planowano na kilka dni?

Domek myśliwski nie mógł się znacząco różnić od letniskowego poza tym, że powinien znajdować się bardziej na uboczu, gdzieś w środku lasu. Dobrze ukryty, tylko gdzie? W którym lesie? Nawet jeśli Jeanette знаła odpowiedź, to i tak nie znałaby adresu. Jeżeli domki myśliwskie w ogóle taki miały. Co za tym idzie, pewnie tym razem nie udałoby się o niego wypytać.

Nagle dotarło do niej, że przecież musi istnieć jakiś sposób, aby się dowiedzieć, jakich nieruchomości dana osoba jest właścicielem. Może trzeba iść do sądu, główkowała. Biuro ksiąg wieczystych brzmiało znajomo. Sięgnęła po telefon, wpisała hasło w wyszukiwarce i wylądowała w księgach wieczystych Departamentu Infrastruktury. Kliknęła w okno „zamów dane o nieruchomości”, ale wciąż wydawało jej się to zawile: musiała reprezentować jakąś firmę, a i tak mogła zyskać dostęp tylko do danych na temat nieruchomości, bez wglądu do dokumentów dotyczących tego, jakie nieruchomości ma dana osoba.

Musiała jednak dotrzeć do sedna sprawy, bez odkładania tego na później, bo wydawało się to trudne. W poniedziałek, w godzinach pracy biurowej, zamierzała zadzwonić na infolinię dla klientów i rozeznac się, jak to działa, ale najpierw musi zapytać Sandrę – ona na pewno będzie wiedziała, co trzeba zrobić, a może nawet sama będzie umiała zdobyć informację, której potrzebowały na już. Że też od razu o tym nie pomyślała! Może nie musiałyby wtedy krążyć bez celu w Tofta, w przebraniu zagubionych sprzątaczek.

Sandra i Kerstin wymieniły się numerami telefonu, by móc się ze sobą skontaktować w dowolnej chwili. Sandra była już nie tylko głosem słyszonym w nocy, ale również przyjaciółką, do której mogła zadzwonić kiedykolwiek – i vice versa. Kerstin absolutnie nie chciała nadużywać jej zaufania, jednak tym razem chodziło o sześć milionów, kluczowych dla ich wspólnego przedsięwzięcia. Czas naglił. Odeszła więc na bok i wybrała numer Sandry, która natychmiast odebrała.

– Jak dobrze, że cię złapałam – powiedziała Kerstin. – Przepraszam, że przeszkadzam w niedzielę po południu. Zastanawiam się, czy mogłabyś, przy swoich znajomościach, dowiedzieć się, jakie nieruchomości miał Peter Norling. Albo ma, bo pewnie nadal jest w systemie.

Sandra milczała przez parę sekund, aż wreszcie odparła:

– Mogłabym. Ale dopiero jutro w pracy, nie wiem dokładnie o której. Chodzi o skradzione pieniądze?

– Tak – potwierdziła Kerstin. – Znalazłyśmy domek letniskowy, który przeszukałyśmy z góry na dół, bez skutku. Może istnieje też domek myśliwski, ale jeśli nawet, to nie wiemy, gdzie go szukać. Możliwe, że jest tego więcej, jednak odpowiedź mam nadzieję usłyszeć od ciebie.

– Jak tylko będę mogła najszybciej. Nie bardzo mogę teraz rozmawiać.

– W takim razie już nie przeszkadzam – odrzekła Kerstin.

– Odezwę się – oznajmiła Sandra i się rozłączyła.

Wydawała się dziwnie zdystansowana. Kerstin miała nadzieję, że nie przekroczyła jakiejś niewypowiedzianej granicy, dzwoniąc do niej w niedzielę.

* Zapoczątkowana w 1968 roku przez ówczesnego premiera Olofa Palmego tradycja spotkań politycznych w parku Almedalen na Gotlandii. Tak zwany Tydzień w Almedalen to obecnie największe i najważniejsze wydarzenie polityczne w Szwecji, organizowane rokrocznie pod koniec czerwca.

ROZDZIAŁ 53 | SANDRA

Nie było już nadziei na to, że Erik zapuka do drzwi, więc w sobotę Sandra znowu wprowadziła się do rodziców. Był niedzielny wieczór, a Erik zniknął ponad dwie doby wcześniej. W głosach oraz ruchach całej trójki odbijał się niepokój, ale żadne z nich nie mogło tracić głowy. Każdy radził sobie z emocjami na swój sposób i w myślach przygotowywał się na to, co miało nadejść.

Matka krzątała się w kuchni, zapełniając lodówkę i zamrażarkę, żeby nikt nie musiał chodzić głodny – teraz ani kiedy skończą im się siły.

Ojciec, razem z policją, psami, śmigłowcami oraz setkami wolontariuszy, uczestniczył w poszukiwaniach przez cały weekend. Mimo burzy, a może właśnie dlatego, włączyło się w nie znacznie więcej ludzi, niż się spodziewano. Po Eriku jednak nie było ani śladu, ani jednej poszlaki, gdzie się podział.

Sandra zrozumiała, niechętnie, że nie może zrobić nic, by ułatwić bądź przyspieszyć poszukiwania, oraz że jej obecność i tak niczego by nie zmieniła, bo zaangażowało się w nie tak wielu ludzi. Najlepiej zająć się tym, w czym się jest najlepszym, co w jej przypadku oznaczało niestrudzoną pracę nad rozpoczętym projektem, który przypuszczalnie zmieniłby życie kilku osób. Mianowicie nad tym, czemu poświęcała niemal każdą wolną chwilę od pojawienia się pierwszej pogróżki w imieniny Erika.

Nawet jeśli rodzice nie marnowali słów, by wyrazić niepokój czy strach w związku z tym, co się stało z Erikiem, to w kwestii wysypiania się Sandry, a także szaleństwa, z jakim pracowała nad swoją tajemnicą, stawiali sprawę jasno. Sandra niewiele się odzywała i nie wtajemniczała ich w to, co

rozgrywało się za zamkniętymi drzwiami. W pełni zgadzała się jednak z ich zdaniem na temat jej zaniedbywania snu, chociaż nic z tym nie zrobiła. Pracowała, aż padła do łóżka nocą, i wstała kilka godzin później, żeby zacząć od nowa.

Robiła sobie przerwy, żeby zajrzeć na chwilę do pracy i upewnić się, że mimo jej nieobecności wszystko działa, jak należy. Takie też odniosła wrażenie, więc rozdzieliła swoje stałe obowiązki między dwóch kolegów. Wszystkim było przykro z powodu tego, co się wydarzyło, przekonywali, że na pewno sprawa dobrze się skończy. Sandra zaczynała coraz bardziej w to wątpić, choć nie było mowy, by straciła nadzieję.

W myślach trwała przy Eriku, rozmawiając z nim, uspokajając go i pocieszając. Fakt, że fizycznie nie mogła dzielić z nim tego doświadczenia, sprawiał, że czuła się do niczego jako rodzic. Zmyślone rozmowy ożywiały go jednak, a właśnie tego potrzebowała, by nie stracić gruntu pod nogami. Całą sobą czuła jego obecność i – w pełni świadoma, że emocje te nie mają odzwierciedlenia w rzeczywistości – dalej się oszukiwała.

W niedzielny wieczór przyszedł z wizytą policjant, z którym Sandra rozmawiała przy Gråbo Torg zaraz po zaginięciu Erika. Sandra zobaczyła go już przez okno i wyszła mu naprzeciw na ulicę.

– Moi rodzice nie mogą zostać w to zamieszani – wyszeptała. – Nic nie wiedzą o Janie Hallinie.

– Nie ma problemu – powiedział policjant.

– Nie możecie się z nim skontaktować, rozumie pan?

– Oczywiście. Sami podjęliśmy taką decyzję. Zwykle staramy się unikać prowokowania pochopnych reakcji ze strony desperatów.

– To by mogło prowadzić do katastrofy. Proszę poczekać jeszcze chociaż kilka dni.

– Tak właśnie zrobimy – zapewniał. – Prędzej czy później będziemy oczywiście musieli go przesłuchać, ale teraz nic nie ryzykujemy. Skoro

przesłuchanie może narazić zdrowie Erika na szwank, to naturalnie obserwujemy Hallina z dystansu.

– Czyli już zaczęliście? – Sandra chciała się upewnić.

– Poddaliśmy go czterdziestoosmiodzinnej obserwacji, ale nie pojawiło się nic podejrzanego.

Niestety właśnie tego Sandra się spodziewała. Jeżeli Hallin miałby coś wspólnego z zaginięciem, to pewnie by się o tym dowiedziała stosunkowo szybko. Chociaż była wdzięczna policji, że jej wysłuchali i potraktowali ją na tyle poważnie, by poddać Hallina obserwacji, to świadomość, że na nic się to zdało, była druzgocąca. Nie trzymał Erika gdzieś w zamknięciu z zamiarem oddania go po spełnieniu określonych warunków lub po upływie pewnego czasu, tylko już zrobił z nim, co sobie zamyślił. To podpowiadał jej rozsądek, ale wszystko inne się w niej buntowało, chcąc, by myślała inaczej.

Dalszy ciąg rozmowy odbywał się w kuchni w obecności rodziców, ale nie wynikło z niej nic, co mogłoby przynieść ulgę. Nie znaleziono żadnych śladów po Eriku i – mimo ogromnych wysiłków – poszukiwania nie odniosły skutku. Sandrę kusiło, by zacząć krzyczeć, by dać upust emocjom, lecz to by oznaczało tyle, co stracić kontrolę i się poddać, na to zaś nie mogła sobie pozwolić ani na moment.

Teraz już była zmuszona – wbrew swoim obietnicom oraz postanowieniom – skontaktować się z Janem Hallinem. Wciąż za wcześnie, by nasłać na niego policję, ale sama musiała spróbować. Co innego miała zrobić, skoro milczenie nie pomagało? Sandra wiedziała, że to on stoi za pogrózkami, sabotażem, a także zniknięciem Erika. Nie mogła przecież tak po prostu siedzieć z założonymi rękami, pozwalając, by wydarzyło się najgorsze. O ile już się nie wydarzyło.

Działała w akcie desperacji, ale nie mogła pozwolić, by poznał to w jej głosie. Rozpacz, ale nie furia. Dlatego rozmowę rozpoczęła opanowanym tonem.

– Przepraszam, że poszłam do twojej żony. To było głupie i naprawdę

bardzo mi przykro, jeżeli przysporzyło to kłopotów.

– Tak, spokojnie można to tak nazwać. Myślisz, że będziesz bogatsza, bo mieszasz w to moją żonę? Albo że możesz za to przeprosić?

– Nie chcę pieniędzy – oznajmiła Sandra. – Wycofuję swoje żądania. Już nie usłyszysz o moim synu, już nigdy więcej się do ciebie nie odezwę.

Po kilkusekundowej ciszy usłyszała sarkazm, kapiący jadem.

– Brzmi fajno. W samą porę.

– Oczywiście pod warunkiem, że Erik się znajdzie – rzekła Sandra. – Żywy.

– Erik? – Hallin się zdziwił. – A kto to jest, do cholery?

Sandra milczała, zaznaczając swoją pewność co do tego, że znał odpowiedź.

– Ach, to twój syn? – mówił z namacalnie udawanym zdumieniem. – Brzmi dramatycznie. Czyżby się gdzieś zapodział?

Mogłaby przysiąc, że wyczuwała uśmiezek w jego głosie. Pogrywał sobie z nią, ale nie zamierzała dać mu satysfakcji z usłyszenia desperacji w jej głosie. Musi zachować spokój i sprawiać wrażenie opanowanej.

– Czas z tym skończyć – stwierdziła. – Po prostu postaraj się, żeby wrócił do domu.

Hallin zaśmiał się w głos.

– Oskarżasz mnie o uprowadzenie?

– Ależ skąd. Chodzi mi tylko o to, że gdybyś go przypadkiem spotkał, to prosiłabym cię, byś dopilnował, by wrócił prosto do domu.

Sandra zachowywała wielką ostrożność, aby nie rzucać na niego oskarżeń. Chęć współpracy będzie równa zeru, jeżeli choćby w małym stopniu odczuje, że ona mu grozi. Jeśli wyraźnie mu tego nie wytknie, istnieje jeszcze szansa, że Erik gdzieś się znajdzie. Nie budząc podejrzeń policji

o popełnieniu przestępstwa. Na tym Sandra teraz polegała. Dążyła do swego rodzaju tajnego porozumienia, w którym nie padły żadne konkretne słowa, ale jednak obie strony wiedziały, czego od siebie oczekują.

– Obiecuję – mówił Hallin. – Jeśli wpadnę na chłopaka, to wsadzę go do autobusu do domu.

Ton głosu miał trochę rozbawiony, co samo w sobie ją przerażało. Sposób, w jaki się wyrażał, wskazywał na to, że nie spodziewał się „przypadkiem” spotkać trzylatka, a to mogło oznaczać, że już po wszystkim. Sandra nie mogła się jednak poddać ot tak. Miała właśnie szansę wpłynąć na zakończenie sytuacji i nie wolno było jej zaprzepaścić.

– Przysięgam już nigdy więcej cię nie niepokoić – powiedziała. – Ani twojej żony. Nigdy nie wniosę pozwu o ustalenie ojcostwa, nigdy nie zażądam alimentów i nigdy nie zamieszam policji w to, co się wydarzyło przed czterema laty. Nie zrobiłam tego dotychczas, więc po co miałabym teraz? Wszystko skończy się najlepiej dla wszystkich, jeśli tylko mój synek się znajdzie i nie będzie już o czym mówić.

– A to dobra nowina – odparł Hallin z udawaną życzliwością. – W takim razie życzę powodzenia z chłopcem.

Koniec rozmowy.

Pozostawało pytanie, czy doszli do upragnionego porozumienia, czy on – będąc wierny swojemu zwyczajowi – tylko dodatkowo wszystko przeciągał. To drugie wydawało się niestety bardziej prawdopodobne.

ROZDZIAŁ 54 | JAN

Jan musiał zjeść kolację w samotności, ponieważ w poniedziałkowe wieczory Gunilla pracowała. Menu było z tego powodu trochę mizerniejsze niż zwykle: ukochana żona nie serwowała raczej parówek z purée ziemniaczanym w proszku. Tak czy inaczej, smakowało mu, a przyrządzanie posiłku zajmowało niecałe dziesięć minut. Przy jedzeniu myślami znów powędrował do rozmowy telefonicznej z Sandrą.

Jej oskarżenia spłynęły po nim jak po kaczce, wyrzygała to z siebie, żeby tylko cokolwiek zrobić. Nie miała pojęcia, co się stało z chłopcem – pytanie, czy kiedykolwiek się dowie. Według prasy policja nie miała żadnych śladów, a setki wolontariuszy nie pomogły posunąć sprawy naprzód ani o milimetr. Minęły już trzy doby, jasne, że była w desperacji.

Tej nie udało jej się ukryć i choć starała się brzmieć chłodno i służbowo, słyszał przez telefon, że serce waliło jej w piersi jak młot, kiedy wycofywała swoje żądania o alimenty. To musiało ją zabołec, zważywszy na jej piekielną natarczywość w kwestii tych pieniędzy. Fakt, że porzuciła walkę, w ostatecznym rozrachunku stanowił jedynie kolejne potwierdzenie jej przerażenia. Musiał przyznać, że doszedłszy do tego wniosku, poczuł radość z jej nieszczęścia.

Co do chłopca – na samym początku kiełkowało ziarenko niepewności. Istniała ewentualność, że jego matka zupełnie postrada zmysły i zacznie chlapać na prawo i lewo – prasie, policji i całej reszcie zainteresowanych – że chłopiec urodził się w wyniku gwałtu, jak sama twierdziła. Większość przemawiała jednak przeciwko takiemu posunięciu, bo – dokładnie tak, jak się wyraziła przez telefon – po co miałyby to roztrząsać teraz, skoro tak długo milczała na ten temat? A kto, psia krew, chciałby upubliczniać fakt, że jego

jedyny syn został poczęty podczas gwałtu? Jak ona to nazywała. Że był niechciany? Przecież to prawie jakby powiedzieć, że niewielką robi to różnicę, jeśli by nie wrócił, a to media rozdmuchałyby do niebotycznych rozmiarów.

Z tej przyczyny Jan szybko wykluczył obawy co do tego, że zaginięcie chłopca poruszyłoby taką lawinę. Miał ku temu dobre podstawy, jak się okazało, ponieważ kwestia poczęcia dziecka, trochę niespodziewanie, nie została poruszona. Nie było się więc czym martwić – przeciwnie: większość spraw szła po jego myśli. Minęły już trzy doby i chyba tylko najbliżsi chłopca nie porzucali jeszcze nadziei. Z punktu widzenia Jana martwe dziecko miało dwie zalety: nie potrzebowało alimentów ani ojca. Można powiedzieć: dwie pieczenie na jednym ogniu.

Pojawiło się natomiast coś innego, co – jakkolwiek śmieszne by się wydawało – trochę go niepokoiło. A przynajmniej obudziło jego ciekawość w nie do końca pozytywny sposób. Panie z pracy, które przy każdej możliwej okazji plotkowały jak opętane, przeważnie przy automacie z kawą, od jakiegoś tygodnia wałkowały w kuchni jeden temat. Jan nie do końca rozumiał, o czym dyskutowano, bo go to na początku nie interesowało, ale zdawało się, że wszystkie oglądają ten sam serial. Na takie rzeczy Jan nie marnował czasu, bardziej interesowały go aktualności i sport, zwłaszcza teraz, kiedy nadawano rozgrywki Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej.

Trajkotały o tym już od jakiegoś czasu, wszystkie z wielkim zaangażowaniem: Co właściwie było bardziej niemoralne – to czy tamto? Czy to a to zdarzyło się naprawdę? Czy słyszałyśmy o podobnym zdarzeniu? Czy to się w końcu wyjaśniło? To gdzie on się podział? Czy mogła to być ona, ta szatynka? Znamy kogoś, kto się tak nazywa? A co, jeśli to on? Ale czy to prawdziwa historia? Nie, chyba jednak musi być zmyślona.

Tak właśnie nadawały, teraz już całymi dniami. Często pojawiała się słowo „wawóz”, ale tym niezbyt się przejmował. „Jazda po pijanemu” i „ucieczka z miejsca wypadku” obły mu się o uszy, to wszystko. Kiedy parę dni później w rozmowach raz po raz powtarzano słowo „gwałt”, zaczął się

zastanawiać, co też je tak pasjonuje. Nie chciał jednak wypytywać w nadziei, że wyjaśni to na własną rękę, nie ujawniwszy, że również jego to interesuje. O czymkolwiek mowa. Nie udało mu się jednak wpaść na żadne wyjaśnienie, a wkrótce zaczął tracić cierpliwość i się martwić.

Z tego powodu w weekend wyszukał wydanie telegazynu z ubiegłego tygodnia i przejrzał tygodniowy program wszystkich możliwych kanałów, ale nie znalazł niczego przypominającego to, co zasłyszał w pracy w gorliwych dyskusjach podczas przerw na kawę.

Naraz nadarzyła się szansa. Pewnie dlatego, że tego dnia dla odmiany podczas rozmowy nie stanął z boku odwrócony do nich plecami, tylko obok, sprawiając wrażenie zaciekawionego. Zaangażowanie było wprawdzie nieudawane, ale powód zgoła inny, niżby się spodziewały – przynajmniej miał nadzieję, że niczego się nie domyślają.

– Janne, jesteś chyba na bieżąco? – dociekała jedna z dziewczyn, której w oczach malowała się sensacja.

Jan niepewnie potrząsnął głową z pytającym wyrazem twarzy.

– Rozgrywa się tutaj, wśród nas – wyjaśniła. – To naprawdę fascynujące, bo pociąga za sobą tak wiele spekulacji, tyle pytań.

– Tutaj? – spytał. – Na Gotlandii?

Przytaknęła, co nie było w stu procentach dobre, ale zachowywał pozory.

– Zakładam, że to o serialu telewizyjnym tak żywo dyskutujecie – zgadywał.

– Nie, o książce. – Usłyszał to z kilku stron.

O książce? Skoro tak, to chyba musi się jakoś kończyć? A może należały do jednego klubu książki i mogły czytać naraz tylko jeden rozdział?

– Czy można być na bieżąco z książką? – Zdumiał się.

– Mówimy o letniej powieści w odcinkach, Janne.

Kojarzył je z wakacji w dzieciństwie.

– Znaczy się w radiu?

– Nie, w „Gotlands Allehandzie”.

– Aha – powiedział, mieszając kawę w kubku, żeby nie zauważono gryzącego go niepokoju. – Czyli warto ją czytać?

Wszyscy zebrani w kuchni byli w zupełności zgodni co do tego, że owszem.

Dlatego tuż po kolacji zamknął się w swoim gabinecie i wyszukał w internecie pierwszy odcinek książki. Autor podpisywał się jako Sting, który – z tego, co Janowi wiadomo – był angielską gwiazdą popu. Nie udało mu się znaleźć żadnego pisarza o tym nazwisku, więc uznał, że musi chodzić o pseudonim. Co niezupełnie go uspokoiło.

Jan nie czytywał literatury pięknej, toteż zajęło mu chwilę, zanim złapał rytm. Jednak kiedy wreszcie się odblokował, natrafił na bardzo znajomo brzmiący opis wypadku samochodowego. Przedstawiony z kilku perspektyw. Z czego jedna przypominała jego własną.

Nie było tak źle, jak się obawiał, i w sumie powinien był już pójść spać. Coś jednak nie dawało mu spokoju – dokąd miało to właściwie prowadzić? Kim byli ci wszyscy ludzie, których losy śledzono? Oraz: co pasjonującego tak naprawdę tkwiło w tej historii, że aż koleżanki z pracy nie mogły przestać dyskutować na jej temat?

Ściągnął więc kilka kolejnych numerów gazety i przeczytał jeszcze parę rozdziałów. Historia zaczęła go nudzić, za co w rzeczy samej był wdzięczny, mimo że nie zachęcała do dalszego czytania. Tamten bohater, który miał z nim trochę wspólnego, zniknął z biegu wydarzeń, można się było domyślać, że wykitował po kraksie. Zamiast o nim książka opowiadała w dużej mierze o jakiejś menelce i jej kumplach. Jan szczerze współczuł ludziom zepchniętym na margines społeczeństwa, ale nie wiedział, czy ma siłę czytać całą historię o ich wzlotach i upadkach.

Zakończył więc lekturę na dziś i – pod nieobecność Gunilli – porządnie

rozłożył się w łóżu małżeńskim.

ROZDZIAŁ 55 | SANDRA

We wtorek, czwartego dnia po zaginięciu Erika, Sandra z trudem mogła usiedzieć w miejscu. Organizm odmawiał jej posłuszeństwa – potrzebował odpoczynku w dzień, a przede wszystkim snu nocą. Wiedziała jednak, że jeśli się temu poddała i spróbowała się wyspać, to już nie wstałaby z łóżka. Równie dobrze mogłaby tam zostać w oczekiwaniu na ostateczną wiadomość, a to by znaczyło tyle, co spasować.

Rozmyślała o Kerstin, która także czekała cztery dni na – jak się później okazało – wiadomość o śmierci. Ten czas musiał się niesamowicie dłużyć, a Kerstin, której nic nie mogło pocieszyć, została z tym zupełnie sama. W pewnym sensie tak samo jak Jeanette, porzucona przez człowieka, z którym miała dzielić ciężki okres. Czekala dniami, tygodniami, miłosa tęsknota przechodziła w nienawiść, załamały się jej ciało i dusza, a ponad cztery lata później okazało się, że wszystkie jej myśli, emocje i czyny były błędne.

Sandrę przynajmniej otaczali kochający ludzie, którym na niej zależało, nawet jeśli każdy z osobna przeżywał udręki w samotności.

Po niemal całonocnym pisaniu musiała poruszać się na świeżym powietrzu. Znów padał deszcz, co nie miało znaczenia, pogoda pod psem odzwierciedlała jej nastrój. Wszystko szlag trafił i sama sobie była winna. Była świadoma tego, że to jej pomysły, wnioski oraz naiwność postawiły ich wszystkich w sytuacji, w której trudno im się odnaleźć.

Nie miała nawet sił spekulować, co się dzieje z Erikiem. Żyje albo i nie – więcej nie pozwalała sobie roztrząsać. Nie teraz, gdy w każdej chwili przypadkiem mogła kogoś spotkać. Chciała być sama, w ciemności,

odkręcając ten kurek.

Włożyła ubrania przeciwdeszczowe i pospacerowała do pracy. Było bardzo wczesnie rano, ale w redakcji zawsze można kogoś spotkać, niezależnie od pory dnia czy nocy. Ta dziwna godzina minimalizowała jednak ryzyko spotkania więcej niż jednego czy dwóch współpracowników, a co za tym idzie – mogła uniknąć współczujących spojrzeń całej reszty, kierowanych w jej stronę.

Na miejscu znajdował się tylko szef działu aktualności, na tyle taktowny, by nie roztrząsać jej stanu emocjonalnego. Zadowolił się pytaniem, czy mógłby coś dla niej zrobić i czy pojawiły się jakieś wieści, ale takich nie było. Szybko przejrzała bieżące rubryki oraz teksty o Eriku. Upewniła się, że powieść w odcinkach idzie, jak należy, i jest wystarczająco wyeksponowana. Wzrok zatrzymał jej się na imieniu Kerstin, więc pobiegła myślami do przyjaciółki, która poprosiła ją o przysługę.

Nie pamiętała, o co chodziło. Kerstin dzwoniła jakoś w weekend, powinna była się tym zająć już wcześniej. Dni zlewały się ze sobą, wszystko traciło znaczenie. Ach tak, przypomniała sobie, powieść miała znaczenie. Niezależnie od tego, jakie zakończenie będzie mieć rozgrywający się właśnie dramat, zadaniem książki było uczynienie Erikowi zadość. Jej również oraz Kerstin i Karlowi-Erikowi. Trzeba opowiedzieć historię Jeanette i Petera Norlinga, nic nie było czarno-białe.

Peter Norling – już sobie przypomniła. Sandra obiecała dowiedzieć się, czy miał jakieś nieruchomości, co nie stanowiło problemu: wystarczyło wyszukać to w bazie danych Infotorg. Szef działu aktualności siedział już przy komputerze, więc poprosiła, żeby zrobił to za nią. Poszło szybko, Sandra zrobiła zdjęcie strony i przesłała je Kerstin. Pozostawało tylko wrócić do domu i pisać dalej.

Po drodze zmieniła jednak zdanie, wymyśliła sobie, że chce zobaczyć na własne oczy, że Hallin naprawdę jest objęty obserwacją. Może tamten policjant jej nie wierzył, tylko udawał, żeby ją uspokoić, może nie mieli na to

środków. Mogli również odwołać operację, kiedy nie przyniosła rezultatu. Albo dlatego, że przestali wierzyć w to, że Erik żyje.

Cztery godziny, myślała Sandra. Przypomniała sobie, że wcześniej gdzieś o tym słyszała. Jeśli dziecko nie znajdzie się w ciągu czterech godzin, szanse na odnalezienie go, zanim będzie za późno, drastycznie maleją.

Wkrótce miną cztery doby.

Na ulicy pod domem Hallina nie stał żaden samochód, z którego mogliby go obserwować. Sandra nie chciała wierzyć, że policjant kłamał jej w żywe oczy, choć może tak trzeba postępować ze wstrząśniętą rodziną. A może chowali się gdzieś za zasłoną w oknie, ukryci tak dobrze, że nawet Sandra, która wiedziała, czego szuka, ich nie dostrzegła.

Wtedy wygrzebała z pamięci, co faktycznie powiedziano: poddali Hallina obserwacji na czterdzieści osiem godzin i nie zauważyli nic podejrzanego. Niekoniecznie musiało to oznaczać obciążanie dochodzenia dodatkową czterdziestoosiogodzinną obserwacją podejrzanego.

Sandra czuła, jak uchodzi z niej powietrze, i usiadła na krawężniku. Wiedziała, że to Hallin wyreżyserował zniknięcie chłopca, choć jej teoriom brakowało wystarczającej wiarygodności, by policja odsunęła na bok wszystko inne. Rozumiała to i w pewnym sensie uważała za dobre, że opierali swoje metody na doświadczeniu, zamiast słuchać pojedynczych opinii. Jeśliby się głębiej zastanowić, może to właściwe w tym przypadku, bo jeżeli Hallin nie zachowywał się podejrzanie, to Erik mógł już nie żyć albo stało mu się coś zupełnie innego, niż Sandra sobie wyobrażała. Priorytetem było odnalezienie go, a Hallin najwyraźniej nie miał w planach naprowadzenia ich na właściwy trop.

Takie rozpaczliwe myśli krążyły Sandrze w głowie, kiedy patrzyła, jak krople deszczu rozbijają się o asfalt, łączą w strugi i zamieniają w rwące potoki, tryskające wzdłuż ulicy. Na ramieniu poczuła czyjąś dłoń, więc uniosła wzrok, pomyślawszy, że może mimo wszystko zauważył ją jakiś obserwator, który chce ją poprosić, by stamtąd odeszła.

Ku swojemu zdumieniu zobaczyła żonę Hallina w szlafroku i z rozłożonym parasolem.

– Nie może pani tak sterczeć w deszczu – powiedziała. – Zapraszam do środka, rozgrzeje się pani przy kawie.

– Nie – odparła przerażona Sandra. – To niemożliwe.

Oczywiście sama się o to prosiła, bo w tej ulewie wyglądała żałośnie. Nie dochodziła nawet szosta, do głowy jej nie przyszło, że ktoś może ją zobaczyć z domu.

– Nalegam. – Kobieta się uśmiechała. Podczas ich poprzedniego spotkania nie była równie życzliwa.

– Wykluczone – odparła Sandra zdecydowanie. – Już sobie idę.

– Ale dlaczego pani tu przyszła? To znaczy jeśli nie ma pani tu spraw do załatwienia.

– Ja...

Nie mogła wpaść na to, jak się wykręcić. Co sobie właściwie myślała, siadając akurat pod domem Hallinów?

– Rozumiem – mówiła Gunilla Hallin. – Chce się pani widzieć z Janem.

– Nie – zaprotestowała Sandra. – Po prostu...

Nie wiedziała, jak dokończyć również to zdanie, ale na szczęście jej przerwano.

– Przepraszam za swoje ostatnie zachowanie. Że zatrzęsłam pani drzwi przed nosem. To było niepotrzebne. Właściwie nie mam nic przeciwko pani. To na Jana powinnam się złościć. To znaczy złośczyć się.

Sandra przytaknęła energicznie, czując przede wszystkim zażenowanie. Nie miała najmniejszej ochoty nawet zahaczać o ten temat, a jeszcze mniej dyskutować o przypuszczalnym romansie z żoną gwałciciela. Skończyły się czasy, kiedy wydawało jej się, że może dotrzeć do Hallina za pośrednictwem jego żony. Ostatnia – a jedyna zarazem – próba pociągnęła za sobą

katastrofalne skutki.

– Obiecałam, że już nigdy się z nim nie skontaktuję. I zamierzam dotrzymać obietnicy, więc już sobie pójdę. Nie wiem, jak... Nie wiem, dlaczego tu zaszłam, przepraszam.

Kiwnęła głową na pożegnanie i ruszyła przed siebie.

– Przykro mi z powodu chłopca! – zawołała za nią kobieta. – Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

Sandra odwróciła się do połowy, żeby nie sprawiać wrażenia wyraźnie nonszalanckiej.

– Dziękuję – odpowiedziała i truchtem uciekła od tej żenującej sytuacji.

Pomyślała, że może jednak coś dobrego wyniknie z tego nieplanowanego spotkania. Gunilla Hallin usłyszała jasno i wyraźnie, że Sandra nie zamierza ich więcej niepokoić. Nawet jeśli ta scena nie stanowiła najlepszego przykładu na wywiązywanie się Sandry z tego postanowienia. Uwadze Gunilli nie mogła ujść również rozpacz Sandry, gapiącej się przed siebie w deszczu. Z całą pewnością dojdzie to do jej męża, w domyśle z życzeniem, by uwolnił chłopca.

Oby tylko nie było za późno.

Cztery dni cierpienia to niepojęty bezkres czasu i Sandra nie wiedziała, ile jeszcze zdoła wytrzymać. Ale sama przyłożyła do tego rękę, sprowadziła na siebie przekleństwo. Trzeba było to po prostu wziąć na klatę, pomyślała, a deszcz smagał jej twarz, kiedy truchtała. Stać niewzruszenie, aż polegnie.

ROZDZIAŁ 56 | KERSTIN

Kerstin obudził sygnał SMS-a dochodzący z szafki nocnej. Ucieszyła się, widząc, że nadeszła go Sandra, która znalazła adres domku myśliwskiego należącego najprawdopodobniej do Petera Norlinga. Była to jedyna nieruchomość, jaką miał oprócz domu i letniaka. Kiedy jeszcze żył. Obecnie powinno się je traktować jako własność pani Norling.

Przestudiowawszy parę różnych map i zdjęć satelitarnych w telefonie, stwierdziła, że domek mieści się w lasach w okolicy Slite. Kawał drogi, ale kursowały tam autobusy. Wyglądało na to, że jeśli wsiadłyby do autobusu z rowerami, mogły się dostać całkiem blisko celu i nie musiałyby przesadnie długo wędrować przez las. Nie dopatrzyła się żadnych nieruchomości w sąsiedztwie, co czyniło z domku idealne miejsce dla włamywaczy. Przybory do sprzątanania mogły zostawić w domu.

Zadzwoiła do Jeanette, zrywając ją z łóżka. Sprawiała wrażenie średnio przekonanej, ale pomyślała, że pewnie jakoś pójdzie. Poprzednim razem spędziły czas naprawdę miło, mimo że Jeanette kilka razy bardzo się przejęła, gdy pojawiała się coś, co mocniej przypomniało jej o Peterze. Trochę się też namęczyły, ale Jeanette przez większość czasu robiła dobrą minę do złej gry.

Kerstin zgadywała, że tym razem czeka ich mniej pracy. Mniej ozdobnych przedmiotów, mniej przyborów kuchennych, ogólnie mniej rzeczy w domku przeznaczonym do polowań. Miała przed sobą obraz jednego czy dwóch trofeów na ścianach, wypchanych ptaków oraz innych zwierząt, paru okazów dorodnego poroża kozła. Skąpe wyposażenie kuchennych szafek i szuflad – tyle tylko, ile potrzebowali głodni myśliwi, żeby móc coś upichcić i zjeść podczas jowialnych spotkań. Wyobrażała sobie, że gdzieniegdzie na półce musiały stać kufle na piwo oraz kieliszki do wódki.

Pomyślała, że to kryjówka wyłącznie dla mężczyzn. Nie musiało tak być, ale wydawało jej się, że postępy w walce o równouprawnienie nie zaszły jeszcze tak daleko, by kobiety na terenie całego kraju były reprezentowane w kołach łowieckich równie licznie, co mężczyźni. Patrząc oczyma pełnymi uprzedzeń, mogło to oznaczać, że noga pani Norling rzadko bądź nigdy tam nie postąpiła. Z czego z kolei można by wyciągnąć wniosek, że to idealne miejsce dla kogoś chcącego ukryć sześć milionów koron skradzionych na rachunek dzielony z kochanką.

Przesłanki były zatem dość dobre, pomijając wiszące nad Gotlandią od kilku dni deszczowe chmury.

Wysiadły z autobusu tuż przed dziesiątą, a później z pomocą aplikacji z mapą w telefonie Kerstin posuwały się w głąb lasu coraz węższymi drózkami. Okazało się, że można było dojechać do samego budynku, przynajmniej jeśli miało się samochód. Zostawiły rowery trochę głębiej w lesie, w miejscu, gdzie zaczynała się wąska, zarośnięta ścieżka prowadząca do domku myśliwskiego. Dla pewności położyły je za zwalonym drzewem i dodatkowo przykryły gałązkami świerku. Gdyby wbrew przypuszczeniom zjawił się ktoś nieproszony, przynajmniej nie zdradziłyby ich rowery.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że to nic innego jak tylko chatka myśliwska, zbudowana na zrąb. Nad drzwiami wejściowymi wisiało pół tuzina parostków na tarczach z jakiegoś ciemnego drewna. Dom otaczała działka, z której tylko pobieżnie usunięto gęstwinię, żeby drzewa i krzewy zupełnie wszystkiego nie zarosły i żeby właściciel mógł swobodnie przedostać się do dwóch pozostałych budynków znajdujących się na terenie posesji. Od tego czasu musiało jednak upłynąć kilka lat, na oko ponad cztery.

Po niecałej minucie poszukiwań znalazły na listwie klucz i weszły do środka. Domek okazał się większy, niż Kerstin się spodziewała, była w nim kuchnia, w głównej izbie stały stół jadalny i osiem krzeseł, a także kanapa i fotele przy kominku. Po obu jego stronach znajdowały się drzwi do czteroosobowych sypialni, z piętrowymi łózkami. Z wyjątkiem rozmiaru dom niewiele różnił się od wyobrażenia Kerstin o chatce myśliwskiej. W środku

wisiałoby trofea łowieckie, gdzieś tam stały świeczniki na świeczki podgrzewające, więc w sumie wkład dekoracyjny nie był zbyt imponujący.

Ciemno i obskurnie, do wnętrza nie wpadało wiele światła. Wprawdzie pociągnięto do domku prąd, ale Kerstin wolała nie włączać lamp. Na przekór wszystkim przewidywaniom ktoś mógłby je zauważyć i zacząć się zastanawiać, co jest grane, a żadna z nich nie była gotowa na poniesienie konsekwencji, gdyby je nakryto. Poza tym to, czego szukały, miało tak okazałe rozmiary, że raczej nie przeoczyłyby tego przez słabe oświetlenie.

Chociaż przebywały w domku Petera Norlinga, nie było w nim nic, co można by z nim skojarzyć. Żadnych zdjęć, ubrań, odręcznie zapisanych karteczek, nic. Krótko mówiąc, chatka wydawała się bezosobowa, co z pewnością przyczyniało się do wyśmienitego humoru Jeanette. Wyprawa była ekscytująca, deszcz stukający o dach wzmagając uczucie zdenerwowania, tworząc między nimi nieznaną im wcześniej niezobowiązującą bliskość.

Rozmawiały. O tym i owym, o niczym szczególnym. Nie jak wyrzutki z nałogami. Nie jak śmiertelni wrogowie czy aspirujące samobójczynie. Ale jak dwie normalne osoby. Było to wyzwalające.

Kerstin zajrzała do lodówki, wyłącznie dla potwierdzenia swoich podejrzeń. Nikt tu nie mieszkał od dawna – w lodówce stało tylko przeterminowane piwo sprzed trzech lat. W czasie gdy Kerstin przewracała kuchnię do góry nogami, Jeanette zajęła się dużym pokojem. Żadna z nich nie znalazła tego, czego szukały, ani niczego innego godnego uwagi. Nawet w kominie.

Później zabrały się do przeszukania sypialni, korytarza, przedpokoju oraz werandy, wygrzebały nawet drabinę w tej ulewie, by móc przejrzeć poddasze. Nigdzie jednak nic nie znalazły.

Około drugiej zrobiły sobie przerwę na obiad i usiadły w przybudowanej altanie, szcękając zębami, a deszcz lał jak z cebra na otaczający je las.

ROZDZIAŁ 57 | SANDRA

Sandra siedziała w swoim dawnym dziecięcym pokoju na poddaszu ze spojrzeniem utkwionym w wyblakłym plakacie Spice Girls z naciekami na rogach. Godzina trzecia, za parę godzin popołudnie zamieni się w wieczór, a później w noc. Wkrótce dobiegnie końca czwarty dzień, a co potem? Ile czasu przeznaczono na działania policyjne, jak długo ochotnicy dadzą radę szukać, zanim osłabnie zaangażowanie?

Do Sandry docierało, że w niedalekiej przyszłości zabraknie chętnych do poszukiwań, dochodzenie wyląduje w kartonie pod czymś biurkiem w oczekiwaniu na nowe poszlaki, które nigdy się nie pojawią.

To jeszcze jednak nie pora, napomniała się. Był środek lata, a na zewnątrz niemal całą dobę było jasno, pomijając nieustanny deszcz padający z prawie czarnych chmur, które zaciemniały niebo, grożąc zatopieniem całej wyspy. Nawet one nie zdołały jednak odstraszyć setek godnych podziwu ludzi szukających jej syna w lasach. Skoro oni się jeszcze nie poddali, to Sandra też nie mogła, to się rozumiało samo przez się.

Jej zaś udało się nadgonić. Nad książką ślęczała sześć tygodni, pisała w każdej wolnej chwili i już dotarła do bieżących wydarzeń. Pozostawało opisać to, co się jeszcze nie wydarzyło. Lub co jeszcze nie wyszło na jaw. Czeka ją praca miała wymagać mniejszego, zupełnie normalnego wkładu, więc mogła się tym zająć w czasie wolnym.

Nazajutrz zamierzała wrócić do pracy. Właśnie tak zdecydowała – nie mogła siedzieć beczynnie. Kolegom brakowało jej w redakcji, a ona potrzebowała odskoczni od tego niekończącego się czekania na coś, co może mieć nigdy nie nadejść. Gdyby coś zdarzyło się w ciągu dnia, mogła to

spisać wieczorem, projekt książkowy miał się zamienić w pamiętnik. Ze względu na nią oraz Erika.

Musiała zakończyć powieść w odcinkach przed upływem lata. Trzeba jakoś domknąć historię, by nie rozczarować ewentualnych stałych czytelników. Miała jednak sporo czasu na wymyślenie jak – czytelnicy nie dotarli jeszcze nawet do wydarzeń tuż po nocy świętojańskiej.

Sandra zaczęła myśleć o Kerstin. Mimo że od zaginięcia Erika upłynęły cztery dni, nie poinformowała jej, co zaszło. Po części nie miała siły o tym mówić, ale przede wszystkim dlatego, że była rozdarta. Z jednej strony ledwie się z Kerstin znały, nigdy się nie widziały. Z drugiej – w pewnych aspektach właśnie ona znała Sandrę lepiej niż ktokolwiek inny. Kerstin była wtajemniczona w całe przedsięwzięcie, a poza tym pomogła między innymi w poszukiwaniu faktów. Oraz łupu.

Sandra była w takiej sytuacji, że nie musiała się kimkolwiek przejmować, a i tak miała wyrzuty sumienia względem Kerstin. Czuła się niesolidarna. Kerstin uchyliła drzwi do swego wnętrza, pozwalając Sandrze na dodatek pisać o tym w gazecie, co mogło skutkować pociągnięciem Kerstin do odpowiedzialności karnej. Podczas ich rozmów Sandra zdobyła się na opowiedzenie, że została zgwałcona i przez kogo. To wszystko.

Na początku ich relacja opierała się co prawda na jednostronnym zaufaniu, ale rozwinęła się w coś znacznie ważniejszego. Prowadziły wspólny projekt, dążyły do jednego celu. A wkład Kerstin był ogromny. Zasługiwała jak nikt inny na jej zaufanie – Sandra była jej winna nakreślenie obrazu całej sytuacji, nie tylko szczątkowych informacji.

Kiedy Sandra siedziała przygnębiona w domu, Kerstin – razem ze swoim największym wrogiem – znajdowała się w pogoni za materiałem dowodowym, który, jak miała nadzieję, pociągnie za sobą dochodzenie. Była zupełnie nieświadoma tego, dlaczego Sandra się nie odzywała ani dlaczego odpowiadała tak zdawkowo, gdy już rozmawiały.

W związku z tym Sandra czuła, że już dłużej nie może tego ukrywać

przed Kerstin. Nie był to z początku świadomy wybór, a teraz też nie było konkretnego powodu, by o tym opowiadać – z wyjątkiem faktu, że tak należało. Zamiast pisać uproszczoną, bezbarwną wiadomość, wybrała bardziej osobisty sposób kontaktu: telefon.

– Jak wam idzie? – spytała. – Znalazłyście coś?

– Nie – odpowiedziała Kerstin. – Jeszcze nie. Ale mam dobre przeczucia co do tego miejsca.

– Jest coś, o czym powinnam była ci powiedzieć – oznajmiła Sandra. – Właściwie już dawno, ale... Jakoś nigdy nie było okazji.

– Okej... – Kerstin się zdumiała.

– Mój syn – mówiła Sandra – urodził się w wyniku gwałtu.

– Wiem o tym. Czytam gazetę, jak wszyscy.

Oczywiście. Kerstin czytała nie tylko fragmenty, które Sandra jej zaznaczała, ale całość.

– W takim razie wiesz pewnie, że kiedy przy twojej pomocy dowiedziałam się, kto mnie zgwałcił, podjęłam też nie do końca przemyślaną decyzję – ciągnęła Sandra. – Skontaktowałam się z nim i zażądałam alimentów. Cichaczem, że tak powiem, aby nikt się nie dowiedział.

– Tak – oświadczyła Kerstin. – Ale to było, zanim tak naprawdę zrozumieliśmy, do czego on jest zdolny.

– Tak. A wtedy było już za późno. Zaczął mi grozić, a teraz zabrał mi Erika.

– Erika? – W głosie Kerstin dało się słyszeć przerażenie. – Chcesz przez to powiedzieć, że to twój chłopczyk...?

– Dokładnie tak – przytaknęła. – Przepraszam, że nie poinformowałam cię o tym wcześniej, ale miałam tu młyn. Oczywiście powinnaś była się dowiedzieć od razu.

– Przykro mi, Sandro. Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie musisz nic mówić, chciałam tylko, żebyś wiedziała. W każdym razie powodzenia w poszukiwaniach.

– Właśnie mamy... – Kerstin nie dokończyła zdania.

Zamilkła na parę sekund, zanim znów zaczęła mówić.

– Wzięłam udział w poszukiwaniach w weekend. Twojego Erika. W sobotę i pół niedzieli. Pomyślałam tylko, że chciałabyś wiedzieć. Trzymaj się.

– Dziękuję – odparła bezradnie Sandra, ale Kerstin już się rozłączyła.

Wśród ochotników pojawiła się jedna twarz. A przynajmniej głos, myślała Sandra ze łzami napływającymi do oczu. Kerstin ją wspierała, nawet kiedy nie była tego świadoma. Razem z setką innych ludzi bez twarzy.

Świat nie jest zupełnie zły.

ROZDZIAŁ 58 | JAN

W wakacje można było przychodzić do pracy i wychodzić do domu, kiedy się chciało, i nikomu to nie szkodziło, a Janowi zdarzyło się wykorzystywać tę sytuację. Dziś nadarzyła się ku temu okazja, ponieważ o szesnastej Szwecja zaczynała grać ze Szwajcarią w jednej ósmej finału. Nie można też było przegapić relacji ze studia, która startowała dwie godziny przed meczem. Skoro w pracy właściwie nie było co robić, nie miało większego sensu, żeby kręcił młynka palcami między obiadem a piłką nożną, więc poszedł na przerwę o wpół do dwunastej i pojechał do domu.

Gunilla była w szpitalu, więc mógł w spokoju zasiąść przy komputerze i kontynuować czytanie letniej powieści w odcinkach, kiedy jadł kanapkę na obiad. Na początku lektury był nieco rozkojarzony, myślami odlatywał we wszystkich możliwych kierunkach, ale już po paru minutach się wzdrygnął. Opisywane wydarzenie wydało mu się dziwnie znajome, więc postanowił przeczytać wszystko jeszcze raz.

Tym razem z większym skupieniem, odłożywszy kanapkę. Historia była bardzo okrutna, przedstawiała mężczyznę, który zgwałcił młodą kobietę. Najokropniejsze, że ten mężczyzna do złudzenia przypominał jego samego. I to w sytuacji uderzająco podobnej do tej z jego niedawnej przeszłości, o której najchętniej by zapomniał.

Jan zalał się potem. To nie mogła być prawda. Ktoś napisał książkę, która wychodziła w odcinkach w „Gotlands Allehandzie” i w której mężczyzna, mający wiele wspólnego z Janem Hallinem, został przedstawiony jako gwałciciel. Na dodatek na tyle wiarygodnie, że sam w trakcie czytania instynktownie stanął po drugiej stronie.

To jednak był tylko początek.

Okazało się, że wypadek samochodowy, o którym czytał dzień wcześniej, zdarzył się tuż po gwałcie. Bardzo poważny wypadek, w którego wyniku kierowca jednego samochodu umierał w długich katuszach. Natomiast drugie auto, które wyszło z tego bez szwanku, prowadził gwałciciel. Który – ze względu na to, że właśnie wykorzystał kobietę w niedalekiej okolicy – postanowił uciec z miejsca wypadku.

Wszystkie podobieństwa z doświadczeniami Jana musiały być przypadkowe. Mimo to zaschło mu w ustach. Ktoś najwyraźniej sklecił wiarygodną, trzymającą w napięciu historię, w której tyle faktów, ile fikcji. O wypadku sporo pisano w miejscowej prasie, a gwałt... Gwałty zdarzały się chyba prawie codziennie, niewiele trzeba wyobraźni, żeby wypocić taką opowiadkę.

To historyjka, wmawiał sobie. Z pewnymi detalami, które akurat przypadkiem miały sporo wspólnego z tym, co sam przeżył. Przypadkiem zdarzyło mu się doświadczyć pewnych rzeczy pod wpływem alkoholu. Wiele się nie zgadzało u przypominającego go bohatera: między innymi imię, marka samochodu, zawód, zatrudnienie. To samo dotyczyło pewnie pozostałych postaci, a więc czy w akcji było cokolwiek, co miało oparcie w faktach?

Nic, oczywiście, to zwyczajna fikcja. Społeczno-realistyczny twór fantazji. Musiał jednak przyznać, że pewne części powieści balansowały na skraju rzeczywistości.

Musiał wyjść do kuchni i wypić szklankę wody. I kolejną. Przemysł też twarz, bo panował nieznośny upał. Potem wrócił do gabinetu, by usiąść przy komputerze. Wziął głęboki wdech i czytał dalej.

Spore fragmenty tekstu – w tym ciągnące się wątki o szumowinach z ławek spod muru – nieszczerólnie go interesowały, więc przejrzał je tylko pobieżnie. Jego uwagę przykuło coś innego i o tym czytał w napięciu. Choć bardzo się starał, nie mógł się oderwać od lektury – numer za numerem ścigał się na komputer, podczas gdy Jan patrzył na rozwój wydarzeń na

monitorze z rosnącym przerażeniem.

Okazało się, że zaszła w ciążę, ta zgwałcona kobieta. Że nie usunęła dziecka. A z czasem zażądała alimentów.

Mężczyzna – gwałcień, który uciekł z miejsca wypadku – otrzymał groźbę szantażu. Żądanie zawrotnej sumy sześciu milionów koron. Ilu ludzi dostało taki list? Kwota raczej nie wzięła się z powietrza.

Rozbolał go brzuch, miał wrażenie, jakby w pokoju kończył się tlen. Musiał podejść do okna i otworzyć je na oścież. Zaczepnąć powietrza do płuc. Przekonać samego siebie: to, że rzeczywiste wydarzenia ewentualnie pokrywały się z tą przekłętą powieścią, to tylko zbieg okoliczności. Po kilku minutach poczuł się na siłach, by zamknąć okno i znów usiąść za biurkiem.

Niedługo tam jednak zabawił, bo kiedy doszedł do akapitu opowiadającego, jak uciekinier domyślił się, że dalszy znajomy – mechanik samochodowy z tego samego koła łowieckiego – był świadkiem wypadku, a później szantażował go o pieniądze, musiał popędzić do kuchni i znów przemyć twarz.

Kiedy zaś zbieg zaraz potem radośnie stwierdził, że świadek – to jest szantażysta – zniknął z powierzchni ziemi, dla Jana to już było za wiele. Nie potrzebował czytać dalej, żeby zrozumieć, że cała książka wystawiała go na odstrzał. Wytknięto mu nie tylko gwałt, jazdę pod wpływem alkoholu oraz ucieczkę z miejsca wypadku, co już by wystarczyło, ale również morderstwo.

Na dodatek autor siedział w jego głowie, wiedział, w jaki sposób Jan myślał. To zupełnie nieprawdopodobne, choć najwyraźniej istniała osoba, która znała wszystkie te szczegóły dotyczące Jana, a także jego działań tamtego dnia oraz okresu następującego po nim. Jak to w ogóle możliwe, pozostawało zagadką, ale nie ulegało wątpliwości, o kogo chodziło. Wściekał się na samą myśl.

Sądząc po entuzjazmie koleżanek z pracy, opowiadanie zyskało wielu czytelników, a ich liczba pewnie rosła. Prędzej czy później ktoś wskaże Jana jako winnego, a tym samym z pewnością w sprawę zamiesza się policja. Do

tego jednak jeszcze nie doszło i nie opublikowano ostatniego odcinka powieści.

Wciąż miał trochę czasu, żeby się z tego wyplątać, więc piłka nożna musiała poczekać.

ROZDZIAŁ 59 | KERSTIN

Rozmowa ją poruszyła. Jeanette spojrzała na nią zaniepokojona, nie wiedziała, czy ośmielić się zapytać, co się dzieje. Kerstin jednak ją ubiegła, wyjaśniając z tłumionym płaczem, że zaginiony chłopiec, o którym jest tak głośno, to syn jej przyjaciółki. Jeanette zdawała się jeszcze bardziej skołowana, pewnie zastanawiała się, z kim jeszcze przyjaźni się Kerstin, o kim ona nie wie.

Minęły cztery dni od zniknięcia Erika, cztery dni rozpaczliwego oczekiwania Sandry. Kerstin wiedziała, co to oznacza, i żałowała, że przeszkadzała Sandrze, dzwoniąc do niej w niedzielę. Domyślała się po jej głosie, że coś było nie tak. Pieniądze nagle nie miały już żadnego znaczenia, kiedy gra toczyła się o życie. Kerstin wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek. Sześć milionów to niska cena za ludzkie istnienie. Niezależnie od tego, czy chodziło o Karla-Erika, Petera Norlinga, czy Erika.

Postanowiła, że nazajutrz znów dołączy do grupy poszukiwawczej, jeżeli jeszcze jej nie rozwiązano. Nawet jeśli to nic nie da, warto okazać wsparcie rodzinie chłopca i udowodnić, że są jeszcze tacy, którzy wciąż nie porzucają nadziei. Chłopiec miał jednak trzy i pół roku – jeśli dotąd go nie znaleziono, to pewnie już nie żył.

Prawdopodobnie i tak nie da się go znaleźć. Peter Norling został ukryty tak dobrze, że nie odnaleziono go przez cztery lata. Małe dziecko można ukryć jeszcze łatwiej.

Musiała odsunąć od siebie podobne myśli. Skoro już przyjechały aż tutaj, to nie mogą sobie pojechać, nie zrobiwszy wszystkiego, co w ich mocy. Kerstin zaś miała dobre przeczucia. Nie, jeśli chodziło o Erika, ale

o pieniądze. O ile Norling nie pozbył się gotówki, właśnie tu ją znajdą. Po prostu to wiedziała.

Ponieważ przeszukały już domek, musiały przejść do szop mimo ulewy. Najpierw skierowały się do większej z nich, która okazała się ubojnią z podłączoną bieżącą wodą, hakami w suficie, wielkim blatem ze stali nierdzewnej i imponującą piłą do cięcia mięsa. Kerstin zostawiła ubojnię Jeanette i przeszła do mniejszego budynku, który zdawał się przyjemniejszy do przeszukiwania. Przypominał raczej składzik, a dochodzący z niego smród Kerstin oceniła jako dość charakterystyczny dla źle utrzymanej komórki. Pewnie tam też nikt nie zaglądał od paru lat.

Pociągnęła za jedno z dwóch par drzwi, za którymi kryła się drewnia. Polana ułożono od ziemi aż po sufit, więc wizja wytaszczenia na zewnątrz całej góry szczap w deszczu, żeby sprawdzić, czy coś nie kryje się za lub pod nimi, raczej nie była przyjemna. Tak czy owak, należało to zrobić, ale najpierw musiała zobaczyć, dokąd prowadzą drugie drzwi.

Mogła się domyślić: sławojka. Co przypomniało jej, że chętniej skorzystałaby z wychodka, niż załatwiała się w ulewie. Był tam nawet papier, więc krzywda by jej się nie stała, nawet jeśli zapach w takich miejscach nie zachęcał.

Tak właśnie myślała, ale zanim opuściła spodnie, dotarło do niej, jaką genialną w swojej prostocie kryjówką byłby tego rodzaju ustęp. Kto chciałby grzebać w ludzkich odchodach?

Tylko ten, kto wiedział, czego szuka – tak jak Kerstin. Zaniechała planu załatwienia potrzeby i zamiast tego wyszła na deszcz poszukać łopaty. Miotły. Deski, czegokolwiek, żeby nie musieć przesadzać i w całym tym zapale grzebać w gównie.

W końcu znalazła ściągacz wody do podłóg, w ubojni u Jeanette. A do tego jeszcze parę rękawiczek, które akurat mogły jej się przydać. Zaczęła od podniesienia deski z siedziskiem, żeby lepiej widzieć zbiorniki. Poświeciła latarką, ale stwierdziła tylko, że nie opróżniano ich od dawna. Oraz że

ewentualne torby nie zostały ukryte płytko, co było zresztą do przewidzenia.

Pozostawało po prostu zacząć kopać. A raczej grzebać w jednym ze zbiorników. Wsunąć trzonek w gówno. I tam... Czy przypadkiem nie natrafiła na jakiś opór, coś dziwnie wypukłego na dnie? Nie mogła – mimo mało przyjemnych okoliczności – powstrzymać uśmiechu, który rozświetlił jej twarz.

Ale co dalej? Miała podnieść cały zbiornik i wynieść do lasu, żeby go opróżnić? Albo może spróbować dostać się do rączki torby – jeśli w ogóle to ją wymacała – a potem spróbować ją jakoś owinąć i wyciągnąć?

Właśnie tak zdecydowała. Po trosze dlatego, że uniknięcie obejmowania zbiornika wydawało się jakby mniej namacalne i obrzydliwe, po trosze, bo uznała, że ziemi oraz jej właścicielom okaże więcej szacunku, nie opróżniając latryny na ich terenie.

Okazało się, że to nie takie łatwe. Ściągacz był marnej konstrukcji i groził złamaniem przy odrobinie nieostrożności. Poza tym to i owo przyskało ze zbiornika – uświadomiła sobie, że czeka ją porządne sprzątanie. I tak musiała w końcu włożyć – wprawdzie ubrane w rękawiczki – dłonie w odchody, wyszukać uchwyt, a potem zwyczajnie wyciągnąć torbę.

Bo rzeczywiście ją tam znalazła. Starannie zapakowaną w czarny wór na śmieci. Zdecydowała, że dopiero kiedy stamtąd wyjdzie i będzie mogła się pozbyć rękawiczek, sprawdzi, czy aby na pewno jest to właściwa torba. Stopą pchnęła drzwi do przodu, po czym wyrzuciła torbę na deszcz.

Teraz pozostawało po prostu zrobić to samo z drugim zbiornikiem. Po chwili wyjęła kolejny czarny worek z przedmiotem przypominającym sportową torbę, a następnie wyrzuciła ją na trawę przed wychodek.

Wyciągnęła się po ściągacz do wody, wyrzuciła go na zewnątrz i zawołała Jeanette.

– Nettan! – wrzasnęła. – Chodź, chyba znalazłam pieniądze!

Weszła z powrotem do środka, uklękła i usiłowała odłożyć na miejsce

deskę z otworem. Choć była pełna oczekiwań co do zawartości czarnych pakunków, poświęciła czas na doprowadzenie wychodka do jako takiego porządku, skoro wciąż miała na sobie rękawiczki. Siedzisko nie chciało z nią współpracować, łatwiej je było zdjąć, niż z powrotem założyć, ale w końcu udało jej się wpasować je między ściany oraz docisnąć, żeby wskoczyło na miejsce.

Ale chwila, jakie to dziwne, dotarło do niej, kiedy wstała. Dlaczego Jeanette nie odpowiada? Dlaczego do niej nie przyszła? Kerstin pchnęła drzwi ramieniem, gotowa rzucić się na torby, a później wreszcie zdrzeć z siebie rękawiczki.

ROZDZIAŁ 60 | JEANETTE

Jeanette porządnie ubrudziła sobie ręce i czuła, że musi umyć je chociaż z grubsza, żeby nie zostawiać zbyt oczywistych śladów na wszystkim, czego dotykała. Niestety odkryła, że woda w ubojni jest zakręcona, więc postanowiła umyć się na zewnątrz. W przyrodzie wody raczej nie brakowało.

Chciała wytrzeć się do czysta w mokrej trawie pod drzwiami, ale zauważyła beczkę z deszczówką przy rogu domku myśliwskiego, więc kuląc się przed deszczem, pobiegła w tamtą stronę. Akurat kiedy zanurzyła ręce w wodzie, doszło ją wołanie Matki z wychodka.

– Nettan! – wrzeszczała. – Chodź, chyba znalazłam pieniądze!

Takie to łatwe? myślała Jeanette. Parę przypuszczeń, gdzie mogła się podziąć kasa, kilka dni poszukiwań i już były w domu. Właściwie z czym? Co się teraz stanie z pieniędzmi? Z Jeanette?

Nawet fajne były, powiedziała sobie, wycierając dłonie w spodnie. Te poszukiwania. Już po ptakach i trzeba będzie wrócić na stare śmieci.

Dużo się nie namyślała, zanim zamarła. Zrobiła krok w stronę ustępu i naraz zauważyła światło reflektorów przy podjeździe do domku. Dopiero potem usłyszała warczenie silnika, zagłuszanego odgłosami deszczu.

To nie mogła być prawda. Samochód w środku lasu w taką pogodę. Przy domku myśliwskim, gdzie niczyja noga już wieki nie powstała. Akurat gdy zajmowały się swego rodzaju włamaniem, co trzeba było jednak nazwać po imieniu, nawet jeśli spodziewanego łupu nikt by nie szukał.

Jeanette ani myślała dać się zdemaskować, cofnęła się o krok i skuliła za beczką z deszczówką. Gorzej z Matką, która właśnie wykrzykiwała swoją

radość ze znalezionych pieniędzy. Można się było domyślić, że ona też nie miała ochoty siedzieć w więzieniu.

Wciąż jednak istniała nadzieja, że kierowca tego samochodu nie słyszał radosnego wrzasku Matki, ponieważ deszcz głośno stukał w szybę i silnik – a może też wentylacja – były włączone. Bardziej martwiło ją, że Matka zacznie się zastanawiać, dlaczego ona nie odpowiada i dlaczego do niej nie przyszła, i z tych powodów może wyskoczyć z wychodka z torbami w garści.

Co oznaczało wyjście wprost na światło reflektorów samochodu z sześcioma milionami koron, których raczej nie można traktować jako jej własność.

ROZDZIAŁ 61 | KERSTIN

Równie szybko, jak otworzyła drzwi, znów je zamknęła. Wciąż w rękawiczkach, ale jednak.

W stronę domku myśliwskiego zbliżało się jakieś auto.

Kerstin wycofała się do wygodki w takim tempie, że nie zdołała zobaczyć twarzy kierowcy za szybą, po której przesuwają się wycieraczki. Nie zdążyła nawet pomyśleć, wiedziała tylko, że nie może dopuścić do takiego spotkania.

Czy to dlatego Jeanette się nie odzywała, kiedy ją wołała? Bo zobaczyła albo usłyszała samochód? Kerstin miała taką nadzieję – że zdążyła się schować, zanim ją zobaczono. Inaczej oznaczałoby to katastrofę. Jeanette nie poradziłaby sobie ze spotkaniem kogoś obcego w takich okolicznościach. Była krucha i ledwie radziła sobie sama ze sobą, a już na pewno nie potrafiła działać instynktownie oraz mądrze w niespodziewanej sytuacji takiej jak ta. Załamałaby się, źle odpowiedziała na każde pytanie.

Jeśli w ogóle by jakieś zadano.

Bo kto załatwiał sprawę akurat tu i teraz, na trudno dostępnych ścieżkach w ulewie? Z pewnością nie wdowa po Peterze Norlingu. Skoro nie zrobiła tego przez ponad cztery lata, raczej mało prawdopodobne, by wybrała akurat taki dzień na sprzątnięcie i ponowne doprowadzenie tego miejsca do stanu używalności.

Nie, musiało chodzić o pieniądze. I to właśnie wtedy, gdy Kerstin kuliała się w wychodku przy chatce myśliwskiej Petera Norlinga upaprana gównem po łokcie i z dwiema wielkimi torbami starannie owiniętymi w czarne worki, rzuconymi na trawę.

Czy udałoby jej się uciec? Oczywiście nie z pieniędzmi, ale może mogłaby pobiec w las bez nich? Jeszcze raz ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. Nie, nie ma szans. Kierowca otworzył drzwi samochodu i wyszedł na deszcz. Skierował kroki wprost na Kerstin. Prosto na dwa zabrudzone bagaże, które wyłowiła z kryjówki.

To kwestia czasu, kiedy drzwi miały się otworzyć i wszystko będzie stracone. Ze względu na te pieniądze umarło już kilka osób, a Kerstin nie mogła stanowić wyjątku.

Wyjęła telefon z kieszeni i zrobiła jedyne, co mogła.

ROZDZIAŁ 62 | JAN

Jan wyszedł na deszcz i nerwowo rozejrzył się dookoła. Naturalnie nikt normalny nie opuszczał domu w taką pogodę. Jednak myśl, że znalazł się teraz na językach, kazała mu oglądać się przez ramię, mimo że większość ludzi jeszcze go nie zdemaskowała. Chociaż to tylko kwestia czasu. Jak to możliwe, że sprawy zaszły tak daleko?

Owo odkrycie było bardzo bolesne. Przede wszystkim obawiał się tego, co go czeka, kiedy przyjaciele, sąsiedzi oraz współpracownicy dowiedzą się, jaką katastrofę sprowadził na wszystkich zamieszanych. Nie pominąwszy jego własnych dzieci, które z całą pewnością się od niego odwrócą. Ściągnął wstyd i hańbę na swoją rodzinę. Dzieci jeszcze nie wiedziały, ale cierpienie ich nie ominie. Któż chciałby mieć ojca, który w jedno popołudnie zamienił się z eksperta do spraw środowiska w kryminalistę?

Kto chciałby takiego męża? Gunilla już i tak swoje z nim przeszła, ale na szczęście jeszcze nie postawiła na nim krzyżyka. Mieli ze sobą zbyt wiele wspólnego, dzielili tyle wspomnień, które na zawsze z nimi pozostaną, niezależnie od rozwoju sytuacji. Właśnie dlatego wytrzymywała, wiedział to od dawna.

Zachlupotało mu w butach – zaczęły przemakać, ale nie dbał o to. Zamiast tego przypominał sobie wzrok żony tego przekłętą popołudnia w styczniu 2014 roku, kiedy wrócił do domu nieszczęśliwy i niespokojny. Znała go, wiedziała, jak się czuje. Mijały dni, było jej lżej, kiedy przestawał się martwić. Aż do czasu publikacji tego artykułu w gazecie, o mężczyźnie, który zginął w druzgocącym wypadku samochodowym. Janowi niezupełnie udało się ukryć swoją reakcję podczas czytania, a Gunilla chyba widziała, co mu chodzi po głowie. Ale czy postawiła go pod ścianą? Nie. Na pewno

zastanawiała się, co też robił w tak odległym miejscu o dziwnej porze. Musiało chodzić o kobietę, a skoro tak – to nie pierwszy raz. Ale żadnych pytań, żadnych oskarżeń. Szanowała i kochała go takiego, jaki był, mimo wad.

Parę dni później stała zaledwie kilka metrów dalej w kuchni, gdy otwierał tamten list. Wyglądał mu na zaproszenie na przyjęcie, ale wkrótce odkrył, że jego zawartość zgoła różniła się od oczekiwań. Zaczął się pocić i osunął na krzesło. Nie uszło to jej uwadze, ale bez komentarza wróciła do domowych obowiązków. Jan ocenił sytuację, po czym oddalił się do gabinetu, gdzie przyjrzał się fotografiom przez lupę. W wyniku tych obserwacji zrodziła się dobrze przemyślana koncepcja tego, kto był świadkiem wypadku i szantażem chciał uzyskać od niego pieniądze. Gunilla zjawiała się w gabinecie, gdy kolacja była gotowa. Zauważyła oczywiście, że nie był sobą, i zapytała o list. Wzięła go z zaskoczenia, więc mógł jedynie szukać pomocy w jej oczach. Tak się dzieje, kiedy się kogoś naprawdę kocha – szuka się wsparcia, które rzeczywiście nadchodzi.

Przeciętny mężczyzna w zwykłym związku wyparłby się jako żyw jakiegokolwiek wiedzy na temat zdjęć miejsca wypadku, twierdząc, że zostały spreparowane, wyjęte z kontekstu. Ale nie Jan, on był szczery wobec żony.

Tamta dziewczyna wracała do domu z XL-BYGG, mówił, pomógł jej nawet z zakupami, chociaż i tak już był spóźniony i musiał wracać do pracy. Próbowwała mu zapłacić za paliwo, co w pewien dziecinny sposób było urocze, jakby potrzebował zwrotu pieniędzy za mały objazd na wieś, żeby pomóc bliźniemu. Odmówił więc, ma się rozumieć. W zamian zaczęła go namawiać najpierw na kawę, a później na coś mocniejszego.

Napitku raczej się nie spodziewał – wiadomo, jaka wzorowa jest dzisiejsza młodzież, jeśli chodzi o dbałość o zdrowie. Tu siłownia, tam joga, do pracy na rowerze, potem na boot camp, a do tego jeszcze padel, czy jak to się tam nazywa. Ale ona wyciągnęła flaszkę whisky, co w gruncie rzeczy nie było zdumiewające, ponieważ wyraźnie było widać, że sama bojkotowała trend dbania o zdrowie. Nalegała, żeby sobie chlapnął raz i drugi –

wprawdzie tylko parę kropel naraz, ale jednak, a on z czystej grzeczności nie odmówił. Co koniec końców nic nie szkodziło, bo to, czego się napił do obiadu, już dawno z niego wyparowało.

Ni stąd, ni zowąd zaczęła kokieteryę z bożej łaski i zaproponowała, że za podwiezienie podziękuje mu, jak należy. Nie do końca tak sobie wyobrażał finał objazdu, ale że ma słabość do kobiet, wpadł w zasadzkę.

Wtedy nagle zmieniła strategię, zgrywając trudno dostępną. Zaprotestowała, uśmiechając się jednocześnie i kokietując pieścziotliwym głosem. Wkrótce się okazało, że tak naprawdę szukała mocniejszego traktowania, żeby całkowicie oddać się pradawnym instynktom, jak to niektóre dziewczyny mają – odchyły, by dać się zaciągnąć za włosy do jaskini, a potem oddać mężczyźnie, w którym obudził się dziki zwierz. Jedno wynikało z drugiego i nie ulegało wątpliwości, że jej się podobało. Kobieta miała, bez dwóch zdań, mocno rozwiniętą seksualność, nazwać ją nimfomanką to w tym przypadku nie przesada.

Kiedy stamtąd odjeżdżał, żeby wrócić do pracy, na drodze zrobiło się ślisko jak na lodowisku. Jechał ostrożnie, a nawet jeszcze uważniej niż zazwyczaj, bo przecież dobrze wiedział, że na jezdni mogą się znajdować mniej wprawni kierowcy z gorszymi oponami. Szybciej, niż się spodziewał, okazało się, że miał rację, ponieważ nie minęła nawet minuta, gdy natknął się na jakiegoś totalnego kretyna, który jechał prosto na niego i w próbie uniknięcia czołówki wykonał nedorzeczny manewr hamowania, wpadł w poślizg przez wysłużone opony i – nie trzeba dostać Nobla, żeby to przewidzieć – wyleciał do wąwozu.

– Widziałem wrak, więc wiedziałem, że kierowca nie żyje – tłumaczył się Jan. – Miałem zejść na dno kamieniołomu, żeby się upewnić o czymś, co już wiedziałem?

– To by niczego nie zmieniło – zgodziła się Gunilla.

– Mogłem zadzwonić pod 112. Anonimowo, jeśli nie inaczej.

– Oczywiście, mogłeś, ale i tak by umarł.

– Nie musiałby cierpieć przez parę godzin przed śmiercią – skonstatował przygnębiony.

– Serce, on pewnie już nie cierpiał. Musiał stracić przytomność już przy uderzeniu o dno.

Jan był zdruzgotany, ale Gunilla gładziła go po plecach, by mu trochę ulżyć. Doceniała jego szczerść i była na tyle wspaniałomyślna, by zaakceptować, że ludzie – nawet Jan – rzadko bywają nieomylni.

Wszystko się uspokoiło, stwierdził Jan, kuląc się przed deszczem. Wściekłość minęła, dzięki Gunilli, która była dla niego prawdziwą opoką. Już nigdy więcej słowem nie wspomniała o znojach, jakich on – a właściwie oboje – doświadczył. Żadnych zdrożnych słów, podstępnych spojrzeń, gorzkich wyrzutów, bez rozczulania się nad sobą. Brała go takiego, jaki był, i wybaczyła, zostawiwszy przeszłość za sobą.

Przez cztery długie lata. Aż ta laska – Sandra – pojawiła się znikąd i obudziła stare emocje, nazywając Jana gwałcicielem, twierdząc, że jest ojcem jej dziecka. Dziecka, którego nigdy nie miał spotkać – czego wcale sobie nie życzył – ale na które miał łożyć. Straszyla nawet, że zamiesza w sprawę urzędy i policję, co uważał za ukrytą pogroźkę wniesienia oskarżenia o gwałt. Wątpił, żeby coś na tym zyskała po tak długim czasie, ale naprawdę nie chciał ściągnąć na siebie uwagi policji w kwestii tego, gdzie ewentualnie przebywał w czasie, gdy zdarzył się ten straszliwy wypadek.

Jako swego rodzaju pierwszy krok w terroryzowaniu go postanowiła jednak opowiedzieć jego żonie o tym krótkotrwałym romansie. Powiedział jej zresztą już na początku, że niewiele to da, ponieważ nie ma przed żoną żadnych tajemnic. Naciągnął trochę prawdę, ale Gunilla знаła niewątpliwą większość historii popołudnia z Sandrą.

Gorzej, że z rozpędu rzucił jeszcze jakiś komentarz o poprzednim szantażyście, któremu nie udało się go zastraszyć. Wydawało się to zupełnie nieprzemyślane, skoro ta pojebuska pisała książkę, w której wskazywała go

jako mordercę. Człowieka, który zamordował szantażystę, gwoli ścisłości.

To oświadczenie jednak też nie przyniosło oczekiwanego skutku, bo Sandra z czasem zrealizowała groźbę zamieszania w sprawę jego żony. Sam akt seksualny nie był dla Gunilli nowością, ale informacji, że jego owocem było dziecko, nie przyjęła tak dobrze, jak Jan by sobie życzył. Bardzo się zasmuciła i mimo że sama nie miała najmniejszej ochoty podać jej na tacy prawie siedmiuset tysięcy koron, to zaczęła Sandry bronić, zawstydzając Jana.

Na tyle, że musiał się sam przed sobą przyznać do tego, że rzeczywiście życzył chłopcu śmierci. Żeby ominęły go przeprowadzanie tego całego testu na ojcostwo, wnioski o alimenty czy oskarżenia o gwałt. Oraz cała reszta nieprzyjemności, które niewątpliwie by po tym nastąpiły – jak amen w pacierzu.

Lecz teraz, patrząc z perspektywy czasu, wiedział już, że największe zagrożenie zdawała się stanowić matka tego bachora. Kto by się spodziewał, że napisze książkę opowiadającą o wydarzeniach sprzed ponad czterech lat? Że będzie wiedziała tak wiele na temat tego, co nastąpiło po tak zwanym gwałcie, i opíše to w tym cholernym tomiszczu? Które na dodatek „Gotlands Allehanda” opublikuje w odcinkach? A przy tym ciągle męczyła go o te durne alimenty, grożąc tym i tamtym. W tym czasie zaś najgorszy możliwy scenariusz już zaczął się ziszczać, mianowicie miał zostać publicznie obrzucony błotem i stanąć pod pręgierzem przed całą Gotlandią.

Że też miała czelność! Rzygać mu się chciało na samą myśl. Ależ żałował, że nie czytywał takich rzeczy i nie wyszedł tej powieści odcinkowej, kiedy jeszcze była w powijakach!

Przypuszczalnie, biorąc pod uwagę tak wielkie zainteresowanie czytelników tą publikacją, powieść zwróciłaby też uwagę jakiegoś policjanta, a to zapoczątkowałoby lawinę zdarzeń. Dla Jana oznaczałoby to nieuchronną katastrofę.

Niczego nie pragnął bardziej, niż żeby wszyscy, którzy przeczytali choćby

odcinek tej powieści, zachorowali na węglik. By redakcja „Gotlands Allehandy” wyleciała w powietrze, a drukarnia spłonęła do cna. Ale przede wszystkim aby osoba winna tego wstrętnego ataku – która stała za pomówieniami i ich trudnymi do przewidzenia skutkami – umarła. Długą, okrutną śmiercią.

Krótko mówiąc, tego właśnie życzył Sandrze, odryglowując drzwi do piwnicy.

ROZDZIAŁ 63 | JEANETTE

Jeanette prawie nie ważyła się oddychać, kiedy tak siedziała za beczką pełną deszczówki, mocno obejmując ramionami kolana. Wyteęzała słuch, lecz dochodziły ją jedynie dźwięki nieustannego rozbijania się deszczu o ziemię i drzewa, wody płynącej strumieniami oraz tryskającej z rynny tak, że wylewała się z beczki. W dalszej kolejności spodziewała się usłyszeć innego rodzaju hałas dochodzący z wychodka: głosy i trzaskające drzwi.

Tego się nie doczekała, drzwi samochodu się zatrzasnęły i zapadła cisza. Wyglądało na to, że kierowca nie zauważył Matki, która z kolei musiała zobaczyć auto, z powrotem zamknąć się w środku i siedzieć cicho. Kierowca nie zamierzał zatem popędzić w pierwszej kolejności do wychodka – skierował się do jakiegoś innego miejsca na działce, prawdopodobnie do samego domku.

Czy w takim razie nie powinna usłyszeć tamtych drzwi? A właśnie! Teraz zaczęła się zastanawiać, czy zamknęły je za sobą na klucz, ukryły swoje rzeczy i resztki po obiedzie na werandzie. Jasne, że nie. Jeszcze nie skończyły, miały posprzątać i pozamykać wszystko tuż przed opuszczeniem posesji.

Przynajmniej zamknęły drzwi wejściowe, co było pocieszające, o ile chodziło tylko o szybką inspekcję na dworze. Może domek wystawiono na sprzedaż, skoro Petera już nie było? Może w odwiedzinie przyszedł ktoś obcy, postronny, kto chciał rzucić okiem na działkę i budynki przed hipotetycznym obejrzeniem wnętrza i zupełnie nie przejmował się nieproszonymi gośćmi ani dwiema torbami z pieniędzmi.

Tym razem rozpoznała odgłos zdecydowanego człapania po mokrej

trawie. Wyraźnie słyszała, że kroki oddalają się od Matki i zbliżają do niej. Nie ośmielała się patrzeć, a już na pewno nie miała odwagi się wychylić, żeby choć trochę zobaczyć tajemniczego gościa.

A co, jeśli będzie musiała kichnąć? Odkaszlnąć? Po prostu nie mogła, nie w tej sytuacji. Skąd w ogóle jej się wzięły podobne myśli? To samospełniające się proroctwo – nagle po prostu zachciało jej się kaszleć, chociaż wcześniej, przez cały dzień, wcale nie musiała.

Zapalę, pomyślała. Zdecydowanie potrzebowała wziąć bucha. Teraz. Chyba nikt nie zauważy, jeśli zapali szluga w taką pogodę?

Matka wpadłaby w szal, gdyby wiedziała, co też wyprawia Jeanette, jak bzikuje zupełnie pozbawiona samokontroli.

Jeanette odkryła, że między beczką z deszczówką a ścianą coś się rusza. Dalej na podwórzu, nie w samej szparze. Przez szczelinę widziała tylko kawałek tyłu ubojni, bo nie mogła się wychylić za beczkę, nie demaskując swojej obecności.

Co tam się właściwie działo? Równy z ziemią znajdowało się coś, co przyciągnęło uwagę gościa. Jasne – przypomniało jej się – ziemianka, którą miały przeszukać jako ostatnią. Zaryglowana od zewnątrz, ale niezamknięta na kłódkę. Na pewno pełno w niej pajaków krzyżaków i innych ohydztw, które świetnie się mają w ciemnościach.

Taki obraz malował się widocznie nie tylko przed oczami Jeanette, gdyż przyjezdny, poluzowawszy rygiel, namyślał się przez jakieś pół minuty i nie uchylając drzwiczek, oddalił się od piwniczki. Oraz z posesji. Niecałą minutę potem człapiącym krokiem przeszedł koło beczki Jeanette i zatrzasnął za sobą drzwi samochodu. Następnie włączył silnik i odjechał.

Nic się nie stało.

ROZDZIAŁ 64 | KERSTIN

Kerstin wstrzymała oddech, odliczając sekundy, lecz drzwi do wychodka pozostały zamknięte. Po chwili uświadomiła sobie, że przybysz musiał skręcić na prawo od samochodu i skierować swe kroki nie w stronę wygódki, ale na podwórze między domem a komórkami. Kiedy wreszcie odważyła się uchylić drzwi, znalazła potwierdzenie dla swoich przypuszczeń. Między nią a autem było pusto.

Gdyby przestało padać, może coś by usłyszała i mogłaby odgadnąć cel wizyty, ale w zaistniałej sytuacji powinna być wdzięczna, że jej nie nakryto, i mieć nadzieję, że Jeanette też uda się wyjść z tego cało, oraz grzecznie zaczekać w ciemności, aż przybysz sobie pojedzie. Najlepiej nie zainteresowawszy się cuchnącymi pakunkami sprzed wychodka.

Jej modlitwy zostały wysłuchane i to szybciej, niżby się spodziewała. Zaledwie kilka minut po przyjeździe nieznajomego Kerstin usłyszała – tym razem znacznie wyraźniejszy – odgłos ponownie zapalnego silnika, cofania na podwórze, żeby później zawrócić, a następnie odjechać. Dopiero wtedy otworzyła drzwi i wyszła na deszcz.

Rzuciła okiem na dwa opakowane w plastikowe worki pakunki, które domagały się uwagi, wychyliła się po ściągacz do wody i odwróciła je, żeby deszcz zrobił swoje, zanim sama się do nich zabierze. Następnie zdjęła rękawiczki, rzuciła je na trawę i ruszyła w stronę ubojni, wołając Jeanette. Ta dała o sobie znać, wyglądając znad beczki po brzegi pełnej deszczówki.

Kerstin nie mogła się powstrzymać od śmiechu, gdy ją zobaczyła. Jeanette wyglądała, jakby ją nakryto na kąpieli w beczce bez pozwolenia.

– Kochana – wybuchła ze współczuciem Kerstin. – Skryłaś się tu, za

rogiem?

Jeanette kiwnęła głową, niemal bliska płaczu.

– I woda się przelała, a ja prawie zaczęłam kichać i kaszleć, to było straszne – mówiła. – Już myślałam, że nas wydam.

– Ale tego nie zrobiłaś – odparła Kerstin, myjąc się w beczce. – Świetnie się spisałaś. Chodź, znajdziemy ci jakieś suche ciuchy. Potem przyjrzymy się bliżej torbom.

– Najpierw musimy sprawdzić piwniczkę – oznajmiła Jeanette. – To takie dziwne... Jedyne, co zrobił ten ktoś, to poluzował rygiel u drzwi.

– Nie otwierając ich?

– Nie otwierając. A po chwili wahania znowu poszedł do samochodu. Nic więcej nie widziałam przez szparę między ścianą a beczką.

– Dziwne zachowanie. – Kerstin się zamyśliła. – Jechać taki kawał drogi tylko po to, by poluzować rygiel.

– Nie zwracając nawet uwagi na resztki po naszym obiedzie na werandzie – zauważyła Jeanette.

O tym Kerstin nawet nie pomyślała podczas chwil grozy, jakie przeżywała w wychodku. W normalnych okolicznościach zostawienie tak oczywistych dowodów obecności zdemaskowałoby je jako intruzki na posesji. Sytuacja była jednak daleka od zwyczajnej, jak później skonstatowała. Przybysz nie zwrócił uwagi na ich kubki i plecaki na werandzie ani na czarne worki pod sławojką. Czyli to miejsce nie należało do niego – jego uwaga skupiona była na czymś zupełnie innym. Skierował się do ziemianki, poluzował rygiel i odjechał, nie poczyniwszy dalszych kroków.

– Co za dziwne zachowanie! – powtarzała pod nosem Kerstin.

Naraz poczuła w piersi swego rodzaju panikę i nie formułując konkretnych myśli, bez słowa pognała w stronę piwnicy. Jeanette była tuż za nią, więc razem podniosły dosyć ciężkie drzwi i odrzuciły je na bok, po czym

Kerstin sięgnęła po telefon, włączyła latarkę i zeszła po kilku schodkach pod ziemię. Poświeciła wokół: pomieszczenie było zimne, nieprzyjazne, a pod ścianami stały niemal walące się półki bez śladu po jakichkolwiek przetworach. Panowała tam obrzydliwa wilgoć, siąpiąca po ścianach woda tworzyła na ziemi wielkie kałuże.

Jednak gdzieś głęboko w ciemnościach pod ścianą leżało coś zupełnie tam niepasującego. Podeszła bliżej i głęboko zaczerpnęła powietrza, gdy dotarło do niej, co widzi.

Był to chłopiec w niebieskich dżinsach, czerwonej bluzie i zielonych kaloszach.

– Erik! – wykrzyknęła Kerstin, rzucając się w jego stronę i biorąc go w ramiona.

Był wyziębiony, mokry i zwiotczały – nie wiadomo, czy w chłopcu w ogóle tliło się jeszcze życie, ale Kerstin po prostu biegła. W górę po schodach, znów na światło dzienne i deszcz. Jeanette okazała się dla odmiany gotowa do działania i popędziła przodem do domku, szarpnęła za drzwi, otwierając je na oścież, po czym w zabłoconych kaloszach wparowała do środka, by rozłożyć koc na kanapie.

– Połóż go tutaj – zarządziła. – Zdejmij z niego ubranie, a ja przyniosę kołdry.

Kerstin posłuchała polecenia. W mgnieniu oka zdarła z niego buty, spodnie, bluzę oraz majtki – wszystko przemoczone i zimne.

– Połóż się i obejmij chłopca – mówiła Jeanette – a ja was przykryję. Jeśli żyje, potrzebuje twojego ciepła.

Kerstin brakowało wiedzy medycznej i nie miała pojęcia, co powinna robić, ale dopiero gdy leżała przy jego małym zziębniętym ciałku, poczuła, że chłopiec oddycha. Płytko i szybko, ale jednak. Podczas gdy Jeanette otulała ich kołdrami, Kerstin masowała go jak tylko potrafiła, spierzchniętymi dłońmi uciskając drobne rączki, nóżki oraz plecki, chuchając na jego buzię

i szyję.

– Żyje – oznajmiła Kerstin. – Dzwon pod 112.

Jeanette zadzwoniła, wyjaśniła powagę sytuacji i powiedziała, że prawdopodobnie chodzi o zaginionego chłopca. Z pomocą Kerstin, wcielającej się w rolę suflerki, opisała, gdzie znajduje się domek myśliwski i najszybszą do niego drogę, poprosiła o instrukcje, ale otrzymała jedynie dyrektywy, by dziecko ogrzać i напоić, o ile to możliwe.

Po zakończeniu rozmowy Jeanette poszła po wodę, zwilżyła chłopcu usta i wmusiła w niego parę kropel. Kerstin ulżyło, kiedy poczuła, jak chłopczyk się rozgrzewa, oddychając coraz głębiej i bardziej miarowo.

– Musi umierać z głodu – powiedziała Jeanette. – Ale podłączą mu kroplówkę, gdy tylko przyjadą. Będzie dobrze, uratowaliśmy go.

Jej twarz rozpromienił nieśmiały uśmiech, co było zaraźliwe. Kerstin i Jeanette dokonały czegoś wspólnie. Uratowały życie małego dziecka – jak mogłaby traktować Jeanette jak wroga po czymś takim?

Cztery dni, pomyślała później. Czy nie mawia się przypadkiem, że dorosły człowiek potrafi przeżyć bez wody trzy dni? A Erik, małe dziecko, przetrwał cztery. Cztery dni w nieustającym deszczu.

– Jeśliby tak nie lało przez ostatnie dni, toby nie wytrzymał – rzekła. – Porywacz nie liczył się z tym, że do piwnicy przecieknie tyle wody. Erik był wyziębiony i przemoknięty, ale nie spragniony, i to trzymało go przy życiu.

Dopiero teraz, kiedy miała okazję przeanalizować, co się stało, zawrzała w niej gniew. Ktoś – zdawała się wiedzieć kto – porwał trzylatka, a potem zamknął w zimnej, ciemnej piwnicy pod ziemią bez jedzenia i picia. Po to, żeby tam umarł – z głodu i pragnienia. Małe dziecko! Co trzeba mieć w głowie, żeby narazić drugiego człowieka – małego człowieka – na coś podobnego?

– Porywacz? – powtórzyła Jeanette.

– Jak myślisz, po co poluzowano rygiel? – spytała Kerstin.

– Chcesz powiedzieć... Naprawdę chcesz przez to powiedzieć, że ktoś celowo zamknął go cztery dni temu, żeby tam umarł? I sądząc, że już po wszystkim, odryglował drzwi, by wyciągnięto wnioski, że chłopiec sam trafił do środka, bo zabłądził?

Kerstin przytaknęła ruchem głowy i patrzyła, jak Jeanette napływają do oczu łzy. Wpadła w furję na myśl o tym, że porywacz nie potrafił się przemóc, aby popatrzeć na całe to okrucieństwo, i tak po prostu odszedł, nawet nie zajrzawszy do ziemianki. Wściekłość zachowała jednak dla siebie, zacisnęła usta i masowała chłopca niemal z uporem maniaka.

– Jeanette, musisz zrobić kilka rzeczy. Przed przyjazdem karetki, a może nawet policji.

– Tak?

– Chcę, żebyś po nas posprzątała. Pozamykaj drzwi, zatrzymaj widoczne ślady po naszym nalocie. Sama powinnam była się tym zająć, ale byłoby dobrze, gdybyś trochę sprzątnęła wychodek. Drzwi, siedzisko, podłogę, ściany – sama zobaczysz. Załóż rękawiczki. Ale najpierw musisz zaciągnąć torby do naszych rowerów. Nie wyjmuj ich z worków, tylko po prostu je tam zostaw i dokładnie schowaj. Możesz wziąć chrust z rowerów, bo ich już nie musimy ukrywać.

– Mam te pieniądze głęboko w dupie – oznajmiła Jeanette.

– Wiem, Nettan. Ale przydadzą nam się już niedługo, a jeżeli policja je przy nas znajdzie, to wszystko pójdzie nie po naszej myśli. Wierz mi.

Jeanette popatrzyła na nią sceptycznie, ale tylko wzruszyła ramionami ze zrezygnowaniem i rzuciła zatroskane spojrzenie w stronę chłopca, który trochę się przekręcił w ramionach Kerstin. Możliwe, że wracał do świadomości.

Kerstin wygrzebała telefon z kieszeni, by zadzwonić do Sandry i poinformować ją, że znalazły Erika, jeśli jeszcze nie doszła jej nowina. Nie miała jednak zasięgu.

– Tylko połączenia alarmowe – poinformowała Jeanette.

– Przecież jeszcze godzinę temu działał – protestowała Kerstin. – Odebrałam wtedy telefon.

– Ale teraz można dzwonić tylko pod numery alarmowe, u mnie to samo. Trzeba się cieszyć, że chociaż tyle.

– Chociaż tyle? – Kerstin się uśmiechnęła. – Powiedziałabym, że to jedyne, co ma jakieś znaczenie.

Jeanette kiwnęła głową i odwzajemniła uśmiech, lecz zaraz potem spoważniała.

– Co my tu właściwie robimy? – zapytała.

Kerstin z początku nie zrozumiała, o co jej chodzi, zamoczyła palce w szklance stojącej na stole i próbowała nakłonić chłopca, by zessał z nich wodę. Jeanette stała z założonymi rękami, napominając ją wzrokiem. Dopiero wtedy dotarło do niej, o co pyta.

– Jesteśmy na wycieczce rowerowej – odrzekła Kerstin. – Natknęliśmy się na to miejsce, które wyglądało na opuszczone, chciałyśmy schronić się przed deszczem i postanowiłyśmy zjeść obiad pod dachem na werandzie. Ja pozwoliłam sobie skorzystać z wychodka. Zobaczyłyśmy nadjeżdżający samochód, a ty schowałeś się za rogiem. I tak dalej. Potem trzymajmy się prawdy. Okej?

– Okej. W takim razie lecę. Co z nim?

– Oddycha, temperatura rośnie. Nic mu nie będzie. Dzięki tobie, Nettan.

– Dzięki mnie?

– To ty zauważyłaś, że przy piwnicy dzieje się coś podejrzanego.

Jeanette zacisnęła usta i oczy jej się zaświeciły. Następnie wyszła z domku, zdaje się, że krokiem lżejszym niż wcześniej. Może właśnie nadarzyła się okazja, na którą czekała od ponad czterech lat. Okazja, by chociaż raz postąpić właściwie. Zrekompensować całe zło, jakie wyrządziła.

Kerstin uśmiechnęła się w duchu i wreszcie podjęła decyzję, z którą nosiła się od tak dawna.

Wybaczyła Jeanette.

ROZDZIAŁ 65 | SANDRA

Godzinę później wciąż wlepiła wzrok w postarzałe zdjęcie idolek z dzieciństwa. Nie była w stanie się ruszyć, niezdolna formułować myśli, które by dokądś prowadziły, nie miała też siły na konfrontację z rodzicami. Chciała zostać sama w swoich męczarniach i móc w dowolnej chwili odkręcić krany łez bez świadków. Lecz tego też nie potrafiła... Płakać. Siedząc w ciszy jak sparaliżowana, słyszała tylko leniwo przesuwające się sekundy na nadgarstku.

Do czasu, kiedy bezgłos zakłóciło brzęczenie telefonu leżącego na szafce nocnej.

Potem nastąpiła fala ciężkich do zrozumienia wydarzeń, które z trudem mogła sobie przypomnieć: odebrała telefon, mówiąc obojętnym, beznamiętnym tonem. Przyjazny głos wyjaśnił, że Erik odnalazł się żywy i jest w drodze do szpitala w Visby. Nie dotarło do niej nic więcej, a jeszcze przed zakończeniem rozmowy zerwała się na równe nogi, żeby zebrać parę rzeczy, które mogły się przydać w nadchodzącą noc. Pędziła z pokoju do pokoju, budząc do życia dręczonych smutkiem rodziców, i naraz dom wypełnił się światłem, wrzawą i ruchem. A także bezgraniczną radością, której nie zakłócał – choć może powinien – nawet strach przed konsekwencjami oraz efektami ubocznymi. Bo po co martwić się o przyszłość, skoro właśnie zdarzył się cud?

ROZDZIAŁ 66 | KERSTIN

Nareszcie przyjechało pogotowie. Opis drogi był w porządku, jak się dowiedziały, ale ze względu na odległość zdecydowano, że lepiej polecieć śmigłowcem, po czym okazało się, że nie ma gdzie wylądować, dlatego wysłano karetkę aż z Visby. Od ich telefonu do przyjazdu pogotowia minęło czterdzieści minut.

Kerstin wyjaśniła, że w momencie odnalezienia chłopiec był prawdopodobnie wyziębiony, ale później jego temperatura wzrosła i zaczął oddychać bardziej miarowo. Opowiedziała również, że próbowały go напоić kroplami wody, choć niewykluczone, że pił deszczówkę w minione dni, więc problem tkwi raczej w tym, że jest głodny. Pracownicy pogotowia uważnie jej wysłuchali, a obydwu kobietom okazano szacunek wobec ich postawy.

Co odmieniło się po przyjeździe policjantów. Postępowali schematycznie i potrafili szufladkować ludzi, może też kojarzyli je z mniej korzystnych okoliczności. Zwłaszcza Kerstin, chociaż Jeanette również obserwowano podejrziwym wzrokiem.

Ich zeznania podano w wątpliwość, podobnie jak powód, dla którego w ogóle znajdowały się w tym miejscu. Słusznie zresztą, ponieważ ich pierwotny cel był podejrzany. Obstawały jednak przy swoim, kilkakrotnie powtarzając historię o tajemniczym przyjeźdźnym, i odniosły wrażenie, że to, co podawały, ani razu nie zostało odnotowane.

Jak im się udało dostać do domu? Klucz znalazły na listwie nad drzwiami. Po prostu? Tak, potrzeba matką wynalazków. Samo włamanie zaś powinno zostać usprawiedliwione tym, że uratowały dziecku życie. Czyli ktoś zamknął chłopca w piwnicy i pofatygował się aż tutaj tylko po to, by odryglować

drzwi? Na to wygląda. A ten ktoś stawił się tutaj samochodem? Tak, niebieskim, było to chyba audi. A kierowca – kobieta czy mężczyzna? Trudno powiedzieć, siedziały w swoich kryjówkach i prawie nic nie widziały. Dlaczego się schowały, skoro nie miały nic do ukrycia? Jednak miały, bo przecież wtargnęły na czyjaś posesję, więc nie chciały, by je na tym nakryto.

Policja nie potraktowała Kerstin poważnie nawet po tym, jak pokazała zrobione własnoręcznie zdjęcie przedstawiające niebieskie audi oraz jego kierowcę. Nazwali to mydleniem oczu, a swoją drogą, dlaczego w ogóle sfotografowała tamten samochód? Od początku miała przeczucie, że coś jest nie tak? A czy przypadkiem to nie one uwięziły chłopca, a dopiero później zdecydowały się go wypuścić? Nie, nie i jeszcze raz nie. Wówczas nie postąpiłyby jak teraz, a już na pewno dałyby stamtąd drapaką jeszcze przed przyjazdem pogotowia.

Nikt jednak nie chciał słuchać tej śpiewki. Kerstin robiła wszystko, aby je obronić. Każde słowo traktowano sceptycznie, ale właśnie tak zwykle się poruszali w gąszczu półprawd i kłamstw. Na dodatek wygląd przemawiał na ich niekorzyść: Kerstin już na zawsze została naznaczona swoim dawnym życiem. Jeanette nie aż tak, jednak jej wybałuszone w niepewności oczy oraz to, że zadawała się z Kerstin, mówiły same za siebie. Żadnej nie można było brać na serio, nieważne jak bardzo przyczyniły się do odnalezienia i uratowania chłopca.

Koniec końców, ponieważ podlegały dalszemu dochodzeniu, miały pod żadnym pozorem nigdzie nie wyjeżdżać. Dwie kobiety, których słowa podważono, w przygnębieniu poczłapały w las, w stronę rowerów. Zdjęły chrust i rozdarły worki. Sprawdziwszy zawartość toreb, posłały sobie nawzajem uśmiech, przerzuciły przez ramię każda swoją torbę, po czym odjechały z miejsca, które stało się teraz miejscem przestępstwa. Bogatsze o sześć milionów koron.

W autobusie, w którym siedziały z torbami w objęciach, Kerstin zwróciła uwagę, że Jeanette zmienił się wyraz twarzy. Mimo dyskryminacji ze strony policji była w pewien sposób rozweselona, odkąd znalazły chłopca, a jej

ruchy były lekkie jak piórko. Kerstin odebrała to jako rewanz – jakby Jeanette zrehabilitowała się we własnych oczach. Przyczyniła się do wielkiego, ważnego czynu: wzięła udział w uratowaniu chłopca. Nie wszystkie dzieci umierały na jej rękach – w tej sytuacji mogła coś zaradzić i tak właśnie postąpiła. A zrobiła to z niebywałą determinacją i autorytetem.

Naraz jednak znów wdarł się w nią mrok, oczy jej pociemniały z nieznanego Kerstin powodu. Usiłowała odczytać z jej mimiki i mowy ciała, co też dzieje się w jej wnętrzu, ale Jeanette odwróciła się do niej plecami ze wzrokiem utkwionym w szybie. Kerstin nabrała ochoty, by przykryć jej dłoń swoją i zapytać, jak się czuje, jednak pomyślała, że to może poczekać, aż zmieni pozycję na taką, z której nie wynika wyraźnie, że chce zostać ze swoimi myślami sam na sam.

Upłynęło jakieś dziesięć minut, nim Kerstin poczuła wzbierający w niej niepokój. Raz po raz zerknęła na Jeanette, nie otrzymawszy odpowiedzi, których szukała. Oceniając po oddechu, jej towarzyszka nie spała, a i tak nie podjęła nawet najmniejszej próby nawiązania z nią kontaktu. Tkwiły w tym przecież razem, przeszły same siebie, odnajdując pieniądze, a jakby tego było mało, również ratując Erikowi życie. Co poszło nie tak? Kerstin biła się z myślami, a sytuacja zaczęła się robić nieznośna.

Wzrokiem objęła kontury Jeanette: pięknie zarysowane ucho i włosy, które – mimo że splątane i mokre – ładnie okalały jej twarz. Jej chude ramię w kurtce przeciwdeszczowej, zgięcie łokcia i przedramię spoczywające na wielkiej torbie. Białą, drobną dłoń, wyglądającą z rękawa, kurczowo trzymającą... Właśnie, co?

Przywieszkę bagażową jednej z toreb, które Karl-Erik zabrał ze sobą z domu, kiedy pojechał na stały łąd po łup z rabunku.

Szybko spojrzała na własną torbę i stwierdziła, że nie ma przy niej przywieszki. Chyba nie mogło być tak, że...? Co, jeśli przez imię napisane na przywieszce Jeanette połapała się, do kogo należy torba? To nie mogła być prawda – nie teraz, gdy wszystko się układało, gdy wspólnie udało im się

osiągnąć coś niezwykłego, a o całej reszcie już prawie zapomniała i jej wybaczyła.

Ostrożnie ujęła w ręce dłoń Jeanette. Była wiotka, nieruchoma – Jeanette nie reagowała na dotyk. Kerstin wydobyła przywieszkę z jej dłoni i odpięła ją od torby. Przyjrzała się zalaminowanej wizytówce, która należała do przedszkolanki Kerstin Barbenius: oprócz danych kontaktowych widniało na niej również zdjęcie jej twarzy. Westchnęła głęboko i skuliła się na siedzeniu.

Musi to załatwić w opanowany, przemyślany sposób. Odsunąć od siebie wszystkie złe myśli, całą gorycz i brak wyrozumiałości. Miała pokazać tolerancję dla ludzkiej słabości, zrozumienie oraz zdolność wybaczenia. Chyba nie mogło to być takie trudne, ponieważ jedynie te cechy w niej pozostały.

– Nettan – zwróciła się do niej łagodnie. – Wszystko w porządku.

– Wcale nie – odparła Jeanette. – Jest zupełnie nie w porządku. Teraz już wiem, skąd się wzięła ksywa Barbamama. Matka. Gdybym tylko wcześniej się o tym dowiedziała, nie wylądowałybyśmy tutaj. Nie musiałybyśmy siebie nawzajem oglądać.

– Nawet nie pomyślałam, że do torby może być przyczepiona przywieszka z moim zdjęciem. Musisz mi uwierzyć. Naprawdę nie chciałam, żebyś...

– Żebym się dowiedziała? Żebym się dowiedziała, kim jesteś?

Przez moment przez głowę przemknęła jej myśl, że tak naprawdę Jeanette zdenerwowała się, bo wystrychnięto ją na dudka, została zmanipulowana do opowiedzenia historii swojego życia akurat Kerstin – która jako jedyna nie powinna była jej poznać. Oddaliła od siebie te myśli i ciągnęła spokojnie:

– Tak. Właściwie tak. Chciałam ci tego oszczędzić. To nie tak, że świadomie ukrywałam przed tobą, jak się naprawdę nazywam, ale może nie akurat dziś...

– Oszczędzić? – przerwała jej Jeanette, odwracając się w jej stronę ze

łzami w oczach. – Mnie? Ty mnie musisz nienawidzić.

– Dlaczego?

– Kiedy opowiadałam o swoim wkładzie w tamten wypadek, musiałam mieć ochotę mnie zabić.

– Nie mam takich skłonności – odparła szczerze Kerstin.

– Ale dlaczego nic nie powiedziałaś?

– A co miałam mówić? Wzięłaś mnie z zaskoczenia. Musiałam zebrać myśli i wyrobić sobie zdanie, jak się względem ciebie zachować.

– I do jakich doszłaś wniosków? – dociekała Jeanette.

– Że obie jesteśmy tylko ludźmi. Nie odegrałaś w tej historii takiej roli na własne życzenie, tylko stałaś się ofiarą okoliczności, nawet jeżeli powinnaś była wziąć na siebie większą odpowiedzialność. Oraz że nie ma sekundy, w której nie żałowałabyś tego, co się stało. To mi wystarczy.

Jeanette spojrzała na nią wątpiaco. Z oczu polały jej się łzy.

– Przepraszam – powiedziała, kładąc dłoń w dłoni Kerstin. – Tak bardzo mi przykro.

– Wiem – odparła Kerstin. – Ale teraz chcę, żebyś się rozchmurzyła. Wydaje mi się, że się rozweseliłaś, kiedy znalazłyśmy Erika. Że już miałaś się pogodzić z samą sobą. A to mnie bardzo ucieszyło. Nie chcę, żeby zrujnowała to przywieszka z moim zdjęciem, która przypadkowo wisiała przy jednej z toreb.

– Ale przecież to okropne – mówiła Jeanette. – To, co ci zrobiłam. Jak mam dalej z tym żyć?

– Spójrz na to z innej strony. Potraktuj to, jakby opatrność popchnęła nas ku sobie, a to najlepsze, co nas mogło spotkać. Bo miałaś tak naprawdę okazję się wytłumaczyć i poprosić o wybaczenie, a ja zrozumiałam, jak do tego doszło, poradziłam sobie ze swoją traumą i przebaczyłam ci.

Jeanette patrzyła na nią oczyma pełnymi łez.

– Naprawdę? Naprawdę mi wybaczyłaś?

Kerstin przytaknęła ruchem głowy, ściskając dłoń Jeanette.

– Jak to w ogóle możliwe?

Wzruszyła ramionami.

– Trzeba jak najlepiej wykorzystać sytuację – odrzekła. – Stało się i tego już nikt nie zmieni. Nie robi mi się lepiej, jeśli będziesz cierpieła, wręcz przeciwnie. Jesteś moją przyjaciółką, zależy mi na tobie. Karcisz się znacznie bardziej, niż ja kiedykolwiek mogłabym cię ukarać. Albo chciałabym. Jest dobrze, jak jest, i chcę, żebyśmy to zostawiły za sobą.

Jeanette spojrzała na nią przez łzy. Sprawiała wrażenie, jakby nie była w stanie wziąć sobie do serca słów Kerstin.

– Dziś jesteśmy bohaterkami, ty i ja. – Kerstin się uśmiechnęła. – Widziałam cię, chyba pierwszy raz byłaś z siebie dumna, zadowolona z własnego dokonania. Przyjemnie było na to patrzeć. Nie mogłabyś wytrwać w tych emocjach? Zaakceptować, że te okropieństwa sprzed czterech lat to już przeszłość, oddzielić je grubą kreską i cieszyć się nadchodzącą przyszłością?

Kerstin zdawała się dostrzegać zaczątki uśmiechu w oczach Jeanette, a przynajmniej pragnęła w to wierzyć. Jeanette zaczerpnęła głęboko powietrza i zamknęła oczy. Reszta podróży upłynęła im w milczeniu.

Kiedy później odstawiały torby u Kerstin w domu, zapytała Jeanette, czy nie chciałyby zostać u niej na chwilę pogadać, coś zjeść albo wypić – po prostu to uczcić. Jeanette jednak odmówiła.

– Nie rób mi tego – prosiła Kerstin. – Nie zabieraj mi powodów do radości.

– Tobie? – Jeanette niczego nie rozumiała.

– Pogodziłam się z myślą o tym, co się wydarzyło. Ty też powinnaś, proszę cię. Nie pozwól starej wizytówce zniszczyć nam życia, kiedy tak

dobrze się zapowiada.

Jeanette utkwiała w niej wzrok. W oczach miała pustkę – spojrzenie nie zdradzało, co się za nim kryje. Zamknęła się w sobie, a Kerstin nie miała już do niej wstępu.

– Moje samopoczucie nie ma z tobą nic wspólnego – skwitowała chłodno Jeanette.

Kerstin, która naprawdę nie chciała dodatkowo obwiniać Jeanette, poczuła się zmuszona wrócić do przeszłości: aby w ogóle mieć na czym oprzeć rozmowę.

– Skoro po zobaczeniu mojego nazwiska i zdjęcia na przywieszce bagażu wysiada ci psychika, to chyba ma ze mną coś wspólnego? Mówię, że to, co zdarzyło się przed czterema laty, nie pisze się w rejestr. Mówię, że ci wybaczyłam, a ty dzięki swojemu dzisiejszemu zachowaniu odpokutowałaś swoje dawne lekkomyślne wybory. Nie dociera do ciebie, jakie masz szczęście, że mnie poznałaś i miałaś okazję się przede mną wytłumaczyć, przeprosić i uzyskać wybaczenie?

Jeanette patrzyła na nią tępym spojrzeniem z nieobecny wyrazem twarzy. Kerstin czuła się beznadziejnie wyłączona z jej rzeczywistości i trochę desperacko oczekiwała potwierdzenia. Nie tyle ze względu na siebie, ile na Jeanette: musiała sprawić, by ona zobaczyła w niej człowieka. Nie zjawisko – wdowę, rozdzierający serce krzyk z przeszłości – ale Kerstin jako przyjaciółkę. Siostrę w nieszczęściu, jeśli trzeba. Dopiero wówczas mogła ją wydobyć z dołka, w jakim zdawała się znajdować.

– Czy to nic nie znaczy? – ciągnęła Kerstin. – Wolałabyś dołować się w samotności, szukając zadośćuczynienia na własną rękę i żeby nigdy to nie przyniosło żadnej korzyści poszkodowanemu?

Jeanette nie spuszczała z niej wzroku, ale też nie odpowiadała. Coś w jej postawie mówiło Kerstin, że już chce sobie pójść.

– Zrobiliśmy dzisiaj coś wielkiego, Nettan. Razem. Zostań,

poświętujemy. Zasłużyliśmy na to.

– Co zrobisz z pieniędzmi? – zapytała Jeanette, pozornie niezainteresowana wszystkim tym, co Kerstin miała do powiedzenia.

– Oddam je w ręce policji – odparła.

– To dlaczego nie zrobiłaś tego już pod domkiem myśliwskim?

– Wtedy zostałyby to źle zinterpretowane, padłyby na nas podejrzenia.

– Aha – odparła obojętnie Jeanette.

– Nettan, odtrącasz mnie. Dlaczego nie możemy pogadać?

Brak widocznej reakcji – w świecie Jeanette było miejsce wyłącznie dla niej samej.

– Idę – powiedziała.

– Naprawdę musisz? Chyba możesz tutaj przenocować?

Jeanette potrząsnęła tylko głową i ruszyła schodami w dół.

– Odprowadzę cię – oznajmiła Kerstin.

– Nie. Czepiłaś się jak rzep psiego ogona.

Zabolało. Zraniło ją. Nie chciała się do niej przyczepiać. Wszystko, tylko nie to.

– Okej – odparła, ciężko przełykając ślinę. – Trzymaj się, kochana. Do jutra.

Jeanette uniosła dłoń, nie spojrzawszy na nią, i zniknęła za rogiem na półpiętrze. Kerstin nie ruszała się z miejsca, aż usłyszała, jak na dole zamykają się za nią drzwi.

ROZDZIAŁ 67 | SANDRA

Wiele godzin później, gdy miasto okrył mrok, a rozpoczęte czynności dokańczano już w ciszy, zauważyła, że siedzi przy zgaszonym świetle w sali szpitalnej, trzymając Erika za rączkę. Po raz pierwszy zostali sami, a on spał smacznie i głęboko, podczas gdy płyn fizjologiczny i antybiotyk płynęły w małą istotkę przez wenflon w zgięciu ręki.

Obiecano jej, że wszystko będzie dobrze: żadnych obrażeń fizycznych, niedożywienie wkrótce miało odejść w niepamięć, a ewentualne infekcje zdławiono w zarodku. Był ogrzany i wolny, nie musiał głodować ani odczuwać pragnienia. Miał umówioną wizytę u psychologa, ale ze względu na jego młody wiek, słabe poczucie czasu i niewyraźne wspomnienia, o których mówił, wszystko miało zniknąć w gęstej mgle. Obudził się z koszmaru, ale jeśli się tego nie rozgrzebie, potęgując wrażenia, pewnie zapomni o całym zdarzeniu.

Jedyne, co Erik zapamiętał, to że siedział w zimnym, ciemnym pomieszczeniu, był głodny i tak spragniony, że musiał pić brudną wodę z kałuży. Nic o samym uprowadzeniu ani o akcji ratunkowej. Koszmary mógł budować, opierając się jedynie na wspomnieniu mroku, pragnienia oraz głodu, a któż nie miewa upiornych snów o ciemności? Pragnienie i głód to uczucia ulotne, oczywiste potrzeby danej chwili, do których ciężko się jednak było odnieść, kiedy akurat się ich nie odczuwało. Okrutne dni miały się skurczyć w jego podświadomości, wydać się nierzeczywiste i odejść w zapomnienie. To korzystne dla jego samopoczucia w dalszym rozrachunku, nawet jeśli trochę dziwne było, że nie pamiętał, jak odłączył się od grupy przedszkolnej i jak go potem przetransportowano z lasu Furulundsskogen. Czy został odurzony? Wszystko na to wskazywało, bo kto mógłby go zwabić

tak, aby tego nie pamiętał?

Policja jeszcze się nie odezwała: można się było domyślać, że w pierwszą noc, z szacunku, zostawili ją z synem w spokoju. Sandra nie wniosłaby zresztą nic nowego do dochodzenia, już wcześniej podzieliła się swoimi podejrzeniami, co do których nic się nie zmieniło. Poza tym mieli do przeszukania miejsce przestępstwa, pomieszczenie, w którym przetrzymywano Erika. Po ubrankach, które miał na sobie w chwili zaginięcia, nie było śladu, pewnie dlatego, że już trafiły do techników kryminalnych. Gdzieś muszą się znaleźć ślady po Hallinie, choćby jakiś włos.

Sandra niewiele rozumiała z tego, jak odnaleziono Erika, ale najwidoczniej zaalarmowała ich jakaś osoba prywatna. Ktoś przypadkiem otworzył drzwi i znalazł za nimi chłopca, zrozumiał, że to musi być Erik, i zrobił to, czego wymagała sytuacja. Sandra chciała dowiedzieć się więcej na ten temat, ale w sumie była wdzięczna policji za chwilowe zostawienie jej w spokoju. W swoim czasie pozna szczegóły i będzie miała okazję podziękować, komu trzeba.

Sięgnęła po telefon, który zawibrował jej w kieszeni, i zobaczyła, że dostała MMS-a. Od Kerstin. Bardzo nieostre zdjęcie przedstawiające coś, czego na początku nie rozpoznała. Nie dołączyła do niego żadnego tekstu objaśniającego. Zdjęcie było tak ściśnięte, że wyglądało, jakby zrobiono je przez szparę między deskami lub w podobnych okolicznościach. Po głębszej analizie zdawała się dostrzegać kawałek samochodu, niebieskiego, a może szarego. Chyba też jakąś postać, idącą od samochodu w stronę fotografującego. Ciężko to było jednak rozstrzygnąć, bo odnosiło się wrażenie, że między fotografowanym motywem a aparatem lała się woda. Kiedy powiększała zdjęcie, nie dało się zobaczyć nic wyraźniej i niewiele z tego rozumiała. Doszła do wniosku, że Kerstin musiała przez przypadek wcisnąć jakiś klawisz, wysyłając tę wiadomość, więc zgasła wyświetlacz, schowała telefon do kieszeni i znów skupiła uwagę na śpiącym synku.

Co do książki, opowieść chyliła się ku końcowi, a Sandra zdecydowała, że nadszedł czas, by napisać o własnych przeżyciach. Sposób, w jaki

odnaleziono Erika, musiał poczekać do jutra, ale i tak mogła opisać całość z własnej perspektywy.

Personel był na tyle miły, że pozwolił jej przenocować w sali, więc usadowiła się z komputerem we własnym łóżku i wzięła się do roboty.

Po kilku godzinach intensywnej pracy przeszkodził jej telefon wibrujący w kieszeni spodni. Wyjęła go i zobaczyła, że Kerstin przesłała wiadomość. Pytała: „Chcesz pogadać?”. Sandra zerknęła na zegar na ścianie i stwierdziła, że właśnie minęła jedenasta. Podeszła do Erika, mocno śpiącego w swoim łóżku. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała, roztwory z butelek na stojaku wytwarzały maleńkie błyszczące perły, które wolno kapały do komór kroplowych, wydając krystalicznie czysty dźwięk. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku, a i tak czuła się źle. Usiadła na łóżku i zadzwoniła do Kerstin.

– Hej, Sandro – odezwała się Kerstin. – Ale się cieszę!

– Ach, czyli już rozniosło się po mieście? – Uśmiechała się.

– Można tak powiedzieć. Jak on się czuje?

Do sali weszła pielęgniarka i podeszła do Sandry, wyciągając w jej stronę tacę ze szklankami. Sandra wybrała gęsty sok z borówek, którego zwykle nie pijała, choć uwielbiała go jako dziecko. Czekala ją długa noc. Mimo że nie była spragniona, skorzystała z okazji i wzięła też szklankę soku jabłkowego. Potrzebowała energii do pisanie i czuwania nad Erikiem. To była oczywiście przesada, ale na wypadek gdyby zmienił się jego stan, chciała to odkryć od razu. Pielęgniarka uśmiechnęła się do niej przyjaźnie zza wielgachnych okularów w grubych oprawkach, które zdawały się pochodzić z innej epoki.

– Dobrze, biorąc pod uwagę okoliczności – powiedziała Sandra. – Jest wyziębiony, odwodniony i niedożywiony, ale szybko wraca do normy. Pamięta wszystko jak przez mgłę, więc wydaje mi się, że jeśli tylko ogarniemy sytuację we właściwy sposób, nie odbije się to na jego psychice.

– Brzmi dobrze – odparła Kerstin.

Sandra odstawiała szklanki na szafkę nocną i podziękowała pielęgniarce, zanim ta zniknęła z tacą w korytarzu.

– Jak poszło z pieniędzmi? – dopytywała się Sandra.

– Dobrze.

– Znalazłyście je? – Zaśmiała się. – Naprawdę?

– Naprawdę. Mówiłam przecież, że mam dobre przeczucia.

– Wspaniale, Kerstin. Serio, świetna robota!

– Miałyśmy więcej szczęścia niż rozumu, ale się namęczyłyśmy. Torby leżały w latrynach w wychodku, całe w... Cóż, sama możesz się domyślić.

– Jak, do diaska, wpadłyście na pomysł, żeby ich tam szukać?

– Właśnie to było inspirujące – odpowiedziała Kerstin. – Że nikomu by do głowy nie przyszło, żeby sprawdzić akurat tam.

– Imponujące – przyznała szczerze Sandra. – Gdzie są teraz?

– U mnie w domu. Możesz je odebrać w wolnej chwili.

Otworzyły się drzwi, w których stanęły kolejne dwie pielęgniarki. Jedna z nich pchała przed sobą wózek.

– Muszę już kończyć – oznajmiła Sandra. – Możemy się zdzwonić jutro?

– W porządku – powiedziała Kerstin. – Powodzenia ze wszystkim.

Sandra zakończyła rozmowę i podniosła wzrok na pielęgniarki.

– Jestem Maria i mam dziś nocny dyżur – oświadczyła jedna z nich. – Chciałam się tylko przedstawić. To jest Branca, młodsza pielęgniarka. Zmierzy chłopcu temperaturę i ciśnienie. Ma pani jakieś pytania?

Sandra zastanawiała się nad odpowiedzią, kiedy pielęgniarka podwyższyła łóżko i wsunęła termometr Erikowi do ucha.

– Trzydzieści siedem i dwie kreski – orzekła, po czym owinęła mu ramię opaską do mierzenia ciśnienia, a do palca przyczepiła klamerkę. – Zaczyna

się normować.

Erik nie przerywał sobie snu, zupełnie nieświadomy, że stał się właśnie przedmiotem różnych kontroli medycznych.

– Dziewięćdziesiąt pięć na sześćdziesiąt – powiedziała Branca. – Saturacja: dziewięćdziesiąt siedem procent, puls: osiemdziesiąt dziewięć.

– Doskonałe wyniki – podsumowała Maria. – Erik definitywnie wraca do siebie, może pani spać spokojnie.

Wyszły więc z wózkiem, zostawiając Sandrę – mimo dobrych intencji – z mnóstwem kłębiących się w głowie pytań. Jedno z nich dotyczyło bezpieczeństwa w szpitalu. Czy na pewno mogła tej nocy spać spokojnie? Z jakiegoś powodu nie miała przekonania co do tej kwestii.

Z korytarza nie dochodziły prawie żadne odgłosy, a miasto za oknem też było spowite ciszą. Erik wyglądał spokojnie, kiedy tak leżał na plecach w nieco podwyższonym po kontroli łożku. Miękki blask nocnego oświetlenia rzucał tajemnicze cienie na jego buzię. Przez co on właściwie przeszedł? Czy kiedykolwiek się tego dowie?

Akurat teraz to bez znaczenia. Erik wrócił do żywych, był bezpieczny i pod opieką armii umundurowanego, dobrze wykwalifikowanego personelu szpitala o przyjaznych głosach. Cała Gotlandia skierowała na niego wzrok: nie do pomyślenia, że mogłoby mu się coś stać.

Mimo to coś się w niej buntowało. Sandra nie bardzo wierzyła w omeny, więc nie pozwoliła sobie wziąć na poważnie złowróźbnego uczucia, żeby zrobić coś konkretnego, mającego powstrzymać to, co – jak przeczuwała – mogło się stać. Nie wykonała histerycznego telefonu na policję, by poprosić o ochronę, ani nie poprosiła rodziców o dotrzymanie jej towarzystwa nocą.

Jej jedynym planem było całonocne czuwanie oraz wciśnięcie przycisku alarmowego w razie potrzeby. Po wszystkim, co zaszło, była po prostu nadmiernie spięta. Najgorsze minęło i miało się już więcej nie wydarzyć.

Otrząsnęła się z bezpodstawnego, nieprzyjemnego uczucia, usiadła na

łóżku z laptopem na kolanach, wzięła głęboki wdech i znów zaczęła pisać.

ROZDZIAŁ 68 | KERSTIN

Kilka godzin po wyjściu Jeanette Kerstin krążyła po mieszkaniu, nosząc w sobie naprawdę złe emocje. Czowała się niewystarczająco dobra, zbyt nachalna, zbyt intensywna. Jak rzep u psiego ogona, mówiąc słowami Jeanette – to ją naprawdę zabolowało. Niczym nieczyste sumienie, przed którym nie można uciec ani odłożyć go na bok, by od niego odsapnąć.

Próbowała czytać, oglądać telewizję, gotować, jeść, grać na telefonie – ale nic nie działało. Nie mogła się na niczym skupić, radość ze wcześniejszych dokonań nie chciała się przebić przez gąszcz negatywnych, właściwie nieistotnych emocji. Co za różnica, jak Jeanette upora się ze świadomością, że dawno temu zostawiła we wraku samochodu umierającego męża Kerstin? Od kiedy zapewnienie Jeanette miękkiego lądowania po tym, jak się o tym dowie, stanowi problem Kerstin? Skoro chciała się zadrećcać, to proszę bardzo, mogła nadstawić plecy pod smagający bicz, jeśli sobie tego życzy.

Kerstin próbowała to sobie wmawiać, jednak nie było to w jej stylu. Chciała, aby otaczający ją ludzie mieli się dobrze, więc poczucie, że w pewnym sensie odpowiadała za gwałtowną zmianę nastroju Jeanette, nie dawało jej spokoju. Nawet jeśli wiedziała, że problem leży w irracjonalności Jeanette, a nie w niej samej. A jednak jeśli istniał ktoś, kto potrafiłby nakłonić Jeanette do otwarcia się, osobą tą była właśnie Kerstin. Może takie myślenie było zuchwalstwem, zwłaszcza po ostrych słowach pożegnania, ale Kerstin musiała wznieść się ponad nie. Mimo że Jeanette to arcyegoistka niezdolna wziąć się w garść, choć ona wspaniałomyślnie jej wybaczyła. Najlepiej na razie postawić ją na pierwszym miejscu, odsuwając własne potrzeby emocjonalne na dalszy plan. Jak na przykład niechęć bycia odbieraną jako zbyt nachalną.

Okolo północy postanowiła pójść do mieszkania Jeanette, dostać się do środka i nie pozwolić sobie ugiąć się pod ostrymi słowami oraz zwykłymi obelgami. Postanowiła zostać u Jeanette, aż ta zmięknie i zacznie myśleć jako tako rozsądnie. Chciała powstrzymać ją od zapętlenia się w ciągnącej w dół spirali i zrobienia sobie krzywdy, o ile sprawy zaszyłyby na tyle daleko, że wróciłyby do punktu wyjścia.

Dlatego włożyła buty i cienką kurtkę puchową, po czym wymknęła się w letnią noc. Niebo było rozgwieżdżone, a księżyc, który znów się na nim pojawił, nieśmiało majaczył w górze. Przyroda wydzielala nasycone zapachy, wchłaniając całe mnóstwo wody, która spadła na ziemię w minione dni na pomoc Erikowi. Wszystko wokół było piękne: trawa, drzewa i krzewy mieniły się przeróżnymi odcieniami zieleni, momentalnie wprawiając ją w lepszy nastrój.

Myślała o powodach do radości, o Jeanette również. To, że wspólnie udało im się zrealizować plan odnalezienia pieniędzy na przekór ograniczonym możliwościom, można potraktować niemal jako cud. Dodatkowo uratowanie trzylatka Sandry napawało ją jeszcze większą radością, nawet jeżeli nie można tego traktować jako osiągnięcia, ponieważ po prostu miały szczęście znaleźć się we właściwym miejscu o właściwym czasie i zachowały przytomność umysłu, by poczynić kroki, jakich wymagała sytuacja – każdy zachowałby się tak samo.

Kerstin widziała, jak Jeanette się rozpromieniła, kiedy pochwaliła ją za siłę sprawczą, jaką się wykazała podczas ratowania chłopca z ziemianki. Przypomniała sobie jej łobuzerskie spojrzenie, gdy zdołały wymknąć się policji po odkryciu toreb, odjeżdżając na rowerach z domku myśliwskiego każda z trzema milionami koron przewieszonymi przez ramię. Udało im się to wszystko osiągnąć razem, zbliżyły się przy tym do siebie bardziej niż kiedykolwiek.

Kerstin zdecydowała się w końcu zapomnieć stare krzywdy – lekko powiedziane w gruncie rzeczy – ale podążając zgodnie z definicją wybaczenia, postanowiła zostawić za sobą cały kwas, myśleć o przyszłości.

Tego dnia życie uśmiechnęło się szeroko do nich obu, Jeanette i Kerstin miały święte prawo do wspólnej radości. Pomimo to ich wspólny dzień zakończył się emocjonalną katastrofą, łzami i ciemnością, z której Jeanette chyba nie chciała lub nie potrafiła się wydostać.

Kerstin przypomniła sobie jednak o całym otaczającym ją pięknie: sklepieniu nieba, zachwycającej przyrodzie, jej zapachach i barwach. Chciała wierzyć w to, że Jeanette też potrafiła to doceniać: że rześkie nocne powietrze oraz wszystko, co ono ze sobą niosło, napełniały lekkością również jej umysł. Kerstin zamierzała spróbować naprowadzić ją na lepsze myślenie i – pomimo tego, co ją czekało – była przekonana, że dobrze robi.

Pling! Odezwał się telefon, ale to niczego nie zmieniało.

ROZDZIAŁ 69 | SANDRA

Minęła północ, a Sandra zdążyła już opisać wydarzenia dnia albo raczej to, co było jej wiadomo na temat minionych zajęć. Ponieważ policja jeszcze się z nią nie skontaktowała, i vice versa, niewiele wiedziała o tym, jak znaleziono Erika i co się z nim działo przez ostatnie cztery doby. Wiedziała natomiast, jak wyglądał jej dzień, jak popadała ze skrajności w skrajność, wreszcie lądując w łóżku szpitalnym w Visby. A jakkolwiek by na to patrzeć, od tego trzeba zacząć, bo opisane miały zostać wszystkie aspekty, nawet z jej perspektywy. Teraz jednak nie pozostawało nic więcej do napisania – jutro przyjdzie nowy dzień, a w tej chwili musi się zająć czymś innym.

Ani myślała położyć się spać. Zamierzała czuwać u boku Erika, upewniając się, że jego stan się nie pogarsza oraz że do sali nie wchodzi nikt z dyżurującego personelu. Jasne, istniała możliwość, że Erik oddalił się od grupy przedszkolnej i z lasu Furulundsskogen na własną rękę. Ale nie do pomyslenia było to, by przy takim wkładzie poszukiwawczym udało mu się zniknąć, nie przyciągnąwszy niczyjej uwagi. Krótko mówiąc, ktoś musiał mu w tym pomóc, a zważywszy na okoliczność, że stało się to akurat w bezpośrednim następstwie pogroźek, jakie Sandra otrzymała, wydawało jej się niemożliwe, że mógłby to być ktokolwiek inny niż Hallin. Nic by nie zyskał, gdyby Erika odnaleziono przy życiu, a obecny obrót sytuacji musiał pokrzyżować mu plany.

Jak więc mógł temu zaradzić? I kiedy? Rozsądek podpowiadał jej, że powinien raczej uważać, by nie zostać zauważony w miejscu, gdzie przebywali Sandra z Erikiem, ale emocje nie dawały jej spokoju. Cały wysiłek włożony przez Hallina we wszystko, co ich ostatnio spotkało, poszedł na marne, gdyż Erik w dalszym ciągu pozostawał jego synem. Ponieważ

wciąż żył.

Życie dziecka jest tak kruche. Erik był tak mały i delikatny, jakby niezdolny do przetrwania, a jednak właśnie udowodnił coś przeciwnego. Śmierć małego człowieka zdawała się niemożliwa, tak samo jak jej przeciwieństwo. Strach przed tym, co mogło się stać, gdyby pozwoliła sobie zasnąć, zalewał Sandrę falami. Siedziała zestresowana w łagodnym świetle lampki.

Na próżno próbowała odsunąć od siebie katastrofalne wizje. Do szwedzkiego szpitala każdy mógł wtargnąć niezauważony o dowolnej porze dnia i nocy, wdrzeć się do sali i poprzepinać bądź odpiąć parę kabli, nie zwracając niczyjej uwagi.

Właściwie to idiotyczne, że już wcześniej nie skontaktowała się z policją, by dowiedzieć się, co mają do powiedzenia, rozeznaczyć, jak postrzegają udział Hallina w uprowadzeniu, i poprosić o ochronę w szpitalu. Ponieważ przedsięwzięcie niezupełnie powiodło się porywaczowi. Chociaż w sumie przypisywanie trzylatkowi, a tym samym również sobie takiego znaczenia, że aż umundurowany policjant miałby obserwować ich salę, wydawało się w pewnym sensie przesadą – jakby grali w jakimś hollywoodzkim kryminale.

To oczywiste, że akurat w tej chwili Hallin nic nie wymyśli. Ściągnąłby na siebie zbyt dużo uwagi, a wokół niego zrobiłoby się zamieszanie. Musiał wychodzić z założenia, że Sandra chce dopilnować, by cała uwaga skupiła się właśnie na nim. Koniec końców, nie miała się zatem czego obawiać, a jednak rozglądała się nerwowo wokół siebie, podskakując przy każdym najmniejszym dźwięku dochodzącym z oddziału. To były tylko jej odczucia, może i nielogiczne, ale niezwykle wyraźne. W pewnym sensie czuła się narażona na ryzyko, a otaczające ją mrok i cisza niczego nie ułatwiały. Kolejny dzień zdawał się bardzo odległy.

Zaczęła przeglądać telefon, na wypadek gdyby coś przeoczyła. Gdzieś kiedyś czytała, że nic tak nie przeszkadza w późniejszym zaśnięciu jak klikanie w telefonie. Migotanie, światło, dźwięki czy coś jeszcze innego

budziły niewłaściwe neuroprzekazniki, tak że sen przesuwiał się o kilka godzin. Doskonale, pomyślała Sandra, po czym jeszcze raz przyjrzała się wiadomości, którą Kerstin przysłała wcześniej wieczorem. Nie miała nic lepszego do roboty, więc postanowiła chociaż spróbować i przesłała zdjęcie przez Bluetooth na komputer.

Otworzyła je w programie do obróbki zdjęć, ale zanim w ogóle wzięła się do roboty, zrozumiała, że brak jej wiedzy oraz umiejętności wymaganych, by doprowadzić fotografię do pożądanego stanu. Dlatego przesłała je redaktorowi gazety, który – jak wiedziała – pracował w nocy, z prośbą o zlecenie polepszenia jakości zdjęcia komuś posiadającemu odpowiednie ku temu kompetencje. Potem zrobiła, co mogła: powiększyła zdjęcie, włączyła autokorektę, poprawiła jasność, ostrość i całą resztę, ale wciąż nie rozumiała, co przedstawia fotografia. Tyle tylko, że widać na niej samochód w deszczu, a może też jakiegoś człowieka.

Pewnie dostała ją przez przypadek, Kerstin nie wspomniała o tym MMS-ie podczas ich rozmowy mniej więcej godzinę wcześniej. Nie załączyła do niego też żadnego opisu, co nie przemawiało za tym, że przesłała wiadomość celowo. Pewnie też nie planowała zrobienia tego zdjęcia. Sandra nie chciała jej znów przeszkadzać pytaniem o wysłany przypadkiem MMS wyłącznie dlatego, że nie miała czym się zająć podczas nocnego czuwania.

Otworzyły się drzwi i do sali znów zajrzała pielęgniarka w staromodnych okularach. Posłała Sandrze promienny uśmiech, kiwnęła głową bez słowa i wyszła na korytarz. Jakby porozumiewały się w swego rodzaju zaszyfrowanym języku, w którym skiniecie oznaczało, że sytuacja jest pod kontrolą.

Naraz przypomniała sobie o soku borówkowym, który podano jej wcześniej. Stał koło soku jabłkowego trochę ukryty za kosmetyczką na szafce nocnej. Sięgnęła po szklankę i pociągnęła z niej porządny łyk. Smakował dokładnie tak, jak pamiętała: był słodki, choć nie za słodki, wyraźnie borówkowy, ale bez naturalnej kwaskowatości jagód, z maleńkimi pestkami, które językiem można rozprowadzać w ustach. Pochłonęła cały kilkoma

haustami, żałując, że zwyczajnie nie wzięła od razu dwóch szklanek, kiedy miała okazję. Na sok jabłkowy nie miała akurat ochoty, więc zostawiła go sobie na później.

Jeszcze raz spojrzała na zniekształcone zdjęcie w komputerze i zniecierpliwiona pomyślała, że przynajmniej może zapytać Kerstin, o ile ta jeszcze nie śpi. Wysłała SMS-a, na który natychmiast otrzymała odpowiedź, że może zadzwonić, co też zrobiła.

– Nie śpisz?

– Nie, właściwie wyszłam na spacer – odparła Kerstin. – Chciałam zajrzeć do Jeanette.

– Dlaczego? – Sandra się zmartwiła. – Nie ufasz jej?

– Można tak powiedzieć. Znalazła moją wizytówkę ze zdjęciem przy jednej z toreb. Wtedy do niej dotarło, że w wąwozie zginął mój mąż, i niezbyt dobrze to przyjęła, że tak się wyrażę. W naszych kręgach prawdziwe nazwisko nie ma tak naprawdę znaczenia, więc знаła mnie po prostu jako Matkę. A odkąd dowiedziałam się, kim ona jest, wcale mi się nie śpieszyło, by wyjawić jej prawdę.

– Ojej... A ty...

– Sandro, już jej wybaczyłam i ona o tym wie. Po prostu nie chce tego do siebie dopuścić. Nie potrafi sobie wybaczyć.

Sandra westchnęła. Wyglądało na to, że Kerstin ma ważniejsze rzeczy do roboty niż odpowiadanie na pytania Sandry, zadawane dla zabicia czasu.

– O czym jeszcze chciałaś pogadać? – dopytywała Kerstin.

– Zdałam sobie sprawę, że nie wyjaśniłaś mi tego MMS-a, który wysłałaś dziś wieczorem – odparła Sandra.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Chyba nie do końca rozumiem – powiedziała niepewnie Kerstin.

– Tak podejrzewałam. Że wysłałaś go przypadkiem. Było w nim jakieś

zdjęcie przedstawiające coś trudnego do rozpoznania: mogło to być jakies auto czy coś, widziane przez jakąś szparę.

– A, już wiem. Wysłałam go po południu, pewnie koło czwartej. Ale straciłam zasięg po naszej rozmowie. Wiadomość musiała chyba utknąć w cyberprzestrzeni i zostać wysłana dopiero później, kiedy już wróciłam do cywilizacji.

– Bez tekstu, a zdjęcie jest na dodatek kiepskiej jakości. – Sandra się zaśmiała. – Co właściwie chciałaś przez to powiedzieć?

– Nic, to było wołanie o pomoc – skomentowała Kerstin. – Miała to być wskazówka na temat tego, co zaszło. Gdybyśmy nie wróciły.

– Co ty mówisz, Kerstin? Czy przy domku myśliwskim pojawił się ktoś, kto przestraszył cię do tego stopnia, że zwątpiłaś, że uda się wam stamtąd wydostać?

Po drugiej stronie linii zapadła cisza. Sandra słyszała oddech spacerującej Kerstin, jej kroki uderzające o asfalt.

– Halo? – powiedziała. – Co się dzieje?

– Czyli o niczym nie wiesz? – mówiła Kerstin.

– Zaczynam mieć coraz większą jasność. Opowiadaj.

Kerstin postąpiła zgodnie z poleceniem.

– Znalazłam torby i rzuciłam je na trawę, kiedy pojawił się samochód – wyjaśniała. – Zobaczyłam go w ostatniej chwili, święcie przekonana, że mnie zdemaskowano. Kierowca szedł w moją stronę, a ja wstrzymywałam oddech w wychodku. Myślałam, że wybiła moja ostatnia godzina, i wpadłam na pomysł zrobienia zdjęcia przez szparę w drzwiach, a później wysłania go tobie.

– Ale nic się nie stało? – dociekała Sandra.

– Coś się wydarzyło. Jednak wizyta nie miała nic wspólnego z pieniędzmi, czego oczywiście bałam się najbardziej.

- To jaki był jej cel? – głowiła się Sandra.
- Odryglowanie drzwi do piwnicy – odparła Kerstin.
- Tylko tyle? – niedowierzała. – Odryglowanie drzwi?
- Zgadza się.
- Ale po co? – Niecierpliwiła się.

Miała nieodparte wrażenie, że właśnie słucha o czymś niezwykle ważnym, ale za żadne skarby nie potrafiła zrozumieć, o co chodzi.

– Aby wyglądało na to, że chłopiec więziony w ziemiance sam się do niej zabłąkał – stwierdziła Kerstin.

Do Sandry nie docierało, co Kerstin powiedziała, nie udało jej się włożyć tej informacji do właściwej szufladki w mózgu.

- Chłopiec? – powtórzyła głupio.
- Erik – wyjaśniła Kerstin.

Sandra poczuła, jak przyspiesza jej puls i płoną policzki. Co to miało być?

– Mówisz, że Erik był przetrzymywany przy tym domku myśliwskim? I że ktoś przyjechał samochodem, żeby go stamtąd wypuścić?

– Mówię, że ktoś przyjechał, by spreparować dowody i by wyglądało na to, że Erik sam trafił do piwniczki, a później nie mógł się z niej wydostać.

Myśli krążyły Sandrze w głowie. Erik – co on miał wspólnego z poszukiwaniem skarbu w domku myśliwskim?

- Czy on... Czy on był tam zamknięty? – wyjąkała.
- Zamknięto go bez jedzenia i picia – potwierdziła Kerstin. – Porywacz liczył pewnie na to, że po takim czasie już nie będzie żył, ale dzięki wielkim ulewom mógł pić deszczówkę.

– I spośród wszystkich możliwych ludzi akurat ty go uratowałaś?

Niepojęte. Sandra nie rozumiała, jak do tego doszło.

– Znalazłyśmy go razem z Jeanette – uściśliła Kerstin. – Gdyby się nad tym zastanowić, to całkiem logiczne. Hallin nic nie wiedział o pieniądzach, ale zdawał sobie sprawę, że domek myśliwski Petera Norlinga stoi pusty, i na pewno wiedział też o ziemiance.

Sandra starała się przetrwać słowa Kerstin. Chciała ją zasypać pytaniami, jej wdzięczność nie znała granic, a jednak wcześniej tego dnia rozmawiały, nie poruszwszy tematu. A Sandra nie zająknęła się nawet, by jej podziękować.

– Brak mi słów, Kerstin. Nie miałam pojęcia... Dziękuję. Co mogę rzec?

– Każdy postąpiłby tak samo – rzuciła Kerstin.

– Opowiedz mi – poprosiła Sandra. – Chcę poznać każdy szczegół.

Kerstin opowiedziała więc. Zdała dokładną relację od momentu pojawienia się auta na podjeździe do domku. Gdy już skończyła, wciąż pozostawały niedopowiedzenia.

– Czyli twoje niewyraźne zdjęcie jest dowodem przeciwko porywaczowi Erika? – spytała Sandra. – Czy policja o tym wie?

– Mój wygląd przemawia na moją niekorzyść – wyznała Kerstin. – Nie wzięli na poważnie naszych zeznań, a najbardziej by im pasowało, gdybyśmy same stały za zamknięciem Erika. Pokazałam im zdjęcie, ale tak jak przypuszczałam, tylko mnie zbyli.

– A kogo przedstawia fotografia?

– Hallina rzecz jasna – odparła Kerstin z całkowitym przekonaniem. – Ale ponieważ lało i obie się schowałyśmy, żadna z nas nie widziała go zbyt wyraźnie. Jednak co do samochodu mam absolutną pewność, nawet jeśli nie jestem w tej kwestii ekspertem. Powiedziałabym, że było to niebieskie audi. Profesjonaliście chyba udałoby się ulepszyć zdjęcie przy odpowiednich narzędziach?

– Zleciłam to koledze z pracy – powiedziała Sandra.

– Ty też musisz naprowadzić policję na właściwą drogę. Przy domku powinny zostać ślady opon, może też odciski butów. W piwniczce również mogły zostać ślady po porywaczu. Wszystko to powiedziałam policjantom, jednak ich zdaniem brakuje mi wiarygodności.

Kerstin zaśmiała się, wypowiadając te słowa. Może trochę smutno, ale jednak. Choć tego nie podkreśliła, razem z Jeanette uratowała Erikowi życie, a policja odesłała je z kwitkiem, jakby były niedorozwinięte.

– Zasmucające – skwitowała Sandra.

– Słucham?

– Zachowanie policji wobec ciebie i Jeanette jest zasmucające – odrzekła Sandra.

– Nie zrozumiałam, co mówisz – oznajmiła Kerstin. – Tak jakbyś bełkotała. Może masz słaby zasięg?

Sandra spojrzała na kreski w lewym rogu telefonu, było ich cztery. Czy naprawdę bełkotała?

– Mam pełny zasięg.

Cóż, może słowa nie przychodziły jej równie łatwo jak zwykle. A Kerstin tego nie skomentowała. Co jest grane?

– Przyciśnij policję jutro z samego rana – poleciła Kerstin. – Żeby zdążyła zareagować, zanim Hallin wyjedzie z kraju. Musi przecież czuć, jak pętla zaciska mu się wokół szyi. Postaraj się też jak najszybciej dokończyć ostatnie odcinki powieści.

– Tak zrobię – odparła Sandra, zauważając, że rzeczywiście nie brzmi zbyt dobrze. – Dalej bełkoczę?

– Na to mi wygląda – potwierdziła Kerstin. – Wezwij personel.

– Nie mogłabyś tu przyjść? – poprosiła Sandra.

– Nie rozumiem, co mówisz, muszę już kończyć. Jestem pod domem Jeanette.

– Przyjdź tutaj! – poleciła.

Nie miało to zabrzmieć jak rozkaz: chciała raczej wyrazić się jak najprostszymi słowami, żeby ją zrozumiała.

– Sandro, jesteś w szpitalu. Wciśnij guzik alarmowy. Muszę zobaczyć, co u Jeanette, i zostać u niej na noc. Okej?

– Okej – wymamrotała Sandra, dobrze wiedząc, że to, co wyszło z jej ust, nie bardzo przypominało słowo, które starała się powiedzieć.

Życzyła Kerstin powodzenia, ale wątpiła, by ją zrozumiała. Zakończyła rozmowę, po czym bez powodzenia usiłowała schować telefon do kieszeni spodni. Zamiast tego położyła go na kołdrze i wyciągnęła się po przycisk alarmowy, dyndający na sznurku przy wysięgniku – trójkątnym uchwycie zawieszonym nad łóżkiem. Z tym też średnio sobie poradziła, jakby ciało odmówiło jej posłuszeństwa, kiedy tak siedziała, wymachując rękami w powietrzu. Przymknęła jedno oko w naiwnej nadziei, że będzie lepiej widziała kontury, ale stało się inaczej. Wszystkie jej zmysły zupełnie otępiały i czuła po sobie, że jeśli spróbuje się podnieść z łóżka, by zawołać o pomoc, padnie na ziemię jak długa.

Żeby się zabezpieczyć, zamknęła laptop i wsunęła go pod kołdrę w nogach łóżka. Bała się, że przypadkiem strąci go na podłogę, a to nie mogło się zdarzyć. Kolejnym ruchem była próba przesunięcia się o parę kroków w stronę ściany za łóżkiem, do której był przytwierdzony drugi przycisk. Mogła się przytrzymać stolika przy łóżku, ale problem tkwił w tym, że miał kółka, więc mógł odjechać, gdyby spróbowała się o niego oprzeć. Musiała spróbować przejść bez podpórki albo osunąć się na podłogę i podpełznąć.

Na tym trzeba było zakończyć planowanie, bo otworzyły się drzwi, a na ziemię padł długi cień. Zmrużyła oczy, usiłując zatrzymać wzrok na twarzy odwiedzającego. Ten zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się wokół, przypuszczalnie chcąc się upewnić, że zostali sami. Potem sięgnął po wiszące przy ścianie krzesło i je rozłożył, po czym podszedł do Sandry, siedzącej na

łóżku, postawił przed nią krzesło i usiadł. Dopiero wtedy udało jej się skupić wzrok na twarzy przybysza, a kiedy dotarło do niej, do kogo należy, wcale nie poczuła się lepiej.

Katastrofa była nieunikniona. Sandra siedziała zupełnie bezbronna – odurzona, prawdopodobnie otruta. Nie mogło być inaczej, skoro jej zmysły nagle otępiały. Funkcje motoryczne organizmu zaczęły szwankować, podczas gdy mózg wciąż myślał klarownie. A mężczyzną, który pojawił się w drzwiach wtedy, gdy desperacko próbowała skontaktować się ze światem i wyjść cało z tej beznadziejnej sytuacji, był nikt inny jak Hallin.

ROZDZIAŁ 70 | KERSTIN

Przez chwilę stała nieruchomo z telefonem w dłoni. Co się stało Sandrze? Dostała udaru podczas ich rozmowy? Kerstin miała nadzieję, że nie o to chodzi, ale nawet gdyby jakimś trafem tak się stało, chyba nie mogło się to wydarzyć w miejscu lepszym od szpitala w Visby. Tak sobie wmawiała.

Oczywiście pod warunkiem że ktoś został poinformowany o sytuacji. Ale jak już powiedziała Sandrze, wystarczyło tylko wezwać personel. Przycisk alarmowy nigdy nie był umieszczony dalej niż w zasięgu ręki starca z upośledzeniem ruchowym.

Mimo to czuła się nieprzekonana. Chodziło przecież o Sandrę. Sandrę, która była na drodze zdemaskowania na oczach większej części Gotlandii gwałciciela, zbiega z miejsca wypadku, mordercy oraz porywacza w jednej osobie. Sandrę, której syna właśnie usiłowano zamordować i który cudem uniknął śmierci. Czy naprawdę tak trudno było sobie wyobrazić, że oboje wciąż znajdowali się w niebezpieczeństwie, a Sandrę unieszkodliwiono za pomocą jakiegoś leku podanego po prostu w zwiększonej dawce? Skoro chłopiec wciąż żył? Skoro akcja powieści nie zaszła jeszcze dość daleko i wciąż można było zatrzymać jej bieg bez podawania definitywnych odpowiedzi na liczne pytania wielu oddanych czytelników?

Nie, właściwie nie. Sandra jednak przebywała w szpitalu i była w formie na tyle dobrej, by zawiadomić personel. Podczas gdy Kerstin znajdowała się daleko, raczej niezdolna pomóc Sandrze lepiej, niż zrobiliby to pracownicy szpitala.

Jeanette natomiast nie miała żadnego guzika, który mogłaby wcisnąć, w razie gdyby sytuacja wydała się nie do zniesienia. Jeanette miała tylko

jedno koło ratunkowe – w postaci Kerstin, która przyjęła rolę wolontariuszki wbrew woli przyjaciółki i jej złej wiary. Kerstin ogarnęły złe przeczucia. Już wcześniej poznała tę nieustępliwą stronę Jeanette, jej obojętność na innych. Z tego powodu postanowiła na chwilę odłożyć niedolę Sandry na bok, by skupić się na Jeanette.

Z jakiegoś powodu nacisnęła klamkę, zanim zadzwoniła do drzwi. Były otwarte, co bardzo ją zaniepokoiło.

ROZDZIAŁ 71 | JAN

Kiedy wcześniej tego wieczoru usłyszał plumkanie telefonu, na którego ekranie pojawiło się krótkie streszczenie aktualności informujące o odnalezieniu zaginionego chłopca, Jan podjął decyzję. Aby móc się doczekać względnie znośnego życia po nadchodzącym skandalu, pociągającym za sobą karę więzienia, musiał opuścić tonący statek. Miał zamiar popłynąć na stały ląd nocnym promem, nie zwracając na siebie w miarę możliwości uwagi, aby przedostać się do jakiegoś kraju, który nie miał podpisanej ze Szwecją umowy o ekstradycji, i tam zacząć nowe życie. Taki był plan, a Gunilla – która za namową Jana przeczytała wybrane fragmenty powieści – w pełni go wspierała.

Powieść była formą zemsty, tyle Jan zrozumiał. Niezbyt uczciwą, ponieważ chodziło tu o obejście organów ścigania poprzez opisanie wydarzeń z perspektywy domniemanej ofiary, by później osądzić i oczernić wskazanego oprawcę, nie poddając sprawy rozpatrzeniu. Desperacki – choć jednocześnie zrozumiały – krok poczyniony przez osobę, która widziała w sobie ofiarę przestępstwa, a której szanse na uzyskanie prawnego zadośćuczynienia były niewielkie.

Gdyby jednak pozostałe odcinki powieści nie zostały opublikowane, sprawa zyskałaby inne światło. Wówczas nie czekałby go żaden proces, kara więzienia ani oskarżenia o zabójstwo czy porwanie. Nazwiska Hallina nie obrzucono by błotem, a Jan nie musiałby uciekać.

Tej brzytwy chwycił się, kiedy tuż po północy – z największą znaną w garażowej piwnicy walizką – wkroczył przez drzwi wejściowe szpitala i ruszył w stronę wind.

To, że Sandra odebrała swoje przeżycia jako gwałt, było oczywiste, więc Jan musiał pójść na kompromis i wyznać, że jest gwałtcielem. Nie brzmiało to dobrze – jakby było to nagminne zachowanie, chociaż w rzeczywistości chodziło o jedno jedyne spotkanie, które wymknęło się spod kontroli. Nie chciał być gwałtcielem, ale zgodził się z tym, że zgwałcił. Jeden raz. Aby nadać wiarygodności swoim zaprzeczeniom.

Autorka twierdziła, że tamten nieszczęśnik z wąwozu również padł ofiarą przestępstwa. Z tym Jan się nie zgadzał. Dwa samochody jechały na czołówkę po śliskiej jak lód nawierzchni, a jeden z nich stoczył się na dno starego kamieniołomu. Obecnie – ani też w momencie wypadku – nikt nie mógł stwierdzić wyłącznej winy Jana. Jednak to on był nietrzeźwy, on uciekł z miejsca zdarzenia i on nie zadzwonił pod 112. Tych przestępstw był winien, ale nie odpowiadał za spowodowanie śmierci innego człowieka. Przewinienia, które popełnił, nakręcał poroniony system karny – za sam wypadek nie ponosił żadnej odpowiedzialności.

Sandra wypluwała niesprawiedliwe i mylne oskarżenia w kierunku Jana, a na to nie mógł pozwolić. Dlatego zaraz potem wkroczył do sali, w której – jak mu było wiadomo – leżał chłopiec. Postawił walizkę przy drzwiach, które za sobą zamknął, i usiadł na krześle dla odwiedzających, ustawivszy je wyzywająco blisko postaci skulonej na łóżku.

ROZDZIAŁ 72 | SANDRA

– Będę się streszczał – powiedział Hallin. – Nie chcę, żebyś publikowała kolejne odcinki tej powieści.

Mało zaskakująco – Jan Hallin nie życzył sobie, by jego wykroczenia zostały opisane w sposób pozwalający ludziom zaangażować się na poważnie, wczuwać się w cierpienie ofiar oraz oceniać postęпки sprawcy. Sandra nie ośmielała się, ale też nie potrafiła nic odpowiedzieć – siedziała tylko na łóżku w oczekiwaniu na jego kolejny ruch.

– Na pewno masz tego świadomość – ciągnął – ale i tak chciałbym jasno powiedzieć, że tak naprawdę zostałem tutaj napiętnowany publicznie wyłącznie dlatego, że tak ci pasuje. Twierdzę, że nadużywasz swojej pozycji, by opisać historię gwałciciela i uciekiniera w prasie.

Hallin miał w zasadzie trochę racji, ale szkopał w tym, że chodziło o znacznie gorsze przestępstwa, które pozostałyby niewyjaśnione, gdyby Sandra w taki sposób nie udowodniła, że wszystko się ze sobą łączy. Z czym policja nigdy by sobie nie poradziła na własną rękę. Poza tym nie wydała Hallina prasie, bo żaden szczegół dotyczący jego osoby nie był zgodny z rzeczywistością. Dziwnym trafem zdawało się, jakby czytał jej w myślach.

– Wiem, że nie wymieniłaś mnie ani innych zamieszanych z imienia i nazwiska. Wyobrażam sobie też, że traktujesz książkę jako obszerne zgłoszenie na policję. Sprytnie z twojej strony, budzisz spore zainteresowanie sprawą, a może powinienem powiedzieć: sprawami. Ludzie będą śledzić rozwój wydarzeń i sami wpadną na to, kto jest kim. Zostanę osądzony w ich oczach szczególnie surowo, ponieważ zaangażowałaś ich w opisywane wydarzenia tak dalece. Dlatego błagam cię, Sandro. Pozwól, że wszystko ci

wynagrodzę, ale nie niszczy mi życia.

– To robisz zupełnie sam. – Sandra nie mogła się powstrzymać od riposty. Słowa wypowiadała wolno, akcentując każde z nich w nadziei, że przesłanie do niego dotrze, choć mówiła, jakby miała kluchy w ustach.

Hallin zmarszczył czoło, spoglądając na nią nieufnie.

– Przyznaję się do gwałtu – wypalił nieoczekiwanie. – Proszę o wybaczenie, wstydzę się tego ohydneho postępku. Gotów jestem spłacać żądane alimenty i trzymać się od chłopca z daleka, jeśli tego chcesz. Zakończ tylko tę powieść, napisz w ostatnich odcinkach coś, co się ludziom spodoba, bez nawiązywania do rzeczywistości. Biorę na siebie ucieczkę z miejsca wypadku, jeśli to dla ciebie ważne, ale nie zmuszaj mnie do stawania pod pręgierzem jako gwałciciel, kiedy chodziło o jeden jedyny raz, jedno zdarzenie. Przynajmniej nadaj mi ludzkich cech.

Ostatnie zdanie wypowiedział pochylony w przód, spoglądając jej prosto w oczy i lekko pukając pięścią w zamknięty komputer w nogach łóżka. Udało mu się go wyniuchać, mimo że schowała go pod kołdrę. Sandra wybałuszyła oczy w przestraszu, potrząsając głową w swego rodzaju proteście przeciw temu, co – jak pokazał – mógł i prawdopodobnie zamierzał zrobić.

– Nadaj mi chociaż ludzkie cechy, do cholery – zaczął znów błagać. – Mogę cię zresztą poinformować, że powinnaś się porządnie zastanowić nad tym, co chcesz opublikować również ze względu na siebie. Bo całkiem sporo rzeczy źle zrozumiałaś. Powiedziałbym nawet: te ważniejsze kwestie. Stracisz całą wiarygodność, jeśli będziesz w to brnęła.

– Brnęła w co? – zastanawiała się na głos Sandra, napotykając jego przerażone spojrzenie.

– W to, że zamordowałem Petera Norlinga. Zakopałem go. Że miałbym wysyłać kwiaty pogrzebowe i uszkodzić system hamulcowy w twoim aucie, porwać dziecko. Czy zamysł był taki, żeby umarł? Nic nie wiedząc, zgaduję, że właśnie tak. Ja miałbym usiłować zabić trzylatka? Swojego własnego syna? Mogę stanowczo powiedzieć, Sandro, że tak nie było.

– Czyli kto miałby to zrobić? – spytała, siląc się na szyderczy uśmiech.

– Przepraszam, nie rozumiem, co powiedziałaś – odparł Hallin.

– Kto? – powtórzyła Sandra niewyraźnie.

– Kto w takim razie za tym stoi? – dopowiedział Hallin pełen podejrzeń. – Mogłaś być uprzejma się tego dowiedzieć, zanim zaczęłaś pisać tę swoją przeklętą powieść.

Sandrze pociemniało przed oczami, nie miała pewności, czy to z powodu trucizny, czy strachu przed tym, co ów człowiek mógł z nią zrobić.

– Kto jest winny? – naciskała Sandra, która nie widziała już swojego rozmówcy.

– Co mówisz? Co się z tobą dzieje?

Straciła już równowagę i runęła na łóżko, nie mając sił na dalsze gierki.

– Co z tobą, Sandro?! – wołał Hallin, który podniósł się i chwycił ją za ramiona. – Co się dzieje, do cholery?

Sandra nie była już w stanie się komunikować, ale to bez znaczenia. Nie potrafiła już obronić synka ani siebie samej przed niebezpieczeństwem, a komputera miała już nigdy więcej nie zobaczyć. O ile w ogóle jeszcze kiedyś się obudzi, co nie wydawało się zbyt prawdopodobne.

Zamknęła oczy, odpływając w ciemność.

ROZDZIAŁ 73 | KERSTIN

Jeanette leżała w łóżku i wyglądała na dziwnie spokojną, niemal szczęśliwą. Może ze względu na przekonanie, że tym razem jej się uda, bo wystraszyła Kerstin na tyle skutecznie, że tej nocy mogła sobie spokojnie umierać. Jeanette się myliła, ale Kerstin nie miała zamiaru brać do siebie jej ostrych słów, a ich gorzki posmak utrzymywał się już zbyt długo. Dlatego stała nad nią, wpatrzona w ciało swojej najlepszej przyjaciółki, swojego największego wroga, a łzy spływały jej po policzkach.

Mogła oczywiście temu zapobiec, gdyby tylko była bardziej gruboskórna, lepsza w analizowaniu zachowań swoich najbliższych i mniej przejmowała się, jak ją odbierano. Ale takie było życzenie Jeanette – przestać istnieć – więc pewnie trzeba to uszanować. Jeanette nic nikomu nie była winna, nie posiadała już rodziny ani bliskich, wobec których miałaby zobowiązania moralne. Kerstin i pozostali przyjaciele z ławek byli w jej życiu statystami. Była kowalem swojego losu, zupełnie beznadziejnym, niezdolna stać się częścią wspólnoty i niepotrafiąca odczuwać nieudawanego szczęścia. Radości Jeanette pozostały w przeszłości, a ona nie chciała tego zmieniać.

Kerstin pogładziła ją po policzku, wytarła własną łzę, która spadła na twarz przyjaciółki. Uniosła kawałek kołdry, Jeanette była piękna. Przebrała się, odkąd się widziały po raz ostatni kilka godzin wcześniej, miała na sobie białe dzinsy i bluzkę bez rękawów w białe i niebieskie paski. Pokój był ładnie posprzątany, a Kerstin czuła wdzięczność, że Jeanette postanowiła zakończyć życie, zasnawszy w łóżku, a nie zwisając na haku pod sufitem albo zanurzona w wannie z wodą, co byłoby trudniejsze dla tego, kto by ją znalazł.

Kerstin przeczesła dłonią grzywkę Jeanette, poprawiła kołdrę i wyszła z sypialni. Tak naprawdę chciała osunąć się na podłogę i dać upust łzom, ale

zamiast tego przełknęła kilka razy ślinę, wytarła nos i weszła do kuchni z głębokim westchnieniem, wyrażającym zwątpienie. Jeanette odeszła, a wraz z nią zakończyła się cała epoka.

Zamglone spojrzenie Kerstin zatrzymało się na stole, na którym Jeanette zostawiła swój telefon. Obok niego leżała koperta opisana „Dla Kerstin Barbenius”. W pierwszej reakcji chciała ją włożyć do kieszeni kurtki i zachować na później, ale po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że nie ma co tego odkładać. Potarła oczy zaciśniętymi pięściami, otworzyła kopertę kciukiem i wyciągnęła z niej odręcznie napisany list.

Matko!

Zakładam, że pierwsza dotarłaś na miejsce, przykro mi, że napotykasz ten widok. Zdaje mi się, że dziś jest dobra okazja na ten krok. Dokładnie jak wcześniej powiedziałaś, miałam olbrzymie szczęście, że Cię poznałam, a dzięki temu mogłam Ci się wytłumaczyć i przeprosić za swoje niewybaczalne czyny z przeszłości. Mówisz, że mi wybaczyłaś, a to pewnie niemal zupełnie zgodne z prawdą. Jestem Ci za to wdzięczna, ale jak wiesz, ja nie potrafię sobie wybaczyć. Może nie umiem, może nie chcę, ale jedno wiem – nie mam ochoty żyć. Chcę, by w moim życiu była Charlotte, a może i Peter.

Prawda wygląda tak, że jestem zbyt leniwa, by dalej żyć. Nie jestem w stanie budować bliskich relacji, nie mam siły wierzyć, że w przyszłości nadarzy się ku temu okazja.

Miłość. Nadzieja.

Radość życia.

Cóż, sama widzisz, jak obco te słowa brzmią w moich ustach. Tego jednak Wam życzę, bo nigdy nie straciliście wiary we mnie. Ty, Lubbe, Jimmy, Kattis i reszta. Pewnie traktujecie siebie jako moich przyjaciół, ale ja nie mam żadnych przyjaciół i nie jestem niczyją przyjaciółką.

Dzięki, że próbowaliście.

Przepraszam, że ja nie.

Nie żałujcie mnie, bo ja nikogo nie kocham.

Pozdrawiam

Jeanette

PS: Telefon jest dla Ciebie. Są w nim zdjęcia wypadku. Użyj ich mądrze.

Tekst był osobliwie pozbawiony czułości, szczery w swojej nagości. Jeanette chciała podziękować i przeprosić, a nie dawać im złudzenia o tym, że cokolwiek dla niej znaczyli. Zostawiła za sobą życie pozbawione miłości, a co za tym idzie, również sensu, ale przynajmniej już nie cierpiała.

Kerstin oderwała kawałek ręcznika papierowego z rolki na blacie kuchennym i otarła łzy, zanim zadzwoniła pod numer alarmowy.

ROZDZIAŁ 74 | JAN

Stał i patrzył na swoją nieprzytomną antagonistkę, rozważając, jak ma się zachować w tej sytuacji. Można to nazwać piłką meczową – jedyne, co Jan musiał zrobić, to wziąć komputer pod pachę i stamtąd odejść. Wówczas wszystkie jego problemy zniknęłyby jak ręką odjął, a życie znów wróciłoby do normy. Co zresztą było początkowym zamysłem tej wizyty.

Nie bez wyrzutów stwierdził, że Sandra oskarżyła go o porwanie dziecka oraz usiłowanie zabójstwa. Najgorsze, że Jan rzeczywiście mógł coś na tym ugrać, gdyby chłopak Sandry przestał istnieć. Wymigałby się od dochodzenia w sprawie o ustalenie ojcostwa, kwestii alimentów, oskarżeń o gwałt oraz podejrzeń co do zamieszania w ucieczkę z miejsca wypadku. Razem z dzieckiem zniknęłaby cała reszta, a Sandra mogła zostać sobie ze swoją powieścią i pomówieniami, ale niczego nie można by udowodnić.

Chłopiec jednak się odnalazł, ale to życie Sandry zdawało się wisieć na włosku. Co w gruncie rzeczy odpowiadało Janowi jeszcze bardziej niż zniknięcie jej komputera. Policja zaczęłaby się wówczas interesować historią Sandry, Jan nie stałby się obiektem dochodzenia. Piękna fasada, którą rodzina Hallinów zdołała utrzymać tak długo, miałaby zostać nienaruszona, podobnie jak znakomita reputacja Jana i jego małżonki. Rodzina by na tym nie ucierpiała, ucięto by plotki, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami.

W nogach łóżka rozległ się plumkający dźwięk, który wyrwał Jana z zamyślenia. Mężczyzna podniósł koc, wyjął spod niego laptop i otworzył go. Interesował go oczywiście tekst książki, a nie nowy e-mail, jednak odruchowo go otworzył. Na ekranie pojawiło się kilka zdjęć przedstawiających samochód, jakąś osobę i zbliżenie jej twarzy.

Nie było jakiej twarzy.

E-mail z pytaniem: „Czy to ma związek z porwaniem Erika?” nadesłał ktoś z „Gotlands Allehandy”. Jan zaczął nerwowo łapać oddech, stojąc jak słup soli. Oczywiście, że tak, przyznał w duchu. Jak mogło to umknąć jego uwadze?

Ta twarz należała do Gunilli.

Sandra leżała zupełnie nieprzytomna, może nawet umierająca, a on stał nad nią z komputerem w rękach.

Co ma teraz zrobić?

ROZDZIAŁ 75 | SANDRA

Gdy się obudziła, w sali panowały ciemności, ale skądś sączyła się do środka strużka światła dziennego. Leżała w łóżku przykryta kołdrą i wyczuła, że pod stopami ma tylko pustkę. Ten skurwysyn wykorzystał sytuację, ukradł jej komputer i się zmył. Nie udało mu się jej przekonać, więc pozostawało mu tylko zastosować stary chwyt: popełnić kolejne przestępstwo, żeby uniknąć oskarżeń co do wcześniejszych.

Znów przymknęła oczy, próbując sobie przypomnieć przebieg rozmowy oraz jej zakończenie. Jedyne, co utkwilo jej w pamięci, to jak bardzo chciał ją uciszyć, insynuując, że może w każdej chwili skonfiskować jej komputer, a tym samym również tekst, który go tak rozwścieczył.

Powoli zaczęło do niej docierać również coś innego, znacznie gorszego, co zaszło w nocy. Czyżby się rozchorowała? Dlaczego w przeciwnym razie miałyby leżeć w łóżku w środku dnia? Odurzył ją, żeby dobrać się do laptopa? Próbował ją zabić? Jaki właściwie cel miała jego wizyta?

Nie przypominała sobie żadnego zamieszania. Pamiętała jednak, że napiła się soku borówkowego, przywołującego wspomnienia z dzieciństwa. Głęboki sen Erika, bijący z niego spokój i jego miarowy oddech.

Erik! Pomyślała naraz. Jak on się czuje? Czy Hallin znów go skrzywdził? Poderwała się na łóżku, rozglądając się wokoło w przerażeniu. Sala wyglądała inaczej – spało w niej więcej osób, ale nie Erik. Gdzie on jest? Instynktownie sięgnęła po czerwony przycisk alarmowy. Zauważyła, że podłączono jej kable, a jej stan zdrowia jest monitorowany przez maszyny. Znów przyłożyła głowę do poduszki, usiłując uporządkować zagmatwane myśli.

Przypomniała sobie przerażony wzrok Hallina. Jak złapał ją za ramiona i zaczął coś wykrzykiwać. Może w desperacji targnął się na Erika i na nią samą? Łzy napłynęły jej do oczu, ale zanim ktokolwiek odpowiedział na wysłany przez nią sygnał o pomoc, znów pogrążyła się we śnie.

ROZDZIAŁ 76 | JAN

Wzeszło już słońce, a Jan wciąż jeszcze nie zmrużył oka. Złość i zmieszanie po wstrząsającym odkryciu sprawiły, że puls dudnił mu w skroniach, a stres nie chciał odpuścić. Chodził tam i z powrotem, usiłując uporządkować tysiące myśli, które kłębiły mu się w głowie.

Chłopczyk, myślał. Fakt, że Erik się odnalazł, nie działał na jego korzyść, ale tak naprawdę nie życzył śmierci małemu dziecku. To, co wyglądało na otrucie, zagrażające zdrowiu Sandry, było natomiast na rękę jemu i jego żonie, dla której piękna fasada i poważanie liczyły się jeszcze bardziej. Żonie, która wcześniej tego samego dnia pocieszała go przez telefon, wspierając całym sercem pomysł ucieczki od spodziewanych plotek i zniknięcia z Gotlandii, ze Szwecji. Zapadnięcie się Jana pod ziemię z pewnością odebrano by jako przyznanie się do winy, co zresztą było zgodne z prawdą, ale nie w kwestii zabójstwa oraz porwania. Takie posunięcie odwróciłoby jednak z pewnością uwagę od tego, kto w rzeczywistości stał za naprawdę ciężkimi przestępstwami:

Żony, która ratowała własną skórę, kiedy podejrzenia wobec Jana zaczęły się piętrzyć. Która niepostrzeżenie manipulowała nim już u zarodka tej historii, okazując pozorne wsparcie, choć tak naprawdę dbała o jedno: honor rodziny. A także wygodne życie, jakie prowadzili.

To nie ze względu na Jana tak bezwzględnie usuwała przeszkody stojące na drodze ich dobrobytu. Mogło się tak wydawać na pierwszy rzut oka, ale zaczynał dostrzegać coraz wyraźniej, że kobieta, z którą zdecydował się wspólnie przejść przez życie, była gotowa posunąć się w zasadzie do wszystkiego, aby zachować pozory oraz żyć w dostatku. Dosłownie szła po trupach, a teraz – po raz pierwszy po tych wszystkich latach – zobaczył swoją

małżonkę w nowym, mniej korzystnym świetle.

Gunilla utwierdziła go w przekonaniu, że dobrze postąpił, nie schodząc na dno przepaści. Jan odebrał to w ten sposób, że zamiast go obwiniać, okazała mu wsparcie w sytuacji niemożliwej do odwrócenia. Jednak kiedy przyszło co do czego, ucieczka z miejsca wypadku musiała jej bardziej odpowiadać niż zadzwonienie po pomoc. On natomiast całkiem szybko doszedł do innych wniosków, bo gryzło go sumienie, ale wtedy było już za późno.

Gdy w porze kolacji list z szantażem wylądował na blacie kuchennym, Gunilla nie przystąpiła od razu do konfrontacji, mimo że jego reakcja – wnosząc po jej spojrzeniu – budziła podejrzenia. Dała mu odejść z listem do gabinetu, zanim zaczęła go lustrować, nie dbając o jedzenie, które stygło na kuchence. Widziała, że czaił się z tymi zdjęciami, i zażądała wyjaśnień. Okazało się, że zdążyła już wyciągnąć pewne wnioski co do wydarzeń tamtego dnia, i kiedy Jan zaczął jej opowiadać wszystko, co zaszło, była nastawiona na rozwiązanie problemu, a nie zasypywanie go wyrzutami.

„Zastanów się – podjudzała. – Skoro tamta dziewczyna nie mogła zrobić zdjęć, to musiał za tym stać ktoś inny. Zastanów się”. Akurat z tym Jan poradził sobie sam, na długo przed przyjściem Gunilli. Opisał wspomnienie samochodu firmowego Petera Norlinga na małym leśnym dukcie nad wąwozem. Oraz moment, kiedy dotarło do niego, że Norling najprawdopodobniej go szantażował, grożąc pójściem z tymi zdjęciami na policję i oskarżeniem Jana co najmniej o ucieczkę z miejsca wypadku. Jeżeli nie otrzyma sześciu milionów koron.

Teraz wyszło na jaw – to znaczy, jeśli wierzyć powieści Sandry – że Peter Norling rzeczywiście znalazł się nad kamieniołomem i był świadkiem wypadku, ale nie ponosił odpowiedzialności za próbę szantażu. Niemniej zniknął po czterech dniach, a wraz z nim – zagrożenie. Dla Jana – który nie wpadł na nic lepszego, jak tylko liczyć, że jakoś to będzie, załamując ręce w oczekiwaniu na katastrofę – było to niezwykle korzystne. Takie zachowanie było Gunilli obce, co Jan powinien był zrozumieć już wówczas. A jednak, w swojej naiwności, nigdy nie traktował ewentualności, że on może

trafić do więzienia za gwałt, ucieczkę i inne, jako zmartwienie Gunilli. Widział w tym raczej własny problem.

Dopiero teraz żona ukazała mu się w innym świetle. Wyraźnie zobaczył, jak wyłania się z cienia na parkingu pod PN Auto. Nieprzeparta Gunilla, która – kiedy Norling wyszedł z warsztatu na obiad – przekonała go, aby wsiadł do jej samochodu i pojechał razem z nią na południe, do miejsca, gdzie zepsuł jej się quad, który pożyczyła mieszkającemu w domu nieopodal synowi. Czarująca Gunilla, która mimo bezczelnego najścia i upływu czasu potrafiła go utrzymać w wysmienitym humorze aż do samego Digerrojr. Mało tego, jakimś cudem zdołała wyłączyć jego telefon. Albo go zniszczyć. Nieugięta Gunilla, która podstępem zwabiła go do lasu, w którym wcześniej został wykopany dół, gdzie może i stał wspomniany quad – a może i nie – nawet jeśli z pewnością był on pretekstem, pod którym go tam zaciągnęła. Bezkompromisowa Gunilla, która przyłożyła mu łopatą w głowę w najmniej oczekiwanym momencie. Która używając całej siły, powtarzała ruch, ile tylko razy było trzeba, aby jej życie toczyło się dalej jak zwykle. W wyniku czego Peter Norling wpadł do przygotowanego grobu – albo mu w tym pomogła – i tak też zniknął.

Okropne. Fakt, że kobieta, którą Jan poślubił przeszło dwadzieścia pięć lat temu, była zdolna do podobnych czynów, zupełnie go zaskoczył. Okazało się, że ani trochę jej nie zna, podczas gdy Gunilla wiedziała o nim więcej niż on sam. Wyprowadziła go w pole, a on niczego nie zauważył. Udawała, żeby nakierować go na myśli, które dokładnie sobie zaplanowała.

Kiedy ostatnio przy śniadaniu czytali w gazecie, że ciało Petera Norlinga zostało odnalezione, Jana nieszczególnie to poruszyło. Facet zaginął już dawno, a Jan nie przepadał za nim za życia – po co więc być hipokrytą? Gunillą natomiast bardzo to wstrząsnęło. Podzieliła się z nim przemyśleniami o tym, że próba szantażu wprawdzie nie była jego najlepszym zagranieniem, ale takiego losu nie życzyłaby nawet największemu wrogowi. Nie wspominając już o tych, którzy cierpieli po jego śmierci. Brutalne morderstwo z premedytacją i to akurat na Gotlandii – co się dzieje ze światem?

Po niespodziewanej wizycie Sandry Gunilla płakała rozczarowana z powodu nieszczęścia, jakie ściągnął na nich Jan, robiła mu wyrzuty o to, że ubliża Sandrze, kiedy o niej mówił, że nie okazuje jej należytego szacunku. Sprawiała wówczas wrażenie, że współczuje dziewczynie mimo jego zdrady, chociaż teraz miał już jasność, że była wobec niej bardziej wyrachowana niż on: jeszcze bardziej ją oceniała i potępiała. Sandra rzucała mianowicie Gunilli kłody pod nogi, a to było nie do przyjęcia.

Hallinowie nie mogli się okryć hańbą, a duże, niespodziewane wydatki w domowym budżecie nie były mile widziane. Co do tej kwestii pan i pani Hallin byli raczej zgodni, jednak potencjalne rozwiązania, jakie znajdowali dla tego problemu, diametralnie się od siebie różniły. Jan z reguły uchylał się od odpowiedzialności w nadziei, że wszystko samo się rozwiąże, jeśli tylko odburknie swoje „nie” oraz wystarczająco jasno wyrazi pogardę dla żebraków, materialistek i innych ujmujących osobowości, którymi można by nazwać ludzi podobnych do Sandry.

Gunilla natomiast porwała trzylatka. W jakim celu? zadawał sobie pytanie. Widocznie z zamiarem pozbycia się chłopca. Musiały jej przyjść do głowy mniej więcej te same myśli co jemu, jednak z tą niemałą różnicą, że ona zabrała się do wyeliminowania dziecka dosłownie.

Kobiecie musiało być łatwiej niż mężczyźnie opuścić las Furulundsskogen z dzieckiem w ramionach. Jeśli na dodatek spało, było wątpliwe, by ktoś obcy zwrócił na nich uwagę. Erik zapewne oddalił się od grupy przedszkolnej, zostawiając Gunilli pole do popisu, czego właśnie potrzebowała. Szybki zastrzyk z narkozą, czy czego tam wymagała sytuacja – pielęgniarka mogła przy odrobinie fantazji załatwić to bez trudu. Potem musiała stamtąd odjechać niezauważona, a nie warto nawet spekulować, na co go później naraziła. Nie liczyła się jednak z małym szczegółem – że chłopiec zostanie odnaleziony. „Wyczerpany, ale przy życiu”, jak trąbiły media – co to znaczy? Czy mały cudownie przeżył próbę zabójstwa? Dobił do brzegu na plażę? Wyskoczył z płonącego budynku? Wydostał się z zamknięcia bądź przeżył zażycie za dużej dawki jakiegoś środka

klasyfikowanego jako narkotyk?

To ostatnie leżało niewątpliwie w zasięgu ręki, nawet jeśli dla Gunilli oznaczałoby to skierowanie podejrzeń na osobę zatrudnioną w służbie zdrowia, a przez to na nią samą. Zapewne jednak nikt nie podejrzewałby pielęgniarki darzonej uznaniem wszędzie, gdzie tylko się pojawiła. Jeśli znaleziono by ślady po Eriku w samochodzie lub na innych przedmiotach należących do Hallinów, posądzono by Jana. Zrobiłaby tak również Gunilla, jak się można domyślać, choć przeprowadziłaby to na pewno w skrupulatnie zaplanowany i dyskretny sposób. Patrząc na to z zewnątrz, wyglądałoby to, jakby próbowała za wszelką cenę oczyścić męża ze stawianych mu oskarżeń, ale skrycie działałaby w innym kierunku. Sprawa była już i tak przegrana, wybuchłby skandal z ich rodziną w roli głównej, a Gunilla ani myślała dać się w to wmieszać. Jego planowaną ucieczkę wsparła jedynie dlatego, że akurat była jej na rękę.

Podsumowując, Gunilla bez wątpienia miała dużą siłę sprawczą, a ta jej cecha była mu znana. Zadziwiła go natomiast jej chęć podejmowania ryzyka. Nad całym procederem porwania chłopca ciążyło olbrzymie ryzyko. Sama kradzież leku z oddziału szpitalnego wiązała się z poważnym niebezpieczeństwem, ale Gunilla pewnie dopilnowała, by podejrzenia skierowano w inną stronę albo podawała pacjentom płyn fizjologiczny lub w ogóle nie podawała niczego, zachowując dla siebie przepisane im medykamenty.

Petera Norlinga zgarnęła z parkingu pod jego pracą i miała szczęście, że nikt jej nie zauważył. Nikt nie zwrócił też na nich uwagi, kiedy wyjeżdżali z miasta jej autem – jej oraz Jana – i pojechali aż do Garde. Gdzie prawdopodobnie stał zaparkowany quad Hallinów i gdzie Gunilla wykopała dół wielkości grobu. Mogła być obserwowana. Ktoś mógł zauważyć zaparkowany samochód. Najwidoczniej wcale jej to nie odstraszało.

Jan przeżył najwyraźniej blisko trzydzieści lat z psychopatką. Jak, do diaska, mógł to przeoczyć? Uratowała go jednak w paru naprawdę ciężkich sytuacjach – temu nie mógł zaprzeczyć.

ROZDZIAŁ 77 | SANDRA

Obudziła się w innej sali, inaczej oświetlonej. Mógł w niej leżeć Erik, ale nie potrafiła się podnieść, żeby się upewnić. Po części dlatego, że w jakiś dziwny sposób opuściły ją siły, a po części, bo truchlała na myśl, że może znów go przy niej nie być. To prawdziwe przeżycie czy może coś jej się przyśniło? Sandra nie ośmielała się spekulować, czuła się zupełnie skołowana i oderwana od rzeczywistości, więc znów zamknęła oczy.

Ktoś dotknął jej przedramienia. Miętko, łagodnie, nie stawiając żadnych oczekiwań. Lekko odwróciła głowę i w pierwszej chwili zobaczyła tylko parę okularów, na których widok aż się wzdrygnęła. Dziwna reakcja, zważywszy na to, że siedziały na nosie jej matki.

– Kochanie – powiedziała – wreszcie się obudziłaś.

– Co ty tutaj robisz? – spytała głupio Sandra. – Gdzie Erik?

– Erik je z dziadkiem obiad w świetlicy.

– Czyli wszystko z nim dobrze?

– Czuje się doskonale. – Matka się uśmiechnęła. – Bardziej niepokoiłiśmy się o ciebie.

– Ale dlaczego? – Niecierpliwiła się. – Co się właściwie stało?

– Jakimś cudem miałaś w organizmie dużą dawkę jakiegoś leku, wciąż nie są pewni jakiego, ale może chodzić o rohypnol lub jego odpowiednik. Straciłaś przytomność i musieli ci zrobić płukanie żołądka. Nic nie pamiętasz?

– Pamiętam, że obudziłam się w innej sali. – Sandra zawahała się, niepewna, czy wspomnienia zgadzały się z rzeczywistością.

– To była sala pooperacyjna na OIOM-ie. Monitorowali cię tam przez wiele godzin. Nic już nie czujesz?

– Czuję się jak zwykle, z tym że boli mnie gardło.

– To przez płukanie żołądka. Włożyli ci rurę.

– Zaczęłam bełkotać – przypomniała sobie Sandra. – Rozmawiałam przez telefon ze swoją koleżanką Kerstin, ale nie rozumiała, co do niej mówię.

– Rano była tu jakaś Kerstin – oznajmiła matka z dziwnym wyrazem twarzy. – Chciała sprawdzić, czy wszystko z tobą w porządku. Tak powiedziała. Ale nie wyglądała na... kogoś z twoich przyjaciół.

Sandra nie skomentowała tego osądu z kilku powodów. Jednym z nich był fakt, że nigdy nie spotkała Kerstin.

– Najważniejsze, że miałaś odwiedziny, kiedy straciłaś przytomność.

– To chyba on... – mówiła Sandra. Przerwała jednak, bo na dobrą sprawę nic nie wiedziała.

– To on zaczął bić na alarm – poinformowała matka. – Gdyby nie on, pewnie już byś nie żyła.

Sandra nie wierzyła własnym uszom. Hallin? Co zrobił? Oprócz kradzieży jej komputera, a to było najgorsze, co mogło ją spotkać.

– Był najwyraźniej przerażony i poruszył niebo i ziemię z twojego powodu. Sprawił, że zewsząd zaczął nadbiegać personel, a lekarz dyżurny pojawił się zaledwie po paru minutach. Twierdził, że życie twoje oraz Erika jest w niebezpieczeństwie, przekonany, że próbowano cię otruć i nieświadomie przedawkowałaś jakiś lek, więc natychmiast muszą ci zrobić płukanie żołądka. Wezwał policję, a potem nalegał na całodobową ochronę sali i na przeanalizowanie zawartości obu szklanek. Najwyraźniej wydał też polecenie, żeby zadzwonili po mnie i tatę.

– I...? – dociekała Sandra.

Bardzo trudno było jej przyjąć to, co właśnie opowiedziała jej matka.

Zwyczajnie jej się to nie kleiło, całkowicie przeczyło logice. Hallin miałby strzelić sobie w kolano, ratując jej życie, zamiast je odebrać? Po zlikwidowaniu Petera Norlinga z zimną krwią, a także po próbie zabicia Erika? Czyżby coś jej umknęło?

– I tak też się stało – streszczała matka. – Wszystkim tu pokierował, a później zniknął. Zanim przyjechała policja. Nikt też nie dowiedział się, kim jest. Ale może ty mi powiesz?

Musiała się nad tym zastanowić, nie było to takie łatwe, jak się wydawało.

– Właściwie nic nie pamiętam – odparła, koniec końców tylko trochę mijając się z prawdą.

– Jeszcze ci się przypomni, zobaczysz – uspokajała matka, przeciągając dwoma palcami po jej policzku.

– Mój komputer...? – zaczęła Sandra, nastawiając się na najgorsze.

– Jest w twojej zamkniętej szafce – oznajmiła matka, wyciągając kluczyk. – Przynieść ci?

– Jeśli możesz – powiedziała, choć nie miała większej nadziei, że znajdzie w nim swój tekst.

Myliła się jednak. Duży plik był tam, gdzie powinien, nieopublikowana jeszcze treść wyglądała na nieruszoną. Z jednym małym dopiskiem na końcu: „Obejrzyj zdjęcia w skrzynce odbiorczej i wspomnij moje słowa: groźby, zabójstwa i porwania nie są w moim stylu. Jak już mówiłem, byłbym wdzięczny, gdybyś nadała mi ludzkie cechy. Wracaj do zdrowia”.

Ta część o ludzkich cechach zaczynała jej się kojarzyć. Dochodziło to do niej powoli. Wybiórcze wspomnienia minut poprzedzających utratę przytomności: postać Hallina przy brzegu jej łóżka, jego nieoczekiwane przyznanie się do gwałtu oraz obietnica zadośćuczynienia, a także życzenie, by nie został opisany jako potwór. Sandra pamiętała również, że obwinił ją o nadużywanie autorytetu, dementując jednocześnie najcięższe przewinienia w całym tym splocie zdarzeń.

Czy to mogła być prawda? Że Sandra i może Erik też wciąż żyli dzięki znienawidzonemu Hallinowi? Że wbrew wszystkim negatywnym konsekwencjom, jakie mogłoby to za sobą pociągnąć, zdecydował się nie pozbywać tekstu ani też Sandry? Lekko mówiąc, było to nieoczekiwane zakończenie jego roli w tym rozwlekłym dramacie. Pytanie, czy jemu samemu nie udało się przez to zaradzić swoim największym obawom. Że działaniami w minioną noc udowodnił, że ma ludzkie cechy, a wręcz jest zdolny do samopoświęcenia.

Sandra zostawiła wiadomość Hallina w tekście, zamknęła dokument i otworzyła aplikację poczty elektronicznej. W skrzynce odbiorczej widniało kilka nowych e-maili, ale tylko jeden od kolegi, z którym skontaktowała się minionej nocy. Załączone było do niego parę zdjęć. Jako pierwsze pojawiło się to samo, które Kerstin zrobiła przy domku myśliwskim Norlinga, ale znacznie ulepszone. Zdjęcie zrobiło się wyraźne, bez wątplenia przedstawiało niebieskie audi. Z ułewy wyłaniała się postać: chuda, z opadającymi ramionami, najpewniej kobieta, raczej wykluczone, by był to zdecydowanie szerszej postury Hallin.

Kolejna fotografia była powiększeniem tablicy rejestracyjnej samochodu. Sandra nie rozpoznała numerów, ale naprowadziłyby bez problemu na właściciela pojazdu.

Trzecie zdjęcie przedstawiało ludzką sylwetkę z bliska, kobietę, bez dwóch zdań, czwarte zaś było zbliżeniem jej twarzy. Nadal bez wyraźnych konturów i trochę przesłoniętą deszczem, ale jednak znajomą. Nie ulegało już wątpliwości, kto poluzował skobel u drzwi do ziemianki, w której przetrzymywano Erika.

Jan Hallin był najwyraźniej niewinny, a w końcu okazało się, że to jego żona przez cały czas była gotowa pójść o krok dalej, aby tylko chronić swój status społeczny oraz dobrze wypolerowaną fasadę. Dokładnie jak Hallin próbował jej wytłumaczyć, przypomniawszy sobie Sandra, jej „przeklęta powieść” – jak to ujął – wskazywała niewłaściwą osobę.

Z pamięci odgrzebała również, kto podał jej sok borówkowy. Gdyby zdjąć z tamtej dziwnej pielęgniarki staromodne okulary i – co teraz rozumiała – perukę, wyglądałaby bardzo podobnie do Gunilli Hallin. Pracowała jako pielęgniarka – Sandra przecież o tym wiedziała, a mimo to była tak zaślepiona, że nie zauważyła od razu związku między podupadnięciem na zdrowiu a sokiem oraz między okularnicą a Gunillą Hallin.

Była to ze strony Sandry fuszerka, amatorszczyzna i skutek uprzedzeń. Mogła umrzeć z powodu swoich ograniczonych poglądów oraz niechęci. Kto wie, do czego posunęłaby się Gunilla Hallin, gdyby Jan, z całą swoją determinacją, nie postawił szpitala na nogi? Albo: co by się stało, gdyby Sandra wypila również sok jabłkowy? Plan musiał zakładać wyeliminowanie Sandry. Lub Erika. Bądź ich obojga. Ostatnia próba sprzątnięcia wszystkich zmartwień, tym razem za jednym zamachem.

Myśl ta była oszałamiająca. Sandra miała się w pewnym sensie na baczności, ale mimo całej dramaturgii, poprzedzającej to wydarzenie, nie potraktowała swoich obaw wystarczająco poważnie. Szczęście jej jednak sprzyjało. Pomoc nadeszła ze strony kogoś zupełnie nieoczekiwanego. Wyciągnęła nauczkę – na przyszłość będzie unikać ponownego składania w ręce opatrności zdrowia swoich bliskich oraz własnego. Nie powinna była lekceważyć tak wyraźnych sygnałów ostrzegawczych ani stawiać się w niebezpiecznych sytuacjach.

To właśnie obiecała sobie Sandra, kiedy otworzyły się drzwi i pełna oczekiwania twarz trzylatka rozbłysła w promiennym uśmiechu, po czym chłopczyk podbiegł do łóżka i wpadł w ramiona mamy. Ich radość nie znała granic.

ROZDZIAŁ 78 | KERSTIN

Sandra dzwoniła, żeby uprzedzić, że jest w drodze do mieszkania Kerstin w Bingeby. Kerstin obawiała się jej reakcji na zmęczone lipcem osiedle, dalekie od Visby znanego z róż i ruin oraz od trochę szalonego Tygodnia Politycznego, który trwał w najlepsze za murem. Kerstin była dotąd dla Sandry tylko głosem. Głosem oraz garstką doświadczeń życiowych. Miała nadzieję, że Sandra zanadto się nie zawiedzie i Kerstin nie będzie musiała oglądać w jej oczach rozczarowania, które dostrzegła w spojrzeniu jej rodziców.

Niepokój okazał się bezpodstawny. Gdy się pojawiła, Sandra uśmiechnęła się od ucha do ucha i objęła ją bez uprzedniego lustrowania. Wniosek Kerstin był taki, że mogło to zależeć od trzech rzeczy: Sandra obserwowała ją na odległość, żeby przygotować się przed pierwszym spotkaniem, była już przygotowana na najgorsze po rzeczach usłyszących podczas ich rozmów albo nie obchodził jej wygląd Kerstin, ponieważ wiedziała, jakim jest człowiekiem. Kerstin miała nadzieję na to ostatnie.

– Jak miło cię wreszcie poznać, Kerstin.

– Przepraszam – powtórzyła niezręcznie Kerstin już trzeci czy czwarty raz.

– Przyjmij moje kondolencje. I naprawdę nie musisz przeproszać za to, że nie mogłaś być w dwóch miejscach równocześnie. Uznałaś, że pomocy bardziej potrzebuje twoja koleżanka, i miałaś całkowitą rację. W przeciwieństwie do mnie, otoczonej personelem szpitala, ona nie mogła sobie pomóc. Przykro mi, że tak się to potoczyło z Jeanette.

– Potoczyło się, jak sama chciała – odrzekła Kerstin. – Tym się

pocieszam.

Sandra skinęła głową, po czym rozejrzała się po małym mieszkaniu.

– Ładnie się tu urządziłaś. Dużo książek, to mi się podoba.

– Dzięki – odparła. – Mam też całą górę pieniędzy.

Sandra zbliżyła się do toreb i przerzuciła jedną z nich przez ramię z pewnym wysiłkiem.

– Że też dźwigałyście to na rowerach. – Zaśmiała się. – Muszę przyznać, że to spory wyczyn.

Naraz zauważyła przywieszkę wiszącą przy torbie, którą wybrała. Podniosła wzrok, napotykając spojrzenie Kerstin.

– Chyba rozumiesz, że to była tylko kropla? – mówiła. – Że czara była już pełna?

Kerstin nie miała co do tego takiej pewności, wzruszyła ramionami z zaciśniętymi ustami.

– Gdyby Jeanette nie znalazła tej przywieszki, pojawiłaby się inna kropla, która przepełniłaby czarę gorzycy.

Możliwe, że Sandra miała rację. Kerstin bardzo chciała w to wierzyć, ale nie była co do tego przekonana. Ulgę przynosiła jej natomiast myśl o tym, że Jeanette sama dokonała wyboru i wyglądała na zadowoloną z niego nawet w chwili śmierci.

– Śmiało, Kerstin. Weź drugą torbę.

– Ale ja nie mogę...

– Owszem, możesz. Zakończymy to razem.

Nie tak się umawiały, ale Sandra miała taką siłę perswazji, że Kerstin nie mogła się dalej zapierać. Może nadszedł czas na zbudowanie nowej, zdrowszej relacji z organem władzy.

Pół godziny później stanęły przy biurku w otwartej przestrzeni biurowej

na posterunku w Visby. Sandra wyraziła życzenie rozmowy z tym samym śledczym, z którym utrzymywała kontakt po zaginięciu Erika, ale Kerstin też go kojarzyła. Był to jeden z dwóch policjantów, którzy poinformowali ją o śmierci Karla-Erika i który towarzyszył jej, kiedy identyfikowała jego ciało.

– Ta torba zawiera trzy miliony koron – oświadczyła Sandra, stawiając sportową torbę na biurko, które aż zadudniło. – Łup z paru rabunków, sprzed kilku lat.

Na znak Sandry Kerstin zrobiła to samo. Znad swoich biurka zdążyło się już podnieść więcej policjantów i policjantek, dołączając do trójki ze słabo skrywaną ciekawością.

– W tej torbie są kolejne trzy miliony koron – poinformowała Kerstin.

– Proszę potraktować te pieniądze jako materiał dowodowy – mówiła Sandra. – Jako tło sekwencji tragicznych wydarzeń, co do których sami państwo ocenicie, jak się należy odnieść. Są opisane w tym dokumencie, który zawiera również nieznanie nikomu odcinki końcowe letniej powieści publikowanej w „Gotlands Allehandzie”.

Rzuciła maszynopis na biurko: zapis wszystkich słów i zdań, składających się na opowieść o druzgocących wydarzeniach, przez które losy Sandry, Kerstin i paru innych istnień ludzkich zostały splecione ze sobą już na zawsze. Otaczający je policjanci i policjantki, których liczba wzrosła już do kilkudziesięciu, wymieniali między sobą spojrzenia – nie wiadomo, czy przez to, że zdębieli na widok czekającej ich pracy, czy chcieli jak najszybciej zabrać się do lektury grubego woluminu.

– Tutaj mamy telefon ze zdjęciami wypadku przy wąwozie w Madvarze – ciągnęła Sandra. – One również stanowią materiał dowodowy. A tutaj jest dokument z prawdziwymi szczegółami, które zniekształciłam w powieści. Mowa o nazwiskach, wieku, datach, godzinach, pogodzie, miejscach, markach pojazdów, wykonywanych zawodach, *modus operandi* i tak dalej. Wszystko, czego państwu trzeba, by ruszyć dalej z tym, co uznacie za naglące.

Wśród policjantów stopniowo narastało mamrotanie, zamieniające się wkrótce w pełen oczekiwania zgiełk, kiedy przeglądano zawartość telefonu, otwierano torby i kartkowano tekst książki.

W jednej chwili bycie świadkiem reakcji policji na przekazane dowody zaczęło jej sprawiać satysfakcję: Kerstin czuła dumę ze swojego wkładu w pracę nad grubym dokumentem.

Z tego, że przyczyniła się do swego rodzaju zadośćuczynienia Karlowi-Erikowi, a może też po trosze sobie. Mimo że ją to kosztowało. A może będzie ją kosztowało.

Genialne zdemaskowanie morderczyni i porywaczki z „Gotlands Allehandå” w roli głównej

52-letnia kobieta została zatrzymana pod zarzutem porwania, próby zabójstwa oraz morderstwa. Dzięki popularnej powieści w odcinkach *Opowiedz mi o nim* rozwiązała się zagadka uprowadzenia 3-letniego Erika. Autor pozostaje anonimowy, ale to jemu policja zawdzięcza wiele odkryć, które doprowadziły do sprawcy.

W ostatni piątek czerwca chłopiec zniknął bez śladu podczas wycieczki przedszkolnej do idyllicznego lasu Furulundsskogen pod Visby. Przypuszcza się, że zatrudniona w służbie zdrowia kobieta przechwyciła chłopczyka w chwili nieuwagi opiekunów, odurzyła go i przetransportowała na posesję we wschodniej Gotlandii. Tam miał być przetrzymywany w pomieszczeniu pod ziemią przez cztery doby, co kwalifikowane jest jako usiłowanie morderstwa.

Dzięki rzetelnym pracom przygotowawczym autora powieści oraz kobiety, która znalazła zaginionego chłopca, policja dostarczyła dowody w postaci zdjęć demaskujące winę 52-latki w dramatycznym porwaniu.

52-latka podejrzana jest również o głośne w mediach zabójstwo 41-letniego zaginionego Petera Norlinga, którego ciało odnaleziono tego lata na południu Gotlandii po ponad czterech latach. W tym przypadku w zebraniu materiału dowodowego pomógł mąż kobiety, ponieważ krew ofiary znaleziono na należącym do jednego z małżonków quadzie. W momencie zaginięcia 41-letniemu mężczyźnie najprawdopodobniej zlecono naprawę pojazdu.

52-letnią pielęgniarkę aresztowano bez dramaturgii w miejscu pracy, ale kobieta wypiera się udziału w przestępstwach i obwinia za nie męża. Jak podaje podejrzana, małżonek miał przyznać się do popełnienia przestępstw, zanim opuścił Gotlandię i zapadł się pod

ziemię. Tak naprawdę przebywa on jednak na wyspie i współpracował z policją w działaniach przygotowawczych przed pojmaniem podejrzanej morderczyni oraz porywaczki.

Autorka powieści oraz „Gotlands Allehanda” przybliżają czytelnikom całą płataninę nieszczęść oraz wykroczeń różnego kalibru, a według policji większość z nich udało się przypisać 52-letce.

– Jesteśmy zaskoczeni i wdzięczni za wszelką pomoc, którą tak niespodziewanie otrzymaliśmy – mówi rzecznik policji.

Zastępca prokuratora jest przekonany, że dowody oraz zeznania, które dotychczas wpłynęły, wystarczą do orzeczenia wyroku skazującego.

– Zważywszy na okrucieństwo popełnionych zbrodni i fakt, że zostały one zaplanowane z premedytacją, będę wnosił o karę dożywotniego pozbawienia wolności – mówi.

„GOTLANDS ALLEHANDA”

PODZIĘKOWANIA

Przeczytaliście Państwo historię luźno opartą na faktach, mówiącą o tym, jakie problemy może spowodować trochę śniegu i mrozu, jak olbrzymi wpływ takie warunki mogą mieć na życie garstki osób. Wiem, że opowieść ta wzbudziła spore zainteresowanie, że wielu z Państwa doszukuje się podobieństw między postaciami a prawdziwymi osobami, a także związku między tym, co je spotkało, a rzeczywistymi wydarzeniami. Jak wspominałam, bieg wydarzeń jest luźno oparty na faktach, więc trudno dopatrzeć się bezpośrednich podobieństw, co zresztą było moim zamysłem. Pragnę skorzystać z okazji, by podziękować Państwu, Czytelnikom, za poświęconą uwagę i zaangażowanie.

Chciałabym również podziękować Jeanette Wretberg: za to, że byłaś ważna dla mojej przyjaciółki Kerstin, otworzyłaś przed nią swoje serce, dzieląc się tragiczną historią, która stała się podwaliną tej opowieści. Moja wdzięczność za uratowanie Erika, w czym miałyście z Kerstin udział, nie zna granic. Na zawsze pozostaniesz w moich myślach. Obyś w końcu odnalazła spokój.

Peterze Norlingu oraz Karlu-Eriku Barbeniusie – wasza rola w tej powieści jest rozstrzygająca. Już was nie było, kiedy zaczęłam się interesować zdarzeniami, które nas łączą, dlatego też nie zdążyłam was poznać za życia. Przykro mi z powodu niektórych waszych wyborów, ale wyrażam prawdziwe współczucie, że musieliście doświadczyć takich rzeczy. Nikt na to nie zasługuje. Mam nadzieję, że oddałam wam sprawiedliwość. Spoczywajcie w pokoju.

Janie Hallinie – ty uruchomiłaś całą maszynę, zasiałaś ziarno wszystkiego, co opisałam, nad czym można głęboko ubolewać. Nie można cię jednak

oceniać przez pryzmat przeszłości, co zresztą miałeś okazję udowodnić. Żałujesz minionych wydarzeń, a zamiast wymigać się od odpowiedzialności, postanowiłeś nie opuszczać kraju i współpracować z policją. Z oczywistych powodów nie zamierzam ci dziękować za to, że dałeś mi syna, co swoją drogą jest największym darem. Masz jednak wiele dobrych cech, ludzkich, skoro tak wolisz, i mam nadzieję dojrzeć je również u Erika. Na koniec chciałabym także podziękować ci za to, że postawiłeś moje życie ponad własnym. To był wielki czyn i już zawsze będę cię z tego powodu szanowała.

Przede wszystkim chcę podziękować swojej drogiej przyjaciółce Kerstin Barbenius. Bez ciebie nigdy nie napisałabym tej książki. Gdyby nie ty, straciłabym też światło swojego życia, synka Erika. Twoja szczerość i wielkie serce doprowadziły do powstania tej historii. Jestem ci bardzo wdzięczna również za znaczący wkład w badanie faktów. Nie znajduję słów, by wyrazić emocje, co do zaradności twojej i Jeanette – i waszej pokory – kiedy znalazłyście mojego syna. Już na zawsze będziesz dla mnie wiele znaczyła i mam nadzieję, że pozostaniesz w naszym życiu.

Wasza

Sandra Christoffersson

Spis treści:

Okładka _

Karta tytułowa

Styczeń 2014

Rozdział 1 | Jeanette

Rozdział 2 | Sandra

Rozdział 3 | Jan

Rozdział 4 | Jeanette

Rozdział 5 | Sandra

Rozdział 6 | Jeanette

Rozdział 7 | Sandra

Rozdział 8 | Jeanette

Maj 2018

Rozdział 9 | Sandra

Rozdział 10 | Jeanette

Rozdział 11 | Sandra

Rozdział 12 | Jeanette

Rozdział 13 | Sandra

Rozdział 14 | Jeanette

Rozdział 15 | Sandra

Styczeń – luty 2014

Rozdział 16 | Jan

Rozdział 17 | Sandra

Rozdział 18 | Jan

Rozdział 19 | Sandra

Rozdział 20 | Jan

Rozdział 21 | Sandra

Rozdział 22 | Jan

Rozdział 23 | Sandra

Maj 2018

Rozdział 24 | Sandra

Rozdział 25 | Jeanette

Rozdział 26 | Sandra

Rozdział 27 | Jeanette

Rozdział 28 | Sandra

Styczeń – luty 2014

Rozdział 29 | Karl-Erik

Rozdział 30 | Jeanette

Rozdział 31 | Kerstin

Rozdział 32 | Jeanette

Rozdział 33 | Jan

Rozdział 34 | Jeanette

Rozdział 35 | Jan

Rozdział 36 | Jeanette

Rozdział 37 | Kerstin

Czerwiec 2018

ROZDZIAŁ 38 | Sandra

ROZDZIAŁ 39 | Jeanette

ROZDZIAŁ 40 | Sandra

ROZDZIAŁ 41 | Jeanette

ROZDZIAŁ 42 | Sandra

ROZDZIAŁ 43 | Jeanette

ROZDZIAŁ 44 | Sandra

ROZDZIAŁ 45 | Kerstin

ROZDZIAŁ 46 | Sandra

ROZDZIAŁ 47 | Kerstin

ROZDZIAŁ 48 | Sandra

ROZDZIAŁ 49 | Jan

ROZDZIAŁ 50 | Kerstin

ROZDZIAŁ 51 | Sandra

Lipiec 2018

ROZDZIAŁ 52 | Kerstin

ROZDZIAŁ 53 | Sandra

ROZDZIAŁ 54 | Jan

ROZDZIAŁ 55 | Sandra

ROZDZIAŁ 56 | Kerstin

ROZDZIAŁ 57 | Sandra

ROZDZIAŁ 58 | Jan

ROZDZIAŁ 59 | Kerstin

ROZDZIAŁ 60 | Jeanette

ROZDZIAŁ 61 | Kerstin

ROZDZIAŁ 62 | Jan

ROZDZIAŁ 63 | Jeanette

ROZDZIAŁ 64 | Kerstin

ROZDZIAŁ 65 | Sandra

ROZDZIAŁ 66 | Kerstin

ROZDZIAŁ 67 | Sandra

ROZDZIAŁ 68 | Kerstin

ROZDZIAŁ 69 | Sandra

ROZDZIAŁ 70 | Kerstin

ROZDZIAŁ 71 | Jan

ROZDZIAŁ 72 | Sandra

ROZDZIAŁ 73 | Kerstin

ROZDZIAŁ 74 | Jan

ROZDZIAŁ 75 | Sandra

ROZDZIAŁ 76 | Jan

ROZDZIAŁ 77 | Sandra

ROZDZIAŁ 78 | Kerstin

Podziękowania

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Det som göms i snö*

© 2018 Carin Gerhardsen.

First published by Bookmark förlag, Sweden.

Published by arrangement with Nordin Agency AB, Sweden

Copyright © for the translation by Justyna Högrström

Wydawca prowadzący: Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Przyjęcie tłumaczenia: Anna Jędrzejczyk

Adiustacja i korekta: d2d.pl

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce: mieszkanie – © by Martin Deja / Moment /

Getty Images; modelka – Eliza Luty

ISBN 978-83-8135-826-2D



www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Na zlecenie Woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek